



OPOWIEŚCI CELTYCKIE

P O C Z A T E K

KAROLINA
JANOWSKA

Na cykl OPOWIEŚCI CELTYCKIE składają się tomy:

Opowieści celtyckie. Początek
Opowieści celtyckie. Droga do władzy
Opowieści celtyckie. Cena przywództwa

KAROLINA JANOWSKA

OPOWIEŚCI CELTYCKIE

P O C Z Ą T E K



*Moim rodzicom
i Pani od łaciny.*

Gratias magnas vobis ago.

Spis treści

PROLOG

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

Prolog

Kraj Arwernów, niedaleko Gergowii, rok 82 p.n.e.

Celtyllus kręcił się niespokojnie po obejściu, krzywiąc się na każdy głośniejszy krzyk dobiegający z domostwa. Był wodzem Arwernów i niejedno przeszedł podczas bitew z Rzymianami lub innymi plemionami celtyckimi, ale jakoś nie uodpornił się na krzyki rodzących kobiet. Jego zdaniem trwało to już zbyt długo, zaczęło się w nocy, a teraz dochodziło południe. Jak długo, na Teutatesa, można rodzić dziecko?

Celtyllus wyrzucał z siebie paskudne przekleństwa, ilekroć usłyszał szmery i krzyki. Geillis rodziła po raz pierwszy, była jego legalną małżonką, a on denerwował się, bo na świat miał przyjść jego pierwszy prawowity syn. Co prawda, synowie z konkubin też się liczyli, ale nie mogli przejąć władzy i obowiązków naczelnika. Wiedźma Scatah wywróżyła mu, że urodzi się syn, a skoro ona to mówiła, należało jej wierzyć.

Scatah właściwie nie była wiedźmą w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale wojującą kobietą – czarownicą, jakich w całej Galii było sporo. Ich męskimi odpowiednikami mogliby być druidzi, gdyby nie fakt, że ci ostatni nie walczyli. Celtyllus posłał swojego nieślubnego syna, Celtillognatosa na naukę do druidów, bo nie mógł go uczynić wojownikiem. Poza tym nie wypadało, by ojciec pokazywał się w obecności nieletnich dzieci. Chłopiec miał teraz osiem lat i pobierał nauki dopiero od roku. Celtyllus sam w dzieciństwie wymigał się od mądrości druidów i nigdy tego nie żałował, stał się za to wojownikiem i naczelnikiem plemienia.

Scatah oznaczało „Ta, co budzi lęk” i w rzeczy samej, była

to kobieta przerażająca. Piękna, to jasne, jak każda z wojowniczek, nauczycielek młodych chłopców. Owe przewodniczki po świecie wojny wprowadzały młodych mężczyzn w arkana walki i erotyki, odbywały z nimi inicjacyjny stosunek i uczyły ich tego misterium. Celtyllusa uczyła matka Scatah, która już nie żyła. On sam wspominał ją z nostalgią, ale też bał się jej – była przerażająca.

Skoro zatem Scatah wywróżyła, że Celtyllusowi urodzi się syn, to musiał jej wierzyć. Zresztą Geillis także kazała sobie wróżyć, robiła próbę krwi, toteż jasne było, że w tej chwili wydawała na świat chłopca.

Tyle tylko, że temu chłopcu jakoś nie było śpieszno, ociągał się niemiłosiernie, przyprawiając swoją matkę o nieludzkie cierpienia. Celtyllus nie potrafił zliczyć, ile razy wchodził do izby i dopytywał, czy to już. Za każdym razem kobiety odsyłały go na podwórze. Nie godzi się, by mężczyzna przebywał pod jednym dachem z nieczystą. A położnice uchodziły za nieczyste, podobnie jak kobiety miesiączkujące. Odsuwano je od społeczności, zamykano w odosobnieniu, by żadne złe duchy, jakie im wtedy towarzyszą, nie miały dostępu do reszty plemienia.

Ale Celtyllus nie był człowiekiem cierpliwym. Miał już, co prawda, syna i córkę, a od możnego rodu z sąsiedztwa adoptował drugiego syna, wedle zwyczaju zresztą. Tyle że tamte dzieci były z konkubin, nie miały praw dziedziczenia godności naczelnika. A ten chłopiec miał być jego gwarancją przedłużenia klanu wodzów, legalnym potomkiem rodu Wielkich Wojowników.

Do licha, jak ta kobieta wrzeszczy! Geillis miała szesnaście lat i to był jej pierwszy poród, więc zrozumiałe było, że nie miała za grosz doświadczenia. Ale Celtyllus brał udział w niezliczonych potyczkach, a tam krew lała się strumieniami, ból zaś był okropny. Jego żona tymczasem krzyczała lepiej od niejednego rannego wojownika, pewnie też traciła tyle samo krwi.

Celtyllus miał ochotę sam zacząć wrzeszczeć z niecierpliwości i wściekłości, ale nagle za drzwiami uspokoiło

się i słyhać było tylko gorączkowe krzątanie. Zapanowała straszliwa cisza, bo Celyllus nie słyszał wydawanych stłumionym szeptem poleceń. Geillis wydała z siebie jeszcze jeden udręczony krzyk, po czym rozległo się plaśnięcie i płacz noworodka.

W drzwiach ukazała się głowa kuzynki Celyllusa.

- Możesz wejść, twoja żona urodziła syna - oznajmiła mu.

Zwyczaj nakazywał, by ojciec uznał dziecko za swoje. Ceremoniał wyglądał podobnie jak w Grecji, siedem dni po urodzeniu odbywała się uroczystość. Wcześniej jednak ojciec miał prawo obejrzeć dziecko, by móc zdecydować, czy przyjmie je do rodziny. Jeśli było chore lub kalekie, mógł kazać je natychmiast zabić.

Celyllus wpadł do izby jak burza. Ujrzał swoją młodocianą małżonkę, młodszą od siebie o dobre dwadzieścia lat, leżącą na pościeli z owczych skór. Była blada i wycieńczona, ale wyraźnie szczęśliwa, że udało jej się wydać dziecko na świat. Przy niej siedziały kobiety, a w rogu Scatah obmywała noworodka.

- Urodził się w samo południe - odezwała się. - To mu dobrze wróży. Będzie z niego wielki wojownik, Celyllusie.

Uradowany ojciec podszedł i spojrzał na kwilące dziecko. Chłopiec był duży i zapowiadał się na silnego, miotał bezradnie rączkami, kiedy obca kobieta obmywała go z krwi i resztek błony płodowej.

- Mój prawowity syn - odezwał się z dumą. - Mój legalny potomek!

- Za siedem dni nadasz mu imię - rzekła Scatah. - Czy już wiesz, jak będzie ono brzmiało?

- To się okaże za siedem dni - odrzekł Celyllus.

Po twarzy urodziwej więdźmy przebiegł uśmiech, a w jej wzroku pojawił się wizjonerski blask.

- Ja wiem, jak będą go zwały następne pokolenia - powiedziała. - Będą o nim mówić Wielki Król Wojowników. Jego imię zostanie zapomniane, ale to miano przylgnie do niego na zawsze.

- Chcesz powiedzieć, że mój syn będzie królem? - uradował

się Celtyllus.

Wizjonerski blask w oczach Scatah płonął dalej, ale uśmiech znikł z jej twarzy.

- Nie wszystko mogę ci wyjawić, Celtyllusie - odparła. - Pewne rzeczy lepiej zostawić w spokoju. Twój syn sam zdecyduje o swoim losie. Ja mogę ci tylko powiedzieć, że okryje się chwałą i sławą.

Celtyllusowi musiało to wystarczyć. Wyszedł z izby na południowe jesienne słońce i udał się do ołtarza, by złożyć bogom ofiarę w podzięcie za nowo narodzonego syna.

Morze Śródziemne

Gajusz Juliusz Cezar, krewny zabitego w wyniku wojny domowej Mariusza, zaciskał zęby z nienawiścią, stojąc na deskach pokładu. Znajdował się na statku, który miał go zawieźć do Grecji, gdzie było bezpiecznie. Wiedział, że dopóki żyje Sulla i dopóki pełni władzę dyktatora, nie wolno mu wrócić do Rzymu. Sulla ogłosił proskrypcje, setki obywateli szło na śmierć, ponieważ sprzyjało Mariuszowi albo też z powodu zwykłej niegodziwości sąsiadów. W obecnym położeniu wygodnie było zadenuncjować znienawidzonego osobnika, by się na nim zemścić i pożegnać na zawsze. Śmierć była w podobnym wypadku tak pewna jak fakt, że słońce świeci, o ile ten ktoś nie przeszedłby natychmiast do obozu Sulli.

Cezar miał osiemnaście lat. Do tego wyjazdu został zmuszony, by ratować życie, a umierać nie chciał. W Rzymie zostawił ukochaną żonę, Kornelię, a wraz z nią małą córeczkę, Julię. Zostawił też matkę, Aurelię, z którą był w bardzo ciepłych, zażyłych stosunkach, zwłaszcza od czasu śmierci ojca przed czterema laty. Rodzina była dla niego najważniejsza, ale dlatego właśnie musiał uciekać, by Kornelia nie wpadła w ręce wroga.

Na samą myśl, że jego bliskim mogłoby się coś stać, Cezara ogarniała dzika furia. Był patrycjuszem, co prawda ze zubożałej rodziny, ale mimo wszystko. Był też ważną osobą, siostrzeńcem

Mariusza, więc szczególnie narażonym na nienawiść Sulli. Jednak dyktator pozwolił mu ocalić życie i nakazał opuścić Miasto. Tego Cezar nie mógł zrozumieć.

Stał na pokładzie na szeroko rozstawionych nogach i poprzysięgał zemstę.

- Pokażę wam jeszcze - mrucał do siebie ze złością, choć jego oblicze było jak wycięte w kamieniu. - Nikt nie będzie lekceważył potomka rodu Juliuszów! Nikt nie będzie znieważał Cezara!

To nie była pycha, jedynie świadomość własnej wartości. Jednak musiał przyznać sam przed sobą, że imponował mu Sulla, a przedtem Mariusz. Obaj mieli ambicję stać się kimś wyjątkowym, obaj pragnęli zgarnąć władzę w Rzymie tylko dla siebie. To zaś wydawało się młodemu człowiekowi warte zachodu.

Wieczorny wiatr rozwiewał jego gęste czarne włosy, igrał z prostą tuniką. Młodzieniec stał niewzruszenie niczym spiżowy posąg, wzbudzając zdumienie wśród załogi okrętu. Był szczupłej budowy, ale na rękach, nogach i pod ubraniem odznaczały się wspaniałe mięśnie, wyrobione podczas ćwiczeń z bronią. Na twarzy, tak przerażająco młodej, malował się wyraz surowości, niepasujący do młodzieńca.

Mężczyźni na pokładzie pokazywali go sobie ukradkiem palcami i poszeptywali. Cezar już zdążył zdobyć sławę, a to dzięki temu, że Sulla darował mu życie. Ludzie zastanawiali się, kim był ten chłopak, że dyktator się zawahał. To, co Sulla wyczyniał na ulicach Rzymu i w rzymskich domach, było czymś gorszym niż zwykła rzeźnia. Krew obywatelska lała się strumieniami, partia optymatów zaś bała się triumfować, żeby czujne oko dyktatora nie zwróciło się przeciwko swoim.

Cezar wciąż był słaby po przebytej chorobie. Wciąż jeszcze czuł, że siły zeń uciekają. Gdyby nie choroba, zapewne udałoby mu się zaszyć w jakiejś norze w mieście i przeczekać, a potem przyjść do domu, do Kornelii. Ale on był chory, tak ciężko, że wydawało się, iż ramię Sulli będzie niepotrzebne. I gdy na wpeł przytomny leżał na ulicy, znalazł go jakiś sullański żołnierz, którego Cezar przekupił resztą pieniędzy wyniesionych z domu.

Dyktator... Z tym wiązała się ogromna władza, wprost nieograniczona...

W myślach młodego człowieka zapanował chaos. Nigdy nie pragnął tytułów ani zaszczytów, dotąd chciał być tylko dobrym obywatelem, członkiem senatu, mężem i ojcem. To i tak dość jak na osiemnastolatka. Ale przyszła wojna domowa, najgorsza ze wszystkich możliwych, i uczyniła z niego mężczyznę w ciągu kilku godzin. Prawdziwego mężczyznę, który w jednej chwili zdecydował, czego chce w życiu.

A chciał pomścić swoją krzywdę, pomścić śmierć Mariusza i jego żony, samotność Kornelii, niepokój matki i siostry oraz wynagrodzić malutkiej Julii pierwsze miesiące bez ojca. Za to wszystko miała odpokutować partia optymatów, zwolenników mordercy w purpurowej todze.

Jeszcze nie teraz, myślał Cezar, stojąc nieruchomo na pokładzie i przesuając ciężar ciała z jednego biodra na drugie, kiedy statek się kołysał. Teraz muszę czekać, uważać na swoje życie. Teraz jest czas nauki. Ale któregoś dnia nadejdzie czas wyrównania rachunków i wtedy Sulla i jego stronnicy zobaczą, z kim zadarli.

Ciemne chmury przesuwały się po niebie, zwiastując nadchodzącą noc. Cezar oderwał wzrok od linii horyzontu, gdzie majaczył słabo pas lądu, i udał się do swoich przyjaciół, by wraz z nimi zatopić smutki w winie.

Musiał czekać.

Republika także.

I

Geillis spoglądała na swojego męża, który wrócił właśnie z miasta. Celtyllus, odkąd urodził mu się syn, wodził wokół dumnym wzrokiem, stawiał kroki niczym pan i władca i, o ile to możliwe, stał się jeszcze bardziej wyniosły. Gdy wszedł do izby, natychmiast odszukał żonę wzrokiem.

Celtyllus był postawnym mężczyzną, w sile wieku – niedawno skończył trzydzieści pięć lat. Już zdążył się wslawić w bojach, a ponieważ był potomkiem możnego rodu, piastował urząd jednego z wodzów plemienia Arwernów. Swoje długie, ufarbowane na blond włosy, splecione miał w warkocze, a niebieskie, chłodne oczy patrzyły na ludzi przenikliwie.

Podszedł do żony, która wciąż leżała na pościeli, i usiadł obok niej. Ubrany był w prosty strój, zwykłe spodnie i tunikę ściągniętą pasem ze srebrną ozdobną klamrą. Na szyi lśnił mu złoty torques, naszyjnik oznajmujący władzę, a na nadgarstkach połyskiwały bransolety.

- Dziecko śpi? - chciał wiedzieć. - Mam nadzieję, że jest zdrowe.

Celtyllus był w Gergowii, by załatwić swoje sprawy, a żonę zostawił pod opieką rodziny. Nie obawiał się, że coś jej się stanie, nikt nie ważyłby się tknąć żony Celtyllusa. On sam wybrał ją, bo była najpiękniejszą dziewczyną, z jaką miał do czynienia, chociaż sypiał wcześniej z innymi kobietami. Geillis jednak miała w sobie coś takiego, co przykuwało wzrok i drażniło zmysły.

Rzecz jasna, dziewczyna musiała się zgodzić, Celtyllus nie mógł jej tak po prostu pojąć za żonę. Najpierw musiał przedyskutować sprawę z jej bratem, jako że ojciec Geillis już

nie żył. Ale Gobannicjon nie miał nic przeciwko takiemu szwagrowi jak Celtyllus, zatem kandydat na męża mógł oficjalnie pomówić z dziewczyną.

Tamtego dnia Geillis była zajęta wyplataniem koszy z wikliny i nie spodziewała się gościa. Odziana była skromnie, pomijając srebrną bransoletę na ramieniu. Było ciepło, nawet jak na październik. Długie blond włosy dziewczyny opadały na jej plecy niczym kaskady, co wprawiło Celtyllusa w istny zachwyty.

Gdy usłyszała, z czym do niej przyszedł, zdumiała się.

- Ależ ty masz kobietę, Celtyllusie - zauważyła. - Chcesz, żebym była twoją nałożnicą?

Gobannicjon stał obok, dyskretnie trzymając się z dala, ale słyszał całą rozmowę. Uważał, że Celtyllus jak na starającego się o rękę dziewczyny, jest nieco za stary, a poza tym miał już syna z nałożnicą. Wprawdzie nie było to niczym nienormalnym, wszyscy Celtowie praktykowali tego rodzaju obyczaje, ale brat Geillis i tak wiedział swoje. Z drugiej jednak strony, Celtyllus pochodził z możnego rodu, o jego przodkach śpiewano pieśni i opowiadano w czasie uct, a sam Celtyllus, gdyby mógł, z pewnością ubiegałby się o tytuł króla.

Tyle tylko, że Celtowie nie życzyli sobie żadnych królów. Już nie.

Patrząc na Geillis, ten potężny mężczyzna tracił całą pewność siebie.

- Nie, Geillis, nie chcę, żebyś była moją nałożnicą - powiedział i potrząsnął głową. - Chcę cię za żonę. Za prawną, legalną żonę.

- A co z Emer?

- Jeśli taka będzie twoja wola, odeślę ją, jak tylko wygaśnie umowa.

Emer była kochanką Celtyllusa, którą sobie najął na rok. Takie obowiązywało prawo i jeśli mężczyzna chciał kontynuować tego rodzaju związek, musiał wypłacić kobiecie okup, coibche. Gdyby Celtyllus chciał poślubić Geillis, musiałby zapłacić za nią jej rodzinie, a jej samej wyznaczyć sumę pieniędzy, jakimi mogłaby dysponować po ewentualnym

rozwodzie. Było to zbliżone do greckiej hedny, z tym że w Grecji kobieta nie miała prawa do rozwodu.

Geillis przystała na jego warunki i wyszła za mąż. Miała wtedy piętnaście lat i była równo dwadzieścia lat od niego młodsza. Nie mogła powiedzieć, by było to małżeństwo z miłości, ona po prostu korzystała na takim związku. Ale z biegiem czasu przywiązywała się coraz bardziej do swojego małżonka, który jak na razie nie sprowadzał do domu konkubin.

Ale teraz Geillis leżała w połogu, była nieczysta, nie wolno jej było pokazywać się wśród ludzi i nie mogła wykonywać żadnych obowiązków.

Celtyllus udał się do miasta, by stamtąd przywieźć do domu nałożnicę, która mogłaby wyręczać Geillis w obowiązkach. A także by sobie umilić czas, kiedy żona nie będzie w stanie wypełniać swoich powinności względem niego. Tak czy inaczej, musiał tę sprawę przedyskutować z żoną, inaczej być nie mogło. Geillis miała prawo, gdyby pomysł Celtyllusa jej się nie spodobał, zabrać swoje rzeczy i zażądać rozwodu, odejść do brata i dziecko zabrać ze sobą. Na razie bowiem podlegało jej opiece.

Celtyllus zdjął z ramion płaszcz i skinął na służbę, by mu podała napój. Arwernowie nie pijali wina, pili piwo jęczmienne lub zaprawiane chmielem. Wino było trunkiem Rzymian, pito je z okazji większych uczt lub uroczystości, ale na ogół zadowalano się rodzimymi trunkami. Pośłanie żony znajdowało się na podłodze, podobnie jak wszystkie inne łoża w domu, toteż Celtyllus usiadł na słomie przykrytej skórami owczymi i wyciągnął przed siebie nogi.

Domostwo Celtyllusa wyglądało jak typowe domy naczelników. Zbudowane zostało na planie prostokąta, było obszerne, dawało schronienie wielu ludziom, bliższej rodzinie. Podmurówkę wykonano z kamienia, ściany z drewna i wikliny, a dach pokrywała słoma. Nie było komina, jedynie dymnik w dachu. Palenisko znajdowało się w głównej izbie i otoczone było murkiem, by ogień nie rozprzestrzenił się dookoła. Dach podtrzymywały dwa rzędy kolumn, niemal tak jak w domach rzymskich, a po bokach budynku znajdowały się skrzydła,

w których mieściły się sypialnie.

Dookoła domu Celtyllusa, wokół centralnego dziedzińca, rozmieszczone były inne domy, w których mieszkali niewolnicy, służba i klienci, dalsza rodzina i sprzymierzeńcy. Taka grupa domostw świadczyła o pozycji Celtyllusa, a im więcej ich było, tym naturalnie lepiej.

W centralnej izbie poza paleniskiem znajdował się też stół; był on najczęściej okrągły, by wszyscy członkowie rodziny mogli czuć się przy nim równi. Przy tym stole siadano na ziemi, na zwykłych wiązках słomy.

Włosy Geillis opadały jej na czoło i ramiona, więc Celtyllus je odgarnął. Obok niej na posłaniu leżało niemowlę pogrążone we śnie. Dumny ojciec przez chwilę wpatrywał się w nie urzeczony, ale po niedługim czasie spochmurniał.

- Przeklęte prawa - mruknął pod nosem. - Po święcie Samain trzeba go będzie dać do adopcji.

- Nie tak prędko, jak sądzę - odparła Geillis. - Mam prawo karmić go przez trzy miesiące, zanim oddam go mamce. A i potem nie będziemy musieli go jeszcze oddawać. Mamy na to czas, dopóki nie skończy trzech lat. Możemy wybrać odpowiednią rodzinę.

Dziecko należało oddać do adopcji, pod opiekę innej rodziny, a do siebie przyjąć dziecko innych ludzi. Taki był obyczaj i w ten sposób między rodzinami wytwarzały się specyficzne więzy. Nie uchodziło też, by ojciec miał kontakt z dzieckiem publicznie do osiemnastego roku życia, czyli do czasu, gdy wolno chłopcu posługiwać się bronią.

Ale w domu to co innego.

Celtyllus znowu obrzucił syna czułym spojrzeniem, na jakie zapewne nie pozwoliłby sobie w obecności obcych.

- Chciałem z tobą porozmawiać o czym innym - powiedział powoli. - Byłem w Gergowii, by poszukać kobiety, Geillis.

- Chcesz mieć nałożnicę? Stać nas na to?

- Nie ty musisz się o to martwić. Ta kobieta odciążałaby cię w pracach domowych teraz, kiedy masz dziecko.

- I sypiałaby z tobą?

Celtyllus uśmiechnął się pod nosem.

- Chyba ci to nie przeszkadza?

- Wolałabym, żeby z tobą nie sypiała - oświadczyła żona.

W jej niebieskich oczach lśniło coś, co jej małżonek bez trudu rozpoznał. To była zazdrość, uczucie nie do pomylenia z żadnym innym.

- Geillis, jesteś słaba, nie możesz ze mną teraz spać, póki wszystko się nie zagoi - tłumaczył. - A poza tym dopóki karmisz syna, nie możesz mieć kontaktów z mężczyznami. Wezmę ją na rok, potem odeślę, jeśli taka będzie twoja wola.

Geillis właściwie nie miała nic przeciwko pomocy w domu. Ona była prawowitą małżonką, a tamta kobieta byłaby tylko konkubina. No i posiadanie przez Celyllusa nałożnicy stanowiłoby o jego statusie. Nie każdy mógł sobie pozwolić na wypłacenie obcej kobiecie coibche, by spała w jego ramionach. Jeśli zaś urodziłaby mu dziecko, musiałby mu zapewnić utrzymanie. Geillis powinna więc być dumna z zamiaru męża, ale nie była.

Wiedziała, że takie praktyki są na porządku dziennym. Ona sama wychowywała się w domu z obcymi dziećmi, gdyż jej braci adoptowała inna rodzina. Ojciec obok żony miał dwie nałożnice, z którymi na zmiany regularnie sypiał. Czasami brał do łóżka wszystkie trzy kobiety, o tym Geillis też wiedziała. Nie przeszkadzało jej to, takie sprawy były naturalne, podobnie jak fakt, że za dziewictwo wypłacano okup.

Po śmierci ojca zajął się nią brat, Gobannicjon. On też decydował o jej dalszej przyszłości, ale po omówieniu tego z Geillis. W społeczności galijskiej kobiety miały dużo do powiedzenia, jakkolwiek prym wiodli niezaprzeczalnie mężczyźni. Po śmierci męża często zdarzało się, że żona była zabijana, by nie dostała majątku w swoje ręce. Ale Geillis była spokojna, taki mąż jak Celyllus nieprędko wybierze się na tamten świat.

- Zrobisz, jak uważasz - powiedziała wreszcie. - Jeżeli sądzisz, że potrzebna ci kobieta w obejściu, to weź ją.

Siliła się na obojętny ton, ale w głębi duszy czuła smutek. Nie chciała się dzielić mężem z nikim. Nawet jeśli miało to służyć jej tak zwanemu dobru.

Odwróciła się i spojrzała na śpiącego syna. Miał już dziesięć dni i otrzymał imię od swojego ojca. To imię miało mu służyć, dopóki nie osiągnie pełnoletności i otrzyma nowe po zakończeniu edukacji wojskowej. Teraz jej syn nosił imię Galvan, przyszłe okrywała jeszcze mgła tajemnicy.

Celtyllus pogładził ją po twarzy i wyszedł, nieświadomy, że zostawił ją zawiedzioną i wykorzystaną. Cóż, liczyła się z tym, że kiedyś Celtyllus sprowadzi nową kobietę, ale miała nadzieję, że nastąpi to później. W świetle prawa miał rację, ona musiała odczekać swoje dwa miesiące, zanim nie nastąpi rytuał oczyszczenia. Do tego czasu musiała tkwić w swoim obejściu, a dziecko wraz z nią. Celtyllus zaś z pewnością wiedział, co robi.

Tydzień później Celtyllus przywiózł nową konkubinę do domu. Geillis wstała już z posłania, ale nadal była słaba i wymagała rytuału oczyszczenia, ponieważ karmiła dziecko. Wolno jej było poruszać się tylko w obrębie własnego domu, wyjść zaś mogła jedynie na dziedziniec. Po zakończeniu okresu karmienia miała przejść rytuał i zostać na nowo włączona do społeczności. Małego Galvana miała karmić mamka wraz z innym dzieckiem, które w ten sposób stanie się jego bratem lub siostrą.

Legalna małżonka Celtyllusa wyszła na próg, by powitać jego nową nałożnicę. Była to dziewczyna z Gergowii, Aman, która zgodziła się być jego konkubiną przez rok. Miano jej za to nieźle zapłacić, a poza tym status nałożnicy naczelnika nie był do pogardzenia. Gdyby Celtyllus spłodził z nią dziecko, musiałby je uznać za swoje, tym bardziej, jeśli Aman była dziewicą.

To, że nie była, to już inna sprawa.

Geillis trzymała na rękach dziecko, kiedy jej mąż zсадził Aman z konia. Ta dziewczyna była starsza od małżonki Celtyllusa, z pewnością miała dwadzieścia lat, ale musiała pochodzić z niskiego rodu, skoro zgodziła się dla zysku zająć miejsce tymczasowej gospodyni. Miała ciemne włosy i oczy, a jej rodzina pochodziła z Massalii, co wskazywałoby, że miała greckich przodków.

Na zewnątrz obie kobiety uściśniły sobie ręce, ale Aman musiała dostrzec niechęć we wzroku prawowitej małżonki, bo przy wszystkich dobrych zamiarach Geillis nie potrafiła tego ukryć. Aman przełękała się. To Geillis była tutaj panią, miała sporo do powiedzenia, jako że zarządzała dobrami swoimi i swego męża. Status konkubiny był niższy niż status żony, o tym wszyscy dobrze wiedzieli, Aman także.

- Piękne dziecko - ośmieliła się zauważyć, kiedy Celyllus odszedł do koni. - Chłopiec?

Geillis miała ochotę ostro jej odpowiedzieć, ale zamiast tego podała jej dziecko na ręce.

- Galvan - powiedziała z uśmiechem. - Celyllus ma jeszcze jednego syna z nałożnicy, Celtillognatosa. Ten przejmie po nim posiadłość i pociągnie dalej ród.

Aman rzuciła jej spojrzenie niepozbawione smutku. Ona była nałożnicą, a chociaż starsza, musiała się podporządkować żonie swego pana. Jej syn, jeżeli go urodzi, będzie należał do domowników Galvana, nigdy nie stanie się prawowitym spadkobiercą, jakkolwiek będzie dzieckiem Celyllusa.

Ale Aman nie miała wyjścia. Jeżeli chciała kiedykolwiek zyskać męża, tak jak Geillis, musiała mieć pieniądze. Jej ojciec nie dałby jej posagu, bo nie miał z czego, więc Aman godziła się na rolę konkubiny, by na siebie zarobić. Celyllus miał być jej drugim mężczyzną.

Spojrzała jeszcze raz na niemowlę, które otworzyło oczy i usiłowało skupić na niej swój wzrok. Jego oczy były błękitne, chłodne, wywołujące dziwne wrażenie. Aman nie spotkała się jeszcze z takimi oczami u dziesięciodniowego dziecka.

Wieczorem Geillis długo leżała wpatrzona w ciemny sufit nad sobą. Nie mogła zasnąć, chociaż utrudzona była dniami i zajęciami, jakie musiała wykonać. Co prawda, od razu zauważyła, że Aman jest doskonałą pomocą i wyręką, bo jakkolwiek Celyllus posiadał niewolników, to parali się oni męską robotą, wyrabiali rozmaite przedmioty, byli to głównie rzemieślnicy. Kobiet było znacznie mniej i Geillis musiała wykonywać większość prac w obejściu, a teraz dochodziła jej także opieka nad dzieckiem.

Ale teraz, gdy wszyscy udali się już na spoczynek, ona przeżywała męki, zdając sobie sprawę, że jej miejsce u boku Celtyllusa zajęła ta ciemnooka dziewczyna. Geillis nie mogła ich nie słyszeć. Nie mogła też wątpić, że poczynania Celtyllusa sprawiają Aman przyjemność, gdyż z sąsiedniej izby dobiegały ją jęki, sapanie i westchnienia rozkoszy. Geillis zaciskała pięści, świadoma, że nie ma przystępu do męża, zanim nie odstawi Galvana od piersi. Wiedziała również, że jej małżonek pewnego dnia może sobie zażyczyć je obie do łóżka, a one będą musiały być mu posłuszne.

Razem z Aman...

Nie, tego by nie chciała za nic w świecie!

Niemowlę spało obok niej na pościeli spokojnym snem. Geillis rozmyślała, zastanawiała się, co by zrobiła na miejscu tej obcej dziewczyny. Gdyby Celtyllus przyjechał do niej, zaofiarował jej okup i zapragnął jako nałożnicy, czy zgodziłaby się i zajęła miejsce u jego boku ze świadomością, że on ma legalnie poślubioną małżonkę?

Znała odpowiedź. Nie uczyniłaby tego choćby przez szacunek dla samej siebie.

To, co czuła do swego męża, nie było miłością. To było poczucie przynależności i wspólnoty, swego rodzaju oddanie i przywiązanie, ale Geillis nie kochała Celtyllusa. Tak przynajmniej uważała, co nie przeszkadzało jej w okazywaniu zazdrości o obcą kobietę.

Spojrzała na swego synka i zastanawiała się, czy on też w przyszłości będzie sypiał z dwiema albo i trzema kobietami, obarczony żoną i nałożnicami, nie mając nigdy dość miłości. Jej mały, niewinny chłopiec, który będzie musiał wykazać się w walce, zabijać ludzi i płodzić nowe dzieci. Czasami, gdy jeszcze nosiła go pod sercem, myślała nad tym, że nie chciałaby urodzić chłopca. Życie mężczyzn niekoniecznie musi być takie wspaniałe, jak podkreślają na każdym kroku. Nigdy w życiu nie chciałaby ujrzeć Galvana zakrwawionego na polu bitwy.

Zastanawiała się, dlaczego ona sama nie została wojownikiem. Mogłaby to uczynić, w Galii kobiety miały do tego pełne prawo. Przez myśl przeszła jej wiedźma Scatah,

która dokonywała obrzędu wtajemniczania młodych chłopców w arkana wojenne i miłosne. Rytuał „pasowania” na żołnierza był tożsamy z pasowaniem na mężczyznę. Scatah, przerażająca, była piękna, zmysłowa i straszna. Geillis się jej bała, ale nie stykała się z nią często, bowiem wiedźmy – wojowniczkami trzymały się z dala od wsi i większych społeczności. Wzywano je, kiedy były potrzebne, ale na ogół swoich rytuałów dopełniały w odosobnieniu.

Geillis ułożyła się wygodniej. Sen nie nadchodził, słyszała za to odgłosy miłości zza ściany. Zazwyczaj, gdy robili to krewni, Geillis nie miała trudności z zaśnięciem. To było naturalne, nawet kiedy przez cienkie przepierzenie słyszała ojca i jego nałożnicę. Ale słuchanie, jak jej własny mąż uprawia miłość z obcą dziewczyną, jak robi jej to samo, co robił Geillis, było ponad jej siły.

Zasnęła nad ranem, kiedy tamci wyczerpani skończyli. Na myśl, że tak mają wyglądać wszystkie jej noce przez następne dwa miesiące, ogarniało ją zniechęcenie. Nie pomagał wcale fakt, że nadchodziła jesień, zbliżał się koniec roku, niebawem miało nadejść święto Samain. Święto ofiarowania pierwocin bogom, by ich obłaskawić.

Szkoda, że Aman nie wyda na świat dziecka do tego czasu, pomyślała Geillis cokolwiek bluźnierczo. Poczowała lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, ale nie przejęła się tym. Po jakimś czasie zmorzył ją sen, nie słyszała więc, że Celtyllus po odpoczynku z nową energią przystąpił do sycenia swoich zmysłów urokami nowej nałożnicy.

Nazajutrz Aman ledwo trzymała się na nogach. Celtyllus udał się do swoich zajęć, podczas gdy obie kobiety w ten piękny jesienny dzień wyszły na podwórze, by zająć się reperacją odzieży przed zimą. Galvan został w domu pod opieką niewolnicy, bowiem ciężko byłoby Geillis skupić się na pracy, trzymając jednocześnie niemowlę.

Wszystko wskazywało na to, że Galvan będzie pięknym dzieckiem. Po obojgu rodzicach miał odziedziczyć jasne włosy, jakkolwiek włosy Celtyllusa były ciemnoblond, regularnie farbował je sobie za pomocą krowiego moczu. Brązową barwę

uzyskiwano dzięki orzechom, a rudą po zmieszaniu w odpowiednich proporcjach obu składników. Ale włosy Geillis miały piękny złocisty odcień, a jej oczy były przejrzyste błękitne jak jesiennie niebo nad domostwem.

Była do tego szczupła, a po urodzeniu dziecka szybko wracała do formy. Co prawda, biodra jej się zaokrągliły, a piersi zwieszały się w dół pod ciężarem mleka, ale to miało się niebawem zmienić. Była też wysoka, a chód miała sprężysty, jak każda młoda dziewczyna.

Aman stanowiła jej przeciwieństwo. Ciemne długie włosy, splecione w warkocz, opadały jej na plecy, miała smagłą cerę po swoich helleńskich przodkach, a czarne bystre oczy spoglądały trzeźwo na świat. Była mocniej zbudowana niż Geillis, nadawała się z pewnością do rodzenia synów, ale też była wysoka, a wszystkie proporcje miała odpowiednie.

Geillis zwróciła uwagę, że Aman jest zręczna w swojej robocie. Naprawiały właśnie zimowe opony, tej roboty nie zlecały niewolnicom, jako że one i tak miały dość zajęć. Mężczyźni kręcący się po obejściu unikali wzroku Geillis, a ona nie próbowała nawet na nich patrzeć. Wiedziała, że nie wolno, dopóki nie zostanie rytualnie oczyszczona. Taki obyczaj panował od dawna, jeszcze w czasach, gdy plemiona celtyckie wędrowały przez połacie Europy, szukając miejsca, gdzie mogłyby osiąść. I Geillis wiedziała, że nic tego nie zmieni, nawet gdyby Rzymianie mieli przyjść tu i wprowadzić swoje obyczaje.

Promienie ciepłego jesiennego słońca padły na jej twarz. Geillis odrzuciła warkocz na plecy i przyjrzała się konkubinie Celtyllusa. Aman miała pogryzione, opuchnięte wargi, a siadając, krzywiła się z bólu.

- Jeśli cię to męczy, zostaw - odezwała się Geillis. - Poradzę sobie.

Aman podniosła na nią swoje ciemne oczy, przywodzące na myśl odległą Helladę, o której Geillis tylko słyszała. Czasem do Gergowii przyjeżdżali helleńscy kupcy, którzy przywozili egzotyczne towary, wonne olejki, korzenne przyprawy z dalekich Indii, tkaniny nieznane w kraju Arwernów. Geillis

bardzo lubiła targi, kiedy przyjeżdżali Grecy, znacznie bardziej, niż gdy przybywali tu rzymscy kupcy. Rzymianie byli ludźmi stanowczymi, tkwiła w nich z jednej strony jakaś dziwna surowość, z drugiej zaś obdarzeni byli ognistym temperamentem, co dawało niezwykle urozmaiconą mieszankę.

Ale Geillis bała się Rzymian. Ich apetyt na władzę był niepohamowany.

- Mój małżonek zmęczył cię w nocy? - domyśliła się Geillis.
- Wiem coś o tym. Potrafi wycisnąć z ciała resztki sił.

Aman spojrzała na nią podejrzliwie.

- Mówisz tak, jakbyś nie była zazdrosna o mnie - powiedziała wreszcie. - A przecież dobrze wiem, że jesteś mi niechętna.

Geillis roześmiała się.

- Dobrze byłoby mieć męża tylko dla siebie - stwierdziła. - Ale przy temperamencie Celtyllusa niechybnie opadłabym zupełnie z sił. Poza tym, kiedy będzie sypiał z tobą, ja będę miała pewność, że nie zajdę znowu w ciążę w ciągu najbliższych nocy. Naprawdę nie mam na to ochoty.

- Nie stosujecie żadnych ziół? - zdumiała się Aman.

- Nie, a ty?

Aman się uśmiechnęła.

- Byłam nałożnicą już raz. Gdybym nie piła wywaru z ziół, pewnie miałabym już dziecko. Dziwi mnie, że Celtyllus o tym nie wie.

- Celtyllus nie dba o takie sprawy, a mi nikt nigdy tego nie wyjaśnił.

Spojrzała na Aman uważnie i stwierdziła, że ta kobieta nie jest głupia. Nie mogła też być jej rywalką, zajmowała niższą pozycję. A co do nocy z Celtyllusem, to faktycznie potrafił on zamęczyć kobietę na śmierć. Często Geillis budziła się z okropnym tępym bólem w podbrzuszu i była pewna, że ma obite wszystkie kobiece narządy w środku. Celtyllus bowiem był wybitnie hojnie obdarzony przez naturę, ale to, co na krótszą metę dawało nieopisaną rozkosz, na dłuższą sprawiało potworny ból. A Celtyllus nie należał do mężczyzn, którzy zadowalają się jednym aktem w ciągu nocy. Często

kochał się z Geillis do rana, bez wytchnienia i ze zdumiewającą siłą.

- Twój syn jest bardzo pięknym dzieckiem - zauważyła Aman. - Pewnie zostanie kiedyś naczelnikiem.

Geillis wcale tego nie pragnęła, jakkolwiek wiedziała, że dla mężczyzn stanowi to olbrzymie wyróżnienie i zaszczyt. Ona wcale nie chciała, by jej malutki synek stał się kiedyś wielkim wodzem, zabijał ludzi i gnał na wojny. Plemiona celtyckie nigdy nie potrafiły żyć w zgodzie przez dłuższy okres, a Arwernowie byli nękami bezustannie przez Eduów z północy, którzy zamieszkiwali masyw między rzekami Liger i Maroną. Sprzymierzeńcami Arwernów byli Sekwanowie, ale prawdziwe niebezpieczeństwo polegało na tym, że Eduowie byli sprzymierzeńcami Rzymu, a to mogło się okazać groźne.

Tak więc Geillis wiedziała, że jej syn pewnego dnia stanie się wojownikiem, że nauczy się tego ponurego rzemiosła i pewnie stanie na czele wojsk, prowadząc je do jakiejś bitwy.

- Nie wiem - odparła zamyślona. - Celtyllus ma jeszcze jednego syna. Czasami chciałabym, żeby to on został naczelnikiem.

- Boisz się?

- A która matka nie boi się, że jej dziecko polegnie w bitwie? - zapytała Geillis. - Mężczyźni uważają, że śmierć na wojnie jest czymś chwalebnym, ale ja wcale tak nie myślę. Podczas ostatniej wojny z Germanami zza Renu zginęło wielu mężczyzn. I to wcale nie było chwalebne, kiedy reszta wracała bez rąk albo nóg i kiedy nieszczęsne kobiety wyły z rozpacz na wieść o poległych.

Aman patrzyła gdzieś daleko, zamyślona.

- Zawsze tak było i zawsze będzie, Geillis - szepnęła. - Moi przodkowie mieszkali w Massalii. Jak myślisz, czy to była wielka chwała, kiedy wkroczyli tam Rzymianie?

Geillis nie odpowiedziała. Bała się Rzymian, odczuwała przed nimi dziwny, nieuzasadniony lęk. Właściwie nie był on do końca bezpodstawny, zwłaszcza gdy obserwowała, jak ci dawni rolnicy znad Tybru zagarniali jedną prowincję za drugą, latynizowali wszystko dookoła, podbijali każdy naród, jaki

im stanął na drodze, nie przejmując się zgoła nikim ani niczym, wszystko włączali do swojej Republiki, a z pokonanymi rozprawiali się krwawo i bezwzględnie, burząc miasta i ciągnąc ludzi do niewoli. Geillis słyszała o Kartaginie i Koryncie, nie było to znowu tak dawno temu. Słyszała o Grecji i Macedonii, o walkach na Wschodzie z Partami, o Syrii, gdzie usiłowano narzucić rzymską władzę, o podbitej Hiszpanii i wojnach z Luzytanami, którzy nie chcieli się podporządkować. Wieści o tych wojennych zawieruchach docierały, rzecz jasna, do Gergowii, bo jakżeby inaczej.

Dlatego właśnie Geillis się bała. Wiedziała, że pewnego dnia Rzymianie wyciągną ręce po Galię, że będą chcieli ją zagarnąć dla siebie, i miała nadzieję, że nie nastąpi to za jej życia ani za życia jej syna.

Wiedziona jakimś instynktem wstała i weszła do izby, w której leżał Galvan. Dziecko nie spało, a że na dworze było ciepło, Geillis włożyła go do wiklinowego kosza wymoszczonego delikatnymi owczymi skórami, i wyniosła przed dom. Galvan mrużył swe błękitne oczka od intensywnego jesiennego słońca.

- Nie chcę, żebyś był wielkim wojownikiem - szepnęła matka. - Chcę, żebyś był zwykłym galijskim chłopcem, żebyś dorastał w wolnym kraju i zestarzał się jak każdy zwykły człowiek. Nie chcę, żebyś walczył z innymi narodami. Nie chcę, żebyś zginął gdzieś w rzymskiej niewoli!

W oczach Aman błysnęło coś, czego Geillis nie umiała pojąć. Nigdy potem o to nie pytała, zresztą zapomniała po niedługiej chwili. Ale Aman zapamiętała tamte słowa wypowiedziane przez niespokojną matkę i wiele lat później przypominała je sobie w zupełnie innych okolicznościach.

Ale tego dnia obie kobiety z uśmiechem pochylały się nad dzieckiem i do głowy by im nie przyszło traktować poważnie słów wypowiedzianych przez Geillis w chwili rozczulenia. Galvan, syn Celyllusa, był tylko niemowlęciem, wiele wody w rzece Elaver miało upłynąć, zanim wolno mu będzie oficjalnie chwycić broń do ręki. Tego dnia słowa były jedynie słowami, bez znaczenia.

- Gdy minie rok, będę chciała, by Celyllus przedłużył

z tobą umowę – powiedziała Geillis nieoczekiwanie. – Chyba że ty będziesz miała coś przeciwko temu.

Aman się zdumiała. Nie spodziewała się takich słów z ust tej dumnej dziewczyny, która powitała ją wczoraj niechętnym, zimnym wzrokiem.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparła. – Dla mnie to nawet lepiej.

Geillis podała jej rękę i Aman uścisnęła ją, jakby przypieczętowywała pakt. Dla niej taki układ był bardzo korzystny, podwoiłoby to jej zarobek. Nie wiedziała jeszcze, jak bardzo przywiąże się do rodziny Celtyllusa i że Geillis stanie się jej przyjaciółką na całe życie.

Tego jednak żadna z nich nie mogła wiedzieć tamtego dnia, gdy spokojnie reperowały zimowe ubrania Celtyllusa.

Święto Samain było dla Celtów najważniejszą uroczystością w roku. Oznaczało koniec lata i początek zimy, aczkolwiek przypadało na pełnię jesieni. W kalendarzu rzymskim był to pierwszy dzień miesiąca o nazwie *november*. Ten dzień był niebezpieczny, ponieważ stał otworem dla wszystkich zmarłych, którzy mogli wtedy przenikać do świata żyjących, tak samo jak żywi mogli na chwilę zajrzeć do świata duchów.

Było to święto ofiarowania pierwocin bóstwom piekielnym. Wszystko, co się urodziło jako pierwsze w czasie poprzedzającym święto albo i w samym dniu Samain, poświęcano bogom. W każdym razie wcześniej ofiary tego rodzaju praktykowane były w całej Celtyce, nie tylko w kraju Arvernów. Ale odkąd Rzymianie zaczęli panoszyć się w Narbonii i w swojej Prowincji, jak nazywali Galię Zaalpejską, Celtowie zaprzestali ofiar z ludzi, zastępując ich zwierzętami. Wpływy rzymskie stały się nazbyt widoczne na całym terytorium galijskim.

Poza świętem Samain także składano ofiary różnym bogom, aby ich sobie zjednać. Ofiara dla Teutatesa była topiona, zanurzano jej głowę w zbiorniku pełnym wody. Aby ubłagać Eusa, boga wojny, wieszano się ofiarę na drzewie i rozrywało na kawałki, Taranisa zaś zjednywano, paląc wiklinowe kukły, w których zamknięci byli ludzie. Jednak w ostatnich

dziesięcioleciach powoli odchodzono od ofiar z ludzi, co nie znaczy, że zupełnie ich zaniechano. Zdarzały się jeszcze tego typu praktyki, zwłaszcza po klęskach żywiołowych, ale coraz rzadziej, gdyż wraz z wpływami rzymskimi docierały ich hasła o poszanowaniu i nietykalności wolnego człowieka. Efekt miało to taki, że początkowo składano ofiary z niewolników, jednak obecnie coraz częściej od tego odchodzono i składano w ofierze raczej zwierzęta.

Tak czy owak święto Samain nadal było najważniejsze i największe ze wszystkich. W tym roku Geillis nie mogła się na nim pokazać, ponieważ nadal karmiła dziecko i była nieczysta, a mąż wciąż jeszcze nie sypiał z nią. Ona jednak bynajmniej nie była smutna z tego powodu, nie przejawiała też żadnych oznak przejęcia.

- Nie lubię tego święta - wyznała Aman, karmiąc Galvana rano. - Chociaż nigdy nie mogłam się do tego przyznać. Tobie jednak mogę zaufać, mam nadzieję. Nienawidzę, kiedy krew leje się strumieniami. Czym innym jest palenie pierwszych kłosów zboża, a czym innym uśmiercanie noworodków.

Aman pokiwała głową zamyślona. Samain było ważne, oznaczało początek nowego roku, a gdyby nie składano bogom ofiar, odwróciliby się oni od ludzi i zesłali nieurodzaj, chorobę albo śmierć. Z bóstwami piekielnymi nie należało żartować, jakkolwiek ona sama też nie przepadała za składaniem ofiar.

Aman bowiem miała w pamięci jedno Samain, gdy jej matka urodziła dziecko. Zdarzyło się to dzień przed świętem i matka Aman modliła się, by tak się nie stało. Aman miała wtedy pięć lat i doskonale wszystko pamiętała. Rozumiała wtedy już, skąd się wzięło dziecko i że to jej brat albo siostra. Ale widziała je potem tylko jeden jedyny raz, na ołtarzu ofiarnym w święto Samain.

- Pojutrze oddam Galvana mamce - powiedziała Geillis, odsuwając syna od piersi. - Jeszcze tylko tydzień i będę wolna. Będę mogła poruszać się wśród ludzi jak zwykły, nieskażony niczym człowiek.

Galvan miał już dwa miesiące i zapowiadał się na wspaniałe dziecko. Rósł jak na drożdżach, z dnia na dzień stawał się coraz

ładniejszy, był powodem do dumy dla Celtyllusa, no i dla Geillis, rzecz jasna. Aman także uwielbiała chłopca, rozpieszczała go, ilekroć Geillis poleciała się nim zająć. Kochała go jak własnego syna.

Ona sama podejrzewała, że jest brzemienna, ale na razie nie chciała tego nikomu mówić. Sypiała z Celtyllusem od dwóch miesięcy, noc w noc, i powoli miała tego dosyć. Rada była, że niebawem Geillis wróci do łask, czy może raczej przestanie być uważana za skażoną, i Celtyllus zajmie się nią. Aman nie kochała Celtyllusa, chociaż przyjemnie jej z nim było, a on sam zaliczał się do porządných ludzi.

Tyle tylko że miał wygórowane ambicje, pragnął zostać kimś więcej niż tylko naczelnikiem. Ale Aman była nim zmęczona, tym jego wiecznym nienasyceniem, jego niesamowitą zdolnością do regenerowania sił, a także jego olbrzymim członkiem, który zdawał się ją rozrywać na kawałki. Z początku to było wspaniałe, ale potem Aman miewała coraz większe trudności z siedzeniem czy normalnym chodzeniem.

Jak Geillis mogła to znosić? Ta szesnastoletnia dziewczyna!

W osadzie panował niepokój, krzątanina przed świętem i nastrój wyczekiwania. Tego wieczora kapłan miał złożyć ofiary, zanieść modły do bogów z prośbą o udany kolejny rok, o dobrą, łagodną zimę, o obfite zbiory latem, o pomyślność, szczęście na polowaniu i o pokój z innymi narodami celtyckimi. To był wielki dzień, ale obie kobiety wolały się trzymać razem i nie odstępować daleko od domu. Mogło się zdarzyć, że jakiś zmarły zabłąka się wśród żywych i nie będzie chciał odejść, że zaczepi je i zechce wciągnąć do zimnego świata zmarłych...

Dlatego szukały nawzajem swojego towarzystwa. Celtyllusa nie było w domu, miał obowiązki do wypełnienia podczas święta. Musiał zatroszczyć się o gości, którzy przybyli na Samain z innych miast i osad, dlatego swoje kobiety zostawił w domu. Służba i niewolnicy kręcili się między obejściami, czerwone i brązowe liście szeleściły na wietrze, jesień królowała w pełni.

Geillis wyszła na podwórze.

Drgnęła.

Przed domem stała Scatah, ta sama, która pomagała jej podczas porodu. Odziana była strojnio, a jej długie rude włosy spływały po ramionach i piersiach do pasa, harmonizując z liśćmi na drzewach. Scatah zwykle nosiła się inaczej, ale tego dnia wypadało być wystrojonym. W rękę trzymała kostur, chociaż była młoda, mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Jej fascynująca twarz wydała się dziwna Geillis, dziwna i przerażająca.

Imię Scatah pasowało do jej postaci.

Czarownica podeszła do sparaliżowanej ze strachu Geillis, uśmiechając się tajemniczo. A może to tylko Geillis miała takie wrażenie? Faktem było, że nie widywała tej dziwnej postaci zbyt często, bowiem Scatah jako wiedźma, a w dodatku wojowniczką, miała zgoła inne obowiązki. Podczas wojny zagrzewała żołnierzy do walki, sama także brała udział w bitwach. Wśród Celtów nie było to niczym niezwykłym. Pod obcisłą suknią kryła się wspaniała sylwetka i o tym Geillis doskonale wiedziała. Wystarczyło spojrzeć na tę kobietę, która prężnym krokiem zbliżała się do drzwi.

- Nie musisz się mnie bać, Geillis - odezwała się. - Idąc z mojej siedziby, musiałam po prostu przejść przez twoje domostwo, tędy jest najbliżej.

Geillis przełknęła ślinę. Zauważyła, że Aman także wyszła na próg i przypatrywała się obcej kobiecie swymi bystrymi oczami.

- Czy mogę obejrzeć twojego syna? - zapytała Scatah, nadal się uśmiechając. - Pomogłam mu wszak przyjść na świat, chciałabym go zobaczyć.

Geillis skinęła Aman głową i nałożnica czym prędzej poszła po dziecko. Rude włosy Scatah targał delikatny jesienny wiatr. Na widok niemowlęcia wiedźma uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Rośnie ci wspaniały syn, Geillis - powiedziała. - Będzie z niego wielki wojownik. Tak, sama go wyszkolę, ja i moja córka Uatah.

- Ale ja nie chcę, żeby on walczył! - wyrwało się Geillis, zanim zdążyła pomyśleć. - Nie chcę, żeby poszedł na wojnę

i zginął.

Zielone oczy Scatah skierowały się wprost na nią. Te oczy były niezwykle, jasnozielone i tak chłodne, że przywodziły na myśl seledynowy lód. Czarne źrenice odbijały się w nich w niezwykle sposób, czyniąc oczy czarownicy jeszcze bardziej przenikliwymi.

- Twój syn może się stać największym wojownikiem, jakiego Celtyka widziała kiedykolwiek - oznajmiła. - Ale widzę na jego drodze cień, bardzo potężny. Jeżeli Galvan poradzi sobie z tym cieniem, okryje się wielką sławą.

- A jeśli nie?

Scatah patrzyła jej długo w oczy.

- Każdy z nas ma swoją drogę i swój kres - powiedziała w zamyśleniu. - Nie wiem, jaka śmierć czeka twojego syna. Nie widzę tak daleko, nie znam drogi tego drugiego człowieka. Alpy zasłaniają mi widok.

Geillis i Aman spojrzały po sobie.

- Czyli ten cień, ten człowiek to Rzymianin? - zapytała Geillis przestraszona.

- Tak, to jeden z nich - przyznała Scatah. - Ale nie znam jego zamiarów, nie wiem, co chce uczynić. Ja tylko przeczuwam, a Galvan sam będzie szedł własną drogą i decydował o swoim losie. Pamiętaj, Geillis, każdy sam buduje swoją przyszłość i dokonuje wyboru.

Geillis aż za dobrze zrozumiała, co Scatah chciała jej przez to powiedzieć. Jeżeli Galvan pójdzie walczyć przeciwko temu Rzymianinowi, niechybnie zginie. Jeśli zostawi go w spokoju, będzie się cieszył długim życiem.

Zielone oczy Scatah wytręcały ją z równowagi.

Wiedźma skierowała swój wzrok na Aman. Na jej kształtne usta wypłynął nowy uśmiech, tym razem pozbawiony demonizmu.

- Tak, spodziewasz się dziecka Celtyllusa - uśmiechnęła się.
- Urodzisz mu syna, to pewne. Ale to będzie ostatni syn Celtyllusa.

Roześmiała się cicho, tajemniczo, po czym pozdrowiła obie kobiety i odeszła w stronę osady, gdzie tego wieczoru miały być

składane ofiary.

- Jak ja nienawidzę takich przepowiedni! - wybuchnęła Geillis, kiedy wiedźma zniknęła za zabudowaniami. - Taka mądra ja też potrafię być! Jeśli mądrze wybierze, to czeka go długie życie, dobre sobie!

Aman także nie wyglądała na zadowoloną.

- Ona musi wiedzieć, że człowiek nie do końca decyduje o swoim losie - mruknęła. - Los narzuca mu sposób postępowania.

- Jeśli ten jakiś Rzymianin faktycznie zechce bić się z Galvanem, to wcale nie jest powiedziane, że musi być lepszy od mojego syna.

Aman przyłożyła rękę do brzucha, wciąż jeszcze płaskiego.

- Co ona chciała powiedzieć przez to, że moje dziecko będzie ostatnim synem Celtyllusa? - zapytała.

- Nie wiem, może następna będzie córka? - wyraziła swój pogląd Geillis. - Że też ta kobieta wie takie rzeczy! Naprawdę jesteś brzemienna, Aman?

- Tak mi się wydaje.

- No tak - westchnęła Geillis. - To Celtyllus potrafi robić najlepiej! Płodzić dzieci!

Aman spojrzała na nią z rozbawieniem.

- To wcale nie takie przyjemne, jak się może wydawać - stwierdziła. - Tak naprawdę to okropny ból.

- Tak, wiem coś o tym - mruknęła Geillis. - On powinien mieć ze dwadzieścia kobiet na raz, bo jedna nie wytrzyma długo tego jego wielkiego, twardego...

Popatrzyła na Aman i obie wybuchnęły śmiechem. Ponury nastrój wywołany przez Scatah i jej przepowiednie powoli się oddalił. Geillis wzięła syna z objęć Aman i przytuliła do siebie.

- Brednie - oświadczyła zdecydowanie. - Ta przeklęta Scatah powinna siedzieć w swojej norze i tam snuć prorocstwa. Może by tak kiedyś przepowiedziała, że Rzymianie przestaną się wtrącać w nieswoje sprawy i szukać pretekstów do ekspansji dalszych podbojów!

Aman też była tego zdania, ale nie powiedziała nic, tylko wymownie zacisnęła usta. Ona też uważała, że ponure

wiadomości Scatah powinna raczej zostawić dla siebie.

Dwa dni po święcie Samain, kiedy rozpoczął się już dla Celtów nowy rok, Geillis przekazała swojego syna mamce. Nie równało się to jeszcze z adopcją, wciąż jeszcze Galvan pozostawał pod jej opieką i tak miało być do trzeciego lub czwartego roku życia. Potem dziecko należało oddać do obcej rodziny, by zacieśniać więzy międzyplemienne. Ale tego dnia Galvan miał ssać mleko innej kobiety, a Geillis w siedem dni po odstawieniu syna miała zostać rytualnie oczyszczona.

To zaś miało oznaczać, że będzie jak kiedyś pełnoprawną członkinią wspólnoty, a Celtyllus wróci do jej łóżka. Geillis w sekrecie poprosiła Aman o przygotowanie ziół, bo nie chciała mieć teraz więcej dzieci. Pragnęła swoją uwagę skoncentrować na Galvanie, dopóki ten nie zostanie oddany do adopcji, a ona sama będzie wtedy mogła zająć w kolejną ciążę.

Żał jej było rozstawać się z dzieckiem, nawet jeśli chodziło tylko o ssanie piersi. Geillis kochała synka tak bardzo, że nie chciała, by pił mleko innej kobiety. Niemniej rozumiała, że tak każe obyczaj i nie da się tego zmienić.

Mamka pochodziła z jej własnej klienteli czy może raczej z klienteli Celtyllusa. Miała na imię Ramona i niedawno urodziła swojego synka, wobec czego świetnie się nadawała na karmicielkę. Syn Ramony miał się stać bratem mlecznym Galvana, a to oznaczało więź na całe życie.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że Geillis poczuła ucisk zazdrości na widok Galvana w objęciach obcej kobiety, chociaż z Ramoną rozmawiała każdego dnia, wydawała jej polecenia i niejednokrotnie pomagała przy pracy. Ramona była starsza od Geillis, miała prawie trzydzieści lat, ale między innymi właśnie dlatego Geillis zdecydowała się na nią. Była pewna, że ta dojrzała kobieta, mająca już troje dzieci, zapewni jej synkowi odpowiednią opiekę.

Mimo to Geillis poczuła pustkę, kiedy nie musiała dźwigać niemowlęcia na własnych rękach. Przedtem zajmowała się nim sama albo na zmianę z Aman, ale teraz odpowiedzialność za dziecko spoczywała także na mamce. Gdyby Geillis nie spodobał się sposób, w jaki Galvan jest traktowany, mogła

kazać Celtyllusowi zabić mamkę.

Oczywiście Geillis nie zamierzała tego robić, to się nie mieściło w jej głowie. Choć w jej żyłach płynęła krew celtyckich wojowników, ona sama nie należała do ludzi lubujących się w rozlewie krwi, nie uważała też, że karanie śmiercią jest dobre. To powodowało, że ludzie bali się swoich panów i buntowali się przeciwko nim. Geillis niejedno słyszała o buntach uciskanych niewolników, tak w Rzymie, jak i w samej Galii.

Tydzień po przekazaniu Galvana Ramonie Geillis została rytualnie oczyszczona. Cieszyło ją to i nie jednocześnie. Z jednej strony bowiem mogła się teraz pokazywać wśród ludzi, jechać z Celtyllusem do Gergowii, uczestniczyć w zabawach i ucztach, z drugiej zaś bezpiecznie się czuła w domu, z ciepłym niemowlęciem u boku, kiedy jej świat zawężał się do własnego podwórza, a wszystkie sprawy innej wagi nie musiały jej obchodzić. Jako położnica, a potem kobieta skalana przez fakt karmienia piersią, Geillis czuła się otulona ciepłą mgiełką, bezpieczna i otoczona troską. Teraz musiała wracać do swoich obowiązków.

Stało się to dla niej nader oczywiste wieczorem, kiedy Celtyllus odesłał Aman do sąsiedniej izby, gdyż chciał spać z żoną tej nocy. Aman odetchnęła z ulgą, jako że mogła odpocząć od jego rozpasania, a poza tym bała się, że Celtyllus okaże się zbyt ciężki dla dziecka. Kiedy szła na spoczynek, wymieniły z Geillis rozbawione spojrzenia.

Ale Geillis spragniona była uścisku mężczyzny. Doszła już zupełnie do siebie po porodzie, chciała poczuć Celtyllusa w sobie, w całej jego olbrzymiej okazałości. Pragnęła doświadczyć tego cudownego oszołomienia, kiedy poruszał się w niej, gdy miażdżył jej wargi swoimi ustami, gdy ją brał mocno i brutalnie, tak że sprawiało jej to ból. I chciała mieć świadomość, że Celtyllus znowu należy do niej, tylko do niej i że jej pragnie, jakkolwiek zaprzyjaźniła się z Aman.

Tej nocy to Aman leżała na pościeli, nie mogąc zasnąć. Słyszała jęki Geillis, jej świszczący oddech, i uśmiechała się w ciemności. Ona sama miała tego na razie dosyć, ale

po oczach Geillis poznawała, że młoda małżonka jest za tym stęskniona. Aman słyszała szelest słomy i stukot, dyszenie Celtyllusa i prawie widziała jego twarz wykrzywającą się w rozkoszy, jego niemal zwierzęcą żądzę w oczach. Czują rozpychając ją nabrzmiałą męskość z pulsującymi żyłami, której nigdy nie potrafiła do końca objąć ustami, i niemal widziała napinające się w wysiłku mięśnie jego płaskiego brzucha i stalowych ramion.

Tak, Geillis z pewnością radośnie przyjmie małżonka tej nocy.

Aman odwróciła się do ściany. Pomyślała sobie, że ona też chciałaby kochać się kiedyś z własnym mężem, wiedząc, że jest jego prawnie poślubioną kobietą. Ale spodziewała się dziecka Celtyllusa i jej szanse na poślubienie kogoś zamożnego mały. Gdy urodzi syna, a Celtyllus go uzna, ona stanie się pełnoprawnym członkiem rodziny. Przez pierwsze miesiące po urodzeniu dziecka nie będzie jej wolno wychodzić do ludzi, potem zaś przez kilka lat będzie musiała się nim opiekować.

Jeżeli Aman pragnęła czegokolwiek, to tylko miłości i poczucia więzi, ale wiedziała, że rzadko który mężczyzna kieruje się uczuciem w wyborze małżonki. Raczej decydują o tym inne względy, a ona tak bardzo chciała kogoś kochać i by ktoś kochał ją.

Cóż, musiała się pogodzić z tym, że zostanie w rodzinie Celtyllusa.

Tyle że Aman nie posiadała tej wiedzy co Scatah i nie miała pojęcia, jak inaczej od przewidywań ułoży się jej życie. Nie wiedziała tego także Geillis, czekająca w objęciach Celtyllusa na kolejną dawkę miłości tej nocy.

Na posłaniu mamki spał zaś Galvan, jedyny legalny syn Celtyllusa, któremu Scatah przepowiadała już we wczesnym niemowlęctwie bardzo trudny wybór życiowej drogi. Ale Scatah nie miała wpływu na bieg wydarzeń, nie mogła też przewidzieć, co wydarzy się za wiele lat. Ona miewała tylko przeczucia i niejasne wizje.

Sny i wizje zaś nie mogą informować o odległych w czasie wydarzeniach.

II

Gobannicjon rozsiadł się wygodnie przy stole swego szwagra Celtyllusa i rozprostował obolałe nogi. Wraczał właśnie z Rzymu, gdzie udał się wraz z innymi Arwernami w interesach. Być może brzmiało to trochę dziwnie, ale Gobannicjon lubił jeździć do Rzymu. To miasto go porażało, fascynowało i budziło w nim strach. Za każdym razem, kiedy się tam wybierał, zastanawiał się, jak to możliwe, że jedno niewielkie plemię Latynów zdołało zbudować tak wspaniałe miasto, podbić wszystkie narody italskie i rozlewać się dalej po całym świecie.

Handlował z Rzymianami swoimi wspaniałymi wyrobami złotniczymi i nie tylko. Jego imię mówiło samo za siebie, oznaczało kowala wojny, i tak się składało, że oba człony były dopasowane do natury tego człowieka. Gobannicjon był bowiem rzemieślnikiem, wytwarzał z metali bardzo ładne ozdoby, które kobiety chętnie kupowały, a gdy zachodziła potrzeba, przeistaczał się w zręcznego wojownika.

Celtyllus rad był tej wizycie, bowiem chętnie dowiedziałyby się, jaka sytuacja panuje za Alpami. Gobannicjon wyjechał pół roku temu, ale też pewnie mnóstwo czasu zeszło mu w Prowincji Rzymian, którą oni nazywali Galia Togata albo Transalpina.

- Co tam słyhać w szerokim świecie, szwagrze? - zapytał, kiwając jednocześnie ręką na sługi, by napełniły puchar gościa piwem. - Co tam znowu ci Rzymianie knują?

Gobannicjon upił solidny łyk piwa i z hałasem odstawił naczynie na stół. Kątem oka obserwował Aman, nałożnicę Celtyllusa od trzech lat, która krzątała się po obejściu, a jej i Celtyllusa syn dreptał na swoich małych nóżkach i czepiał się

jej spódnicy. Miał na imię Brennus, na pamiątkę tamtego Brennusa, wielkiego wodza, który napadł ongiś na Rzym.

- Ano nic nie knują - odparł pogodnie. - Ich dyktator zmarł niedawno w swojej willi.

- Chcesz powiedzieć, że stary tyran nie żyje?

- Nie nazwałbym Sulli tyranem - powiedział Gobannicjon. - Ten człowiek miał takie same zapędy polityczne jak ty, Celtyllusie. Chciał zostać jedynowładcą.

Celtyllus wlepił wzrok w swego szwagra i potrząsnął zdumiony głową.

- A skąd ty możesz wiedzieć, co ja zamierzam? - zdumiał się.

- Większość ludzi to wie. W tak małej miejscowości jak ta niczego nie można ukryć na dłużej, Celtyllusie. Jak się miewa moja siostra?

- Doskonale - mruknął Celtyllus. - Mam ją zawołać?

Gobannicjon w rzeczy samej pragnął zobaczyć się z Geillis, toteż Celtyllus skinął na służbę, by zawołała jego żonę. Geillis nabrała zwyczaju wystawiania latem krosien przed dom, bo tam łatwiej i przyjemniej jej się przędło, a Celtyllus nie sprzeciwiał się temu. Geillis miała spokój przez kilka godzin dziennie, podczas gdy mały pędrak kręcił się przy niej wraz ze swoim przyrodnim bratem.

- Celtillognatos wraca niebawem do domu - powiedział od niechcenia. - Przyjedzie tu na uroczystość adopcji Galvana.

Gobannicjon zamyślił się. Tak, Galvan miał już trzy lata, należało go oddać innej rodzinie. Pomyślał, że sam chętnie by zabrał do siebie małego siostrzeńca i wychował na porządnego człowieka, ale Celtyllus nie zechce pewnie zacieśnić więzi rodzinnej jeszcze bardziej.

Usiłował przypomnieć sobie Celtillognatosa, syna, którego Celtyllus miał z Emer, swoją wieloletnią konkubiną. Był to cichy chłopiec, którego Gobannicjon widywał tylko podczas wizyt u Celtyllusa, bowiem nie wypadało, by ojciec pokazywał się publicznie z niedorośłym synem. Gobannicjon też oficjalnie nie pokazywał się w towarzystwie swojego syna, który miał już dziesięć lat. Nie przeszkadzało mu to jednak darzyć dziecka

silnym uczuciem.

Weszła Geillis i rozproszyła myśli Gobannicjona. Chociaż brat nie widział jej raptem pół roku, wydało mu się, że uległa zmianie. Ale nie, pozostała taka sama, jaką ją widział jesienią. Może tylko tyle, że z każdym miesiącem nabierała godności, jaka przystoi żonie naczelnika. Wysoka i smukła przywodziła na myśl topolę. Uśmiechnęła się szeroko na widok brata.

Za nią do izby wszedł Galvan, jej trzyletni synek. Było to urocze dziecko, podobne do matki jak dwie krople wody. Rzecz jasna, Galvan był też podobny do ojca, ale jako pierwsze rzucały się w oczy jego piękne blond włosy w kolorze piasku na plaży, opadające na niezwykle kształtną buzię. Chłopiec miał jasne, przejrzyste spojrzenie, a jego oczy zdawały się bardziej niebieskie niż niebo.

- Syn ci rośnie wspaniały, Celtyllusie! - wykrzyknął Gobannicjon zachwycony.

- On ma trzech wspaniałych synów, bracie - odezwała się Geillis. - Brennus też jest pięknym dzieckiem.

Jak na zawołanie Brennus, syn Aman, podszedł do Geillis i stanął obok Galvana. Był to ciemnowłosy i ciemnooki chłopiec, bardzo przypominający swoją matkę. Doprawdy, Celtyllus miał wszelkie powody, by być dumnym ze swoich synów.

Przez chwilę uwaga Gobannicjona skupiła się na dzieciach. Podczas gdy rozwodził się szeroko nad przyszłością obu chłopców i przepowiadał im losy wspaniałych wojowników, na twarzy Geillis pojawiał się grymas niezadowolenia.

- Och, przestań już, bracie! - wykrzyknęła. - Czy wy, mężczyźni, nie potraficie wymyślić innej przyszłości dla mojego syna niż tylko wojny i wojny?

Gobannicjon spojrzał na nią zdumiony, nie pojmując niczego, a Celtyllus roześmiał się hałaśliwie. Podszedł do Geillis i objął ją mocno ramieniem, wciąż się śmiejąc.

- Za to kobiety mają zwyczaj wpadania w panikę, kiedy tylko się wspomni o rozlewie krwi - powiedział. - No, no, Gobannicjone, muszę przyznać, że twoja siostra ma cięty język, chociaż nigdy się z tym nie obnosiła.

Gobannicjon siedział z Galvanem na kolanach, a mały bawił

się jego długim blond warkoczem i usiłował złapać zwisające w dół twarzy wąsy. Obaj mężczyźni śmiali się z zapalczywości Geillis, więc ona też się w końcu uśmiechnęła, ale wcale nie była zadowolona. Wymieniła spojrzenia z Aman i przekonała się, że nałożnica myśli podobnie.

- Dobrze, to teraz ty mi opowiedz, Celtyllusie, co słyhać tu, w Galii - poprosił. - Geillis, dolejesz nam piwa?

Celtyllus zasepił się. Jego gładkie czoło pokryły głębokie bruzdy.

- Nie jest dobrze, szwagrze - zaczął. - Właściwie coraz gorzej.

- Jak to? Nie masz chyba na myśli naszych najdroższych sąsiadów?

Tymi najdroższymi sąsiadami byli Eduowie. Zamieszkiwali ogromne połacie ziemi, sąsiadowali aż z Paryzjami, do których należało miasto Lutecja, byli zaś sprzymierzeńcami nie tylko Biturygów, ale także, o zgrozo, Rzymian.

Drugim potężnym ludem w Galii byli właśnie Arwernowie. Dążyli oni od dawna do hegemonii nad jak największą liczbą innych plemion celtyckich, pragnęli podporządkować sobie całą Galię. Celtyllus należał do tych wodzów, którzy bez mrugnięcia okiem zdecydowaliby się na rzeź tysięcy ludzi, by zawładnąć ich ziemią. Do tego Arwernowie mieli najlepiej wyszkolonych wojowników, dysponowali największą potęgą wojskową, no i ze względu na położenie geograficzne zaliczali się do jednego z najbogatszych narodów galijskich. Utrzymywali stosunki handlowe z Grekami, wyrabiali też złote monety, co nie wszystkim ludom Galii się udawało.

Eduowie mieli te same chęci w stosunku do Galii, toteż między plemionami nieustannie wybuchały spory.

- Właśnie ich mam na myśli - odparł ponuro Celtyllus.

Geillis siedziała z Galvanem na kolanach i przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Zdecydowanie nie podobało jej się to, co słyszała.

- Co radzisz, Celtyllusie? - chciał wiedzieć Gobannicjon.

- Myślę, że trzeba będzie zacząć rozmowy ze Swebami - odparł Celtyllus zamyślony.

- Ze Swebami?! - wykrzyknął Gobannicjon. - Z tym wariatem Ariowistem? Czyś ty na głowę upadł, szwagrze? Nie lepiej udać się do naszych sojuszników, Sekwanów?

Celtyllus masował sobie palcami skronie i okolice oczu. Gdy podniósł wzrok na szwagra, wydawał się dziesięć lat starszy. Wokół ust rysowały mu się głębokie zmarszczki.

- Sam już nie wiem, co robić - stwierdził. - Jeżeli udamy się do Sekwanów, to wojna pewna jak to, że słońce świeci. Jak pójdziemy z tym do Ariowista, to Eduowie podniosą alarm i polecą do Rzymian, to pewne. Do licha, można stracić rozum.

- Ariowist jest młody - zauważył Gobannicjon. - I porywczy. Jak mu damy pretekst, to zaraz ruszy na Eduów. Nie możemy sobie teraz na to pozwolić, zwłaszcza że ty masz konkretne plany.

- Cicho bądź! - burknął Celtyllus. - Nie mówi się głośno o takich sprawach.

Gobannicjon przeciągnął się na wiązce słomy. Nie podobały mu się słowa Celtyllusa ani tym bardziej fakt, że Eduowie znowu zaczęli sobie poczynać. Nie tak dawno oba plemiona toczyły krwawą wojnę, a skończyło się na tym, że Eduowie musieli ustąpić i zawrzeć pokój na warunkach Arwernów. Ale teraz, gdy sytuacja się uspokoiła, znowu podnosili głowy.

- Musimy czekać, Celtyllusie - powiedział z przekonaniem. - Może z ich strony to tylko demonstracja siły.

Celtyllus tylko prychnął w odpowiedzi. Rywalizacja między Eduami i Arwernami trwała od wielu lat. Arwernowie zaczęli umacniać swoją pozycję w Galii w czasach Hannibala, kiedy ten wielki kartagiński wódz werbował ich do swojej armii. Arwernowie rozciągali powoli swoje wpływy na południe, czyniąc swoich wasali lub sprzymierzeńców z kolejnych ludów: Helwiów, Kadurków, Gabalów, Rutenów i Nitiobrygów. Potem posunęli się jeszcze dalej, rozciągając swoją władzę nad (plemionami) Salluwiów, Wokoncjów i Allobrogów.

W tych czasach królowie Arwernów pławili się w bogactwach, a o ich rozrzutności pisali kronikarze greccy, zdumieni takim zachowaniem. I tak powstało podanie o hojności (lub głupocie) króla Luerna, który kazał zbudować

wielką zagrodę o boku długości dwóch kilometrów, a w środku ustawić kadzie wypełnione miodem oraz takie ilości jadła, że w ciągu wielu dni każdy, kto chciał, mógł z tego najeść się i napić. Tak oto poczynali sobie królowie arwernijscy w czasach największej potęgi.

Eduowie zaś zaczęli zazdrościć Arwernom bogactw. Zawarli wówczas przymierze z Rzymianami, wykorzystując sytuację zaistniałą po najazdach Cymbrów i Teutonów. Rzymianie wypowiedzieli wojnę Arwernom i ich sojusznikom, zwyciężyli ich i tym samym zlikwidowali królestwo. Arwernowie zostali pobici, wszakże niezwyknięci, ale część ich sojuszników została wcielona do utworzonej przez Rzymian Galii Narbońskiej. Eduowie byli silnym plemieniem dzięki sojuszowi z Rzymem, a Arwernowie usunięci zostali w cień.

To miało miejsce przed pięćdziesięciu laty. Od tamtej pory oba narody rywalizowały zaciekle. Arwernowie zdążyli odbudować swoją potęgę, planując zemstę za upokorzenie i zabicie królów. Obecnie plemię Arwernów znów urosło w siłę, ale Eduowie mieli o tyle przewagę, że wciąż pozostawali pod ochroną Rzymian.

A z Rzymianami nie było żartów. Celtyllus przejeżdżając kiedyś przez Prowincję, widział uzbrojony rzymski legion. Powiadano, że nie było lepszego wojska nad rzymskie, i Celtyllus widząc masę żołnierzy, musiał przyznać temu rację. Po reformach Mariusza i Sulli dotyczących wojska, stało się zdecydowanie skuteczniejsze. Miało być jeszcze lepiej, ale o tym Celtyllus nie wiedział.

Ariowist, młody przywódca plemienia germańskiego, Swebów, był zagorzałym wrogiem Eduów, gdyż miał chrapkę na ich tereny. Dla niego wojna między Arwernami i Eduami byłaby swoistym zaproszeniem do Galii, a wiadomo: *duobus litigantibus tertius gaudet*¹, wedle rzymskiego przysłowia. Toteż Celtyllus nie chciał się na razie zwracać ze swoim problemem do Ariowista.

Bał się tego porywczego człowieka.

Właściwie Gobannicjon miał rację, należało poczekać i być obojętnym na prowokacje Eduów. Oni byli silni, sojusz

z Rzymianami gwarantował im nietykalność. Gdyby Celtyllus zawołał na pomoc Germanów, wojna z Rzymem byłaby nieunikniona. A tego nie chciał.

Celtyllus śnił o czym innym. Pragnął władzy takiej, jaką miał król Bituit i Luern. A tego nie mógł osiągnąć podczas wyniszczającej wojny, dobrze o tym wiedział.

Spojrzał na swoich synów i zamyślił się. Jednemu z nich mógłby dzięki temu zapewnić godność królewską, drugi stałby się naczelnikiem. Ale to musiało się odbyć w czasach pokoju i dobrobytu, ewentualnie podczas wojny z mniejszymi plemionami, nie w starciach z Eduami. Celtyllus doskonale wiedział, że nie skończyłoby się dobrze.

- Rzymianie są teraz niezorganizowani - stwierdził Gobannicjon. - Gdybyś chciał przejmować władzę, to masz okazję. Oni toczą wojny na Wschodzie z Partami, chcą tam wysłać Pompejusza. Nękają ich piraci na Wielkim Morzu, uwikłani są w konflikty wewnętrzne. Sulla nie żyje, więc muszą na nowo wprowadzić ład i porządek do Republiki. Zastanów się nad tym, Celtyllusie.

- Sam mówiłeś przed chwilą, żeby zostawić Eduów w spokoju - zauważył Celtyllus.

- Owszem, ale wojna z Eduami to nie to samo, co przejmowanie władzy w kraju, czyż nie?

Celtyllus spojrzał na niego ze zdumieniem, ale nie powrócił więcej do tej sprawy. Wiedział, że Gobannicjonowi może ufać, byli związani pokrewieństwem. Ale Celtyllus wiedział, że musi się mieć na baczności, bo Celtowie nie chcieli króla.

A to były zamiary przeciwne do jego własnych.

Tydzień później przyjechał Celtillognatos, pierworodny Celtyllusa. Był to chłopiec dziesięcioletni, dobrze się zapowiadający, o inteligentnym wyrazie oczu. Było dokładnie tak, jak mówiła Geillis: Celtyllus miał wszelkie powody, by być dumnym ze swoich synów. Wraz z Celtillognatosem przybyła jego matka, Emer, ale Geillis nie odczuwała najmniejszych oznak zazdrości. Nie miała do tego powodu, Celtyllus był jej mężem, związek z Emer zaś należał do przeszłości.

Wszyscy zjechali się z okazji adopcji Galvana. Było

to święto jedyne w swoim rodzaju i dla rodziny niezwykle ważne. Następnym takim świętem miała być adopcja Brennusa w przyszłym roku, ale Celtyllusa i Geillis czekało jeszcze przyjęcie pod swój dach innego chłopca z arystokratycznej rodziny. Dziewczynki zawsze pozostawały w swoich domach.

Geillis z żalem spoglądała na nic nierozumiejącego synka. Biedny Galvan nie miał pojęcia, że zostanie oddany do innego domu. Geillis chętnie nie zgodziłaby się na to, ale nie miała wyboru. Wiedziała, że będzie mogła widywać go niemal codziennie, ale to nie było to samo, co mieć chłopca w domu. Już teraz boleśnie odczuwała tę różnicę, chociaż adopcja miała się odbyć dopiero za kilka dni. Na razie szykowano się do uczy, na którą mieli przyjechać możni ludzie z Gergowii.

Stamtąd miał przyjechać chłopiec oddany w adopcję Geillis i Celtyllusowi.

Aman też nie było zbyt wesoło. Galvan i Brennus byli braćmi, co prawda przyrodnimi, no i Brennus był o dziesięć miesięcy młodszy, ale to nie stanowiło żadnej różnicy. Aman była szczerze przywiązana do syna Geillis, traktowała go niemal jak własnego. W końcu zajmowała się nim, kiedy był niemowlęciem, tak samo jak Geillis pomagała jej przy Brennusie.

Dwaj malcy biegali radośnie po podwórzu, podczas gdy kobiety przygotowywały ucztę. Aman musiała się uśmiechnąć. Tak, łączyło ją z Geillis znacznie więcej niż trzy lata temu, kiedy przybyła do domu Celtyllusa. Nie dość, że mieszkały w tym samym domu i miały dzieci z tym samym mężczyzną, to jeszcze często sypiały z nim jednocześnie w tym samym łóżu. Celtyllus lubił niezmiernie tego rodzaju zabawy i brał do łóżka obie kobiety naraz. Początkowo wzdragały się przed tym, ale później przeszły nad tym faktem do porządku dziennego. Obecnie były dla siebie jak siostry.

No, może nie do końca.

Geillis otarła czoło, na którym pojawiły się wcześniej kropelki potu.

- No, prawie gotowe - powiedziała. - Mięsa mamy dość, żeby wykarmić na tej uczcie całą Gergowie.

Aman spojrzała na wielkie ruszty, na których pieczono mięso. Geillis właśnie skończyła nadziewać ostatnią sztukę i teraz należało przystroić wielką biesiadną salę, w której miała się odbyć uczta. Kadzie z piwem już czekały na wieczór i Geillis mówiła prawdę, że wszystko już niemal gotowe.

- Szkoda tylko tego pędra - stwierdziła Aman. - Możesz być pewna, że będzie mi go brakować.

- To tylko na kilka lat - pocieszała się Geillis. - Pewnie Celtyllus zechce teraz, żebym urodziła drugie dziecko. A Galvana odeślą zapewne do druidów na naukę.

Nie chciała myśleć o edukacji wojskowej, która była konieczna i bezwarunkowa.

- Mam nadzieję, że tym razem urodzę córkę - wymamrotała przez zaciśnięte zęby.

Aman tylko się uśmiechnęła.

Nazajutrz wieczorem odbyła się wielka uczta, którą wydawał Celtyllus. Był to jedyny raz, kiedy synowi wolno było pokazać się w towarzystwie ojca, moment przed adopcją, gdy ojciec publicznie przekazywał go pod opiekę innej rodziny. Potem chłopiec nie będzie miał żadnego kontaktu z Celtyllusem do momentu osiągnięcia pełnoletności.

Celtyllus siedział na honorowym miejscu i przysługiwał mu największy i najlepszy kawałek mięsa. Był pierwszym naczelnikiem w państwie, toteż miał prawo do najlepszych kąsków przy stole. Bywało i tak, że wielu mężczyzn uważało, że to im się należy pierwszeństwo i przy stołach dochodziło do bitwy o najlepszy kawałek. Tym razem obyło się bez bijatyki, ale Celtyllus już oczami wyobraźni widział, jak jego syn za dwadzieścia lub trzydzieści lat usiądzie na honorowym miejscu i zje najlepszy kawałek mięsa.

Przed ucztą do Celtyllusa zeszli się ludzie, prosząc go o rozmaite rzeczy, on zaś, zanim wypowiedzieli na głos swoje pragnienia, publicznie ogłosił, że je spełni. Uczty były u Celtów najlepszą okazją do przedstawiania swoich próśb naczelnikom, gdyż zobowiązani byli je wtedy spełnić. Teraz było podobnie i Celtyllus wysłuchiwał po kolei piętnastu petentów, każdego klepał po ramieniu i jeszcze raz obiecywał uczynić zadość ich

prośbom.

Mały Galvan siedział przy matce, która wciąż jeszcze sprawowała nad nim opiekę, i szeroko otwartymi oczami chłonął wszystko dookoła. Geillis ubrana była odświętnie, wprost ociekała złotem i srebrem, a jej piękne włosy opadały na ramiona. Celyllus kroił mięso srebrnym nożem wysadzonym drogimi kamieniami, specjalnie na tę okazję. Był to nóż dawnych królów, przeznaczony na wielkie uczy. Kiedy zaś wszyscy zasiedli już do jedzenia, gdzieś z mroku wyłonił się bard z kitarą i rozpoczął pieśń na cześć Celyllusa:

*W swojej siedzibie
Od dawna mnie hojnie obdarzał
Szczęściem, bogactwem.
Raczył mnie pitnym miodem.
Raczył mnie
Pitnym miodem swej chwały
I piękne ziemie
Oddał mi w obfitość.
Wielka obfitość
Darów i złota,
Złota i darów
Nieprzeliczonych.
Mnogimi dary
Spełnił moje pragnienia,
Spełnił pragnienia,
Aby mnie wynagrodzić.
On darzy bogactwem
Ludzi świata,
A świat prawdziwie
Cześć mu składa.
To z woli bogów
Z ich rozkazu
Jest mistrzem w boju,
Taki lęk budzą jego ciosy.
Duch bitwy,*

*Obrońca kraju,
Obrońca kraju,
Duch bitwy.
Zazwyczaj cię otacza
Zgiełk wojska,
Zgiełk wojska
I piwo płynące strumieniem.
Piwo dobre do picia,
Doskonałe siedziby
I piękne stroje,
Były mi dane.
Lud uprawnej równiny
Cały dzięki ci składa
I jednym głosem
Donośnym a cichym.
Pieśni twego barda
Są dla ciebie rozrywką,
Jesteś najlepszy z tych,
O czynach których słyszałem.
Ach, do chwili, gdy osłabnę ze starości,
Aż po srogi lęk zgonu
Nigdy nie zaznam radości,
Jeśli nie będę sławił Celtyllusa.*

Celtyllus wysłuchał pieśni z zadowolonym wyrazem twarzy. Nie pierwszy raz zdarzyło mu się wysłuchiwać panegiryku na swą cześć, ale zwykle pojawiały się wśród pieśni o innych wodzach. Tym razem jednak opiewano tylko jego i Celtyllus odczuwał dumę. Miał do tego stanowczo prawo.

Siedząc tak na honorowym miejscu, czuł niemal królewską władzę, której tak bardzo pragnął. Wiedział, że to nie będzie łatwe, ale jego wyobraźnia sięgała daleko. Celtyllus miałby wtedy nieograniczone możliwości i mógłby zebrać sojuszników, by poskromić tych przeklętych Eduów raz na zawsze.

Sala pełna gości huczała tuż pod jego stopami, jako że siedział na podeście. Wiele razy był na ucztach podczas adopcji

innych chłopców z arystokratycznych rodzin, a jako naczelnik i arystokrata siedział wtedy na podwyższeniu, ale tym razem cała uwaga gawiedzi skupiona była na nim jednym.

Geillis siedziała dalej, ale widział ją. Czuł, że kocha tę kobietę, że jest mu najdroższa na świecie, choćby z tego powodu, że urodziła mu legalnego syna, który kiedyś być może też zasiądzie na poczesnym miejscu podczas uczyty.

Piwo lało się strumieniami. Celtyllus czuł, jak coraz bardziej szumi mu w głowie, ale znalazł jeszcze na tyle sił, by wstać i wygłosić mowę, że oto przekazuje swego syna Galvana pod opiekę Rutena i jego żony Evar. Przemowę przyjęto brawami, po czym uczta nabrała charakteru mniej oficjalnego.

Gdzieś między przytomnością a oszołomieniem Celtyllus ujrzał Scatah siedzącą przy stole. Jej zielone oczy jarzyły się w blasku pochodni i lamp oliwnych, wynalazku Rzymian, a włosy zdawały się płonąć.

Nagle Celtyllus znalazł się na polu bitwy. Przed sobą widział wzniesienie chronione podwójnym pasmem obwarowań i miał świadomość, że są to umocnienia rzymskie otoczone przez wojska celtyckie.

„On zjednoczy całą Galię” – rozległ się szept w jego głowie. – „Wszyscy za nim pójdą. Będą o nim mówić Wielki Król Wojowników”.

Na wzgórzu znajdowała się forteca, a na jej palisadzie stał młody człowiek. Jego długie blond włosy targał wiatr, wyraz pięknie rzeźbionej twarzy świadczył o stanowczości i niezłomności charakteru.

„Alezja. Tam może dokonać wielkiego czynu”.

Celtyllus ujrzał armię rzymską dowodzoną przez mężczyznę o czarnych, bystrych oczach znamionujących inteligencję. Ów mężczyzna stał nieruchomo naprzeciwko obwarowań na szczycie i spoglądał na tamtego młodego wodza równie stanowczym wzrokiem.

Nagle wizja zniknęła. Celtyllus oszołomiony wpatrywał się w Scatah, która wciąż wbijała w niego przenikliwe spojrzenie zielonych oczu. Zupełnie jakby przywoływała tę wizję do jego mózgu, jakby chciała mu coś przez to powiedzieć.

Jasne było, że ten jasnowłosy wódz na umocnieniach to Galvan. Ten drugi był Rzymianinem, tyle Celtyllus zdołał dostrzec, a poza tym podczas wizji wiedza o pewnych rzeczach była mu niejako dana poza świadomością.

Scatah patrzyła na niego uważnie. Po chwili odwróciła wzrok i przeniosła na Galvana. Celtyllus powędrował za jej spojrzeniem i zadrżał. Nigdy nie przyznałby się, że boi się owej demonicznej kobiety. Ale teraz, kiedy spoglądał, jak ona patrzy na Galvana, ciarki przebiegły mu po plecach.

Jemu, Celtyllusowi, który niczego się nie bał!

Ktoś podsunął mu kielich z piwem. Celtyllus bez wahania zamoczył w nim usta. Reszta uczyły przebiegała dla niego pod znakiem pijaństwa, ale nazajutrz, gdy już doszedł do siebie, nie mógł uświadomić sobie, czy owa wizja naprawdę miała miejsce.

- Mama?

Galvan obudził się w obcym domu. Miał świadomość, że dom jest obcy, ponieważ unosił się w nim inny zapach. Nie spał tej nocy w ramionach matki ani w objęciach Aman. Przyzwyczajony był, że ktoś z nim śpi, na przykład służąca, kiedy matka i Aman spały równocześnie z ojcem.

Ale tutaj był sam w ciemnościach.

Ktoś szedł do niego, szeleściło siano. Trzylatek czuł się kompletnie zagubiony, przestraszony i niepewny. Po policzkach popłynęły mu łzy.

- Już dobrze - usłyszał czyjś głos i ciepłe ramiona zamknęły się wokół niego. - Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Ale Galvan uważał, że wcale nie jest dobrze. Dlaczego był tutaj, w tym obcym domu? Dlaczego nie ma matki i Aman? Nie ma Brennusa, tylko same dziewczyny.

- Chcę do mamy! - krzyknął.

- Mama nie może do ciebie przyjść - odparła Evar. - Teraz jesteś u nas.

- Ale ja chcę do mamy! - upierał się Galvan. - I do Brennusa!

- Brennus też niedługo tu przyjdzie - uspokajała go Imona. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Evar wzięła chłopca na ręce i wyniosła do dużej izby. Dwa

dni temu dokonała się adopcja, a teraz chłopiec miał mieszkać u niej i jej męża Rutena. Jej własny syn znajdował się u innej rodziny. W domu zostały tylko dziewczynki, dwu- i trzyletnia. Evar rozumiała, co czuje to dziecko, ponieważ kiedyś w jej domu także wychowywał się obcy chłopiec. Trzech obcych chłopców. Ona i jej siostry zostały przy rodzicach, podczas gdy bracia odeszli do innych rodzin.

Tak było zawsze.

- Jak zjesz śniadanie, to pójdziemy nad rzekę zrobić pranie - powiedziała. - Ty i twoje nowe siostry.

- To nie są moje siostry! - krzyknął Galvan.

Tak było naprawdę i Evar wiedziała, że żadna z jej córek nigdy nie zostanie uznana za jego siostrę. Jeśli zechce, będzie mógł ożenić się z którąś z nich. Spoglądała na tego chłopca i czuła narastający podziw. Tak ładnego dziecka jeszcze nie widziała.

- Dlaczego jestem u ciebie? - chciał wiedzieć Galvan.

- Bo my cię adoptowaliśmy - tłumaczyła Evar cierpliwie.

- A czemu nie mogłem być u mamy?

- Twoja mama niedługo nas odwiedzi - odparła Evar. - W przyszłym miesiącu przyjdzie tu jeszcze inny chłopiec, będziesz więc miał z kim się bawić.

Evar spodziewała się, naturalnie, buntu. Wszyscy się na początku buntowali, ale to był nieodłączny aspekt towarzyszący adopcji. Ruten, jej mąż, także wychowywał się w obcej rodzinie, do której został włączony, gdy miał cztery lata. Tak było od zawsze i nikt nie potrafił tego zmienić.

Galvan zjadł śniadanie i Evar umyła go na podwórzu. Wiedziała, że z biegiem czasu malec przywyknie do nowego domu. Byłaby rada, gdyby mieszkało u nich więcej chłopców, by Galvan nie czuł się taki samotny, ale z drugiej strony wiedziała, że tak może być mu łatwiej. Miał ją teraz tylko dla siebie.

W przyszłym miesiącu Ruten chciał przyjąć do rodziny syna swojego szwagra, a na wiosnę przyszłego roku Brennusa, drugiego syna Celtyllusa. Evar szykowałą się na obecność sporej gromadki dzieci. Na razie opieka nad nimi spoczywała

na niej, na służących i konkubinie Rutena. Potem odpowiedzialność za chłopców przejmą druidzi i inni mężczyźni, by na koniec odesłać ich do wiedźm - nauczycielek, które wtajemniczą ich w dorosłe życie. Evar wiedziała, że ona sama będzie już wtedy stara, a przynajmniej u progu starości. Teraz miała dwadzieścia cztery lata i urodziła już pięcioro dzieci.

- Kiedy pójdziemy do mamy? - marudził Galvan, gdy schodzili do rzeki.

Evar chciała zrobić pranie, a także namoczyć wełnę, którą przeznaczyła do tkania. Lato było w pełni, ale Evar nauczona doświadczeniem wiedziała, że o sprawy zimowe należy dbać w letnich miesiącach. Zimy w tym regionie były ciężkie i śnieżne, morze znajdowało się za górami, więc nie mogło łagodzić klimatu. Evar z tęsknotą myślała czasami o łagodnych zimach w Massalii, gdzie pojechała raz jeden w odwiedziny do krewnych. Tutaj nikogo nie było stać na luksus nieprzygotowywania się do zimy.

- Niebawem, mój drogi - odparła, chcąc uspokoić chłopca. - Pomożesz mi płukać wełnę?

Wiedziała, że musi go czymś zająć. Gdy szła nad rzekę z nim i małymi córkami, wręczyła Galvanowi kosz z wełną, by miał zajęte ręce i uwagę, i żeby nie myślał o matce. To był najlepszy sposób na odwrócenie jego myśli od drażliwego tematu.

Evar wiedziała też, że na razie nie wolno jej pokazywać chłopcu matki, by nie rozdrapać świeżo zadanych ran. To mogłoby się nie najlepiej skończyć, gdyż Galvan przypomniawszy sobie Geillis, stałby się w dwojnasób marudny.

Zajęcie Galvana na cały dzień okazało się trudnym przedsięwzięciem. Chłopiec co chwilę dopominał się o swoje i wreszcie Evar musiała zamknąć go w domu, bo chciał na własną rękę udać się do Geillis. Na szczęście dom Evar był oddalony dość znacznie od domostwa Celyllusa i chłopiec nie zdążyłby dotrzeć na miejsce, nie wspominając, że nie potrafiłby odnaleźć drogi.

Dla Galvana zaś wszystko było nowe i obce. Zapachy w tym

domu były inne niż w jego własnym. Służące nazywały się inaczej, a mężczyzna, do którego kazano zwracać mu się: ojczec, nie wyglądał jak Celtyllus. To, co pozostało niezmiennie, to dziwne odgłosy dochodzące z sypialni dorosłych, takie same, jak słyszane w domu. Leżał w ciemnościach i nie mógł pojąć, co oni tam robią, ale bał się wstać, żeby pójść zobaczyć.

W domu zawsze ktoś z nim leżał. Jeżeli matka spała z ojcem, przy Galvanie zostawała Aman i Brennus. Jeżeli obie tam spały, a to miało miejsce dość często, chłopcy pozostawali pod opieką sługi lub swojej mlecznej matki, Ramony, która tuliła ich do swojej obfitej, ciepłej piersi.

Ramona kojarzyła się Galvanowi z ciepłem i bezpieczeństwem. Pił jej mleko do ukończenia drugiego roku życia, nawet gdy miał już wszystkie zęby. Mamka tuliła go potem do snu, a od jej szerokiego łona biło ciepło. Właśnie w objęciach matki, Aman i mamki Galvan uczył się tego niesamowitego uczucia bezpieczeństwa, jakie daje kobieta. Na razie były to wrażenia małego dziecka, ale one miały dać podstawę do późniejszych odczuć i potrzeb. Galvan wdychał zapach kobiety, zapach mleka i delikatnej skóry i miał to zapamiętać na całe życie.

We wczesnym dzieciństwie dowiadywał się, że ręce kobiety stworzone są do pieszczot, że jej usta są do obsypywania pocałunkami, piersi do ssania i tulenia do nich głowy, a brzuch do zasypiania na nim. Te prawdy miał zapamiętać na zawsze i one kiedyś, za kilkanaście lat miały się w nim odezwać. W taki sposób chłopiec odbierał świat.

Tutaj jednak nikt z nim nie spał i Galvan czuł się pozostawiony samemu sobie. Przez pierwsze noce w samotności płakał bezsilnie, wkładał w usta kciuk i tak zasypiał. Zorientował się, że nikt nie przyjdzie do niego, by go utulić, więc nie wołał Evar, jak robił przez pierwsze dni.

A potem dołączył do niego inny chłopiec, który miał dzielić z nim sypialnię i poślanie z owczych skór. Zanim nadeszła jesień, Galvan był już w towarzystwie dwóch chłopców mniej więcej w jego wieku. Czuł się coraz mniej zagubiony i coraz bardziej zapominał Geillis, swoją prawdziwą matkę. Wiosną

w domu Evar pojawił się jego przyrodni brat Brennus, a to zmieniło sytuację diametralnie. Galvan poczuł się nareszcie jak w domu.

Evar też była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Lubiała Galvana i pozostałe dzieci, traktowała je jak swoich własnych synów, którzy znajdowali się już na naukach u druidów. Evar nie mogła się tam uczyć, ponieważ zdecydowała się wyjść za mąż i być matką, gdyby zaś wybrała los wojowniczkę, nie mogłaby mieć męża, co najwyżej mężczyznę, który spłodziłby z nią dziecko.

Ale Evar nie żałowała swojej decyzji i rada była, że ma w domu obu synów Celtyllusa, gdyż ten ostatni stawał się coraz potężniejszy i stale umacniał swoją pozycję. To oznaczało, że Ruten związał się z odpowiednim człowiekiem. Galvan zaś rósł i coraz wyraźniej widziała, że pewnego dnia stanie się kimś znaczącym jako syn Celtyllusa. To zaś było dla Evar i Rutena jeszcze bardziej obiecujące.

Wkrótce po Samain Evar odkryła, że spodziewa się dziecka. Odetchnęła z ulgą, gdy wyliczyła, że urodzi się ono w samym środku lata i nie będzie mowy o żadnym ofiarowaniu w przyszłe święto. W tym roku Ruten musiał złożyć bogom ofiarę z nowo narodzonego cielaka, a to oznaczało dużą stratę. Cóż jednak mógł zrobić, prawa boskie stały ponad prawami ludzkimi i Ruten nie miał wyboru.

Tyle tylko że ciąża utrudniała jej wiele spraw, a teraz miała na głowie opiekę nad sześciorgiem dzieci. Postanowiła, że przyszłej wiosny nie weźmie nikogo do adopcji, zresztą i tak nie mogłaby tego uczynić, jako że do jesieni miała pozostać w progach własnego domostwa jako nieczysta. Ruten sypiał teraz ze swoją nałożnicą, podczas gdy Evar spędzała noce w samotności.

Miała nadzieję, że urodzi dziewczynkę, bo z nią wiązało się mniej obowiązków w przyszłości.

W miarę jak nastawała zima, a po niej wiosna, Evar snuła się z coraz większym brzuchem. Dzieciom wyjaśniła, że w środku znajduje się dziecko i że ona je urodzi. W tym zakresie dzieci były dość dobrze poinformowane, widywały

przecież porody u zwierząt, gdyż niczego przed nimi nie tajono. Ruten nie był zbyt zadowolony z ciąży, ale nic nie mówił. Przez ostatnie pół roku sypiał z obiema kobietami na zmianę, więc w końcu musiało do tego dojść.

Któregoś gorącego letniego dnia Evar chwyciły bóle. Stało się to podczas pracy na podwórzu, Ruten znajdował się w polu, toteż Evar zajęły się kobiety. Wszystko odbywało się w największym pośpiechu. Podczas gdy konkubina Rutena pobięła po dzieci, służące przygotowywały Evar posłanie.

Ale nie wszystkich chłopców udało się znaleźć. Galvan i Brennus przepadli jak kamień w wodę i kobiety dały wreszcie spokój poszukiwaniom, sądząc, że malcy zaszyli się gdzieś w stodole albo spichrzu.

Tymczasem Galvan schował się pod stołem i patrzył w napięciu na wynik całego zamieszania. Widział krzątanicę, więc wlaź pod stół i tym samym uniknął stratowania. Miał doskonały widok na posłanie, na którym leżała Evar. Trzymał za rękę młodszego brata, który równie zaintrygowany siedział obok niego. Niebieskie oczy Galvana wpatrywały się w położnicę. Chłopiec po raz pierwszy miał być świadkiem narodzin człowieka.

Co prawda, nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

Evar krążyła po izbie, chwytając się rozmaitych sprzętów. Kobiety masowały jej plecy, a potem zdjęły z niej ubranie i oczom Galvana ukazał się niesamowity widok, który miał zapamiętać na całe życie. Ujrzał wielkie nabrzmiałe piersi z ogromnymi liliowymi sutkami, pokryte siatką sinych żył, a pod nimi okrągły brzuch z wystającym pępkiem. Niżej dostrzegł gęste ciemnoblonde włosy, które zakrywały dolny fragment ciała Evar.

Potem kobieta położyła się na plecach, ale zanim między jej nogami usiadła inna kobieta, Galvan ujrzał, że Evar jest zupełnie inaczej zbudowana niż on i Brennus. To go zafascynowało na dobrą chwilę, zanim spostrzegł, że wokół niego rozgrywa się prawdziwy dramat.

Kobiety krążyły po pomieszczeniu, jedna grzała wodę, inna ocierała twarz rodzącej. Evar wydawała z siebie jęki i stękała

przez zaciśnięte zęby, zupełnie jakby miała zaraz się załatwić. Ale nie zrobiła tego, tylko pochylała się do przodu i parła, aż na czole wystąpiła jej pulsująca tętnica. Czas mijał, a jęki Evar przechodziły z wolna w krzyk i zawodzenie.

Wreszcie spomiędzy jej nóg chlusnęła fontanna wody, a przejęte kobiety zaczęły przekrzykiwać się nawzajem, każąc Evar przeć. Coś się tam działo, Galvan widział to wyraźnie. W końcu Evar wydała z siebie przeraźliwy jęk, a kobieta, która siedziała przed nią, wyciągnęła dziecko i uniosła je wysoko w górę.

- Dziewczynka - zakomunikowała.

Noworodek wydawał z siebie dziwne dźwięki, które chyba były płaczem. Był obrzydliwy, pokryty krwią i jakąś ohydą mazią, a z brzucha wydobywał mu się paskudny niebieski flak. Potem ten cudaczny przewód odcięto nożem i przewiązano, a z wnętrza Evar wydobyto masę zakrwawionych tkanek.

Galvan zwymiotował na podłogę pod stołem. Zorientował się, że Brennusa nie ma, młodszy brat nie wytrzymał ohydy tego widowiska.

Evar nie miała pojęcia o obecności przybranego syna w izbie. Wyciągnęła ręce po dziewczynkę i z błogością westchnęła, kiedy położono jej córeczkę na brzuchu. Mała istota nieporadnie macała rączkami, usiłowała odwrócić głowę, ale to było dla niej niemożliwe.

Kobiety zawinęły łożysko w kawałek sukna i wyniosły na podwórze, by tam je zakopać. Nie uchodziło, by dawać psom miejsce wylęgu dziecka, nie należało też palić ludzkich wnętrzności, więc zakopywano je w ziemi.

Galvan wypęłznął ze swej kryjówki i zbliżył się do nagiej kobiety na posłaniu. Evar uśmiechnęła się do niego.

- To Gwynn - oznajmiła mu.

Galvan spojrział na dziecko, nie rozumiejąc. Słowo gwynn oznaczało coś jasnego, blond, złocistego, a ten mały potworek na brzuchu kobiety był czerwony i miał czarne pozlepiane włosy. Galvan wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął noworodka jednym palcem. Szybko cofnął dłoń.

- Będiesz się nią opiekował, Galvanie? - zapytała Evar

zartobliwym tonem.

Miała świadomość, że Galvan nie będzie się interesował takim małym stworzeniem ani nie zaopiekuje się nim, gdyż miał dopiero pięć lat.

Ale Galvan przestraszony kiwał głową w milczeniu. To przeżycie było dla niego czymś niezwykłym i wyjątkowym, nigdy nie miał zapomnieć narodzin Gwynn. Wiele lat później, w chwili śmierci, ten obraz pojawił mu się przed oczami jako ostatni, zanim jego wzrok nie skierował się ku nieskończoności. Jednak na wiele lat udało mu się wymazać makabryczne szczegóły ze swej świadomości i dopiero po długim czasie przypomniał sobie wszystko z całą jaskrawością.

- To moja siostra? - zapytał.

- Nie, ona nie jest twoją siostrą. Ale należy do twojej rodziny.

To było zbyt skomplikowane dla chłopca. Popatrzył na noworodka, szukającego nieporadnie piersi matki, po czym z obrzydzeniem się wykrzywił i uciekł na zewnątrz. Evar uśmiechnęła się i przystawiła dziecko do sutka, by napiło się pierwszy raz w życiu mleka.

Geillis z uśmiechem spoglądała na małą istotę wymachującą maleńkimi rączkami. Jak każda kobieta w osadzie, przyszła do świeżo upieczonej matki, by podziwiać dziecko. Jakkolwiek bowiem Evar po narodzinach córki uważana była za nieczystą i mężczyźni odcinali się od niej, to jednak kobiety mogły ją odwiedzać w sypialni i tylko tam. Naturalnie kobiety spoza rodziny, bo domownicy mogli wchodzić i wychodzić z jej izby.

- Naprawdę urocze dziecko, Evar - powiedziała. - Przypomina mi trochę Brennusa, syna Aman, zaraz po narodzinach.

Evar nadal była obolała, nie wstawała jeszcze z pośłania, chyba że to było absolutnie konieczne, i cieszyła się zasłużonym spokojem. Ruten zachodził do niej codziennie, a jego nałożnica przejęła część obowiązków domowych.

- A jak się miewa ten łobuz, mój syn? - chciała wiedzieć Geillis. - Odkąd urodziłam Celtyllusowi córkę, nie widziałam

w ogóle Galvana.

Nieco wcześniej, tuż po Samain Geillis wydała na świat dziewczynkę. Celtyllus i z tego się cieszył, bowiem obecnie w domu nie było jego własnych dzieci, tylko adoptowane. Dziewczynkę nazwano Asten. Miała już osiem miesięcy i Geillis mogła zostawić ją pod opieką służących.

- Galvan? - uśmiechnęła się Evar. - Twój syn doskonale się sprawuje. Muszę przyznać, że faktycznie wyrasta z niego ziółko, ale to normalne. Czy wiesz, że był obecny przy narodzinach Gwynn?

- Jak to? - zdumiała się Geillis.

Evar zachichotała. Opowiedziała Geillis, jak to jej syn schował się pod stół, kiedy ona rodziła, co wyszło na jaw dopiero po wszystkim. Geillis spoglądała na nią zdumiona, potem rozbawiona, a na koniec parsknęła śmiechem.

- Muszę o tym powiedzieć Celtyllusowi - stwierdziła. - Spodoba mu się, że chłopak jest odważny.

- Nazwałabym go raczej ciekawym - powiedziała Evar. - Poza tym wszędzie go pełno. On i Brennus to dwa dzikusy. Nigdy nie wiadomo, co nowego wymyślą ci dwaj.

Geillis zamyśliła się. Patrzyła gdzieś daleko, choć jej wzrok utkwiony był na ścianie domu Evar.

- Celtyllus opowiadał mi kiedyś o swojej wizji - zaczęła niepewnie. - Ujrzał wielkie pole bitewne i naszego syna na wałach. Scatah powiedziała mi też, że Galvan może być wielkim wojownikiem, że podążą za nim tłumy.

- To chyba dobrze, gdyby nim został? - zapytała Evar.

- Nie, to nie dobrze - odparła Geillis w zamyśleniu. - Za sławą i chwałą idzie nieszczęście i śmierć. Spójrz na wszystkich bohaterów helleńskich, na wielkich rzymskich wodzów... Dla nich nie zawsze sława wojenna oznaczała szczęście.

Evar patrzyła na Geillis ze zdumieniem. Nie rozumiała jej toku myślenia. Wszak to wielka chwała dla rodziny człowieka, którego wynosi się do rangi wielkiego wodza. Celtyllus należał do takich mężczyzn, a przecież z niego Geillis była dumna. Dlaczego w takim razie inaczej miałoby być z jej synem?

Evar sądziła, że wie, na czym polega ta drobna różnica, ale nie chciała nic mówić.

Nagle do izby wpadł niczym burza Galvan i stanął jak wryty. Patrzył niepewnie na obie kobiety, po czym z pewnym wahaniem podszedł bliżej. Geillis uśmiechnęła się do niego.

- Witaj, synu - odezwała się. - Dawno się nie widzieliśmy. Wiesz, nie mogłam tu przyjść, bo urodziłam dziecko i musiałam wyzdrowieć.

Galvan pokiwał głową.

- Evar też urodziła dziecko - powiedział.

- Wiem. Brakuje nam ciebie, Galvanie - dodała Geillis. - Mamy teraz dużo dzieci w domu, wiesz. Ale Aman też za tobą tęskni. I za Brennusem.

Galvan nic nie powiedział.

- Dobrze ci tutaj? - zapytała Geillis z troską.

- Tak, mam dużo braci - odparł Galvan pogodnie. - A ojciec powiedział, że niebawem udamy się na nauki do mędrców.

- Czy to nie za wcześnie, Evar? - zwróciła się Geillis do przybranej matki Galvana. - On ma dopiero pięć lat.

- Ruten nie chce oddawać chłopców wcześniej niż przyszłej jesieni. On też uważa, że teraz są za mali na naukę. Ale jak trochę podrosną, zaczną sobie przyswajać inne rzeczy.

Geillis wiedziała, o co tamtej chodzi.

Niedługo potem udała się do domu, a po drodze rozmyślała o swoim synu. To prawda, że Aman też tęskniła za chłopcami. Wprawdzie w domu roiło się od dzieci, ale Geillis chciałaby mieć własnego synka przy sobie. Ucieszyła się, widząc, że Galvan jest zdrowy, rośnie jak na drożdżach i najwyraźniej nic mu do szczęścia nie brakuje, ale jak zwykle podczas takich wizyt poczuła dotkliwe ukłucie żalu w sercu. Tęskniła za swoim dzieckiem, brakowało go jej.

Aman powitała ją serią pytań na temat córki i Evar, ale Geillis była zbyt zamyślona i udzielała niejasnych odpowiedzi.

- Widziałas Galvana, tak? - domyśliła się Aman. - Jak on się miewa?

- Evar mówi, że żadnemu niczego nie brakuje i są zadowoleni - odparła Geillis, wyrwana z zadumy. - Oczywiście

to dobrze. Ale niepokoi mnie, że Ruten chce ich posłać w przyszłym roku na naukę.

Aman odeszła od krosien i zbliżyła się do Geillis.

- Celtyllus i jego nedorzeczne pijackie brednie - mruknęła pod nosem. - To oczywiście on nagadał ci wtedy tych głupot? Że widzi pole bitwy i Galvana na szanćcach? A ty za każdym razem, kiedy ktoś zwróci uwagę, że Galvan niebawem zacznie się uczyć, myślisz o tej durnej niby-przepowiedni Scatah. Nie możesz się tak zadręczać, Geillis. Pokaż mi choć jednego chłopca, który by się nie uczył wojennego rzemiosła. Wydaje mi się, że czasami przesadzasz.

- Być może - zgodziła się Geillis niechętnie. - Ale to silniejsze ode mnie. Myślę o moim synu i martwię się o niego dużo bardziej niż o Asten. O nią mogę być spokojna, wiem, że nic się jej nie stanie.

Aman uśmiechnęła się pod nosem na wzmiankę o córce Geillis. Lubiła tę małą dziewczynkę, karmiła ją własnym mlekiem, jako że spodziewała się dziecka i była już w mocno zaawansowanej ciąży. Tej zimy miała wprawdzie ochotę odejść od Celtyllusa i znaleźć sobie męża, ale gdy okazało się, że jest w ciąży, odstąpiła od swoich zamiarów. Celtyllus dawał jej poczucie bezpieczeństwa i więzi, jakkolwiek nadal nie była to miłość. Ale Aman czuła do niego swoiste oddanie i wiedziała, że dla tego mężczyzny skoczyłaby w ogień, gdyby jej kazano. Wiedziała też, że Geillis uczyniłaby to samo.

- Jesteś przewrażliwiona - kontynuowała Aman swój wywód. - A Celtyllus nie powinien wygadywać takich bzdur, kiedy jest pijany.

- On nie był już wtedy pijany.

- Ale opowiadał ci o rzekomej wizji - powiedziała Aman. - Ja bym na twoim miejscu nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

Geillis wzruszyła ramionami i poszła po swoją córeczkę. Ona i Aman karmiły małą na zmianę, co im znacznie ułatwiało opiekę nad dzieckiem. Kiedy Geillis była zajęta, a Asten zaczynała płakać, Aman po prostu dawała jej pierś i nie musiała odrywać Geillis od obowiązków.

Celtyllus cieszył się z córki. Było to jego czwarte dziecko,

Aman zaś oczekiwała piątego. Był dostatecznie usatysfakcjonowany i wiedział, że dzięki takiej liczbie dzieci będzie w przyszłości mógł zawierać korzystne sojusze. Czasami śmiał się, że wszędzie na świecie dobijano targów w taki sam sposób, przez łóżko i ożenek. I miał rację, gdyż w tym aspekcie takie same obyczaje panowały i w Galii, i w Rzymie, i wszędzie indziej.

Prawdę powiedziawszy, Geillis nie przejmowała się zbyt tym, co usłyszała kiedyś od Celtyllusa. Ona miała na tę sprawę swój własny pogląd i też uważała to za pijackie wynurzenia męża. Ale ilekroć słyszała o szkoleniu i nauce, dostawała gęsiej skórki. Być może był to efekt spotkania swego czasu ze Scatah i tamtej rozmowy dotyczącej przyszłości. Geillis nie lubiła wyroczni i przepowiedni, ponieważ uważała, że gdy człowiek usłyszy coś takiego, będzie podświadomie kierował wypadkami tak, by przepowiednia się spełniła. Nigdy też nie miała zaufania do wyroczni w Delfach, jakkolwiek sporo o niej słyszała. Ponoć ta wyrocznia nigdy się nie myliła.

- E, tam - mruknęła do siebie.

Postanowiła nie wracać więcej do tej sprawy.

Kilka tygodni później Aman wydała na świat dziewczynkę, której dano na imię Marona. Celtyllus chodził dumny jak paw, obdarował nałożnicę drogim złotym naszyjnikiem i niebywale się cieszył z dwóch dorodnych dziewczynek. Był niezwykle rozradowany i uważał, że szczęście dopisuje mu w życiu wybitnie.

Uznał też jednak co innego. Stwierdził, że najwyższy czas nastał, by zacząć sięgać po władzę w sposób bardziej zdecydowany. Celtyllus zawsze tego pragnął, a ponieważ jego pozycja w państwie stała się niebywale mocna, postanowił z tego skorzystać.

Z pewnością nie robiłby tego, gdyby przewidział, jakie będą konsekwencje, ale Celtyllus nie liczył się z ewentualnościami. I za to właśnie miał zapłacić srogą karę.

Ale jeszcze o tym nie wiedział.

I łac. Gdzie dwaj się kłóca, tam trzeci się cieszy.

III

Mała dziewczynka stała na nadbrzeżu w porcie w Ostii i spoglądała na statek, który właśnie kierował się do brzegu. Był to pasażerski statek z Grecji i wiózł tego dnia szczególny ładunek – jej ojca.

Dziewczynka miała na imię Julia, niedawno skończyła cztery lata. Jej piękne ciemne loki zapleciono w dwa warkocze i przewiązano wstążkami w kolorze tuniki. Ciemne oczy wypatrywały ze zniecierpliwieniem mężczyzny, o którym tyle słyszała, ale nigdy jeszcze nie miała okazji go zobaczyć.

– Mamo, a jak on mnie nie polubi? – zwróciła się do matki po raz chyba stutysięczny.

Kornelia uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Dlaczego twój ojciec miałby cię nie polubić, Julio? O czym ty mówisz! Ojciec pytał często o ciebie w listach, bardzo pragnął cię zobaczyć. Kiedy wyjechał, ty byłaś małym dzieckiem.

– To czemu wyjechał? – dopytywała się Julia.

– Bo musiał. – Kornelia nie miała ochoty rozmawiać na ten temat.

Wyjechał, żeby ratować życie. Oficjalnie w celu poszerzenia swego wykształcenia, ale tak naprawdę musiał jechać, żeby Sulla przypadkiem nie zmienił zdania co do niego. Mąż Kornelii miał możliwych opiekunów i to go uratowało. Na Wschodzie służył w wojsku pod wodzą Marka Minucjusza Termusa, co też nie wzbudzało niczyich podejrzeń. Wszak młody obywatel rzymski, jeśli chciał zrobić karierę, a w wypadku patrycjusza był to obowiązek wobec państwa, musiał rozpocząć od służby wojskowej.

Znacznie mniej podobały się Kornelii pogłoski, jakoby jej mąż służył za materac u króla Bitynii, Nikomedesa. Tak głosili jego wrogowie z partii optymatów, którym mąż Kornelii był cierniem w oku.

Ale teraz wracał do domu. Po czterech latach od wyjazdu.

Kornelia tęskniła za nim. Kochała go ogromnie i on też ją kochał, choć złośliwi twierdzili, że ożenił się z nią z powodów politycznych. Jej ojciec, Korneliusz Cynna, był wpływowym człowiekiem i ożenek z nią zapewniałby Cezarowi znaczne korzyści. Ale nie, z jego strony była to miłość i Kornelia o tym wiedziała.

Julia co chwilę tarmosiła matkę za suknię, która opadała Kornelii do stóp. Jej pyszne włosy koloru ciemnego złota związane były w ciężki węzeł na karku. Nie miała prawie ozdób poza złotymi kolczykami w uszach.

Statek znajdował się już na nadbrzeżu.

- A jak ojciec nie przyjedzie? - zapytała Julia.

Przez upiornie długą sekundę Kornelia myślała, że tak rzeczywiście może być. Ale już po chwili ujrzała swego męża, który schodził po trapie. Nie zmienił się ani trochę, jeżeli nie liczyć trochę szerszych ramion i dumnie podniesionej głowy. Czarne jak smoła włosy zwijały się w loki na jego głowie, a jasna zwykle cera nabrała koloru ciepłego jasnego brązu.

Podszedł do niej i przez chwilę na nią patrzył. Kornelia, wiedząc, że obserwują ich niewolnicy, wyciągnęła do niego rękę.

- Witaj, mężu - odezwała się zażenowana.

Ale Cezar nie dbał o konwenanse, zwłaszcza gdy chodziło o jego własną żonę. Wiedziony tęsknotą chwycił ją w ramiona i mocno do siebie przytulił. Kornelia objęła go za szyję, kątem oka widząc, że niewolnik uśmiecha się pod nosem. Potem jednak Cezar ją pocałował i Kornelia przestała się przejmować niewolnikiem. Poczowała, że kolana się pod nią uginają i dziękowała bogom, że mąż trzyma ją mocno w silnych ramionach, bo inaczej niechybnie by upadła.

- Kornelio, jak cudownie jest ciebie widzieć - powiedział, kiedy już się z nią przywitał. - Nie masz pojęcia, jak mi ciebie

brakowało.

Po czym ukucnął i przyjrzał się Julii. Była do niego podobna z tą lekko pociągłą twarzą o migotliwych czarnych oczach, okolonych długimi rzęsami. Dziewczynka patrzyła na niego wyczekująco.

- Więc to ty jesteś moją małą Julią, za którą tak strasznie tęskniłem - odezwał się. - Doprawdy, sporo urosłaś od czasu, kiedy cię widziałem po raz ostatni.

Przytulił dziecko do siebie, a ono nie protestowało, uradowane, że ojciec cieszy się ze spotkania. Julia nie знаła ani motywów, ani szczegółów nieobecności ojca, wiedziała tylko, że musiał opuścić kraj podczas wojny domowej. Zresztą ta wojna toczyła się od pięćdziesięciu lat z małymi przerwami, kiedy po władzę sięgał ktoś nowy. Teraz w stolicy i w Italii panował spokój, ale Rzym uwikłany był w długą i ciężką wojnę z Mitrydatesem, królem Pontu.

- Chodźmy do domu - zwrócił się do Kornelii.

Kornelia wydała odpowiednie polecenie niewolnikowi, który przywiózł ją do Ostii, i wszyscy wsiedli do powozu. Tego rodzaju pojazdy nie zdawały egzaminu na wąskich rzymskich uliczkach, ale Kornelia wiozła męża do swojej willi, którą otrzymała od ojca w prezencie ślubnym, a która leżała nieco dalej poza murami miejskimi. Po drodze uśmiechała się do siebie pod nosem.

Cezar siedział z Julią na kolanach i prowadził z nią półgłosem rozmowę, wobec czego Kornelia mogła przyjrzeć się swemu mężowi. Była mu wierna przez te cztery lata i miała ku temu powody. Gdyby zdradziła Cezara, a ktoś by mu o tym doniósł, jej dni mogły być policzone. Ale Kornelii do głowy nie przyszła zdrada, jakkolwiek wiedziała, że Cezar mógł miewać kobiety na Wschodzie.

Ale kto ich nie miewał?

Cezar miał nieco pociągłą twarz o wyrazistych rysach, a kości policzkowe odznaczały mu się mocno pod śniadą skórą. Jego prosty nos opadał nieznacznie ku dołowi, ale nie rzucało się to w oczy. Usta, niezbyt szerokie, proste, charakterystyczne dla ludzi stanowczych, rozciągały się często w szerokim

uśmiechu, ale nie były wąskie ani cienkie. Kiedy się uśmiechał, robiły mu się głębokie bruzdy w kąciakach oczu i ust. Oczy miał Cezar ciemne, niemal czarne, bystre, świadczące o ognistym temperamencie i inteligencji, spoglądające przenikliwie na ludzi. Brwi nadawały jego twarzy wyraz stanowczości, podobnie jak linia szczęk. Zęby miał duże, białe i mocne, przykuwające uwagę, kiedy się śmiał lub mówił. Czarne włosy starał się układać w modną fryzurę, ale najczęściej mu się to nie udawało, bowiem niesforne loki wymykały się na wszystkie strony.

Poza tym odznaczał się wspaniałym ciałem. Był wysoki, silny, pięknie zbudowany, niezwykle proporcjonalnie, znać po nim było, że uprawia sport i nie gardzi ruchem na świeżym powietrzu. Tak zresztą było, Cezar uprawiał ćwiczenia atletyczne, biegał, rzucał dyskiem, świetnie pływał i jeździł konno. Był też świetnym żołnierzem, ale o tym Kornelia nie wiedziała.

Miał też bardzo kształtne dłonie, szczupłe nadgarstki, smukłe kości przedramienia i długie szczupłe palce. Tymi dłońmi posługiwał się wprawnie każdym rodzajem broni, potrafił zadawać szybką śmierć. Ale służyły mu też do pieszczenia kobiet, w czym także miał dużą wprawę.

Julia była wprost zdumiewająco do niego podobna.

Cezar rzucił okiem na żonę i uśmiechnął się.

- Nic się nie zmieniłaś, Kornelio - stwierdził. - Jesteś wciąż tak samo piękna.

- Gajuszu, cicho! - zganiała go szeptem, ale była rada z komplementu. - Nie uchodzi tak przy ludziach.

- Nie interesuje mnie, co uchodzi, a co nie - oświadczył Cezar. - Jeżeli chcę powiedzieć mojej żonie, że jest piękna, to chyba nikt mi tego nie zabroni? Julio, zgodzisz się ze mną, że twoja matka jest najpiękniejszą kobietą w Rzymie?

Cezar uśmiechał się do córki i mrugał do niej. Kornelia patrząc na tę ich komitywę, nie mogła wyjść ze zdumienia, jak szybko ojciec pozyskał sympatię córki. Julia już była przez niego zawojowana, a to był przecież dopiero początek.

- Hej, niewolniku - zwrócił się Cezar do woźnicy. - Jak ci na

imię?

- Apolonios, panie - odparł niewolnik.

- Ładnie jak na niewolnika - zauważył Cezar. - Jesteś Grekiem?

- Tak, panie. Moja rodzina pochodziła z Koryntu.

Cesarowi przemknęło przez myśl, że Korynt został zdobyty i zburzony ponad siedemdziesiąt lat temu. Zatem rodzina tego Apoloniosa musiała przebywać w Rzymie od dawna.

- Czy uważasz, że moja żona jest najpiękniejszą kobietą w Rzymie? - zapytał Cezar, patrząc z rozbawieniem na zarumienioną ze wstydu Kornelię.

- Uważam tak, panie, jakkolwiek tym stwierdzeniem narażam się na chłostę - przyznał Apolonios.

Cezar wybuchnął śmiechem.

- No i widzisz sama - zwrócił się do żony. - Jeżeli niewolnik ośmiela się tak mówić przy ludziach, to dlaczego ja bym nie miał? Mi nie grozi chłosta, chyba że z twoich rąk.

Kornelia spłonęła purpurą. Uważała, że to za dużo dobrego, ale w głębi ducha cieszyła się, że nadal podoba się Cesarowi. Nie zniosłaby, gdyby było inaczej.

- Mam dla ciebie podarunki ze Wschodu, Julio - zwrócił się Cezar do córki. - Całe mnóstwo prezentów.

Kornelia zdała sobie sprawę, że Cezar naprawdę tęsknił za nimi, a to sprawiło, że zapomniała o wstydzie i przytuliła się do niego. Cezar bez słowa objął ją ramieniem.

Willa Kornelii znajdowała się na przedmieściach, tak że miasto było doskonale widoczne z tarasu. Była to okazała budowla z kryptoportykiem, wiszącym ogrodem i mnóstwem okien wychodzących na ogród właściwy. Wznosiła się na podwyższeniu, dzięki czemu można było zainstalować kryptoportyk. Wewnątrz znajdował się olbrzymi perystyl, wokół którego rozplanowane były inne pomieszczenia. Część przeznaczona dla służby znajdowała się w części południowo-wschodniej. Portyk udekorowany był kolumnami. Za perystylem, w którym znajdowała się fontanna, ulokowane było atrium, a po obu jego stronach sypialnie i triklinum. Atrium miało charakter toskański, jego dach był nachylony

z czterech stron do środka. Za atrium znajdowało się tablinum, izba reprezentacyjna pana domu, rzadko używana z oczywistych powodów, a po obu jego stronach mieściły się kolejne sypialnie. Wszędzie, rzecz jasna, znajdowały się piękne dekoracje, a ściany były zdobione wedle panującej mody, tak że malowidła sprawiały wrażenie iluzji przestrzennej.

Cezar był tu przedtem tylko raz, przed ślubem, kiedy prosił Korneliusza Cynnę o rękę jego córki. Oczywiście Cynna udawał, że się wzbrania przed oddaniem swego skarbu takiemu dzieciuchowi, jak nazwał Cezara. Prawdą jednak było, że Cezar pełnił obowiązki pana domu od czternastego roku życia, kiedy to umarł jego ojciec. Pod władzą Cezara znajdowała się jego matka Aurelia i dwie siostry, Julia Starsza i Julia Młodsza.

Poza tym od momentu przywdziania togi męskiej Cezar stał się pełnoprawnym obywatelem rzymskim i został wciągnięty na listę senatorów. Dodatkowym atutem był fakt, że młody człowiek pełnił funkcję kapłana Jowisza (jakkolwiek genialnie się od niej wymigiwał), no i stał po stronie popularów, partii liberalnej, sympatyzującej z plebsem.

Tak więc Cezar nie czuł się w willi teścia jak u siebie w domu. Tym większe zaś było jego zdumienie, gdy w perystylu ujrzał swoją matkę Aurelię.

Aurelia, córka Lucjusza Aureliusza Kotty, była osobą dumną i niezależną. Chociaż *de iure* była pod władzą swego syna, *de facto* to ona sprawowała władzę nad nim, mimo iż Cezar był tak samo niezależny i dumny jak ona. Po śmierci męża została sama z trójką dzieci, ale jako kobieta nie miała w Rzymie zbyt wiele praw. Oficjalnie majątek przeszedł w ręce jej syna, nieletniego podówczas. Przez osiem lat musiała dawać sobie radę sama, mogła liczyć co najwyżej na swojego szwagra Mariusza, z którym zamężna była Julia, siostra jej męża.

Gdy dowiedziała się, że jej syn wraca ze Wschodu, natychmiast przyjechała do Kornelii. Była pełna podziwu dla tej dziewczyny, pozostawionej bez opieki z maleńkim dzieckiem, podczas gdy po mieście szalały bandy Sulli i mordowały bez zmużenia oka każdego, kto tylko się nawinął. Poza tym, jakby było mało, grasowały także bandy rozpuszczonych niewolników,

zbiegłych z domów proskrybowanych. Ten koszmar trwał aż do złożenia przez Sullę władzy, na rok przed jego śmiercią.

Cezar na widok matki stropił się nieco. Miał inne plany na wieczór niż pogawędka przy stole, a na to się właśnie zanosilo, o ile Aurelia nie wykazałaby się wyczuciem. Podczas jazdy powozem ręce świerzbiły Cezara, by dotknąć pod suknią uda Kornelii albo wsunąć ukradkiem dłoń za plecy i wodzić palcem po karku, aż zaczęłaby ciężko oddychać z podniecenia.

No, ale w wozie była Julia, więc tego rodzaju praktyki należało odłożyć na później.

- Matko, co ty tu robisz? - zapytał Cezar bardziej ze zdumieniem niż grzecznie.

Aurelia parsknęła śmiechem, a jej czarne, bystre oczy załśniły pod siwiejącą grzywką.

- Sądziłam, Gajuszu, że się bardziej ucieszysz na mój widok - oznajmiła. - W końcu nie widziałeś mnie przez cztery lata.

Cezar chrząknął pod nosem i ruszył na powitanie matki.

- Ależ ja się cieszę - rzekł szczerze. - Tylko wolałbym cię przywitać w twoim własnym domu, wypoczęty i umyty po podróży...

- I po tygodniu spędzonym tylko z żoną - uzupełniła Aurelia z tym samym ironicznym błyskiem w oku. - Chodź tu, niech cię uściskam!

Doprawdy, Aurelia nie zachowywała się, jak na matronę przystało. Była żywą kobietą, odziedziczyła urodę po południowoitalskich przodkach swojej matki, tak samo zresztą jak temperament. Miała oliwkową cerę, której nie rozjaśniała sobie sproszkowanym ołowiem, czarne lśniące włosy, których nie barwiła na blond wyciągiem z amoniaku, oraz oślepiająco białe zęby, które czyściła węglem drzewnym i solą. Cezar zawsze czuł się przy niej jak uczeń.

Kornelia chichotała, stojąc w progu perystylu. Lubiła swoją teściową i sympatia ta była odwzajemniona.

- Tak, tak, a teraz opowiadaj, jak ci minęła podróż - zarządziła Aurelia.

Cezar posłał żonie zropaczone spojrzenie.

- Matko, pozwól mi się chociaż wykapać! - poprosił. - Nie

myłem się chyba od roku! Własna żona nie zechce mnie w łóżu, jak dalek będę tak wygladał.

- Jak zwykle przesadzasz, Gajuszu - skwitowała matka. - Ale naturalnie, idź do łaźni, a Kornelia i ja zaradzimy ucztę powitalną.

Cezar wzniósł oczy do nieba.

- Dziwne, że tym greckim i bityńskim pięknościami nie szkodziło, że nie mył się od roku - usłyszał jeszcze niezbyt stosowną uwagę matki, kiedy opuszczał perystyl.

Kornelia posmutniała. Wszyscy słyszeli o rzekomych wyczynach Cezara na Wschodzie, ale Aurelia za każdym razem machała lekceważąco ręką i powtarzała, że to głupie wymysły przeciwników politycznych. W Rzymie, mawiała, tego rodzaju plotki powtarzają o każdym zdolnym człowieku, jaki się tylko nawinie.

Cezar skierował się do łaźni, gdzie niewolnicy przygotowali mu gorącą kąpiel. Z rozkoszą zanurzył się w parującym basenie i zamknął oczy. Lubił luksus i zbytek, ale potrafił się bez niego znakomicie obywać. Gdy był młodzieńcem, szkolił go lanista wynajęty przez ojca, który nie cackał się z chłopcem i bynajmniej mu tej nauki nie ułatwiał. Gdy na Wschodzie walczył pod Mityleną, sprzyjającą Mitrydatesowi, musiał się obchodzić bez bogactw i luksusu i robił to. Potrafił, jak kiedyś Hannibal, sypiać na gołej ziemi i jeść to samo obrzydliwe jedzenie, jakie dawano żołnierzom.

Pod Mityleną otrzymał wyróżnienie, corona civica, odznaczenie przyznawane za męstwo, gdyż uratował życie kilku obywatelom. System nagród był w wojsku rzymskim dość specyficzny, jako że za każde wyróżnienie w boju żołnierz mógł otrzymać inną nagrodę. Corona civica była odznaczeniem wyższym, wykonanym z liści dębowych i opatrzonym napisem Ob civem servatum - za uratowanie obywatela. Wyższe od tego było odznaczenie wieńcem z mirtu. Tak więc Cezar mógł być z siebie dumny.

I był.

Gorąca woda czyniła cuda z jego obolałymi, zeszywniałymi od zimna mięśniami. Cezar z lubością wyciągnął przed siebie

nogi w basenie i zapadł w drzemkę.

Ale nie trwało to długo, bowiem do łaźni przybiegła niczym nieskrępowana Julia i zatrzymała się w pewnej odległości od krawędzi basenu. Niewolnicy czuwający nad temperaturą wody i stojący dyskretnie z boku, oczekując na wezwanie pana, stłumili uśmiechy. Córka Kornelii była żywą dziewczynką, wszędzie jej było pełno, a wobec służby domowej i klienteli Cezara, która została pod opieką zarządcy, zachowywała się jak wobec dobrych wujaszków. Potrafiła okręcić sobie wokół palca nawet Serwiusza, surowego majordomusa, którego bała się trochę sama Kornelia.

Cezar otworzył jedno oko i spojrzał na swoją córkę. Przekręcił się tak, żeby mała nie dostrzegła pewnych elementów jego ciała, ale poza tym był całkowicie swobodny i nieskrępowany nagością.

- Babka pyta, jak długo jeszcze będziesz tu tkwił, ojciec - zakomunikowała czterolatka.

Cezar przyglądał się swojej córce bez słowa. Była ładnym dzieckiem z tymi dużymi czarnymi oczami, których kształt odziedziczyła po Kornelii, prostym, ładnie uformowanym nosem i pełnymi ustami, włosy były smoliście czarne i lśniące, a tęczęwka oczu zlewała się w całość ze źrenicami.

Mała italska księżniczka.

I nagle poczuł, że kocha to dziecko. Kiedy opuszczał dom przed czterema laty, Julia była noworodkiem, maleństwem, które mało go obchodziło w obliczu panującej zawieruchy. Naturalnie, troszczył się o jej bezpieczeństwo, ale nie przejmował się dzieckiem na tyle, by do niego czuć coś więcej niż bliżej nieokreślone uczucie ojcowskiej dumy.

Przez cztery lata jej nie widział, nie miał o niej najmniejszego pojęcia, chociaż Kornelia w listach pisała o jej rozwoju. Cezar ledwie zwracał na to uwagę. Ale w miarę upływu czasu i gdy statek z Grecji posuwał się dalej na zachód, coraz większą wagę przykładął Cezar do córki.

Najdziwniejsze było to, że Julia go lubiła. Była nim zachwycona, szczerze oczarowana i zaakceptowała go natychmiast bez najmniejszych problemów.

Cezar nie nawykł do obcowania z małymi dziewczynkami, jego świat był światem mężczyzn i pięknych kobiet, dzieci nie miały w nim miejsca. Ale to jedno dziecko rozpalało w jego sercu niezwykłą czułość, o jaką by się nie posądzał.

- Twoja babka to prawdziwa czarownica - stwierdził. - Tyranka. Często tu bywała podczas mojej nieobecności?

- Nie lubisz babki? - zdziwiła się Julia.

- Pewnie, że ją lubię - odparł Cezar. - Ale widzi mi się, że ty jesteś taką samą małą czarownicą jak ona. Powiedz no mi, łobuz z ciebie, co?

Służba tłumiła chichoty po kątach. Cezar obrzucił ich spojrzeniem z ukosa, ale w jego czarnych oczach nie było surowości.

- Matka twierdzi, że jestem nieznośna - przyznała Julia szczerze. - I Serwiusz też tak mówi, ale on jest duży i ja się go trochę boję.

Nagle bez zapowiedzi rzuciła się ojcu na mokrą szyję i objęła go nad podziw mocno swoimi małymi rączkami. Cezar przez chwilę nie wiedział, co robić, ale zaraz odwzajemnił uścisk, czując dziwne drapanie w gardle, kiedy trzymał pod swoimi dłońmi drobne ciało córki.

- Ale ja już będę grzeczna - zapiszczała Julia w jego objęciach. - Żebyś ode mnie nie odjechał, ojcie. Serwiusz powiedział, że ty mnie nie lubisz i dlatego pojechałeś na Wschód.

Cezar zacisnął szczęki.

- Bzdura! - oznajmił zdecydowanie. - Niech ja dorwę tego Serwiusza! Dostanie za swoje! Pojechałem na Wschód, Julio, żeby cię chronić. W Rzymie trwała wojna, gdybym nie pojechał, źli ludzie wyrządziliby nam krzywdę. Chcę, żebyś wiedziała, że cię bardzo kocham. Jak mógłbym nie kochać mojej małej córeczki?

Odsunął ją od siebie na odległość ramienia.

- A teraz biegnij do babki i powiedz jej, że zaraz przyjdę na obiad.

Julia pobiegła ile sił w krótkich nóżkach, a Cezar osunął się znowu do gorącej wody.

- Widać, że brakowało im tu mężczyzny - mruknął sam do siebie. - No to trzeba się wziąć do roboty.

Po czym zanurzył się w basenie wraz z głową, jakby chciał się odciąć od czekającej go przyszłości.

W obiedzie brały udział cztery osoby, gdyż oprócz Cezara, jego matki i żony przy stole siedziała także jego siostra, Julia Starsza. Cezar pojęcia nie miał, jakim cudem siostra znalazła się w jego posiadłości, ale nie dbał o to. Teraz już wybitnie zapowiadał się długi, nużący wieczór. Nużący dla niego, który miał ogromną ochotę spędzić ten dzień tylko z Kornelią, powetować sobie stratę czterech lat.

W zasadzie Cezar był rodzinnym człowiekiem, ale w tej chwili z całej rodziny interesowała go najbardziej żona i nic nie potrafił na to poradzić. Leżał więc na swojej sofie przy stole i jadł mięso i owoce, popijając falernum.

- Mogłam zaprosić jeszcze twoich przyjaciół, Gajuszu, ale uważałam, że ten dzień najchętniej spędzisz z nami - stwierdziła Aurelia. - A poza tym chciałam z tobą pomówić o twoich planach na przyszłość.

- Jeszcze ich nie mam - odparł Cezar z ustami pełnymi winogron. - Ale jak jakies podejmę, nie omieszkam ci ich zdradzić, matko.

- Gajuszu, ja mówię poważnie.

- Ja też. Na razie chcę po prostu odpocząć. Tobie się wydaje, że kampania na Wschodzie i wojna z piratami z Cylicji to udane wakacje. Nie widziałem żony i córki od czterech lat, matko, dajże mi więc trochę odpocząć. Chociaż jeden przeklęty tydzień, a potem się zastanowię, co mam robić.

- Musisz iść do senatu, na przykład - zasugerowała Aurelia.

- Tak, ale nie dzisiaj - mruknął Cezar.

Kornelia i Julia Starsza taktownie milczały podczas tej wymiany zdań. Kornelia widziała, że Cezar jest zniecierpliwiony i ostatekiem sił stara się utrzymać w ryzach. Miała ochotę powiedzieć teściowej i szwagierce, żeby sobie poszły, ale nie mogła. Nawet jeśli otrzymała ten dom w posagu od ojca, to i tak Cezar był tu panem i wszystko prawnie należało do niego, każdy niewolnik. Ona zaś, podobnie jak matka, znajdowały się

pod jego władzę.

- Gajuszu, jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałabym poruszyć - odezwała się Aurelia. - Co to za okropne plotki z tym królem Bitynii?

Cezar z hałasem odstawił kielich z winem. Kości jego szczęk wyrzuciły się pod skórą, a oczy zwęziły na moment, ale po chwili jego twarz odzyskała zwykły wyraz.

- Nie sądziłem, że dasz temu wiarę - odparł urażony. - Nie spałem z Nikomedesem, jeśli to masz na myśli. Zresztą nie wiem, co miałaś na myśli. Kto wymyśla podobne brednie?

- Różni ludzie - odparła wymijająco matka.

- Różni? A może optymaci? Ci kretyni nigdy się nie nauczą walczyć uczciwie, tylko oczerniają człowieka na wszelkie możliwe sposoby - złościł się Cezar. - Sami spółkują jeden z drugim i nie wiadomo co robią, ale zgrywając oczerniają innych i udają wielkie niewiniątka. Wyobraź sobie, matko, że puściłem te uwagi mimo uszu, bo nie obchodzi mnie, co o mnie gadają, ale boli mnie to, że ty masz mnie za jakąś męską...

- Nie kończ! - przerwała mu Aurelia, wiedząc, na co się zanosí. - Za nikogo takiego cię nie uważam, chciałam tylko poznać twoją wersję.

Cezar w duchu reagował złością na tego rodzaju pomówienia, ale publicznie udawał obojętność, bo wiedział, że w ten sposób najlepiej osłoni się przed atakami. Oficjalnie niczego nie potwierdzał ani nie dementował plotek. Wiedział swoje: nie sypiał z mężczyznami. Złościło go zaś, że wobec takich pomówień był całkowicie bezbronny i nie mógł na nie odpowiedzieć. Co miał niby robić, udać się do Nikomedesa i zażądać na piśmie oświadczenia, że nie uprawiali seksu?

To by go jeszcze bardziej ośmieszyło, nie wspominając, że sam pomysł był idiotyczny i niedorzeczny.

- Co słyhać w twojej rodzinie, Julio? - zwrócił się Cezar do siostry.

Julia była żoną Marka Attiusza Balbusa, wydano ją za mąż pod nieobecność Cezara, ale napisano do niego list z prośbą o pozwolenie na ślub. Starszy brat pełnił wobec siostry rolę taką samą jak ongiś ojciec. Druga siostra Cezara, Julia Młodsza,

zmarła podczas wojny domowej z powodu tej samej choroby, z której on się cudem wyleczył.

- Spodziewam się dziecka, Gajuszu - odparła. - Urodzę je na Saturnalia.

- To wspaniale - przyznał Cezar. - A gdzie się podziewa twój mąż? Pozwolił ci przyjechać tutaj?

- Marek nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie - odparła Julia. - Wychodząc za niego za mąż, nie przeszłam pod jego władzę. Nadal należę do twojego domu.

- A to dlaczego? - zdziwił się brat. - Nie ufasz Balbusowi?

- Były trudne czasy - odparła Julia, patrząc bratu prosto w oczy. - Wiesz, co mam na myśli.

Cezar cofnął się myślami w przeszłość, do ich dzieciństwa. Siostry miały nad nim tę przewagę, że jako młodsze trzymały się razem. Był ulubieńcem matki, obie Julie zaś córeczkami tatusia, jakkolwiek ojca często nie było w domu. Cezar zmuszony był się nimi opiekować, kiedy ojciec wyjeżdżał w ważnych sprawach, one zaś dosłownie włożyły mu na głowę i panoszyły się niezmiernie. Starszy brat pozwalał na to, utrwalając dziewczęta w przekonaniu, że to one nad nim panują, podczas gdy w rzeczywistości wszystko kontrolował.

- Długo zamierzasz tu gościć? - zapytał Cezar po chwili.

- Jutro rano wracam do miasta - odparła Julia. - I zabieram matkę - dodała z figlarnym błyskiem w oku.

Cezar miał ochotę dać jej kuksańca w bok.

Reszta posiłku upłynęła na monologu Aurelii, która informowała syna o stanie gospodarstwa i o stanie ich domu w Rzymie. Po śmierci męża Aurelia sprzedała posiadłość na wsi i przeniosła się do stolicy, do dzielnicy patrycjuszy, gdzie swój dom miał jej małżonek. Oficjalnie i ten budynek znajdował się w posiadaniu Cezara i syn zajmował go aż do wyjazdu. Teraz Aurelia mieszkała w domu sama, jeśli nie liczyć służby.

Cezar słuchał tego wszystkiego jednym uchem, skupiony bardziej na swojej żonie i wizji wspólnej nocy niż na słowach matki. Nastawił uszu dopiero wtedy, gdy Aurelia napomknęła o niezbyt dobrym stanie kasy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jesteśmy zadłużeni? -

zapytał.

- Jeszcze nie, ale nie jest dobrze. Po dyktaturze Sulli wszystko się zmieniło. Ceny idą w górę, synu, życie w Rzymie staje się coraz droższe.

- A ustawy agrarne? Optymacy nadal blokują poprawki do ustaw?

- Owszem, senat spiera się o to nieustannie.

- A weterani Sulli?

- Panoszą się na ziemiach, z których wywłaszczono ich wcześniejszych właścicieli. Całe majątki idą w ruinę, a te kukły z senatu nie potrafią uchwalić ani jednej mądrej rzeczy. Nasz majątek udało się ocalić dzięki koneksjom twojego teścia, ale musisz się pogodzić z faktem, że już teraz żyjemy ponad stan, Gajuszu. A będzie jeszcze gorzej.

Cezar zapatrzył się w lampkę oliwną wiszącą nad stołem.

- Sulla był dobrym wodzem - powiedział powoli.

- Gajuszu, jak możesz tak mówić o kimś, kto zabił twojego wuja i teścia? - przeraziła się Aurelia.

- Sulla był dobrym wodzem, bo ich wszystkich pokonał - stwierdził spokojnie Cezar. - I potrafił trzymać w garści społeczeństwo. Ale był największym głupcem świata, że złożył władzę. Rozprężenie, jakie panuje, to wynik jego durnej polityki sprzed roku. Póki ich trzymał w kupie, optymatów i popularów, panował przynajmniej względny spokój, a teraz będą sobie skakać do oczu.

Cezar wstał i podszedł do okna, które wychodziło na kolumnowy portyk.

- Ale coś ci powiem, matko - dodał i spojrzał na Aurelię lśnjącymi oczami. - Te ich spory można wykorzystać. Tam, gdzie skłócone są dwie partie, jednostka może dojść do władzy.

- A tą jednostką zamierzasz być ty? - w głosie Aurelii zadźwięczał strach.

Cezar nie odpowiedział, tylko spoglądał na chybotliwy płomyk oliwnej lampki wiszącej u sufitu. Na jego ustach błąkał się uśmiezek, ale w oczach płonął wyraz stanowczości, jaki matka widywała u niego bardzo często, ilekroć coś postanowił.

Aurelia przymknęła oczy. Spodziewała się wszystkiego

najgorszego po tym wyrazie twarzy syna.

Kornelia leżała z zamkniętymi oczami i wyrazem błogości na twarzy. Jej skóra była wilgotna od potu, drobne kropelki w blasku świec lśniły jak diamenty. Oddychała ciężko, ale było to cudowne zmęczenie, tak bardzo zasłużone po latach samotności.

Cezar uniósł się na łokciu i patrzył na nią zachwyconym wzrokiem.

- W tym też się nie zmieniłaś - stwierdził. - Równie trudno cię nasycić jak dawniej.

Uśmiechał się do niej z czułością i Kornelia pomyślała, jak ogromnie jej brakowało jego bliskości. Przysunęła się do Cezara i wolną ręką zaczęła bawić się czarnymi włosami na jego piersi. Cezar się nie depilował jak większość elegantów w Rzymie i Grecji, gdyż uważał to za niemęskie. Z doświadczenia wiedział też, że większość kobiet pociąga, gdy mężczyzna wygląda jak mężczyzna, a nie jak dziewczyna. Kiedy delikatne palce Kornelii plątały się między włosami na jego skórze, Cezara ogarniało mimowolnie podniecenie, chociaż przed chwilą miał wrażenie, że zaraz skona z rozkoszy.

- Tęskniłam za tobą - wyznała. - Lata bez ciebie były okropne.

Cezar z zadowoleniem słuchał słów żony. On też za nią tęsknił, chociaż nie pogrążył się w czteroletnim celibacie. Jego męska natura była na to zbyt silna.

- Miałeś tam dużo kobiet, Gajuszu? - zapytała Kornelia po chwili.

- Dlaczego o to pytasz? Jeżeli ci odpowiem, że nie, to mi nie uwierzysz, a jak powiem, że owszem, będziesz obrażona.

- Chcę wiedzieć - oświadczyła Kornelia.

Uniosła się na łokciu nad jego twarzą, tak że jej piękne gęste włosy opadły mu na ramię, odsłaniając jej pełne, aksamitne piersi, zwieńczone różowymi sutkami. Kornelia była blondynką, jej włosy miały odcień pociemniałego złota, a cerę miała jasną jak mleko. Tam, gdzie egipskie i syryjskie niewolnice miały brązową skórę, Kornelia posiadała kuszące różowości, takie słodkie i pachnące, że Cezar nie był w stanie

nad sobą panować. Będąc przy niej, miał nieustannie ochotę ją całować, ssać, kąsać i pić nektar jej ciała. Uwielbiał w nią wchodzić i sycić zmysły jej ciasną głębią, patrzeć na jej twarz wykrzywianą spazmami i wiedzieć, że daje jej rozkosz. To sprawiało, że czuł się mężczyzną, podobnie jak świadomość, że potrafi ją obronić i zapewnić jej dostatnie życie.

- Po co chcesz wiedzieć takie rzeczy? - zaśmiał się Cezar. - Jesteś zazdrosna, Kornelio? O to bym cię nie posądzał.

- A jednak - przyznała. - Chcę cię mieć tylko dla siebie. Nie chce, żeby jakieś wschodnie hetery dotykały cię swoimi brudnymi paluchami.

Cezar parsknął śmiechem. Śmiał się dobrą chwilę, zanim był w stanie wykrztusić z siebie jakąś rozsądną odpowiedź.

- Dobrze, powiem ci - ustąpił wreszcie. - Nie miałem wielu kobiet. Prawie wcale, bo niemal bez przerwy toczyły się tam bitwy, mniejsze lub większe.

- Przez cztery lata? - nie mogła uwierzyć Kornelia. - No, ale mniejsza z tym. Były ładne?

- Nawet nie zwracałem uwagi - odparł Cezar. - Może dwie, może trzy, ale na Jupitera, po co ty mnie wypytujesz o takie rzeczy? Jesteś najbardziej niesamowitą kobietą, jaką znam, Kornelio. Żadnej innej do głowy by nie przyszło wypytować męża o jego kochanki podczas przymusowej rozłąki.

Kornelia usiadła, odsłaniając większą część swojego kuszącego ciała. Jedynym śladem po ciąży była nieznaczna blizna na brzuchu, świadectwo niegdysiejszych rozstępów w tym miejscu. Została jej pewna wypukłość, ale w pasie nadal była szczupła, miała talię osy, smukłe biodra, długie nogi, no i te wspaniałe piersi, które Cezar miał teraz naprzeciw oczu.

- Ja wiem, Gajuszu, że żaden mężczyzna nie wytrzymałby bez kobiety przez tak długi czas - powiedziała. - Nie mam do ciebie o to żalu, podobnie jak o to, że wyjechałeś. To było jedyne rozsądne wyjście z sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Wiem, że przede mną też miałeś kobietę. To normalne.

- Ale mimo to chodzi ci coś po głowie? - domyślił się Cezar.

- Nie spłodziłeś chyba z żadną z nich dziecka? - wyrzuciła z siebie Kornelia.

We wzroku Cezara pojawiło się rozbawienie.

- No wiesz! Nie jestem idiotą - odparł. - Nie mam ochoty mieć bandy bękartów z jakimiś wschodnimi dziwkami.

- I nie kochałeś żadnej z nich? - dopytywała się Kornelia. - Nie zamroczyły ci myśli?

Cezar wyciągnął rękę i pogłodził jej delikatny policzek. Nigdy nie kochał żadnej innej kobiety poza nią. Nawet tamtej niewolnicy, która go wprowadziła w arkana dorosłości, kiedy miał piętnaście lat. Ani swojej pierwszej narzeczonej, Kosucji, plebejuszki, z którą się zaręczył, by się wymigać od obowiązków flamina. Cezar bowiem już w wieku szesnastu lat miał o wiele poważniejsze plany życiowe niż tkwienie w mieście jako *flamen dialis*.

- Kornelio, ty i Julia macie jedną cechę wspólną - powiedział. - Domagacie się zdecydowanie zapewnień o mojej miłości. Z Julią musiałem dziś przejść przez podobną ceremonię i zapewnić ją, że jest moją ukochaną córeczką. Czy nie zapewniłem cię już dzisiaj, że jesteś moją ukochaną żoną?

Kornelia się uśmiechnęła.

- O, czyny to nie to samo co słowa, Gajuszu - odparła. - Kobiety lubią, kiedy się je zapewnia o takich sprawach ustnie.

- Ja mogę zapewnić cię ustnie - zaofiarował się Cezar z błyskiem w oku. - Czy nie wiesz, że Grecy stawiają czyny wyżej niż słowa?

Kornelia pogłodziła go po twarzy.

- Kochasz mnie, Gajuszu? - zapytała. - Po tak długiej rozłące? Jesteś w stanie mnie dalej kochać?

- Tęskniłem za tobą każdego dnia - odparł Cezar poważnie. - Bywały chwile, gdy pragnąłem rzucić wszystko i jechać do ciebie. Kocham cię, Kornelio, przecież wiesz o tym.

Kornelia, usatysfakcjonowana, uśmiechnęła się szeroko.

- Prawda, że Julia jest wspaniałym dzieckiem? - zagadnęła.

- Mhm - mruknął Cezar, zafascynowany jej krągłościami, które niemal dotykały jego twarzy.

- Jest taka zdolna i mądra! - kontynuowała Kornelia. - To niemal tragedia, że ona nie jest chłopcem. Mogłaby zrobić tu, w Rzymie, wspaniałą karierę. Gajuszu, ty mnie w ogóle

słuchasz?

- Tak jakby - odparł Cezar i chwycił ustami jej sutek niczym dojrzałe winogrono.

Ciałem Kornelii wstrząsnął dreszcz, który Cezar potraktował jako przyzwolenie do dalszego działania. Ssał jej brodawkę, która natychmiast ściągnęła się i stwardniała. Kornelia wydała z siebie cichy jęk i wygięła się tak, by miał lepszy dostęp. Cezar przekręcił się na bok i wolną ręką gładził jej skórę, zataczał kręgi wokół jej piersi, co w niej wyzwało lawinę doznań. Ciało Kornelii po czterech latach celibatu było niebywale wrażliwe.

- Nie przestawaj - szepnęła błagalnie, gdy na chwilę oderwał od niej usta.

Cezar uśmiechnął się z zadowoleniem i sięgnął do drugiej piersi, całując jednocześnie jej usta i czując, jak krew zaczyna w nim żywiej krążyć. Był młody, miał dwadzieścia dwa lata i na regenerację sił po akcie miłosnym nie potrzebował wiele czasu. Język Kornelii igrał w jego ustach, powodując, że dreszcze przebiegały mu skórę, a w lędźwiach wibrowało napięcie.

Powstrzymaj się, powtarzał sobie w myśli. Pozwól jej dojść do końca.

Zsunął się niżej po jej atlasowej skórze, która w blasku świec miała kolor dojrzałej brzoskwini i tak też pachniała. Rozchylił jej uda i wodził po ich wnętrzu palcami przez dobrą chwilę, aż okryły się gęsią skórką. Z ust Kornelii popłynęło płaczliwe zawrodo, które bynajmniej nie świadczyło, że jest jej źle. Była gładko wygolona, toteż widział wszystko wyraźnie, a ten widok gotowej kobiety podniecał go ponad wszelkie granice.

Kobieta na łożu wyginała się w łuk, nie mogąc zapanować nad ogarniającymi ją falami nieziemskiej przyjemności, kiedy Cezar lizał i ssał jej ukryty w fałdach skóry skarb. Czuł, jak ona nabrzmiewa i wilgotnieje, spijał jej gorące, słodkie soki, wsuwał w nią język i badał teren, chociaż go znał, kosztem swojej wytrzymałości zapewniał jej niebo na ziemi.

Wreszcie Kornelia wydała z siebie stłumiony krzyk, z jej wnętrza popłynęła istna rzeka, a ona sama miotła się

na posłaniu, ogarnięta spazmami. Z całych sił przyciskała głowę Cezara do siebie, wpijając palce w jego włosy. Gdy uniesienie opadło, na jej ustach pojawił się szeroki uśmiech szczęścia.

Cezar ujął jej dłoń i nakierował. Kornelia otworzyła oczy, radośnie zdumiona, że czeka ją ciąg dalszy. Jego męskość w jej dłoni była twarda i gorąca, Kornelia czuła aksamitną, delikatną skórę i pulsowanie. Patrząc swemu mężowi w oczy, pochyliła się nad nim i zaczęła wodzić językiem wzdłuż nabrzmiałego członka, wywołując natychmiastową reakcję w postaci gardłowego dźwięku, który mężczyzna wydał z siebie. Kornelia uśmiechnęła się zadowolona i zamknęła usta wokół gorącego organu, po czym zaczęła miarowo poruszać głową, włączając do tej procedury także swój język, którym nie przestawała go pieścić. Dłonie Cezara kurczowo zacisnęły się na prześcieradle, a potem chwyciły jej głowę i zanurzyły się we włosach. Czuł, że nie wytrzyma tego długo.

- Nie! - wykrzyknął i wysunął się z jej ust.

Odwrócił Kornelię tyłem, niemal wciskając jej twarz w poduszki, i wszedł w nią mocno, chwytając jej wąską talię oburącz. Wypięte różowe pośladki sprawiały, że mężczyźnie czerwone plamy latały przed oczami, a świadomość z trudem przebijała się przez opary podniecenia. Nie skończyć za szybko, nasycić kobietę, powtarzał jak obłąkany jakiś głos w jego mózgu, ale kiedy Cezar zorientował się, że ona zbliża się do celu, wszystkie tamy w jego ciele puściły. Głos Kornelii obwieszczający spełnienie tłumiała pościel, jej sutki kurczyły się gwałtownie, ale Cezar dalej napierał na nią, powodując, że po niecałej minucie szczytowała po raz drugi.

Wysunął się z niej, odwrócił ją na plecy i znowu się w nią wbił, poruszając się szybko i mocno i patrząc jej uparcie w oczy, aż osiągnął wreszcie ekstazę równocześnie z nią. Kornelia krzyczała głośno, czując równomierne gorące bryzgi wewnątrz siebie i gwałtowne, mocne skurcze orgazmu, trzeciego już przy tym zbliżeniu.

Cezar opadł bez sił na posłanie, nakrywając kobietę swoim ciałem. Przez dobrą chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje i uzmysłowił to sobie dopiero wtedy, gdy ujrzał wpatrzone

w siebie szeroko oczy Kornelii. Przysunął się do niej i oparł głowę na jej ramieniu. Jak mogło być mu dobrze z dala od niej, w tym barbarzyńskim kraju na Wschodzie? Żadne, nawet najlepiej wykwalifikowane greckie i egipskie hetery nie mogły równać się z jego żoną, a żadne z tamtych doznań nie było choćby zbliżone do tej burzy zmysłów, jaka go tutaj ogarniała.

- Chcę, żeby tak było zawsze - szepnęła Kornelia, gładząc jego kręcone włosy. - Nie opuszczaj mnie więcej, Gajuszu. Nie odjeżdżaj ode mnie.

Cezar milczał, wsłuchując się w rytm jej serca. Wiedział, że będzie musiał wyjechać prędzej czy później, jeśli chce zrobić karierę w tym kraju. Każdy urząd łączył się z wyjazdem.

Ale jeszcze nie teraz, myślał, wdychając zapach Kornelii i czując, jak w jego ciele siły zaczynają się odnawiać. Noc była długa, do świtu jeszcze daleko. Nie, teraz Cezar chciał być z nią, sycić się nią każdej nocy, zasypiać, obejmując ją ramionami, i budzić się przy jej nagim, rozgrzanym ciele. Chciał wsłuchiwać się w kanonadę jej okrzyków i błagalnych szeptów, spijać słodycz z jej ust i stapiać się z nią w jedność. Nie miał ochoty odrywać się od błogości i podniet domowego ogniska, nie teraz.

Oczy Kornelii spoglądały na niego wyzywająco w półmroku. Cezar nie protestował, kiedy zsunęła się niżej, tylko jego dłoń zacisnęła się kurczowo na prześcieradle.

Aurelia bystrym wzrokiem spoglądała na synową, która z uśmiechem na ustach podśpiewywała piosenkę, zasiadając do tkania. To było jedno z jej ulubionych zajęć, kiedy mogła tworzyć piękne, barwne kobierce, płaszcze i ciepłe suknie na zimę. A zimy w Rzymie były dokuczliwe, deszczowe i wietrzne - nie była to najprzyjemniejsza pora roku.

Julia na podwórzu bawiła się obręczą. Matka nie zabraniała jej zabaw z dziećmi niewolników, bowiem dziewczynka nie miała rodzeństwa, ale jednocześnie strzegła jej jak oka w głowie.

Cezara nie było, udał się na Forum i do senatu. W tej dziedzinie miał nie lada zaległości. Siostra Cezara, Julia, także wróciła do Rzymu, do swoich obowiązków. Aurelia miała zamiar

niedługo wyjechać do swojej miejskiej siedziby, ale chciała jeszcze trochę nacieszyć się synem, chociaż Cezar niechętnie wdawał się w rozmowy z nią. Tego ranka jednak był niebywale zadowolony, nucił pod nosem tak jak teraz Kornelia, a nawet uściskał matkę na powitanie.

Aurelia przewróciła oczami i skonstatowała, że małżeńska noc musiała być udana.

Właściwie Aurelia już dawno pogodziła się z faktem, że jej syn jest dorosły i wdaje się w relacje z kobietami. To było naturalne, tym bardziej że obdarzył ją cudowną wnuczką. Ale jednocześnie gdzieś w głębi ducha Aurelia czuła, że ten sam Cezar, który dumnie unosząc głowę, szedł na Forum, jest jej malutkim synkiem, Gajuszem, którego tuliła w ramionach i nuciła kołysanki do snu.

To zestawienie niekiedy wydawało się Aurelii szokujące.

- Jesteś zadowolona jak nigdy, Kornelio - zauważyła teściowa. - Mój syn spisał się chyba dobrze?

Kornelia siadając, skrzywiła się z bólem, ale zaraz na jej twarzy rozlał się błogi uśmiech.

- Chciałabym mieć drugie dziecko, matko - powiedziała. - Dać Gajuszowi męskiego potomka.

Aurelia westchnęła.

- Tak żałuję, że nie mieliśmy z Gajuszem Starszym więcej dzieci - stwierdziła. - Mogłam mieć jeszcze dzieci, kiedy on umarł. Jeżeli Gajusz nie będzie miał syna, ród wymrze.

Kornelia wiedziała, że ten fakt najbardziej dręczył matkę Cezara. Od dawna to powtarzała przy każdej okazji, gdy dowiedziała się o ruchu rzymskich wojsk na Wschodzie, gdzie walczył Cezar. Pod tym względem Aurelia nie różniła się od miliona innych matek i drżała ze strachu o swego jedyne syna.

- Boję się, że on coś knuje - odezwała się po chwili, spoglądając zza pleców Kornelii na tkaninę rozpiętą na krosnach. - Nie podobały mi się wczoraj te jego słowa o wybijającej się jednostce. Nie sądziłam, że kiedykolwiek zaświta mu w głowie myśl o zdobyciu władzy.

Kornelia zadrżała, jakby zrobiło jej się nagle zimno. Myślała

o swoim mężu w innych kategoriach. Kiedy się pobierali, oboje byli jeszcze dziećmi, mieli niewiele ponad szesnaście lat. Dla niej Cezar nie był ani żołnierzem, ani politykiem, ani nawet Rzymianinem u źródeł kariery politycznej, ale po prostu ukochanym. Kornelia znała twarde wymogi życia w Rzymie. Każdy, kto chciał czegoś dokonać, musiał służyć w wojsku, popisywać się umiejętnościami krasomówczymi albo mieć wielkie pieniądze.

A Cezar tego ostatniego nie miał.

Posiadał za to coś innego, o czym Kornelia nie wiedziała dotychczas. Miał zmysł polityczny i urok osobisty i wysławiał się też nie najgorzej. Znał grekę, a jego wykształceniu nie można było nic zarzucić. Jednak partia optymatów była obecnie silniejsza niż popularów, więc Cezar znajdował się w gorszym położeniu, niżby chciał.

A poza tym sprawy polityczne nie interesowały Kornelii w takim stopniu, jak jej teściową. Aurelia była ciekawa wszystkiego, co dzieje się w Mieście, głównie dlatego, że nie miała męża i nudziła się sama w domu. Lubiała więc bywać na Forum i słuchać senatorów przemawiających z mównicy.

- Sytuacja polityczna nie jest zbyt wesoła - kontynuowała Aurelia. - Nie dosyć, że państwo jest słabe wewnątrz, to jeszcze uwikłani jesteśmy w tę beznadziejną wojnę z Partami.

- Ale w Rzymie panuje spokój - zauważyła Kornelia.

- Tak, akurat! - prychnęła jej teściowa. - Ja osobiście nie nazwałabym tego spokojem, to tylko cisza przed burzą. Wiele bym dała, żeby Gajusz zechciał się wynieść z tego miasta i pojechać gdzieś na wieś, do Kampanii albo na Sycylię, i tam prowadzić spokojne życie. Ale nie, on musi się bawić w senatora i polityka.

- Nie sądzisz, matko, że jest to winien swojemu ojcu? - zapytała Kornelia. - Wywodzi się z rodu Juliuszów, to wszak nie pozostaje bez znaczenia.

Aurelia stwierdziła, że jej synowa taka bardzo ładnie i że chętnie sama zaopatrzyłaby się w taki płaszcz.

- Ja chwilami nie dbam o cały ten ród Juliuszów i to gadanie o przodkach - powiedziała gniewnie. - Gajusz zaś moim

zdaniem lepiej by zrobił, gdyby trzymał się od tego z daleka. Ładny wzór – dodała po chwili. – Co to będzie?

– Pallium – odparła Kornelia wesoło, niezrażona gniewnym tonem Aurelii. – Tkam go dla Gajusza na jesień. Na pewno się ucieszy z nowego płaszcza.

Aurelia przyznała, że z pewnością tak będzie, po czym wyszła na taras. Kornelia była wspaniałą dziewczyną, ale nie interesowała się wcale poczynaniami swego męża, tak się przynajmniej Aurelii zdawało. Z drugiej jednak strony, matka wiedziała, że Cezar lubi sam o sobie decydować i Kornelia nie miałyby żadnego wpływu na jego postępowanie. Westchnęła ciężko i udała się na poszukiwanie wnuczki, która hasała w ogrodzie.

– Marudzisz – zganiła samą siebie. – Jesteś po prostu starą histeryczką.

Weszła do ogrodu w dużo lepszym nastroju.

Forum Romanum tętniło życiem. Tak było zawsze, odkąd Cezar pamiętał i odkąd po raz pierwszy jako mały chłopiec przyjechał z ojcem do miasta. Na Kapitolu wznosiło się monumentalne Tabularium, archiwum państwowe zbudowane przez Sullę, poniżej zaś Bazylika Emiliańska i Świątynia Konkordii. Cezar kierował się jednak do Kurii, gdzie mieściła się siedziba senatu.

Na Forum, jak zwykle o tej porze, kłębiły się masy ludzi, kupców, polityków i zwykłych plotkarek, które wychodziły pod nieobecność mężów, by spotkać się z przyjaciółkami na rynku. Niewolnicy robili zakupy w zabudowanych straganach i sklepach, rzemieślnicy wystawiali swoje produkty, jednym słowem, miejsce to stanowiło centrum miasta.

Idąc wąskimi ulicami do Forum, Cezar myślał, że chętnie przebudowałby Rzym. Kazałby poszerzyć ulice, wyburzyć stare insulae i wybudować nowe, bardziej stabilne, no i przebudowałby gruntownie Forum, na którym, jego zdaniem, za dużo było tych wszystkich stoisk i kramów.

Ale Sulla dużo zdążył zmienić. Wznosił wspaniałe amfiteatry, łaźnie i inne budowle; dbał o miasto, o którym mówił, że je kocha. Swoją drogą Cezar pojąć nie mógł, jak ktoś,

kto kocha miasto, może być jednocześnie jego wrogiem. Chociaż gdyby on zdobył władzę...

To jednak należało do przyszłości, w dodatku odległej. Teraz nie miał najmniejszej ochoty wysilać się, żeby zrobić jakąś oszałamiającą karierę. Tak naprawę był zmęczony wyjazdem na Wschód, wrażeniami i walką. Chciał chociaż trochę pobyc w domu, u boku Kornelii i przyjrzeć się sytuacji w państwie. Wiedział, że owa sytuacja nie jest najlepsza. Kraj po wojnie domowej był wyniszczony i słaby. Należało go wzmocnić.

Gdy znalazł się pod budynkiem senatu, kilku mężczyzn w togach spojrzało na niego. Jeden z nich, w elegancko drapowanej todze i z ułożonymi ciemnoblond włosami, o surowych rysach twarzy, przyglądał mu się dłużej niż inni.

- Na Jowisza, to ten człowiek, któremu Sulla darował życie - odezwał się. - Czyżby to Cezar?

Cezar obrzucił go bystrym spojrzeniem z ukosa.

- Bityńska królowa - zachichotał ktoś inny.

- Miałem okazję ją widzieć, Serwiliuszu Sulpicjuszu - powiedział Cezar z jadowitym uśmiechem. - Piękna kobieta, doprawdy.

- Kiedy przyjechałeś, Cezarze? - zapytał ów pierwszy rozmówca.

Był to człowiek w typie bardziej galijskim niż latyńskim, pochodził z Tusculum, gdzie jego ojciec, ekwita, miał majątek. Ciemnoblond włosy ułożone były w loki, a w twarzy dominowały jasne niebieskie oczy.

- Wczoraj - odparł Cezar. - Nie miałem zamiaru nadawać temu faktowi wielkiego rozgłosu, Marku Tulliuszu.

Marek Tulliusz Cynceron był o sześć lat starszy od Cezara i już zdążył dorobić się opinii świętego mówcy. Był senatorem i oratorem sądowym, a jego mowy, pomimo młodego wieku autora, słynęły z genialnego, dojrzałego stylu.

Cynceron był w senacie homo novus, ponieważ pochodził ze stanu ekwitów. Jednak od początku przystał do partii optymatów i zaciekle zwalczał wszelkie ustawy zgłaszane przez popularów.

- Więc pewnie nie orientujesz się zbyt dobrze w panującej sytuacji? - zapytał trzeci z grupki, w którym Cezar poznał Gnejusza Pompejusza, skądinąd stronnika Sulli.

Pompejusz związał się z optymatami, ale owe więzy nie należały ani do silnych, ani do stabilnych. Był przede wszystkim wodzem i żołnierzem, polityką interesował się o tyle, o ile mógł z niej wyciągnąć jakieś korzyści. Był w odwiecznym konflikcie z Krassusem, najbogatszym człowiekiem w całym Rzymie, który pożyczał na procent pieniądze ubogim senatorom.

- Możesz być pewny, że orientuję się znakomicie - odparł Cezar, mrużąc swe czarne oczy od ostrego letniego słońca. - Nie myślcie sobie, że na Wschodzie siedziałem w zabitej deskami dziurze, skąd nie można wychylić nosa.

- Nikomedes z pewnością ma szerokie tarasy i okna - zażartował ktoś z gromady.

Pompejusz wzniosł oczy do nieba, Cezar jednak uśmiechał się łagodnie, choć tylko Cynceron w tym łagodnym uśmiechu dostrzegł groźbę, zapowiedź zemsty oddalanej w czasie, ale nie niemożliwej do wykonania.

- Owszem, król Bitynii posiada wspaniały pałac - przyznał Cezar, udając głupiego. - Jak się ma twoja żona, Kurionie? Pamiętam ją jako bardzo śliczną, apetyczną dziewczynę. Na twoim miejscu strzegłbym takiego skarbu przed każdym obywatelem i zamykał na cztery spusty, żeby nie padło na nią żadne lubieżne spojrzenie.

To mówiąc, Cezar sam uśmiechnął się lubieżnie i puścił oko do Kuriona.

Ten poblądł na twarzy.

Pompejusz zaśmiał się i klepnął Cezara w łopatkę.

- A ja bym na twoim miejscu, Cezarze, udał się na Rodos i szkolił talent - powiedział. - Jeszcze się zdarzy, że zostaniesz takim samym zawodowym gadułą jak nasz Cynceron. No dobrze - zwrócił się do stojących przed kurią senatorów. - Jeżeli macie zamiar dzisiaj głosować nad nową ustawą, to radziłbym wejść do środka, zamiast tu stać i trwonić czas na głupstwa. Zupełnie nie pojmuję, jak Republika może czerpać korzyści z takiego nieróbstwa.

Mężczyźni zaśmiali się, a napięcie panujące między nimi opadło w jednej chwili. Pompejusz sam dał przykład, wchodząc do Kurii jako pierwszy, za nim zaś wszedł Kurion, jakby chciał uniknąć spojrzeń pozostałych. Cezar obrzucił go pełnym pogardy wzrokiem, co nie uszło uwagi Cyncerona.

Kiedy Cezar wszedł do senatu, Cynceron popatrzył na swego przyjaciela Tytusa Pomponiusza Attyka, który do tej pory stał cicho, i westchnął ciężko.

- Widziałeś spojrzenie tego człowieka? - zapytał. - Przepuszczam, że jest z niego świetny aktor.

Attyk spoglądał w ślad za Cezarem.

- Zgadza się z tobą, Marku - przyznał. - Ten młody człowiek może się okazać niebezpieczny. Nic nie widać na tej jego gładkiej twarzy, za to spojrzenie ma takie, jakby przepalał ludzką duszę na wylot.

Cynceron wszedł do Kurii i zajął swoje miejsce na kamiennej ławie, wyściełanej aksamitem dla uzyskania ciepła.

- Ale jest jeszcze młody - odezwał się Attyk po chwili. - A Kurion zadrwił z niego w wielce nieprzystojny sposób.

Cynceron powiódł wzrokiem za Cezarem, który siedział pogrążony w luźnej rozmowie z dwoma innymi senatorami, ale nie wyglądał na przekonanego słowami Attyka.

- Obyś miał rację, Tytusie - mruknął ponuro. - Bo gdy patrzę na tego człowieka, ogarnia mnie przenikliwy chłód. On mi przypomina jadowitą kobrę, piękną i śmiertelnie niebezpieczną.

- Przesadzasz, Marku - osadził go Attyk. - Dajmy mu czas i wtedy osądzmy.

Cynceron pokiwał głową. W głębi duszy czuł jednak, że tego dnia zetknął się z człowiekiem nieustępliwym i silnym. W dodatku obdarzonym urokiem osobistym i talentem zjednywania sobie ludzi pokroju Pompejusza, czyli wpływowych. A to się Cynceronowi nie podobało.

- Czas pokaże - powtórzył za Attykiem.

W rzeczywistości miał już jednak wyrobione zdanie na temat Cezara i nie było ono, niestety, najlepsze.

IV

Galvan siedział pod krzakiem niczym mysz pod miotłą, rozdarty między strachem przed przybranym ojcem a chęcią zakradnięcia się z chłopcami do sadu. Wiedział, że jeśli ich złapią, kara będzie surowa zarówno ze strony Rutena, jak i Sameta, właściciela sadu.

Samet był jednym z poważanych wojowników, gdy zachodziła taka potrzeba. W okresie pokoju zmieniał się jednak, jak każdy Celt, w zwykłego rolnika i był straszliwie przewrażliwiony na punkcie swoich wybornych jabłek, których sława docierała do samego Rzymu.

Ale Brennus, Mar, Vanner i Iain, chłopcy adoptowani przez Rutena, byli zdecydowani wybrać się na tę ryzykowną wyprawę i namawiali Galvana, by szedł z nimi.

- Nie będziesz chyba siedział z dziewczynami u Evar? - zapytał Mar, ośmiolatek, najstarszy z całej gromady.

Tej jesieni chłopcy mieli udać się do Gergowii, na naukę do druida Maerina, jednego z najlepszych kapłanów i nauczycieli. Był on mędrce, jakich mało, i Galvan bał się spotkania z tym człowiekiem, tym bardziej że słyszał, jak w domu Ruten wychwalał go pod niebiosa.

Nie, oczywiście, że Galvan nie chciał siedzieć z dziewczynami, to by było poniżej jego godności. Ale też nie chciał narażać się na karę z rąk Rutena, który potrafił wyjątkowo dotkliwie wygarbować skórę pejcem. Ta jego skórzana dyscyplina, wykonana z cienkich rzemyków akurat na delikatną skórę chłopców, ciągnęła straszliwie i zostawiała na plecach czerwonosine pręgi przez następny tydzień.

Galvan był dzieckiem inteligentnym i ostrożnym, dlatego

zyskał sobie wśród rówieśników opinię tchórza. Teraz też zastanawiał się nad konsekwencjami czynu, którego zamierzali się dopuścić on i jego przybrani bracia.

- Jak Ruten się dowie, to nas żywcem obedrze ze skóry - powiedział, sepleniąc, bo akurat tracił mleczone zęby. - A Evar jeszcze dołoży.

Nadchodziła jesień i sady obfitowały w owoce. Jednak jabłka z własnego ogrodu nie smakowały tak, jak kradzione z cudzego. Poza tym małych chłopców wprost roznosiła energia i chęć przeżycia przygody, nawet jeśli mogło się to dla nich źle skończyć.

- E, gadasz - machnął ręką Iain. - Boisz się i tyle.

- Nie boję się! - policzki Galvana spąsowiały. - Idę z wami!

Chłopcy uśmiechnęli się z zadowoleniem.

Bez najmniejszego trudu przedostali się przez ogrodzenie i weszli na teren sadu. Mar został wysłany na czaty, by zawiadomić ich w razie niebezpieczeństwa. Reszta pomknęła w stronę drzew i zaczęła się wspinać po gałęziach. Dla gromady siedmiolatków nie było to niczym trudnym.

Owoce Sameta były wyborne. Gęsty sok spływał chłopcom po brodach, kiedy opychali się ananasówkami. Galvan zajadając te pyszne owoce, zapomniał całkowicie o ewentualnej karze, jaka na nich czekała za włamanie się do cudzego sadu. Odkrywał właśnie kolejną tajemnicę świata - to, co zakazane, smakuje lepiej, bo jest doprawione niebezpieczeństwem i groźbą. Siedział wygodnie rozłożony pod drzewem i nie pamiętał już ani o czujności, ani o swoim niedawnym strachu.

Myślał o Maerinie i pogłoskach, jakie słyszał na jego temat. Doprawdy, miał się czego obawiać. Mówiono, że to surowy mąż, rozmawiający z bogami; znał się na gwiazdach i miewał kontakty z duchami zmarłych. Galvan bał się zmarłych, zwłaszcza podczas święta Samain, kiedy to składano im w ofierze niewolników i zakładników z podbitych plemion. Wtedy Galvan niemal ich widział.

Myślał też o swojej matce, Geillis, z którą nie będzie się mógł widzieć aż do ukończenia nauki. Druid miał wprowadzić go w arkana wiedzy, a potem, kiedy skończy dziesięć lat, będą

go uczyły Walkirie takie jak Scatah. Galvan wiedział o tym, nie miał jednak pojęcia, na czym ma polegać owa nauka u kobiet – wojowniczek ani dlaczego właśnie kobiety szkolą młodych adeptów sztuki rycerskiej.

Domyślał się jednak, że to ma związek z tajemniczym, zakazanym światem dorosłych i z ich nocnymi zwyczajami. Kilka tygodni wcześniej on i pozostali chłopcy postanowili dowiedzieć się, co też Ruten i jego kobiety robią wieczorami, kiedy z ich pomieszczenia dobiegają takie dziwne odgłosy. Zaczaili się za kotarą, która zasłaniała wnętrze, i czekali. Nie dojrzeli jednak wiele, bo gdy udało im się chyłkiem odsłonić rąbek zasłony, złapała ich niewolnica i porządnie wyłajała. Ruten o niczym się nie dowiedział, i dobrze, bo niechybnie wpadłby we wściekłość.

Galvan z tego wszystkiego dojrzał jedynie kłębowisko skór i jaśniejące w mroku białe nogi Evar. Reszta nadal pozostała dla niego sekretem.

Poza tym Galvan był jeszcze dzieckiem i nie rozumiał pewnych oczywistych spraw. Uważał dziewczynki za podgatunek i nie odzywał się do nich, o ile to nie było absolutnie konieczne. Jak każdy chłopiec w jego wieku brzydził się wszystkim, co dziewczynskie, i nie potrafił skojarzyć faktu, że z takiej małej dziewczynki kiedyś wyrośnie kobieta. A kobieta kojarzyła mu się z ciepłem, dobrocią i czułym dotykiem delikatnych ramion.

Nie zdążył jednak pograć się w swoich myślach, kiedy do sadu wpadli jak burza jeden z niewolników Sameta i jego podwładni. Zanim chłopcy policzyli do czterech, już stali jeden obok drugiego, podczas gdy niewolnik patrzył na nich surowym wzrokiem, w którym czaiło się ponure zadowolenie. Tak, mogli być pewni, że kara ich nie minie i ten człowiek się z tego radował.

Pięciu młodych ludzi stało z sercem w gardle, oczekując wyroku.

Samet nadszedł spiesznym krokiem, patrząc na małych winowajców spod krzaczastych ciemnoblonde brwi. Miał długie, splecione w warkocze włosy, a jego broda poskręcana była

w cztery warkoczyki, które łączyły się ze sobą.

- Tak, tego się mogłem spodziewać - stwierdził, przyjrzawszy się chłopcom. - Przybrani synowie Rutena. Tak, już on was tam wychowuje na najgorszych łobuzów w okolicy.

Galvan czuł, jak po jego kręgosłupie prześlizguje się lodowata jaszczurka. Powrócił strach, ale w obliczu tego mężczyzny, który jednym machnięciem miecza ścinał ludziom głowy, był tysiąc razy gorszy. Bał się też gniewu Rutena, który na ogół nie zwracał na chłopców zbytnej uwagi, traktował ich jak dzieciaki służby i niewolników, ale gdy coś przeszkrobali, potrafił porządnie wyłoić im skórę.

W takim wypadku opiekuńcze ramiona Evar niewiele pomagały. A Galvan wiedział, że nie może uciec do Geillis, gdyż ona miała inne dzieci pod opieką i inne obowiązki.

- Kto to wszystko wymyślił? - dopytywał się Samet. - Kto był na tyle głupi, żeby zaproponować wtargnięcie do mojego sadu? Niech teraz okaże się na tyle odważny, by się przyznać.

Mar, najstarszy z chłopców, którego imię oznaczało tyle co „koń bojowy”, wystąpił naprzód.

- To ja - wyznał, spuszczając wzrok.

Samet przyglądał się im uważnie po kolei. Przy Galvanie zatrzymał się i długo patrzył na chłopca.

- Proszę, proszę - zacmokał. - A oto i syn samego Celtyllusa. Jak ci na imię?

- Galvan, panie - odparł chłopiec, patrząc Sametowi prosto w oczy.

Samet patrzył na to dziecko jak urzeczony. Wprawdzie miał przed sobą łobuza umorusanego sokiem jabłkowym, ale tak pięknego dzieciaka jeszcze nie widział. Siedmiolatek miał czyste rysy twarzy, intensywnie niebieskie oczy, zupełnie jak niebo jesienią podczas ładnej pogody, a twarz obramowana była gęstymi włosami blond o złocistym odcieniu, gdzieniegdzie przeplatany nieco ciemniejszymi kosmykami.

Syn Geillis, pomyślał. Ta twarz to wierna kopia jej twarzy.

- Dlaczego zakradliście się do mojego sadu? - zapytał Samet, chociaż doskonale znał odpowiedź. - Wiecie, że to zabronione.

- Bo masz znakomite owoce, panie - odparł Brennus, zanim zdołał pomyśleć.

Przenikliwe oczy Sameta skierowały się na niego. Drugi syn Celtyllusa, pomyślał. Ten z nałożnicy. Cóż, od razu znać, czyje to dziecko.

Prawdę mówiąc, gniew już w nim ostygł i zamiast niego pojawiło się rozbawienie. Pięciu małych winowajców wzbudzało w nim wesołość, a do tego podziw, że nie bali się zakraść do sadu człowieka cieszącego się taką sławą wojenną jak on. Postanowił nie donosić na nich Rutenowi, bo szkoda by było, żeby tacy dzielni mali chłopcy mieli otrzymać tęgie baty. Nie, Samet wymyślił dla nich inną karę.

- Jeżeli tak wam smakowały moje jabłka, to z pewnością chętnie je pozrywacie - powiedział. - Moi służący sobie odpoczną, podczas gdy wy oczyścicie z jabłek cały sad. Jutro chcę was tu widzieć po wschodzie słońca, jasne? Wszystkich. W przeciwnym razie Ruten dowie się, co zrobiliście. A teraz zmykajcie stąd.

Kiedy chłopcy zniknęli za ogrodzeniem, Samet wziął się pod boki i śmiał przez dobrą chwilę. Potem zaś pokręcił głową, myśląc, że w przyszłości z tych chłopców wyrosną znakomici wojownicy, którym obcy będzie strach. Jak dotychczas nikomu bowiem nie przyszło do głowy, by zakraść się do jego sadu i żaden jeszcze chłopiec nie patrzył mu w oczy tak wyzywająco i odważnie, jak ten mały syn Celtyllusa. Swoją drogą, od tego spojrzenia Sametowi ciarki przeszły po plecach. Przez chwilę zastanawiał się, co by było, gdyby on sam miał takiego syna. Potem wrócił do swego domostwa.

Czterej mężczyźni siedzieli w gospodzie w Gergowii i rozmawiali. Ich głosy były ściszone, by nikt ich nie usłyszał. Rozmawiali o tym, co mieli zamiar uczynić, a ich zamysły nie były przeznaczone dla uszu zwykłego słuchacza.

Byli to bowiem spiskowcy.

Nie działali sami, ale w porozumieniu z większą grupą, oni jednak zostali wybrani na wykonawców dzieła. Mieli zabić człowieka, który zaczynał przysparzać plemieniu kłopotów.

- Musimy to zrobić tak, żeby podejrzenie padło na jego

żonę - odezwał się pierwszy, imieniem Octus. - Wtedy przy okazji sprzątnie się ją i dzieciaka.

- Po co mieszać w to jego kobiety? - zapytał drugi, barczysty mężczyzna po czterdziestce, na którego mówili Dess. - Nasi zwierzchnicy o niczym takim nie wspominali.

Czterej mężczyźni należeli do stronnictwa sprzyjającego potajemnie Eduom. Celtyllus należał, rzecz jasna, do drugiej partii, o ile można tak było powiedzieć. Aby sięgnąć po władzę definitywnie, miał zamiar udać się na rozmowy do Ariowista, który starał się o nadanie mu tytułu przyjaciela narodu rzymskiego. Eduowie byli tym zaniepokojeni, bo gdyby między Ariowistem i Arwernami doszło do sojuszu, ich własna pozycja sprzymierzeńców rzymskich byłaby zagrożona.

Podobnie jak pozycja najsilniejszego z plemion wschodnioceltyckich.

Dlatego właśnie uknuto spisek mający na celu pozbycie się, mówiąc oględnie, Celtyllusa. Stawał się zbyt silny, a i tak posiadał już zbyt wielką władzę w kraju.

Królowie zaś, jako się rzekło, nie cieszyli się wśród Celtów popularnością. W każdym razie nie na kontynencie, ponieważ w Albionie wciąż jeszcze wybierano królów, chociaż tam największą władzę sprawowały kobiety.

- Celtyllus musi iść pod nóż - stwierdził trzeci mężczyzna, Jednooki. - Ale uważam, że syna nie powinniśmy mu zabijać.

- Tak, najlepiej go zostawić, żeby potem uknuł zemstę! - prychnął Octus. - Wiesz co, Jednooki, jesteś tępakiem!

- On ma trzech synów - zauważył ponuro czwarty, Keran. - Którego planujecie zgładzić?

- Ja nic nie planuję - odparł ze złością Dess. - To oni chcą wykończyć dzieciaka. Czy wam ojciec Dis rozum pomieszał? Przecież smarkacz nie ma nawet dziesięciu lat!

- Tym lepiej - skomentował Octus.

- No więc którego chcecie wykończyć? - powtórzył Keran.

Do ich stołu podeszła szynkarka i zaproponowała kolejne piwo, ale pokręcili głowami. Kiedy kobieta odeszła, powrócili do przerwanej rozmowy.

- Legalnego - powiedział Jednooki. - To chyba logiczne. Ale

wtedy Geillis pozostanie niewinna. Kobieta może zabić męża, natomiast jeśli chodzi o dzieci, to prędzej sama wskoczy w płomień albo nadzieje się na nóż.

- A tam, ona! - prychnął Octus. - Jak Celtyllus wyzionie ducha, jego rodzina oskarży Geillis o morderstwo i wdowa skończy na stosie. A bachora wyśle się na tamten świat czym prędzej i tyle.

Dess miał niewyraźną minę, ale wiedział, że jeśli się sprzeciwi, jego też czeka wycieczka na tamten świat, bo za dużo wie. W takich okolicznościach syn Celtyllusa był mu zupełnie obojętny. Niech sobie umiera, byleby spiskowiec ocalił swoje życie.

- Kiedy chcecie to zrobić? - zapytał.

- Jak najszybciej - odparł Octus, popijając piwo jęczmienne.

- Zanim ten szaleniec zdąży skontaktować się z Ariowistem.

- Już to zrobił - zauważył Jednooki.

- To zanim dojdzie z tą germańską kanalią do porozumienia

- warknął Octus. - Im szybciej go załatwimy, tym lepiej dla nas.

- Jeszcze w tym tygodniu - postanowił Keran. - I niech wina spadnie na Geillis. Dzięki temu zaoszczędzimy sobie dodatkowego kłopotu.

Czterej spiskowcy popatrzyli na siebie i pokiwali zgodnie głowami. Mieli ustalony plan, teraz wystarczyło go wykonać.

Nie wiedzieli tylko, że ktoś słyszał ich rozmowę. Człowiek w kapturze naciągniętym głęboko na oczy, tak by go nikt nie rozpoznał. Kiedy zmienili temat rozmowy, tajemniczy osobnik czym prędzej opuścił karczmę i wyjechał z miasta.

Niebywale mu się spieszyło.

Geillis i Aman krzątały się po domu w oczekiwaniu na gości. Brat Celtyllusa, Cynnus, został mianowany naczelnikiem i Celtyllus chciał urządzić dla niego ucztę z tej okazji. Rzecz jasna, obie kobiety Celtyllusa posiadały służbę wolną i niewolną, ale wołały same wszystkiego dopilnować.

Aman nadal mieszkała u Celtyllusa, ale teraz nie była już jego nałożnicą, lecz legalnie poślubioną drugą małżonką. Celtyllus ożenił się z nią dwa lata temu, kiedy urodziła mu córkę. Oczywiście status drugiej żony nadal był niższy

od pozycji pierwszej, ale Aman nie przejmowała się tym. Tym bardziej że ona i Geillis doszły już do takiej zażyłości, że nie potrafiły wytrzymać bez siebie dnia, i obie stwierdziły kiedyś, że darzą się iście siostrzanym uczuciem.

Wszyscy byli więc zadowoleni. Celtyllus miał swoje dwie kobiety, a kiedy naszała go ochota, sprowadzał sobie jedną ze służebnic, dając Geillis i Aman odrobinę wytchnienia, o co one nie były zazdrosne. Z każdą z nich miał dwoje dzieci, ale dziwił się niepomniernie, że nie rodzą się kolejne. Jego żony mrugały do siebie porozumiewawczo i chowały w domu tajemnicze zioła.

Geillis cieszyła się, ponieważ jutrzejszego wieczoru miał się pojawić również jej brat Gobannicjon, którego nie widziała od dłuższego czasu, jako że ów przebywał w Albionie i handlował z Brytami. Tak się składało, że Gobannicjon wciąż z kimś handlował i zarabiał na tym niezłe pieniądze, które odkładał na edukację swoich synów, a częściowo na naukę syna swojej siostry, Galvana, który był jego oczkiem w głowie, bo Gobannicjon miał same córki, które postanowił wyszkolić na wojowniczkę. Prawo tego nie zabraniało.

Był koniec lata i Geillis uświadamiała sobie, że jej syn tego roku uda się do Gergowii, gdzie spędzi kolejne dziesięć lat. To znaczy właściwie najpierw miał uczyć się u druidów, a następnie u Scatah lub jej córki, kiedy do tego dorośnie. Geillis od dawna nie widziała urokliwej wiedźmy i cieszyła się z tego. Nigdy nie zapomniała dziwnych przepowiedni z lat wczesnego dzieciństwa Galvana i jak dotąd nie rozumiała ich przesłania. Nie chciała rozumieć. Na co dzień jednak udawała, że o niczym nie pamięta - nie miała zamiaru zgłębiać tego problemu.

I tylko Aman wiedziała, że Geillis o tym myśli. Za każdym razem, kiedy żona Celtyllusa siadała do krosien, na jej twarzy pojawiał się wyraz niezwykłego skupienia, które świadczyło o jej zatroskaniu. Aman wiedziała, co nurtuje jej przyjaciółkę.

Ale Geillis swoje myśli chowała dla siebie.

Gobannicjon nadszedł niespodziewanie i zaskoczył Geillis. Ucieszyła się na jego widok, ale jednocześnie rozzłościła,

bo przeszkadzał w pracy i zjawił się zdecydowanie za wcześnie.

- Co ty tu robisz? - zapytała wesoło, lecz z przyganą.

Twarz Gobannicjona była poważna, a taką nieczęsto Geillis widywała.

- Gdzie twój małżonek? - zapytał. - Muszę z nim natychmiast mówić.

- Przyjmuje klientów - odparła Geillis zdumiona. - Wiesz przecież, że teraz jest zajęty. Poza tym nie wszystko jeszcze gotowe do uczy, przyjdź później.

Gobannicjon spoglądał na siostrę z troską. Była jeszcze taka młoda, miała ledwie dwadzieścia trzy lata, i taka piękna. Po narodzinach Asten wydorosła, biodra jej się nieco zaokrągliły, piersi urosły, a twarz przybrała rysy dorosłej kobiety. Jej smukłe dłonie z każdym rokiem stawały się coraz bardziej zniszczone, bo nie oszczędzała się w pracach domowych, ale chód był wciąż sprężysty i oznajmiał, że Geillis daleko do starości.

- Idź do niego i powiedz, że chcę się z nim pilnie widzieć - rozkazał. - I to zaraz.

Geillis wypuściła wiadro z rąk i woda wylała się na piaszczyste podwórko. Gobannicjon nigdy nie przemawiał do niej takim tonem, lubił ją i w dzieciństwie straszliwie rozpieszczał. Ale teraz był jakiś dziwny, niespokojny i zdenerwowany.

Nie namyślając się długo, Geillis udała się do okrągłej sali, gdzie na krześle siedział Celtyllus. Miejsca wokół zajmowali jego klienci, którzy przybyli z prośbą albo w celu złożenia relacji z interesów. Na widok żony po twarzy Celtyllusa przebiegł cień zniecierpliwienia.

- Mówiłem ci, żebyś tu nie wchodziła, kiedy jestem zajęty, Geillis - odezwał się do niej cicho. - Co się stało?

- Gobannicjon chce pilnie z tobą mówić - poinformowała go. - Czeka na zewnątrz.

- To niech poczeka, jestem zajęty.

- Powiedziałam mu to, ale on twierdzi, że musi z tobą pomówić zaraz. Widocznie to coś ważnego, inaczej nie zajmowałby ci czasu, kiedy tu siedzisz.

Celtyllus zniecierpliwiał się jeszcze bardziej, ale wiedział z doświadczenia, że Gobannicjon nie odejdzie. Już prędzej sam wywoła Celtyllusa z obrad. A to by było żenujące.

Westchnął ciężko i wyprawił żonę do Gobannicjona z informacją, że zaraz wyjdzie do niego, klientom zaś oznajmił, że ma pilną sprawę, którą postara się szybko załatwić. Idąc na podwórze, zastanawiał się, o co chodzi Gobannicjonowi i co to za strasznie pilna sprawa, że nie pozwala mu się w spokoju dokończyć obrad.

Gobannicjon natychmiast odciągnął go na bok.

- Szykuje się zamach na ciebie - powiedział bez zbędnych wstępów. - Słyszałem o tym wczoraj w gospodzie w Gergowii.

- A co ty robiłeś w Gergowii? - zdziwił się Celtyllus.

- Nieważne. Najważniejsze jest, by ci zapewnić ochronę.

- Kto to był? - zapytał Celtyllus.

- O, zapewne ludzie Sualtana - odparł Gobannicjon. - Oni sprzyjają Eduom i wiedzą, że masz zamiar wejść w sojusz z Ariowistem, żeby umocnić swoją władzę.

- Do pioruna! - zaklął Celtyllus. - To znaczy, że mamy szpiega w obozie. Ktoś musiał donieść o tym Sualtanowi. A on natychmiast zdecydował, żeby się mnie pozbyć.

- Ostrzegałem cię wiele lat temu, szwagrze, że ludziom nie spodoba się twój plan - przypomniał Gobannicjon.

- Nie ludziom, tylko tym zdrajcom, piekielnym poplecznikom Eduów! Co mówili?

- Nie słyszałem dobrze, ale zrozumiałem, że chcą zabić ciebie i Galvana jednocześnie.

Celtyllus zbladł. Był spokojny o siebie, ostrzeżony zawczasu mógł obstawić się ochroną, ale jego syn był bezbronny. Miał siedem lat, nie potrafił walczyć, a Ruten o niczym nie wiedział.

- Jedź do Rutena i przekaż mu wiadomość ode mnie - poprosił Gobannicjona. - A potem zabierz moich synów i zawieź ich do Gergowii, Brennusa też, bo jak nie dostaną Galvana, to będą chcieli zabić drugiego. Mówili coś o Celtilognotosie?

- Nie, o nim nie wspominali - odparł Gobannicjon. - Nie ośmiela się zabić kogoś, kto jest pod opieką druidów.

- Więc moi synowie będą bezpieczni u Maerina - stwierdził

Celtyllus. – Kiedy planują uderzyć?

– W tym tygodniu.

– Ale im się spieszy – zarechotał ponuro Celtyllus. – Wprost niebywałe.

Gobannicjon stwierdził w duchu, że nie ma się z czego śmiać.

– Może odwołasz jutrzejszą ucztę, Celtyllusie? – zasugerował.

Celtyllus spojrział na niego z wyrzutem.

– No wiesz? Mój brat zasługuje na uznanie, jest przecież naczelnikiem. A poza tym kobiety natrudziły się, żeby wszystko przygotować. Nie, Gobannicjone, nie odwołamy uczyty. Weź tylko chłopców i odwieź ich do miasta. Tam będą bezpieczni.

Gobannicjon kiwnął głową i chciał się oddalić, kiedy Celtyllus jakby o czymś sobie przypomniał.

– I, szwagrze, gdyby udało im się mnie zabić, zaopiekuj się moimi kobietami. Obiema. Nie chcę, żeby którąś z nich oskarżono o morderstwo, a wiem, że moja rodzina na pewno do tego dopuści.

Gobannicjon przyrzekł mu zająć się w razie potrzeby Geillis i Aman i zapewnić opiekę ich córkom. W razie śmierci Celtyllusa nic więcej nie mógłby uczynić.

Celtyllus wszedł do izby jak gdyby nigdy nic, by nie dać po sobie poznać, że coś wie. Zdawał sobie sprawę, że wśród klienteli mogą się znajdować jego polityczni przeciwnicy, tyle że sprytnie zakamuflowani. Ale w głębi ducha uważał, że wyjdzie z tego zamachu obronną ręką, a niedoszłych zamachowców skaże na okrutną śmierć w męczarniach.

Evar siedziała przy krosnach, kiedy Gobannicjon wjechał na podwórze na swoim ogromnym wierzchowcu. Gobannicjon sprowadzał konie z Hiszpanii i zza Renu, krzyżował je i dzięki temu uzyskiwał wspaniałe rezultaty. Jego wierzchowce wzbudzały zazdrość u większości hodowców.

Mała Gwynn, licząca sobie niespełna trzy lata, plątała się wokół spódnicy matki. Jej jasnoblond włoski mieniły się w słońcu, a duże błękitne oczy wpatrywały w gościa z zainteresowaniem. Gwynn była za mała, by się bać, kiedy

obok siedziała matka.

- Evar, czy chłopcy są w domu? - zapytał.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona.

- Nie, są nad rzeką - odparła. - Poszli na ryby z parobkiem.

Dlaczego pytasz?

- A Ruten?

- Ruten? - zdziwiła się Evar. - Mój mąż pojechał w interesach do miasta, wróci zapewne jutro na ucztę u Celyllusa. Co ci się tak spieszy, Gobannicjonie?

- Posłuchaj mnie, Evar - zaczął Gobannicjon. - Celyllus przysłał mnie tutaj z poleceniem, bym osobiście odwiózł jego synów do Gergowii.

- Ależ oni mieli tam jechać wszyscy dopiero za czternaście nocy - stwierdziła Evar. - Skąd ten pośpiech?

- To już nie moja rzecz - odparł Gobannicjon wymijająco. - Zrób, o co cię proszę, przygotuj rzeczy Galvana i Brennusa. Przyjadę po nich wieczorem.

Evar chciała coś powiedzieć, ale Gobannicjon szedł już w stronę konia. Gwynn pobiegła za nim na swoich maleńkich nóżkach i zanim się zorientował, uczepiła się jego długiego buta. Gobannicjon pochylił się i podniósł dziewczynkę.

- No, proszę - powiedział z uśmiechem. - Rośnie ci ładna panna, Evar.

W rzeczy samej, Gwynn była bardzo urodziwym dzieckiem z tymi przejrzystymi, jasnymi oczami w bursztynowej oprawie rzęs i blond włosami o mlecznym odcieniu. Gobannicjon wiedział, że z biegiem lat włosy jej ściemnieją, przybiorą słoneczny odcień. Jednak już w tej chwili zapowiadała się na ładną dziewczynę.

Oddał dziecko matce i udał się do domu, podczas gdy Evar została na podwórzu z tysiącem myśli kłębiących się w głowie.

Dlaczego, do licha, tak mu zależało, żeby obaj chłopcy pojechali wcześniej do Gergowii? No cóż, Celyllus był ich naturalnym ojcem i zachował nad nimi pełnię władzy. Jeśli sobie życzył, by obaj pojechali do miasta wcześniej, to jego sprawa, a obowiązkiem Evar i Rutena było mu się podporządkować.

Weszła do domu i zabrała się za pakowanie rzeczy

chłopców. Były to w większości ich ubrania, gdyż innych przedmiotów nie mieli zbyt dużo. Trochę zabawek, rzeźbionych w drewnie figurek koni i wojowników - nie mogli ich zabrać na naukę, drewniane miecze i tarcze, którymi bawili się w wojnę i udawali pojedynki. To wszystko Evar miała zostawić w domu.

Spakowała ciepłe zimowe odzienie, wymoszczone futrem buty i grube wełniane opończe, zapakowała też jedzenie na dwa dni na wypadek, gdyby podróż miała się przedłużyć. Skoro chłopcy wrócili do domu, obwieściła im wiadomość od Gobannicjona.

Galvan był tak samo zdumiony jak wcześniej ona sama.

- Ale mieliśmy jechać za czternaście nocy - powiedział. - Dlaczego wuj Gobannicjon chce nas teraz zabrać?

- Dlatego, Galvanie, że twój ojciec, Celtyllus, sobie tego życzy - odparła Evar łagodnie.

Galvan nie znał swego ojca. Widział go parę razy przy większych okazjach, takich jak Samain i inne święta, co nieco pamiętał z dzieciństwa, ale nie miał z Celtyllusem kontaktów. Jednak zdawał sobie sprawę, że jest synem pierwszego naczelnika w państwie, wodza i że pewnego dnia zajmie jego miejsce.

Nagle się przeraził.

- Ale to nie znaczy, że ojcu grozi niebezpieczeństwo? - zapytał.

Zasugerował to, co w życiu nie przyszłoby Evar na myśl, ale kiedy pytanie padło, pomyślała, że Gobannicjon właśnie tak się zachowywał, jakby mogło chodzić o Celtyllusa.

- Nie, naturalnie, że nie - uspokoiła chłopca i nałożyła im jedzenie.

Ale gdy zasiadła ponownie do tkania, przypomniała sobie niedawną rozmowę z Rutenem i słowa wypowiedziane przez męża. Celtyllus dążył do przymierza z Ariowistem, a to się nie podobało pewnym ludziom, którzy sobie nie życzyli bratać się ze Swebami. Ruten mówił to przy stole i Evar nie zwróciła większej uwagi na jego słowa, nie interesowała się zresztą takimi sprawami. Jednak teraz tamta kolacja powróciła do niej

w myślach, podobnie jak zatroskanie na twarzy Rutena, który był przecież powinowatym Celtyllusa.

Spojrzała na Galvana i Brennusa jedzących obiad przy stole. Śmiali się i dokazywali z resztą dzieci, obrzucając się kaszą i warzywami. Czy zdawali sobie sprawę, że ich ojciec może zginąć? Tak, bo Evar nie miała w tej chwili żadnych wątpliwości co do tego. Już wcześniej zauważyła, że Galvan jest niebywale bystrym i pojętnym dzieckiem, podczas gdy Brennus nie był może tak inteligentny, ale podziwiał starszego brata i chodził za nim jak cień.

Wiedziała, że jeśli ktoś knuje spisek przeciwko Celtyllusowi, zechce zgładzić jego dzieci, a przynajmniej legalnego syna. Evar nie chciała, by Galvana spotkał taki los, pokochała tego chłopca jak własne dziecko.

Gdyby tylko mogła coś zrobić!

Pod wieczór zjawił się Gobannicjon w towarzystwie Geillis. To zdumiało Evar i napełniło ją przeświadczeniem, że faktycznie bezpieczeństwo Celtyllusa jest zagrożone. Geillis jednak o niczym takim zdawała się nie wiedzieć i przyjechała po prostu pożegnać się z synem, którego miała ujrzyć za wiele lat. Po długim ceremoniale pożegnalnym Gobannicjon i chłopcy pojechali do Gergowii, a Geillis wróciła do domu.

Evar stała na progu i spoglądała za trzema jeźdźcami, z których dwaj byli żałośnie mali na potężnych wałachach. To tylko dzieci, myślała sobie w duchu. Biedni, niewinni chłopcy, niewikłani w żadne polityczne kombinacje. Jechali do miasta, by uniknąć niebezpieczeństwa, o czym nie mieli najmniejszego pojęcia. Gobannicjon zaś odpowiadał za nich przed szwagrem, który w razie śmierci synów miał prawo zażądać głowy brata swej żony.

- Niech bogowie mają cię w opiece, Gobannicjonie - szepnęła Evar. - I niech chronią tych nieszczęsnych chłopców przed złym losem. Oni nie zasługują na śmierć, mogą z nich wyrosnąć dobrzy ludzie.

Weszła do domu dopiero wtedy, gdy trzech jeźdźcy zniknęli z zasięgu jej wzroku. W duszy czuła dziwną pustkę i żal, ale też nadzieję, że jej modły będą wysłuchane.

Galvan nieczęsto miał do czynienia ze swoim stryjem Gobannicjonem, toteż przez pierwszy wieczór podróży milczał i trzymał się blisko Brennusa. Obserwował Gobannicjona spod oka, ale kiedy upewnił się, że wuj nie jest groźny, nabrał nieco zaufania. Na noc zatrzymali się pod gołym niebem, ale w osłoniętym miejscu, żeby nikt nie dostrzegł ognia z drogi.

Gobannicjon nie spał tej nocy, czuwał nad bezpieczeństwem dzieci. Wiedział, że jeśli coś się stanie Galvanowi, jego matce serce pęknie, a Celtyllus żywcem wbije swego szwagra na pal. Poza tym Galvan był jego ulubieńcem od niemowlęctwa, a Brennusa też Gobannicjon lubił, jako że był to ładny i pogodny chłopiec, w dodatku tak różny od jasnowłosych przeważnie Celtów, z tymi swoimi ciemnymi włosami i brązowymi oczami.

Ale nazajutrz, kiedy zbliżali się do Gergowii, Galvan uznał, że dosyć ma tego milczenia i niepewności. Zdążył już zauważyć, że ze strony Gobannicjona nic mu nie grozi.

- Dlaczego jedziemy wcześniej, wuju? - zapytał zniecierpliwiony.

Gobannicjon sądził, że chłopcy jadą za nim, toteż zdumiał się, widząc, że Galvan prowadzi swego wierzchowca tuż przy nim. Obaj synowie Celtyllusa potrafili jeździć konno, tę umiejętność przyswajali sobie z mlekiem matki. Każdy Celt znał się wyśmienicie na jeździe konnej. Gobannicjon sam też niewiele miał lat, kiedy nauczył się prowadzić konia.

Jasne włosy chłopca lśniły w blasku słońca jak pszenica.

- Twój ojciec sobie tego życzy - odparł zwięźle, bowiem nie nawykł do rozmów z dziećmi.

- Nie wierzę, że to taki powód - upierał się Galvan. - Musi być coś więcej.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Bo gdyby to była tylko decyzja ojca, to wyruszylibyśmy dzisiaj rano, a nie wczoraj o zmroku w wielkim pośpiechu - stwierdził Galvan.

Wuj spoglądał na niego z podziwem.

- Gdzie nauczyłeś się tak myśleć, chłopcze? - zapytał.

Podjechał do nich Brennus, który do tej pory trzymał się z tyłu.

- On tak zawsze - powiedział.

Gobannicjon pomyślał o swojej siostrze, Geillis. Ta dziewczyna nie należała do pospolitych osób, miała dość przenikliwy umysł, to jej musiał Gobannicjon przyznać. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Galvan przejął po niej tę osobliwą cechę.

No i Celtyllus, jego ojciec, też miał rozum nie do pogardzenia.

- Powiem ci tyle, Galvanie, że ojciec ze względu na wasze bezpieczeństwo odesłał was wcześniej do Gergowii.

- Ktoś chce nas zabić? - zapytał Brennus.

Na Teutatesa, pomyślał Gobannicjon zbity z pantałyku. Ten drugi, syn Aman, też nie jest głupi.

- Nie, skądże - kłamał na potęgę.

- A u druida będziemy bezpieczni? - podjął Galvan, patrząc na wuja tymi swoimi przenikliwymi oczami.

Gobannicjon poczuł się zapędzony w kozi róg. Skąd temu Celtyllusowi wzięło się dwóch takich inteligentnych smarkaczy? Jeden lepszy od drugiego! Gobannicjon nie był zachwycony faktem, że dwóch małych chłopców potrafi myśleć tak logicznie i że on sam, doświadczony mąż w sile wieku, nie wie, co im odpowiedzieć.

- To chyba jasne, że u Maerina będziecie bezpieczni - odparł, zanim zdążył pomyśleć, a gdy ujrzał, jak bracia kiwiają sobie głowami, miał ochotę odgryźć własny język.

- Czy on jest bardzo surowy? - dopytywał się Galvan, tym razem jak każdy zwykły dzieciak.

- Nie mam pojęcia. Jest podobno wielkim mędrcom, ale ja się u niego nie uczyłem.

Galvan nie był usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, ale innej Gobannicjon nie znał. Był szczerze zadowolony, kiedy wreszcie dojechali do oppidum i chłopcy ujrzeli obwarowania miasta. Uciszyli się natychmiast, porażeni wspaniałością murów miejskich.

- Nikt nigdy nie zdoła ich pokonać - zachwyił się Galvan. - Ależ to miasto jest ogromne!

Gobannicjon uśmiechał się rozbawiony.

- No cóż, jest wiele większych miast, jeśli chodzi o ścisłość - rzekł. - W Italii widziałem miasta dziesięć razy większe. Sam Rzym jest olbrzymi. To największe i najwspanialsze miasto, jakie w życiu widziałem.

- A w Albionie? - zapytał Brennus.

- Tam nie ma miast - odparł Gobannicjon. - Tylko osady podobne do naszych. - Jest jedno większe oppidum, ale poza tym tylko wsie i obozy.

Wjechali do miasta, które w mniemaniu chłopców było olbrzymie. Faktycznie, Gergowia nie należała do małych osad, zajmowała dość obszerny kawałek ziemi, dawała schronienie ponad tysiącu ludzi, podczas gdy w mniejszych wioskach było ich kilkuset.

- Druid mieszka w mieście? - zapytał zdumiony Galvan. - Zawsze myślałem, że oni mieszkają w pobliżu gajów.

- Bo też szkoła znajduje się tam - wyjaśnił Gobannicjon. - Ale Maerin ma też swoje obowiązki w mieście. Kiedy wszyscy przyjedziecie, zabierze was w inne miejsce. W mieście nie nauczycie się odczytywać układu gwiazd.

- Tylko tego będziemy się uczyć? - zapytał Galvan.

- Nie, jeszcze wielu innych rzeczy - odparł Gobannicjon i skierował się do świątyni, w której tymczasowo rezydował kapłan Maerin.

Chłopcy szli za nim jak urzeczeni. Po raz pierwszy byli w prawdziwej świątyni, bowiem Celtowie nie posiadali żadnych wizerunków bóstw i nie budowali tego rodzaju przybytków. Ta świątynia została przejęta od Greków i stanowiła jedyne w swoim rodzaju świadectwo, że kultura helleńska dotarła aż tutaj. Prawdę mówiąc, miasto powstało jako ochrona dla świątyni, która potem wtopiła się w zabudowę. Na ogół służyła jako schronienie dla biednych i bezdomnych, ale raz do roku przybywał tu druid wyznaczony przez najwyższego kapłana i wykonywał swoje religijne powinności.

Maerin wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie Galvan i Brennus wyobrażali. Spodziewali się starca z długą siwą brodą, a tymczasem mieli przed sobą mężczyznę niewiele starszego od Gobannicjona, czarnowłosego, o intensywnie

zielonych oczach pod gęstymi czarnymi brwiami. Te oczy zdawały się przenikać duszę. Miał wyrazistą twarz z długim nosem i wydatnymi ustami.

Galvan poczuł się niepewnie pod spojrzeniem Maerina.

Druid podszedł do niego i przyglądał się uważnie. Potem takim samym uważnym wzrokiem zlustrował Brennusa.

- Synowie Celtyllusa - stwierdził, choć Gobannicjon słowem o tym nie wspomniał. - Mieli przybyć za czternaście nocy.

- Musieli przyjechać wcześniej - odparł Gobannicjon. - Oddał ich, a wyjaśnię ci wszystko, Maerinie.

Druid nadal spoglądał na Galvana.

- Nie daj się zwieść pozorom, chłopcze - odezwał się. - Czasami podobnie wyglądające sprawy układają się zupełnie inaczej.

Klasnął w dłonie i zjawił się jego sługa. Maerin polecił mu odprowadzić chłopców do ich celi. Potem odwrócił się do Gobannicjona, który nic nie rozumiał z wypowiedzianych wcześniej słów.

- A więc, mój drogi, wyjaśnij teraz wszystko. Tylko dokładnie. Spodziewam się, że Celtyllus musiał mieć poważne powody, by przysłać swoich synów wcześniej.

Gobannicjon odetchnął głęboko.

Przygotowania do uczty przebiegały nieco inaczej niż dotychczas. Celtyllus wydał rozporządzenie, by na biesiadę nikt nie ważył się wnieść broni, a każdego gościa miano dokładnie obszukać przed wejściem. Jego własna ozdobna broń wisząca na ścianach została schowana w skrzyniach, za to na sali umieszczono strażników i oni jako jedyni dysponowali mieczami.

Geillis była zdumiona tego rodzaju postępowaniem i zapytała męża, co to wszystko ma znaczyć.

- Nic takiego - odparł lekko, nie patrząc jej w oczy. - Po prostu ostrożności nigdy za wiele.

- Ale nigdy nie kazałeś chować broni do skrzyń - zauważyła Geillis. - I zwykle było ci obojętne, kto co przynosi na ucztę. Wiele razy sama byłam zdumiona, że pozwalasz tym pijanym ludziom znosić tyle żelastwa, chociaż dobrze wiedziałeś, że

mogą się pozabijać.

Celtyllus się roześmiał, zaraz jednak spoważniał. Geillis nie był w ciemną bitą, odznaczała się inteligencją niekiedy kłopotliwą, zwłaszcza gdy usiłował coś przed nią zataić.

- Powiedz mi, Celtyllusie, to chyba nie z powodu twoich zamiarów zbratania się z Germanami? - zapytała, próbując zajrzeć mu w oczy.

Celtyllus się poddał. Odciągnął żonę na bok i przytrzymał za ramiona.

- Twój brat podsłuchiwał rozmowę kilku ludzi w karczmie w Gergowii - wyznał. - Ktoś planuje pozbawić mnie życia za to, że chcę zawrzeć przymierze z Ariowistem i umocnić moją pozycję. Dlatego wysłałem chłopców wcześniej do Maerina. Nikt nie będzie usiłował pozbawić życia człowieka, który znajduje się pod opieką druida.

Geillis zbladła. Przez dobrą chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Spoglądała tylko na męża swoimi pięknymi błękitnymi oczami. Celtyllus dostrzegł jej przerażenie, toteż szybko pogładził ją po twarzy.

- Ale to mogą być tylko plotki, Geillis - powiedział uspokajająco. - Jak wiesz, wolę być ostrożny zawczasu. Takie uczyty to najlepsza okazja, by kogoś zgładzić.

- Oni mogą próbować bez okazji - zauważyła Geillis spokojnie. - Na przykład jutro rano.

- Nie, Geillis. Żeby kogoś zabić, potrzebna jest okazja. Jak mnie wykończą ot tak, przed domem, to zaraz ich zabiją ludzie. Toteż będę się wystrzegał okazji, a jutro z samego rana, jeszcze przed świtem, udam się do Ariowista. Jeżeli ci głupcy myślą, że mnie tak łatwo dostaną, to są w błędzie.

To powiedziawszy, Celtyllus wyszedł na podwórze, by dopilnować ostatnich przygotowań do uczyty.

Geillis przez dobrą chwilę nie wiedziała, co robić. Spojrzała na swoje dłonie i stwierdziła, że się trzęsą. Pierwszym jej odczuciem był strach, drugim niedowierzanie, aż wreszcie ogarnęła ją paląca obawa o Galvana. Celtyllus jest dorosły, poradzi sobie, ale Geillis wiedziała, że ludzie lubią do takich rozgrywek wykorzystywać dzieci. Zdawała sobie także sprawę,

że Celyllus zrobi wszystko dla ratowania życia syna.

Wieczorem jednak musiała sprawiać wrażenie, jakby o niczym nie miała pojęcia. Grała także przed Aman, która pozostała w nieświadomości, gdyż Celyllus nie rozmawiał z nią na ten temat. Kobiety siedziały po obu stronach swego małżonka, który tego wieczoru prezentował się iście po królewsku.

Przybył też Gobannicjon, który przed ucztą zamienił z Celyllusem kilka słów. Geillis miała ochotę pomówić z bratem, ale nie miała ku temu okazji. Na swoim miejscu po prawicy męża siedziała napięta niczym struna, uśmiechając się odruchowo i automatycznie unosząc puchar z winem do ust.

Ledwie zwracała uwagę na poetów recytujących swe utwory przed Celyllusem, prawie nie dostrzegała zgromadzonych gości, szukając wciąż wzrokiem ewentualnych zamachowców. Była przekonana, że to któryś ze służby albo ze strażników, bo tym ostatnim pozwolono zatrzymać broń. Jej niespokojne oczy śledziły każdy najdrobniejszy ruch na sali, każde spojrzenie skierowane na Celyllusa, każde poruszenie ustami.

Czuła odrętwienie, jakby ktoś wbił jej w plecy zatrutą strzałę. Jej niepokój rósł z każdą chwilą. Miała wrażenie, że wszyscy to widzą, domyślają się, co ją trapi i że cała sala jest świadkiem jej niepokojów.

Co chwilę wznoszono toasty za zdrowie Celyllusa i jego brata. Puchary wędrowały do ust, wśród ogólnego śmiechu i zadowolenia. Sprowadzono wino specjalnie na tę okazję, a ludzie byli coraz bardziej pijani, co sprzyjało doskonałemu nastrojowi.

- Zdrowie Celyllusa! - zakrzyknięto znowu z sali.

Geillis poruszyła się niespokojnie.

Toasty. Dużo toastów dziś wznoszono. Właściwie jeden po drugim.

Jej umysł był jak owinięty wełną. Nie piła dużo, gdyż pragnęła zachować trzeźwość, wychyliła ledwie jeden puchar. Ale Celyllus musiał ich spełnić znacznie więcej.

Wino. Nalewano każdemu, więc nie mogło być mowy

o truciźnie.

W kadziach nie. Ale w kielichu?

Geillis poczuła, że jej twarz pokrywa się potem. Obserwowała, jak Celtyllus unosi puchar do ust. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie.

- Nie pij! - krzyknęła i wytrąciła mu kielich z rąk.

Wino polało się po stole. Celtyllus patrzył na nią zdumiony. Szumiało mu nieco w głowie, nie widział zbyt wyraźnie, ale przypisywał to stanowi podchmielenia.

- Geillis, co ty? - zganiał ją. - Zachowujesz się jak nawiedzona.

Geillis usiadła z powrotem na swoje miejsce. Pozwoliła służącemu podnieść puchar, wytrzeć go i nalać wina. Czowała się głupio i niezręcznie. Celtyllus miał rację, na ucztę nikt go nie ruszy.

Ledwo zdołała to pomyśleć, kiedy jej mąż złapał się za żołądek. Trwało to chwilę, po czym wyprostował się i sięgnął po mięso. Dwaj służący za plecami Geillis wymienili spojrzenia.

Uczta trwała dalej. Geillis rozluźniła się trochę, ale nie na tyle, by móc się dobrze bawić. Prawdę mówiąc, czowała się tu źle i pragnęła się wydostać z uczy, ale nie mogła. Nie uchodziło.

- Zdrowie pani Geillis! - zawołał ktoś.

Wszyscy podnieśli kielichy, ale Geillis ledwie umoczyła usta w napoju. Celtyllus opróżnił puchar niemal jednym haustem. Śmiał się zadowolony i ignorował fakt, że coraz mocniej szumi mu w głowie, a ostrość wzroku pogarsza się z każdą chwilą.

Wreszcie nadszedł czas na wygłoszenie mowy. Celtyllus wstał i gestem uciszył biesiadników.

- Przyjaciele! - zaczął. - Jesteśmy tutaj z okazji mianowania mego brata Cynnusa na naczelnika. Wypijmy na jego cześć!

- Wypijmy! - rozległy się okrzyki.

- Dobrze mówi! Pijmy!

- Pijmy na cześć bogów!

Celtyllus poczuł wirowanie w głowie.

- Oby nasz nowy naczelnik okazał się sprawiedliwym i szlachetnym mężem - kontynuował, czując dziwne palenie

w całym ciele. - Oby jego decyzje były roztropne, a wyroki słuszne! Chciałbym...

Celtyllus zachwiał się. Puchar wypadł mu z rąk i potoczył się pod stół. Mężczyzna chwycił się za żołądek, jakby coś go paliło od środka. Kręciło mu się w głowie, ludzie wirowali przed oczami jak zbita, niewyraźna masa.

Nagle osunął się na krzesło, a jego głowa opadła na piersi. Wydał z siebie dziwny, urywany charkot, po czym znieruchomiał.

Na sali zapadła cisza.

Potem któraś z kobiet podniosła krzyk. Wybuchła wielka wrzawa, ludzie przekrzykiwali jeden drugiego i jasne było dla wszystkich, że Celtyllus został otruty. Chociaż mordercy nikt nie złapał na gorącym uczynku, to jednak wszyscy wiedzieli, że stoi za tym opozycja Celtyllusa.

Aman zerwała się ze swego miejsca i osłupiałymi oczami wpatrywała w zmarłego. Celtyllus wyglądał jak uosobienie złamanej dumy. Wielki wódz zgładzony w tak niegodny sposób.

Geillis miała wrażenie, że znajduje się w jakimś koszmarze. Wokół niej panował absolutny chaos, a ona miała siły jedynie na to, by stać nieruchomo i wpatrywać się w człowieka, który jeszcze przed chwilą stanowił sens jej życia i dawał jej poczucie bezpieczeństwa. W jednym momencie wszystko runęło.

Zanim się spostrzegła, zjawił się przy nich Gobannicjon.

- Idźcie do domów! - krzyczał, usiłując zagłuszyć wszystkich. - Celtyllus został otruty! Jestem świadkiem, jak czterech mężczyzn rozmawiało o tym w Gergowii i chcę zaprzeczyć, jakoby wdowy po nim miały cokolwiek wspólnego z tym ohydny morderstwem!

To było rozsądne posunięcie, które gwarantowało Geillis i Aman bezpieczeństwo.

Dwóm silnym mężczyznom kazał zabrać zwłoki i przenieść je do innej izby. On sam miał zaimować straż, by nikt nieproszony nie wdarł się tej nocy do domu i nie targnął na życie żon Celtyllusa. Zdawał sobie sprawę, że to może się zdarzyć.

Powoli dom Celtyllusa pustoszał, aż wreszcie zostali w nim

tylko służący i dwie pogrążone w żałobie kobiety, których los tak straszliwie odmienił się w ciągu kilku chwil.

Geillis miała wrażenie, jakby została uderzona czymś ciężkim w głowę. Podchodzili do niej ludzie, pytali, czy chce coś zjeść, ale ona siedziała na swoim miejscu nieruchomo i w milczeniu. Gobannicjon bał się przez chwilę, że jego siostra oszalała, ale kiedy przyprowadził Asten, jej kilkuletnią córeczkę, Geillis ocknęła się z zamroczenia.

W drugiej izbie na marach leżał Celtyllus. Gobannicjon kazał przeszukać izbę biesiadną i znalazł jego kielich. Okazało się, że przed użyciem ktoś wsypał do środka truciznę. Gobannicjon zdawał sobie sprawę, że musiał to uczynić ktoś ze służących, więc rozpoczął dochodzenie. Od rana z czeladnej roznosiły się krzyki ludzi przypalanych ogniem w celu wydostania z nich zeznań. Wreszcie okazało się, że wśród niewolników Celtyllusa znajdował się człowiek przekupiony przez spiskowców.

Gobannicjon nie zwlekał z wykonaniem kary. Uczynił to publicznie, by dać do zrozumienia wszystkim, że wie, kto stoi za zabiciem jego szwagra. Niewolnik zginął okrutną śmiercią, spalony żywcem, a na ludzi padł blady strach, gdy to oglądali. Pozycja Gobannicjona wśród Arwernów była silna, miał za sobą sztab ludzi gotowych na wszystko.

Pozostawało jeszcze wyprawić Celtyllusowi pogrzeb. Potem Gobannicjon musiał znaleźć nowego męża dla Geillis. Wiedział, że Aman pójdzie za nią, chyba że kto inny zechce ją poślubić. Zastanawiał się, czy sam nie mógłby tego uczynić. To by nie było głupie wyjście.

Wieczorem przed ceremonią pogrzebową, gdy dla Celtyllusa wzniesiono wspaniały stos, pojawiła się Scatah, chociaż nikt po nią nie posyłał. Odziana była w ciemne szaty, a głowę miała posypaną popiołem. Wydawało się, że czas dla tej kobiety się zatrzymał, że stanowi dla niej tylko puste słowo. Jej zielone oczy skrzyły się w blasku pochodni, a intensywnie rude włosy zdawały się płonąć.

Podeszła do Geillis i położyła jej rękę na ramieniu.

- Kiedy przed laty mówiłam, że Celtyllus nie będzie miał

więcej synów, to właśnie miałam na myśli – powiedziała. – Jego zamiary za bardzo przeszkadzały wrogom. Gdyby mu się udało, zażegnałby w przyszłości wielkie niebezpieczeństwo. Teraz ci głupcy sami są sobie winni.

Geillis uniosła na nią znużone oczy.

– Wydaj Aman za twojego brata i uciekaj stąd – doradziła jej Scatah. – Nie jesteś tutaj bezpieczna.

– Wszystko mi jedno – stwierdziła Geillis ponuro.

– Ale twemu synowi nie będzie wszystko jedno, kiedy tu wróci za parę lat – odparła Scatah. – Uciekaj stąd do Sekwanów albo wyjdź za mąż za możnego człowieka.

– Za kogo?

– Za Cynnusa. On ma teraz władzę i pozycję, wrogowie Celtyllusa nie ośmielą się ciebie tknąć pod jego dachem. Twój syn będzie cię jeszcze kiedyś potrzebował, nie zapominaj o nim.

Po czym Scatah odwróciła się na pozór obojętnie i odeszła w stronę stosu, na którym spoczywał Celtyllus.

Rozpoczęła się smętna ceremonia pogrzebowa. Ten sam bard, który kiedyś śpiewał pieśń pochwalną na cześć możnego władcy, teraz zawodził przejmujący lament na śmierć Celtyllusa.

*Niosę u boku mego głowę
Celtyllusa, szlachetnego wodza.
Kruk usiadł mu na białej piersi.
Niosę na płaszczu moim głowę.
Tego, co orłem był wspaniałym.
Drapieżnik pierś mu dzisiaj kąsa.
Niosę na dłoni mojej głowę
Celtyllusa, szlachetnego pana.
Kruk jego białą pierś wyżera.
Niosą me lędźwie ciężar głowy,
Głowy obrońcy swego kraju.
Miecza wśród bitwy wzniesionego.
Niosę na tarczy mojej głowę.
Zamysły jego wielkie były.*

*Daleko sięga jego sława.
Dziś białe, gładkie ciało skryje
Ziemia i dęby, co wyrosną,
A dla mnie ból, bo zmarł mój rodzic.
Zasypie białe, gładkie ciało
Ziemia i piasek pomieszane,
A dla mnie ból i los okrutny.*

Pieśń ciągnęła się jeszcze długo po tym, jak podpalono stos pogrzebowy. Geillis patrzyła oślepiała z bólu, nie mogąc uwierzyć, że to jej mąż płonie na swoim ognistym posłaniu. Miała ochotę krzyczeć, ale ani jedno słowo, ani jeden dźwięk nie wydostał się z jej gardła. Jedyne, co do niej docierało, to narastająca rozpacz i pragnienie zemsty.

Tak naprawdę jednak wiedziała, że nic nie może zrobić i że wraz ze śmiercią Celyllusa dla niej rozpoczyna się nowe, niekoniecznie wspaniałe życie.

V

Cezar przebywał w Rzymie już od trzech lat i od jakiegoś czasu czuł, że się tu marnuje czy może raczej marnuje talenty, jakimi go obdarzył los, oraz nie robi nic, by osiągnąć jakiegokolwiek państwowe zaszczyty. Z jednej strony dobrze było mieć przy sobie żonę i córkę, żyć jak każdy szary obywatel, ale z drugiej strony Cezar odczuwał mrowienie pod skórą. Chciał coś osiągnąć, pójść w ślady swego ojca, który doszedł do konsulatu.

Był wszak arystokratą, zubożałym w wyniku wojny domowej, ale jednak. A szlachectwo zobowiązywało do aktywności politycznej, której on zbyt gorliwie nie wykazywał.

Owszem, wystąpił dwa razy w procesach sądowych, w jednym oskarżał Dolabellę o zdzierstwa, ale ten proces zakończył się dla niego porażką. W drugim, rok później, występował jako obrońca Greków w sprawie przeciw Gajuszowi Antoniuszowi, jednak ten proces nie miał większego znaczenia.

No i zajmował się literaturą. Próbował swoich sił w poezji, jednak czuł, że to nie dla niego, jakkolwiek pisma podobały się ludziom i czytelnicy chwalili bardzo jego styl. Mimo to miał wrażenie, że powinien „coś zrobić”, a nie siedzieć beczynnie w Rzymie i korzystać z dobrodziejstw pozornego pokoju, jako że poza granicami Italii wciąż toczyły się większe lub mniejsze wojny.

Tak więc do swego domu w Rzymie, gdzie się przeniósł na zimę, zaprosił brata matki, Aureliusza Kottę, aby zaczerpnąć u niego rady co do swoich dalszych posunięć.

Aureliusz był ciemnowłosym człowiekiem, mniej więcej dwadzieścia lat starszym od Cezara, tak jak jego siostrzeniec

obdarzonym niezaprzeczalną urodą. To on związał młodego Cezara z popularami, wskazał mu kierunek, w jakim powinien podążać, i zasugerował mu małżeństwo z córką Cynny.

Dlatego Cezar cenił sobie wielce zdanie wuja.

Siedzieli w tablinum Cezara, gdzie dominowało pokryte papierami biurko. Cezar był akurat w trakcie pisania swego kolejnego dzieła, toteż wszędzie porozkładane były papirusy, pumeksy do polerowania stron, tabliczki woskowe do pisania na brudno i rylce, którymi się posługiwał. Aureliusz zaskoczył siostrzeńca przy pracy, Cezar nie zdążył sprzątnąć całego tego bałaganu.

- Wybacz, wuju, ten chaos w moim pokoju - poprosił Cezar z uśmiechem. - Kiedy pracuję, jestem zbyt pochłonięty, by zwracać uwagę na nieporządek. Ale jeśli ci to przeszkadza, pójdziemy do perystylu.

Aureliusz Kotta parsknął śmiechem.

- Zabawny jesteś, Gajuszu - powiedział. - Nie przeszkadza mi to, dopóki nie będę się potykał o twoje papirusy. A do perystylu o tej porze roku naprawdę nie mam ochoty się udawać. Co innego, gdy ciało ma dwadzieścia pięć lat, a co innego, gdy już przekroczyło czterdziestkę.

Cezar także nie miał ochoty iść do perystylu, gdzie w miesiącach zimowych nie było najprzyjemniej. Panował miesiąc februarius, kiedy do Italii powinna powoli nadchodzić wiosna, jednak bywało i tak jak tego roku, że ciepłe afrykańskie wiatry blokowane były przez wichry północne i zachodnie. Cezar miał na sobie grubą tunikę, a na nogach wełniane skarpety pod wysokimi butami, by mu nie było zimno.

- Chciałem cię zapytać o radę, wuju - odezwał się Cezar po chwili rozmowy na oględne tematy. - Trzeba mi zacząć poważnie myśleć o drodze do konsulatu. Mój dziad i ojciec byli konsulami, więc ja muszę iść w ich ślady.

- Toteż dziwi mnie, żeś jeszcze nie zaczął - zauważył wuj.

- Moja matka nie chce, żebym mieszał się w politykę - wyznał Cezar. - Podburza do tego Kornelię i Julię.

- Aurelia zawsze była dziwna - mruknął jej brat. - A odkąd zmarł twój ojciec, a potem twoja siostra, stała się wręcz

wrogiem polityki, chociaż się nią żywo interesuje. Źle jednak, że wywiera nacisk na twoją żonę i córkę. A jak tam, Kornelia nie spodziewa się dziecka?

Cezar pokręcił głową.

- W zeszłym roku poroniła ciążę i od tamtego czasu nie mogę jej zapłodnić. Dlatego ona uważa, że chcę wyjechać na Rodos, żeby od niej uciec i znaleźć sobie kobietę, z którą bym spłodził syna. Co za bzdura! Gdybym chciał syna, to rozwiódłbym się z Kornelią i ożenił z inną Rzymianką.

- Pamiętam, jak swego czasu Sulla kazał ci się z nią rozwieść - powiedział zamyślony Aureliusz.

- No właśnie - mruknął Cezar pod nosem.

- A więc chcesz jechać na Rodos? - zaciekawiał się wuj. - Czyżby w celu pobierania nauki wymowy?

Cezar upił łyk grzanego wina, zaprawionego goździkami i cynamonem. Uwielbiał podobne trunki w zimowe dni znacznie bardziej niż napary z ziół, które serwowała jego matka. Po prawdzie kobietom nie wolno było pić wina, ale Cezar dla swojej żony w najchłodniejsze zimowe dni robił wyjątek i pozwalał jej pić grzane falernum z przyprawami.

- Czas już, wuju, iść w ślady Cycerona - odparł. - Jeśli chcę coś znaczyć w tym mieście, muszę umieć mówić. Cyceron chce chyba pobić w tej sztuce samego Demostenesa z Aten, a i ja nie zamierzam być gorszy.

Aureliusz Kotta roześmiał się głośno.

- To widzę, że jesteś ambitny, chłopcze. Najwyższy czas! Już się zastanawiałem, czy z tobą coś nie tak i czy te kobiety cię zbytnio nie zawojowały.

Cezar miał cierpki wyraz twarzy.

- No cóż, twoja siostra, a moja matka robi, co może, żeby zyskać nade mną przewagę w czynach i słowach. Najgorsze jest to, że ma nade mną czteroletnią przewagę, jeśli chodzi o Julię.

- Ależ Julia cię uwielbia, Gajuszu! - zawołał Kotta zdumiony. - Że też ty tego nie dostrzegasz!

- Julia myśli, że chcę wyjechać na Rodos, bo jej już nie kocham - zaśmiał się Cezar. - I jestem pewien, że to moja matka powtarza jej te głupstwa. Dlaczego, na Jowisza, robi się

ze mnie takiego okrutnika zarówno w mieście, jak i w stosunku do moich najbliższych?

Aureliusz Kotta spojrzał na swego siostrzeńca uważnie. Było coś tajemniczego w tym przystojnym młodym człowieku. W jego czarnych oczach krył się jakiś mroczny żar, coś na kształt nieposkromionego temperamentu, który Cezar umyślnie skrywał przed otoczeniem. Rzymianie cenili sobie mężów statecznych i rozważnych, toteż Cezar, żeby nie stracić głowy, kreował się na takowego, jednocześnie będąc życzliwym dla wszystkich naokoło.

O dobro swoich klientów dbał szczególnie. Jednak gdzieś w głębi duszy Aureliusz podejrzewał, że owa troska wynika nie tyle z dobroci serca, ile z chłodnego umysłu człowieka trzeźwo kalkulującego. Ten mężczyzna doskonale zdawał sobie sprawę, co kocha rzymski lud, i że więcej się zyska życzliwością i troską niż krzykiem i okrucieństwem.

To wszystko wuj dostrzegał w rysach twarzy swego siostrzeńca. W stanowczych liniach jego ust i szczęk, w bystrym, uważnym spojrzeniu, przenikającym człowieka na wskroś. Ten chłopak może sporo osiągnąć, jeśli tylko okaże się dostatecznie przebiegły, myślał Aureliusz Kotta, spoglądając na zwinne, tygrysie ciało Cezara.

- Koloryzujesz, Gajuszu - powiedział na jego ostatnią uwagę. - Jeśli chcesz, pomówię z Aurelią i dam jej do zrozumienia, że nie zachowuje się odpowiednio.

- Nie o to cię chciałem prosić, wuju, tylko o radę - odparł Cezar chłodno. - Co mi radzisz w sprawie Rodos? Czy powinienem tam jechać, czy może lepiej od razu starać się o urzędy?

- Bez odpowiedniej wiedzy nie zdobędziesz żadnego urzędu - stwierdził wuj. - Ani bez właściwego przygotowania. Wiedzę, jak mniemam, masz dość dobrą, mam na myśli politykę i stan państwa, by się wspinać po szczeblach kariery, ale musisz jeszcze nabrać ogłady. Jedź na Rodos do mistrza Apolloniosa, a jak uznasz, że jesteś gotowy, wróć do Rzymu.

- Wuju, czy ja nie jestem na to za stary? - zapytał Cezar po chwili.

- A co to za głupstwa? - zaśmiał się Aureliusz. - Pokaż mi choć jednego człowieka w twoim wieku, nie licząc sławnego Scypiona Afrykańczyka, który by się dorobił zaszczytu! Jesteś zbyt ambitny, wydaje mi się.

- Przed chwilą sugerowałeś, że mi ambicji brak - zauważył Cezar.

- Myliłem się - odparł wuj zwięźle.

Aureliusz Kotta nie chciał wyjawiać siostrzeńcowi, że wie, co się na jego temat mówi wśród optymatów. Grupa senatorów skupiona przy Cynceronie i Katonie Młodszym widziała w Cezarze zagrożenie dla Republiki, chociaż na razie były to jedynie pobożne życzenia. O ile jednak Cynceron był głęboko zatroskany, o tyle Kato Młodszy należał do ludzi nieodznaczających się zbyt lotnym umysłem, był konserwatystą do szpiku kości i gdy raz wbił sobie coś do głowy, nie odstępował swej myśli już nigdy.

Kiedy patrzył na swego siostrzeńca, Aureliusza przebiegały dreszcze, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego. Ale Aureliusz Kotta wspierał Cezara, chłopca osieroconego przez ojca, gdy miał zaledwie czternaście lat. Od tamtej pory służył mu radą i pomocą, nie wahał się też sięgać po inne środki, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Teraz zaś czuł wyraźnie, że ów chłopiec gotów jest samodzielnie rozwinąć skrzydła i zacząć latać. I dobrze, wuj był z tego niebywale zadowolony. Miał nadzieję, że ów lot przyniesie Cezarowi sukces.

Jednak wyżej niż do konsulatu Aureliusz Kotta nie mierzył.

Kornelia zajęta była przedzeniem wełny, jak przystało rzymskiej matronie, gdy Cezar wszedł do atrium. Dzień był pochmurny i mglisty, opary znad Tybru unosiły się nad miastem, czyniąc je tego dnia wyjątkowo nieprzyjemnym. Cezar zwykł był mawiać, że latem mieszkańcy Rzymu wykańcza malaria, zimą lodowata mgła znad rzeki i choroby płuc, ale osobiście nigdy w życiu nie wyprowadziłyby się stąd na stałe.

Przedzenie wełny było znakomitym zajęciem na zimowe wieczory i chłodne dni. Kornelia niechętnie w taką pogodę opuszczała dom, po zakupy posyłała niewolnice, a sama wolała

zająć się czymś pożytecznym i aprobowanym przez mężczyzn. Takich czynności Rzymianki nie miały zbyt wiele, ona jednak nie lubiła siedzieć beczynnie, wylegiwać się na sofie albo tkwić przed lustrem.

Cezar zastał ją siedzącą wraz ze służącymi, które czesały uprzedzoną wełnę. Później należało ją ufarbować wedle przeznaczenia, a to znowu Kornelia lubiła nadzorować, bo to ona decydowała, kto otrzyma płaszcz jakiego koloru.

- Zostawcie nas - polecił Cezar niewolnicom.

Były to głównie Greczynki i Afrykanki, wnuczki i prawnuczki wziętych do niewoli Kartagińczyków. Wszystkie smagłe, o oliwkowej lub hebanowej karnacji, czarnookie i piękne, ale Cezar ledwie zwracał na nie uwagę, porażony urodą Kornelii.

Żona dalej przędła wełnę, nie odrywając wzroku od swej roboty. Po tonie głosu Cezara poznała, że nie ma dla niej dobrych wieści. Od czasu, jak poroniła ostatnią ciążę, starała się go unikać, bo przypisywała sobie całą winę, że nie mają syna. Cezar kochał Julię i okazywał jej troskę, ale czym innym było mieć córkę, a czym innym męskiego potomka, któremu można przekazać imię rodu.

Kornelia nie przyjmowała do wiadomości, że Gajusz o nic jej nie oskarża.

Cezar odczekał, aż niewolnice wyjdą i zasłonią za sobą kotarę, którą zimą zawieszano dla utrzymania ciepła, i dopiero wtedy przystąpił do rzeczy.

- Kornelio, na wiosnę pragnę się udać na Rodos - powiedział, nie owijając w bawełnę. - Mam zamiar odbyć tam studia retoryki.

Kornelia wypuściła z rąk wrzeciono, a wełna trzymana w drugiej ręce wpadła jej do koszyczka, który miała na kolanach. Spojrzała na Cezara ze szczerym zdumieniem.

- Mówisz poważnie, Gajuszu? - zapytała. - Na jak długo?

- Jakies pół roku, może trochę dłużej - odparł wymijająco. - Jeżeli nie uda mi się wrócić w tym roku, to z pewnością przyjadę w przyszłym.

- Mówisz to z taką lekkością, jakbyś decydował o kolorze

tuniki – zauważyła Kornelia z przekąsem.

– Możesz być pewna, że dla mnie nie była to prosta decyzja – powiedział spokojnie. – Długo się nad tym zastanawiałem, nawet rozmawiałem z bratem matki. I to on doradził mi, bym udał się na Rodos w celu pogłębiania wiedzy.

Kornelia odłożyła koszyk na stół, przyglądała fałdy stoli, w którą była odziana, po czym skierowała wzrok na męża.

– Wydaje mi się, Gajuszu, że za tym się kryje coś więcej – oznajmiła. – Czyżbyś zamierzał zająć się polityką?

– Owszem – przytaknął Cezar. – Czas już na to najwyższy. Dość się nasiedziałem beczynnie w domu przez te trzy lata.

– No, nie były takie znowu beczynne – stwierdziła Kornelia.

– Mówisz o moich pismach i wystąpieniach w senacie? Cóż, zmarnowanym czasem bym tego nie nazwał, ale ojciec w moim wieku był już trybunem wojskowym, podczas gdy ja jestem nikim.

– Twoja matka mówi, że jesteś ambitny.

– Nie mieszajmy w to mojej matki. Jej się wydaje, że jestem cały czas małym chłopcem, którego ona musi pilnować. Na Jowisza! Stale powtarza, jaka to straszna szkoda, że nie mamy syna. To ona ci wmawia te banialuki o bezpłodności, czyż nie? Większej bredni Odys nie mógłby wymyślić!

Kornelia spuściła oczy. W rzeczy samej wysłuchiwała co miesiąc tyrady na ten temat. Aurelia nie miała wnuka, ponieważ jej córka Julia urodziła dziewczynkę, Attię i na razie na tym się skończyło. Toteż upominała Cezara, że nie ma syna, podobnie czyniąc z Julią, która chwilami dość miała matczynych narzekań.

Ale Kornelia źle się czuła z tą świadomością. Chodziła do greckich medyków, którzy nie mogli jej pomóc, bo nic nie wskazywało na bezpłodność. Zresztą nie tu był pies pogrzebany; Kornelia po prostu nie mogła donosić żadnego płodu, a była brzemienna po Julii już trzy razy. To ogromnie smuciło Cezara, który martwił się o zdrowie żony i tym bardziej drażniły go nieustanne komentarze Aurelii.

– Nie mówmy o tym – poprosiła Kornelia, odwracając twarz.

Cezar ujął jej podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie słuchaj jej, Kornelio, powtarzam ci - powiedział.

- To ty siedź z nią przez cały dzień, kiedy powtarza swoje, a ja pójdę do senatu - zaproponowała Kornelia ze złością. - Ale nie mówiliśmy o mnie, tylko o twojej podróży na Rodos.

- Otóż to - uśmiechnął się Cezar. - Bo widzisz, Kornelio, chciałbym, żebyście obie z Julią dołączyły do mnie latem, kiedy znajdę jakiś dom i wszystko zorganizuję.

Kornelia patrzyła na niego z takim zdumieniem, jakby oznajmił, że ma zamiar udać się na wyprawę łupieżczą do Indii. Jej usta drgały przez chwilę, po czym Kornelia zapomniała o powinnościach cnotliwej żony i zarzuciła Cezarowi ręce na szyję.

Cezar śmiał się pod nosem.

- A ty myślałaś, że chcę jechać sam? - wymamrotał, gdy udało mu się wychylić czubek nosa nad jej rękaw. - To chyba jasne, że nie chcę się z tobą rozstawać. Ani z Julią.

Kornelia usiadła, a Cezar pochylił się i ujął jej ręce w swoje.

- Czas już zabrać się za politykę - powiedział. - Mam zamiar iść w ślady ojca i zostać konsulem. W tym mieście, jeśli chcesz być kimś, musisz mieć władzę. Jeżeli chcesz, by inni cię szanowali, muszą cię jednocześnie kochać i bać się ciebie.

- Jak to możliwe? - zapytała Kornelia.

- Dzięki władzy i łaskawości. Otóż Sulla popełnił błąd: ludzie go nie kochali. Bali się go, ich szacunek do niego wynikał ze strachu i był podszyty nienawiścią. A ja chcę, żeby ludzie mnie kochali i szanowali. A poza tym powinni czuć wobec mnie wdzięczność lub jakoweś zobowiązania.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Rodos? - chciała wiedzieć Kornelia.

- Tam uczą walki słowem - odparł Cezar. - Jeśli chcę kiedyś osiągnąć konsulat, muszę umieć przemawiać do ludu. Inaczej nic nie zdziałam.

Wstał i poprawił na sobie wełnianą tunikę.

- Dobrze, wobec tego postanowione - oświadczył. - Jeszcze dziś napiszę list do mojego pośrednika, żeby mi wyszukał odpowiedni statek. Jak tylko morze stanie się żeglowne, udam

się na Rodos pierwszy, a gdy przygotuję dla was mieszkanie, przyślę statek do Ostii.

Wyszedł z atrium, po drodze dając polecenie Serwiuszowi, by kazał niewolnicom wracać do pani. Był zadowolony z tej rozmowy, tym bardziej że pomysł zabrania żony i córki na Rodos pojawił się w jego głowie dosłownie w ostatniej chwili. Gdy jednak pomyślał, że Kornelia będzie musiała siedzieć tu cały rok bez niego i wysłuchiwać głupiego gadania o niespłodzonym synu, poczuł się chory.

Istotnie, musiał pomówić z matką, inaczej nie może być. Aurelia za bardzo zaczęła się panoszyć ostatnimi czasy. Czyżby zapomniała, gdzie jej miejsce?

Cezar usiadł za biurkiem i zabrał się do pisania listu do swojego pośrednika w handlu, Sekstusa Plankcjusza, by zaczął szukać statku stosownego do potrzeb senatora udającego się w morską podróż.

Bo Cezar mimo wszystko nie lubił podróżować jak byle kto.

Rzecz jasna, nie obyło się bez wytłumaczenia Julii, dlaczego ojciec wyjeżdża na Rodos, i obietnic, że wkrótce obie z matką do niego dołączą. Julia wbiła sobie do głowy, że Cezar wyjeżdża, bo jest z niej niezadowolony, toteż całe popołudnie spędzili razem, a Cezar starał się wyjaśnić córce, że wcale nie chce od niej odjeżdżać, a wręcz przeciwnie, zabrać ją ze sobą, ale dla bezpieczeństwa jedzie jako pierwszy.

Julia uwielbiała swego ojca, co wszyscy dookoła widzieli i dziwili się takiemu stanowi rzeczy. Ale stosunki między nimi kształtowały się nieco podobnie, jak układ między ojcem i synem, ponieważ Cezar owego syna nie miał. Być może z tego powodu Julia była dla niego wszystkim, oczkiem w głowie, dlatego poświęcał jej dużo czasu i uwagi i wtajemniczał w sprawy, w które zazwyczaj nie wtajemnicza się dziewczynki.

A Julia przez te trzy lata przywiązała się do niego ogromnie i nie wyobrażała sobie, żeby Cezar mógł gdzieś pojechać bez niej. Służba dziwiła się, że ojciec dziewczynki miał u niej większy posłuch niż matka i że traktował ją bardziej jak równego sobie przyjaciela, z którym może o wszystkim porozmawiać, niż jak siedmioletnią córkę.

W końcu Cezar odpłynął do Grecji, skąd dopiero miał wyruszyć na Rodos, zostawiając na nadbrzeżu w Ostii niepokieszoną, zapłakaną Julię, dla której rozłąka choćby na kilka tygodni stanowiła ogromną tragedię.

Stojąc na pokładzie, na szeroko rozstawionych dla utrzymania równowagi nogach, Cezar śmiał się pod nosem na wspomnienie uścisków i pocałunków, jakimi go na pożegnanie obdarzyła Julia i pomyślał, że już zaczyna za nią tęsknić.

Podróżował, jak przystało na arystokratę, wraz ze służbą i osobistym medykiem. Płynął z nim także zaufany człowiek, Publiusz Rufus, który odpowiadał za jego bezpieczeństwo. Cezar sam sobie dobierał ludzi i ufał im bezgranicznie, a oni wiedzieli, że w razie zdrady czeka ich bolesna śmierć. Cezar nie wybaczał ludziom, którzy od niego odstąpili, a którym on zaufał, jednak tym, którzy przyznali się do błędu i prosili o wybaczenie, potrafił dać drugą szansę. Pomimo młodego wieku cieszył się szacunkiem, a jego niewolnicy darzyli go respektem.

Podróż zapowiadała się dość długa, jako że marynarze starali się nie tracić lądu z zasięgu wzroku. Bali się otwartego morza, które było zdradliwe nawet w czasie stosownym do żeglugi.

Jednak Cezar ani myślał nudzić się przez ten czas. Zajęć miał dosyć, począwszy od patrzenia na morze i rozmyślenia nad swoją świetlaną przyszłością, która na razie była tylko niewyraźnym zarysem na horyzoncie, do pisania wierszy i traktatów, na którym to zajęciu spędzał niemal całe dni.

Statek zawinął do portu w Brundyzjum, po czym przepłynął się przez Adriatyk w miejscu, gdzie cieśnina była najwęższa, i wpłynął na Morze Jońskie. Z tej strony półwyspu plaże były niedostępne, a porty nieprzyjazne, wyspy zaś porzucane przy brzegach stanowiły niebezpieczeństwo dla statków, więc żeglowano nieco dalej, na głębszych wodach.

W końcu statek dotarł do Pireusu, a tam Cezar miał się przesiąść na inny okręt, płynący na samą wyspę Rodos.

Oczywiście cały statek wynajął dla siebie i swojej świty, nie

godziło się bowiem, by arystokrata rzymski podróżował inaczej.

Cezar nie zauważył jednak spojrzeń, jakie sobie rzucali marynarze w porcie, gdy wraz z niewolnikami ładował się na okręt. Taki przepych kusił morskich rozbójników, a Cezar był niedoświadczony, jeśli chodzi o morskie podróże. Ta była jego drugą, poprzednio zaś podróżował jak zwykły obywatel.

Przez ten brak spostrzegawczości wpakował się prosto w ręce cylicyjskich piratów.

Morscy rabusie stanowili poważny problem dla żeglugi rzymskiej, ponieważ Morze Egejskie ze swoimi Cykladami stanowiło wprost wymarzone pole dla ich działalności. Mnogość wysp zapewniała bezpieczne kryjówki, a poza tym łatwo można było dostrzec bogaty statek z górzystych stoków. Mieszkańcy pobliskich wybrzeży byli na ogół przyjaźnie nastawieni do piratów, gdyż ci zostawiali ich w spokoju, czatując na rzymskie łupy. Rzymianie zaś od wielu lat nie mogli sobie dać rady z piratami z Cylicji, chociaż nie tylko z nimi.

Cezar był najzupełniej spokojny, przekonany, że żaden pirat nie ośmieli się zaatakować jego okrętu, ale pomylił się. Gdy jego statek przepływał w pobliżu wyspy Farmakussy, nieoczekiwanie zza skał wyłoniła się olbrzymia flotylla piracka, zwabiona widokami na rychłe wzbogacenie się.

Załoga ze statku Cezara nie zamierzała się nawet bronić, gdyż przy liczbie okrętów pirackich było to niemożliwe. Cztery olbrzymie statki przeciwko jednemu – i odpowiednio o tyle samo więcej ludzi – miały widoczną przewagę.

Cezar zgrzytał zębami ze złości, ale było za późno. Stał się jeńcem piratów.

- Jeżeli oni myślą, że im to puszczę płazem, są w błędzie – wycodził przez zęby, podczas gdy kapitan piratów wszedł na pokład statku.

Był to człowiek o wschodniej urodzie, niski, kędzierzawy i smagły, przypominający z uczesania Greka, odziany w bogatą tunikę wyszywaną złotem i wymachujący wielkim rzymskim mieczem. Jego ludzie natychmiast rozbili ludzi Cezara, a sam kapitan podszedł do niego z paskudnym szerokim uśmiechem.

- No, no - zacmokał. - Co nam się tu trafiło? Gruba rybka

z samego Rzymu? Bogowie się do mnie uśmiechnęli, jak widzę.

- Nie każdemu zdarza się takie szczęście - zauważył pogodnie Cezar, który wpadł nieoczekiwanie w wisielczy humor.

- Ale nie radziłbym ci mnie zabijać, bo nic na tym nie zyskasz.

Kapitan piratów zaśmiał się hałaśliwie.

- Zabijać ciebie? Jeszcze nie oszalałem. Aż tak trzęsiesz się o swoje życie, że mi odradzasz jego odebranie? Nie bądź śmieszny, jesteś wart majątek.

Cezar uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie dotarł do jego oczu, które pozostały zimne i czujne.

- Jest straszny upał, więc może zechcesz napić się wina i usiąść? - zaproponował. - Takie polowanie na ofiary musi być wyczerpujące, czyż nie? Usiądźmy i porozmawiajmy o interesach, jak przystało na światowych ludzi.

Kapitan piratów spojrzał na niego z niedowierzaniem, bowiem pierwszy raz spotkał się z taką nonszalancją u schwytanego właśnie zakładnika. Cezar jednak, niczym niespieszony, klasnął w ręce na swojego sługę, który natychmiast się zjawił.

- Jakiego wina się napijesz? - zapytał. - Mam czteroletnie sabinum i wyśmienite falernum, z którego Rzym słynie na cały świat. Wybieraj, memu gościowi nie odmówię niczego.

- To nie odmówisz mi także dwudziestu tysięcy talentów w złocie - oznajmił kapitan piratów.

- Co? Tylko tyle? - zakpił Cezar. - Obrażasz mnie, zacny człowieku. Jak ci na imię?

- Lykos - przedstawił się kapitan piratów.

- Obrażasz mnie, Lykosie, ceniąc mnie tak nisko. Dwadzieścia tysięcy talentów! Gajusz Juliusz Cezar wart jest dwa razy tyle! A dorzucę jeszcze dziesięć jako prowizję za opiekę, którą nade mną roztoczą twoi ludzie, dbając, by mi żaden włos z głowy nie spadł.

Lykos mimowolnie spojrzał na elegancką głowę Cezara, nad którą jego fryzjer pracował cały ranek, po czym stwierdził, że ma do czynienia z człowiekiem bardzo głupim, bardzo bogatym albo bardzo pewnym siebie.

Pięćdziesiąt tysięcy talentów w złocie!

Nie, ten młodzieniaszek musiał być szaleńcem!

- Zgadza się - powiedział wreszcie.

Nie dostrzegł absurdu sytuacji, w której pojmany więzień sam decyduje o wysokości okupu. Cezar zaś uśmiechał się pod nosem, ale tylko jego niewolnicy, którzy znali ten rodzaj uśmiechu, domyślali się ukrytej pod nim groźby.

Cezar skinieniem ręki przywołał do siebie Rufusa, po czym odszedł z nim na stronę, ale tak, by być na widoku Lykosa.

- Popłyniecie do Grecji i ściągniecie mi te pieniądze - wydał polecenie. - Możesz być pewien, że sowicie was za to wynagrodzę.

- Cezarze, dla ciebie gotów jestem narazić moje życie - odezwał się Rufus i była to szczerą prawdą. - Ale dlaczego zaproponowałeś mi aż tyle?

- Żeby stać się choćby pozornie panem sytuacji, Rufusie - odparł Cezar. - Dla takich pieniędzy zostawię mnie w spokoju, a nadto będą mi dogadzać, gdyż w ich oczach zyskam na wartości.

- Czy aby nie zechcą cię zabić po tym wszystkim, Cezarze? - zapytał Rufus z obawą.

- Nie. Zażądam od nich wysłania zakładników, inaczej nie dostaną okupu. Proste i skuteczne. Ale, Rufusie, jeżeli oni sądzą, że pożyją po tym jeszcze długo, to się mylą, biedacy.

- Co zamierzasz, Cezarze? - zaciekawiał się Rufus.

Nie miał bowiem najmniejszych wątpliwości, że Cezar nie podaruje rozbójnikom napadu na swoją osobę.

- Ukrzyżuję ich - wycedził Cezar przez zęby tonem tak lodowatym, że Rufusa zimny dreszcz przeniknął do głębi, chociaż dzień był upalny.

Zdumiony spojrzał swemu panu w oczy. Dostrzegł w nich jedynie niczym niezmaconą pewność siebie i bezgraniczny chłód. Wtedy po raz pierwszy Rufusowi przyszło na myśl, że Cezar pod maską życzliwości i dobroduszości jest człowiekiem bezwzględny i stanowczy, który nie przyjmuje porażek, a dla ludzi, którzy ośmielili się okryć go hańbą, nie ma żadnej litości.

Cezar posłał mu uspokajające spojrzenie, po czym przybrał

ten sam nonszalancki wyraz twarzy i z szerokim uśmiechem skierował się w stronę Lykosa, popijającego wino pod płóciennym baldachimem.

Podczas gdy niewolnicy Cezara otrzymali pozwolenie, by udać się na ląd w celu zebrania okupu, on sam tkwił na okręcie, mając do towarzystwa bandę morskich rozbójników. Byli wśród nich dezertery, także Rzymianie, na których Cezar spoglądał z pogardą, wcale tego nie kryjąc. Byli też wywłaszczeni rolnicy, sieroty, różnego rodzaju wyrzutki i najzwyklejsi bandyci, którzy doszli do wniosku, że szybki zarobek jest o wiele przyjemniejszy niż żmudna praca na lądzie, zwłaszcza na kamienistych glebach Grecji.

Z Cezarem został jedynie jego osobisty służący i grecki medyk Zenon, który troszczył się o stan zdrowia swego pana. Młody człowiek cierpiał bowiem na epilepsję, którą w Rzymie uważano za chorobę zesłaną przez bogów, a ponadto nawiedzały go czasem straszliwe migreny, podczas których nie mógł się niczym zajmować, tak silne były bóle.

Teraz oni dwaj na zmianę usługiwali Cezarowi i piratom, częstując ich winem z zasobów Cezara. Jakkolwiek jednak do swego pana odnosili się z szacunkiem i dyskretną sympatią, o tyle przed piratami nie ukrywali strachu i niechęci.

Cezar zaś obnosił się z genialnym wprost humorem, kpiąc sobie z piratów i samego Lykosa.

- Czy nie możecie się zamknąć choć na chwilę? - wrzasnął któregoś razu, aż poniosło się po morzu. - Usiłuję pisać, a jak mogę się skoncentrować, kiedy wydzieracie te paskudne gęby?

Mówił to jednak z błyskiem w oku, toteż piraci wybuchnęli gromkim rechotem, ale, o dziwo, uspokoili się.

Z Lykosem prowadził Cezar najspokojniej w świecie dyskusje filozoficzne, oskarżając go o ignorancję i nieuctwo, a Lykos wygarniał Cezarowi pańskie maniery zadufanego w sobie Rzymianina. Kończyło się na tym, że razem wychylali kubek wina i Cezar wracał do swych zajęć.

Dni wlokły się smętnie jeden za drugim, ale Cezar zdawał się świetnie bawić. Grał z piratami w kości, w dodatku perfidnie oszukując i naciągając ich łącznie na piętnaście talentów.

- Odciągnę to sobie przy wypłacie okupu - oznajmił z triumfem. - Jak jeszcze trochę ze mną pogracie, to będziemy kwita.

Lykos przyglądał się temu z rozbawieniem.

- Masz dobrą rękę - stwierdził.

- Tak, na tyle dobrą, by was wszystkich ukrzyżować - zauważył Cezar, przyglądając się swoim smukłym dłoniom. - Już powinniście sobie współczuć.

Piraci w odpowiedzi roześmieli się tylko, a Cezar im wtórował. Jedynie Zenon widział w oczach pana zapowiedź przyszłej zemsty, spełnienia wypowiedianych pół żartem, pół serio obietnic.

Każdej nocy, gdy Cezar kładł się spać, Zenon przynosił mu napar z ziół przeciwko apopleksji, a Cezar aż zębami zgrzytał ze złości.

- Czekajcie no - mamrotał pod nosem. - Ja was urządzę. Zenonie, nie można by dosypać im jakiej trucizny do wina? - zapytał medyka z błyskiem w oku.

- Przykro mi, panie, nie zabrałem trucizn - odparł Zenon, tłumiąc uśmiech.

- Co za niepowetowana strata - westchnął Cezar. - Pomyśl tylko, jaką okazję przegapiłeś!

Zenon się roześmiał i zapytał, czy Cezar życzy sobie przynieść jakiś zwój do czytania.

Nazajutrz Cezar od samego rana demonstrował dobry humor, a nawet przeczytał piratom ustęp ze swego dzieła, które właśnie tworzył.

- No i jak? - zapytał, kiedy już skończył.

Rozgorzała zaciekle dyskusja, podczas której dwaj łotrzykowie omal nie chwycili się za łby, co rozbawiło Cezara do łez.

- A ty co o tym sądzisz, Lykosie? - zwrócił się do kapitana.

- Nie podoba mi się - odparł Lykos, racząc się winem.

- Boś głupi - skwitował Cezar, zwijając papirus. - Od razu widać, że na lądzie byłeś nieukiem i ignorantem.

- Prawdę mówi! - wołali piraci.

- Ale mu powiedział!

- Słuchaj go, Lykosie, człowiek wie, co gada!

Cezar się roześmiał.

- Tych, którzy byli po mojej stronie, każę przed ukrzyżowaniem udusić - zapowiedział. - W nagrodę.

Rozbójnicy ryknęli śmiechem jak na komendę, a Cezar zawołał Zenona i kazał podać sobie wina. Kiedy medyk nachylił się nad swoim panem, Cezar postukał go w ramię i spojrzał mu przelotnie w oczy.

- Niech się nie łudzą, że mówiłem prawdę z tym duszeniem - mruknął, puszczając do medyka oko. - Jak będą jęczeć o łaskę, powiedz im, że Cezar robi to, co mu się podoba ze swoimi jeńcami.

Zenon ani przez chwilę nie miał co do tego wątpliwości.

On sam zastanawiał się, skąd u Cezara tyle zimnej krwi, by przesiadywać w gronie swoich porywaczy i panów życia i śmierci, grać z nimi w kości, ogrywać ich doszczętnie, deklamować swoją poezję i jeszcze wdawać się z nimi w dyskusje. Tak jak wczoraj, kiedy rozprawiali nad ideałem kobiecym i nad ulubioną pozycją, a Cezar zachowywał się, jakby był w łaźni publicznej wśród swoich dobrych przyjaciół. Poklepywał ich po plecach, śmiejąc się i wykrzykując sprośności, o jakie Zenon nie posądzałby dobrze wychowanego patrycjusza, a do tego wykonywał takie gesty, że Zenon niekiedy rozdziawiał szeroko usta, jednocześnie zgorszony i rozbawiony.

Ale do piratów takie zachowanie zdawało się przemawiać najlepiej.

Zenon dziwił się także, jak Cezar może się ośmielać na kłótnie z tą hołotą. W głębi ducha podziwiał młodego człowieka i zgadywał, że z taką odwagą będzie on kiedyś znakomitym żołnierzem.

- Jeżeli już mam umierać, to niech się przynajmniej dobrze bawię - skwitował Cezar przedostatniego wieczoru, kładąc się spać. - Co mi z tego przyjdzie, Zenonie, że będę się bał i trząśł o moje życie. Ta linia jest już zapisana, a jeśli jej kres ma nadejść jutro, to ja tego nie powstrzymam.

Zenon był zwolennikiem innej filozofii, ale poniekąd zgadzał

się ze swym panem.

- A ciebie, Zenonie, wyzwolę w nagrodę za wierność, jak tylko dotrzemy na Rodos - dodał. - Pod warunkiem, że nadal będziesz moim medykiem przynajmniej przez jakiś czas.

Zenon poruszony tą obietnicą, omal nie podskoczył do góry ze szczęścia.

- Zostanę twoim medykiem, jak długo zechcesz, panie - obiecał.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji - zaśmiał się Cezar. - Jeszcze mnie nie znasz.

Dwa dni później los Cezara się odmienił.

Publiusz Rufus stał na pokładzie z zaliczką i cennymi wiadomościami z Miletu, że zdołano zebrać już okup. Pięćdziesiąt tysięcy talentów w złocie, jak zaproponował Cezar. Lykos uśmiechał się zadowolony, ale jednocześnie okazywał jawne niezadowolenie, że nie otrzymał od razu całej sumy.

- Nie sądzisz chyba, że ze mnie taki głupiec, Lykosie - odezwał się Cezar, siląc się na spokojny ton. - Dasz mi zakładników, bym wiedział, że nie knujesz żadnej nowej zasadzki.

Lykos właśnie knuł i teraz zdumiony spoglądał na tego paniczyka, którego władcą był przez ostatnie czterdzieści dni.

Patrzył z mieszanymi uczuciami, nie wiedząc, do jakiej grupy ludzi go zaliczyć. Młody Rzymianin ubierał się ekstrawagancko, nosił zbyt luźną tunikę, jego fryzjer układał mu włosy każdego dnia, a cały ceremoniał trwał zwykle ponad godzinę, namaszczał ciało balsamem na wschodni sposób, co Rzymianie uważali za niemęskie, ale nie okazywał strachu ani trwogi, a do piratów odnosił się jak do swoich dobrych znajomych, choć w każdej chwili mogli go bez ceregieli zabić.

Postawę zaś miał zdecydowanie pańską, jak człowiek nawykły do wydawania poleceń. Ale w przeciwieństwie do wybalsamowanego ciała, jego dłonie mówiły o doświadczeniu wojennym. To były ręce żołnierza posługującego się mieczem z wyraźną wprawą. Lykos sam był zbiegłym gladiatorem i człowieka zaprawionego w bojach poznawał od razu.

Dlatego miał problem ze sklasyfikowaniem Cezara w swojej prywatnej hierarchii. Czy był to zwykły, nierozważny rzymski paniczyk, czy też przebiegły żołnierz, uciekający się do forteli?

No i te jego czarne oczy, zdumiewające, lśniące wśród czarnych jak smoła rzęs, świadczące o przodkach z południa, świdrujące na wylot ludzką duszę! Te oczy nie dawały Lykosowi spokoju.

- Dobrze, otrzymasz ode mnie zakładników - obiecał i było to szczerze zapewnienie. - Popłyną z tobą do Miletu i wezmą okup.

A jak będziesz wracał do Rzymu, dam ci nauczkę raz jeszcze, dokończył Lykos w duchu.

Cezar kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z przybliżającej się linii brzegowej. Płynęli do Miletu, Farmakussa została za nimi.

Odciągnął na bok Publiusza Rufusa i polecił mu nalać sobie wina.

- Czy Silanus Junkus był w mieście? - zapytał Cezar, gdy Rufus spełniał jego polecenie.

Właściwie nie musiał się wysilać, by rozmawiać swobodnie, gdyż piraci nie znali łaciny, a jeśli nawet, to w niewielkim stopniu. Istniała też ogromna przepaść między miejską łaciną Cezara, jaką posługiwała się arystokracja i stan senatorski, a łaciną plebejską i wiejską, jaką mówili biedni mieszczanie i wieśniacy na prowincjach. Tak więc Cezar z piratami rozmawiał po grecku, a ze swoimi ludźmi w ojczystym języku.

- Nie, Cezarze, przebywa w Bitynii - odparł Rufus.

Cezar spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy, a Rufus czym prędzej spuścił wzrok, nie chcąc dać po sobie poznać, że zna, oczywiście, plotkę o królu Bitynii. Po prawdzie, cały Rzym o niczym innym nie plotkował, kiedy pojawiał się temat Cezara. Ten młody człowiek w luźnej todze i z wykwinicie ułożonymi włosami (jedno do drugiego nie pasowało, więc wysmiewano Cezara za bezguście) nasuwał wszystkim obywatelom jedno skojarzenie. Tym bardziej zaś kpiono z niego po sławetnym przegranym procesie przeciwko Dolabelli, kiedy to rozsierdzony były konsul wrzeszczał na ulicy,

śliniac się i parskając, że Cezar to wywłoka, bityńska dziwka i spodnia deska królewskiego łoża.

Rufus nie ośmielił się żartować ze swego pana, który pod maską obojętności ukrywał furję, ilekroć ktoś nazwał go bityńską królową.

- Wspaniale - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Niech to piorun trzaśnie!

Silanus Junkus był namiestnikiem Miletu i akurat w tym czasie przebywał w Bitynii, gdzie odbierał testament króla Nikomedesa, który zapisał swoje królestwo Rzymowi. Dzięki temu monarcha zapewnił sobie i swoim poddanym spokój - podczas gdy Rzym grabił i łupił wszystkie inne możliwe ziemie, Bitynia została oszczędzona.

Cezar i Junkus nie darzyli się zbyt dużą sympatią, ale teraz młody człowiek potrzebował namiestnika Miletu do wypełnienia swoich planów.

- Trudno - oświadczył wreszcie. - Tak czy inaczej dopnę swego.

Rufus widząc błysk zdecydowania w oczach Cezara, nie wątpił w jego słowa ani przez sekundę.

Bo Cezar zawsze musiał mieć ostatnie zdanie i wołał raczej zginąć, niż dać się komuś wykpić, a już zwłaszcza takim parszywym draniom, jak trzymający go w niewoli piraci.

Był wieczór, kiedy Cezar w blasku pochodni schodził na milezyjski brzeg. W duchu modlił się do Fortuny, jedyne bóstwa, w które kiedykolwiek wierzył, choć był kapłanem Jowisza, żeby wiadomość Rufusa okazała się prawdziwą. O pięćdziesiąt tysięcy talentów się nie martwił, bowiem miał w planach odzyskanie ich jak najszybciej. Dwaj zakładnicy zostali wysłani wcześniej i teraz miała się już tylko dokonać wymiana.

Cezar zaciskał zęby i przetykał upokorzenie. On, Gajusz Juliusz Cezar ze znakomitego rodu rzymskiego musiał przechodzić pod drzwiami tawerny, w której miała się dokonać wymiana, niczym jeniec pod łukiem triumfalnym wroga.

Ale teraz najważniejsze były pozory. Z piratami policzy się później!

Zakładnicy otrzymali od klientów Cezara dwie grube sakiewki z pieniędzmi, a on sam został uwolniony i pozostawiony w tawernie. Załoga odetchnęła z ulgą, Cezar jednak miotał się po izbie jak lew w klatce.

- Wina! - zażądał. - Czy jest tu jakiś urzędnik z głową na karku?

Właściciel tawerny poradził mu skierować się do Heliodorosa, greckiego zastępcy Silanusa Junkusa, który przed zajęciem Miletu należał do prorzymskiej partii. Cezar uczynił to niezwłocznie, wiedząc, że każda minuta jest na wagę złota.

Heliodoros, człowiek w średnim wieku, ubierający się na sposób rzymski, był zaskoczony, widząc w swoim atrium Cezara. Przyjął go jednak życzliwie, pytając usłużnie, o co chodzi.

- Potrzebuję ochotników do obstawienia wszystkich okrętów, które stoją w porcie - powiedział Cezar bez owijania w bawełnę.

Heliodoros w jednej chwili dostał ataku czkawki.

- Ależ, panie, zapada noc! - usiłował się sprzeciwić. - Nikt nie popłynie! A w dodatku po co?

- Żeby schwytać piratów, którzy ośmielili się mnie zatrzymać pod Farmakussą - wyjaśnił Cezar. - Dwa talenty na głowę od zaraz, a potem procent od znalezionych przy piratach skarbów.

Twarz Heliodorosa wyrażała powątpiewanie.

- A dla ciebie dziesięć talentów, jeśli mi ich natychmiast zorganizujesz - dorzucił Cezar.

Pomimo młodego wieku Cezar nauczył się, że złoto z nawet najbardziej nieprzychylnego przeciwnika może uczynić gorącego sługę. Łapówkarstwo w Rzymie kwitło i było na porządku dziennym. Cezar każdego dnia wydawał masę pieniędzy na swoich klientów, którzy za to pracowali dla niego, głosowali w wyborach, namawiali ludzi do oddawania na niego swoich głosów, a także świadczyli najprzeróżniejsze usługi, gdy zachodziła potrzeba. Teraz też wiedział, że nic nie wskóra inaczej, jak tylko zaświeciwszy temu Grekowi złotem przed

wyłupiastymi oczami.

Na twarzy Heliodorosa rozlał się pełen zadowolenia uśmiech, a pół godziny później Cezar miał już gotową do wypłynięcia flotę, co prawda złożoną z samych Milezyjczyków, ale wśród nich znajdowali się też zawodowi żołnierze.

Rufus przezornie został w tawernie, ale widząc wyraz twarzy Cezara był przekonany, że jeszcze tego samego wieczoru zobaczy niegdysiejszych gospodarzy okrętu związanych i pokonanych doszczętnie.

W porcie stało dziesięć okrętów, co dawało mieszkańcom Miletu sporą przewagę nad piratami, tym bardziej że tamci nie spodziewali się ataku. Cezar zakładał, że morscy rabusie popłyną na Farmakusę, gdzie go jeszcze wczoraj przetrzymywali, toteż wydał rozkaz skierowania się właśnie tam.

Atak spadł na niczego niespodziewających się piratów z takim impetem, że ledwo zdołali połapać się w sytuacji, a już byli pokonani. Lwia część pirackich statków była przycumowana do brzegu, a ich właściciele na wyspie zabawiali się w najlepsze. Niektóre okręty stały w porcie, ale zdołały odpłynąć, resztę, która się broniła, zatopiono. Piraci złapani na lądzie poddali się prawie bez walki, tylko niektórzy stawiali opór, ale kiedy ujrzeli Cezara z mieczem w dłoni na czele zaimprovizowanej drużyny, zaniechali walki.

Być może sądzili, że to tylko popisy Rzymianina.

Mieszkańcy Miletu walczyli nadzwyczaj dzielnie, a Cezar z pewną goryczą stwierdził, że za pieniądze ludzie są gotowi do niewiarygodnych posług. Z owych pięćdziesięciu tysięcy talentów po opłaceniu każdego ochotnika zostało mu wprawdzie dość sporo, ale i tak czuł niesmak, że musiał tych ludzi przekupić.

Z łupami piratów zgromadzonymi na statkach Milezyjczycy rozprawili się wedle własnego upodobania, mając na to pełne przyzwolenie Cezara. Upojeni własnym zwycięstwem wznosili okrzyki na cześć Cezara, naśmiewali się ze złapanych piratów i odczuwali ogromną ulgę na myśl, że ta banda przestanie ich

niepokoić.

Cezar odnalazł wśród bandytów Lykosa i pomachał mu mieczem przed nosem.

- Gościłeś mnie na moim własnym okręcie przez czterdzieści dni, Lykosie - powiedział głosem wyzutym z wszelkiej życzliwości. - Piłeś moje wino i jadłeś moje zapasy, a teraz chciałeś poużywać sobie za moje złoto. Trzeba było mnie słuchać, jak wam przepowiadałem przyszły los. Teraz ja was ugoszczę, a za drewno na krzyże sami mi zapłacicie.

Lykos słysząc te słowa, pobladł na twarzy, gdyż człowiek stojący w blasku pochodni, z mieczem czerwonym od krwi i straszną twarzą mieniającą się w półmroku, różnił się zupełnie od tamtego źle przepasanego młokosa, recytującego swoje wiersze rozbawionym piratom.

Chciał go chwycić za szaty i błagać o darowanie życia, ale zimny, pozbawiony wszelkich uczuć Rzymianin odszedł już w swoją stronę, nie racząc spojrzeć ani razu na swego jeńca.

Skuci w kajdany piraci zostali odstawieni do więzienia w Pergamonie, a Cezar pojechał niezwłocznie do Bitynii, gdzie rezydował Silanus Junkus.

Gdy Cezar szedł przez wspaniałe marmurowe korytarze pałacu Nikomedesa, czuł ciarki na plecach, i to bynajmniej nie przyjemne. On także znał pogłoski, jakoby Nikomedes miłował się w pięknych młodzieńcach, a Cezar miał wówczas lat osiemnaście. Ale nie uległ namowom króla, który obiecywał mu bogactwa w zamian za jedną noc w swoim łóżu. Nie tylko nie uległ, ale pod nosem starego króla uczynił kobietą jego dziewiczą córkę, która teraz na widok Cezara uśmiechała się pod nosem.

Ale Cezar nie miał czasu na wspominki z przeszłości. Córka Nikomedesa była zamężna i odbyła dwa porody, a on spieszył w sprawie niecierpiącej zwłoki do Junkusa, po którym zresztą nie spodziewał się niczego dobrego.

I miał rację.

Wyniosły namiestnik Miletu nie cierpiał Cezara z powodu tamtej misji powierzonej mu przez zwierzchnika, ponieważ sam chciał udać się do Nikomedesa i zyskać co nieco na tym

posłannictwie. A poza tym drażnił go fakt, że taki szczeniak, któremu mleko jeszcze pod nosem nie wyschło, rozgromił bandę piratów i okrył się sławą. Siedział za marmurowym stołem zaśmieconym dokumentami i spoglądał na Cezara.

Był wyraźnie zły. Nie dość, że ten cały Cezar był młody, bogaty i cieszył się sławą, to jeszcze na dodatek był przystojny, podczas gdy Junkus nie wyróżniał się żadną z wymienionych zalet.

- Dziwi mnie, Cezarze, że przyszedłeś z tym do mnie - powiedział. - Skoro ich trzymasz w więzieniu w Pergamonie, to idź z tym do tamtejszego namiestnika.

Nosowe brzmienie jego głosu drażniło Cezara ogromnie.

- Schwyciałem ich w Milecie dzięki tamtejszym mieszkańcom - odparł spokojnie. - Dlatego przyjechałem do ciebie. I żądam, by ich ukrzyżować.

Silanus Junkus spoglądał spod oka na tego młodego człowieka, który spokojnym tonem domagał się zabicia ponad stu mężczyzn, jakby chodziło o kupno nowego płaszcza.

- Ukrzyżować! - parsknął. - Ci ludzie mogą się na coś jeszcze przydać!

- Nie dbam o to. Za tę osobistą zniewagę chcę ich widzieć na krzyżach.

- Ależ ci bandyci mogą zostać sprzedani na targu niewolników! To będzie dla nich jeszcze gorszą karą.

- Tak, a za kilka miesięcy zbiegną i przyłączą się do innej bandy piratów. Jak się ich ukrzyżuje, to na pewno już nikomu nie uczynią szkody.

Junkus był coraz bardziej rozdrażniony uporem Cezara.

- Dziwi mnie twoja zawziętość w dochodzeniu prywatnych spraw - powiedział.

- A mnie zdumiewa twoja łaskawość w stosunku do bandytów zabijających z zimną krwią niewinnych ludzi - odparł Cezar natychmiast.

Junkus udawał, że się namyśla.

- Wprawdzie mógłbym wysłać posłańca z rozkazem, żeby ich zabić - mówił powoli, patrząc uważnie na Cezara. - Ale tego nie zrobię. Szkoda mi zachodu, żeby przygotować sto

dwadzieścia krzyży.

- O krzyże sam się postaram - powiedział Cezar.

W to nie wątpię, pomyślał Junkus z niesmakiem.

- Nie, mój drogi - zdecydował wreszcie. - Cezarze, odmawiam ukrzyżowania tych ludzi. Za to wyślę do Pergamonu posłańca z rozkazem, by ich sprzedano na najbliższym targu jako niewolników. To wszystko.

Cezar zgrzytnął zębami ze złości, ale jedyną jego reakcją był wykonany po żołniersku odwrót i wymaszerowanie z pałacu króla Nikomedesa.

- Z pewnością będę dla ciebie drogi, jak przyjdzie ci za to wszystko zapłacić - wycodził przez zęby.

Wskoczył na konia i pognął drogą na skróty do Pergamonu. Ponieważ Junkus miał wysłać posłańca z rozkazem nazajutrz rano, a Cezar jechał w nocy, dotarł do Pergamonu o świcie. Naczelnikowi więzienia przekazał nieprawdziwy ustny rozkaz ukrzyżowania więźniów, a ten nie miał żadnych podstaw, by nie wierzyć Rzymianinowi.

- Za drewno na krzyże zapłaci sam namiestnik - dodał Cezar z fałszywym uśmiechem. - A pieniądze znalezione przy piratach kazał rozdać obywatelom.

O swoich czterdziestu pięciu tysiącach talentów nie wspomniał ani słowem.

Tego samego dnia wieczorem Cezar uczynił Lykosowi i jego kompanii zaszczyt osobistego nadzoru egzekucji. Lykos miał być ukrzyżowany na samym końcu i przez długi czas blady jak ściana oglądał egzekucję swoich kamratów, którzy krzyczeli rozdzierająco, kiedy wielkie gwoździe wbijały im się między kości rąk i nóg.

- Sam przyznaj, że moja gościna jest równie miła jak wasza - zwrócił się do niego Cezar.

Lykos trząsał się ze strachu i rozpacz. Część jego towarzyszy wisiała już rozpięta między niebem a ziemią. Czekają ich długie, wielodniowe konanie z upływu krwi i pragnienia w palącym pergamońskim słońcu.

Twarz Cezara, kiedy zadawano tym ludziom cierpienia, pozostawała bez wyrazu.

- Okrutny jesteś, Cezarze - wykrztusił wreszcie Lykos. - Kiedyś ciebie samego zabiją ludzie w okrutny sposób.

Cezar spojrział w oczy Lykosa w chwili, gdy zdejmowano z niego odzienie. Wiedział, że idący na śmierć mieli dar zagładania w przyszłość, ale nie bał się śmierci ani cierpienia.

- Być może jestem okrutny, Lykosie, ale sam na to okrucieństwo zasłużyłeś - odparł. - Dawałem ci wiele razy do zrozumienia, co cię czeka, kiedy wyjdę cało z waszych rąk. Miałeś dwie szanse - albo mnie zabić i odejść z okupem, albo wypuścić mnie zawczasu i nie iść teraz na krzyż. Gdybyś mnie wtedy wypuścił i poprosił o wybaczenie, uzyskałbyś je z łatwością.

- Czy ta krew cię nie porusza? - zapytał Lykos, wskazując na zbroczone posoką krzyże i piasek pod nimi.

- Nie - powiedział Cezar spokojnie. - Widziałem morze krwi pod Mityleną, a pewnie niejedną rzekę ujrzę jeszcze w życiu.

Oprawcy wyciągnęli ręce po Lykosa, żeby go ułożyć na krzyżu.

- Zlituj się, panie! - krzyknął niegdysiejszy herszt piratów.

Oczy Cezara były lodowato zimne.

- Udusić go, a potem przybić do krzyża - rozkazał katom i odszedł spokojnie do swoich ludzi, czekających na niego w gospodzie.

Lykos odetchnął z ulgą. Po raz ostatni w życiu.

Kiedy posłaniec Junkusa przybył do Pergamonu, ujrzał rząd krzyży i konających na nich bandytów. Tylko jeden był spokojny, nieczuły na gwoździe w rękach i nogach.

- Ten człowiek nie ma sumienia - szepnął do siebie przerażony. - Albo zostanie kimś wybitnym, albo zginie okrutną śmiercią.

VI

Rzym tętnił życiem.

Cezar zdawał się tego nie zauważać. Chociaż na zewnątrz wiosna stała w pełni, on miał wrażenie, że nadciągnęła jesień i okryła wszystko śmiertelnym całunem. I chociaż dla niego sprawy układały się raczej pomyślnie, życie postanowiło zadać mu cios w samo serce.

Kornelia była chora. Dla Cezara życie traciło wszelki sens.

Sprawdzał najlepszych medyków z Grecji i ze Wschodu, słono płacił rzymskim lekarzom, ale na tę chorobę nie było rady. Śmierć w położu nie należała do niezwykłych, ale Kornelia nie chorowała na gorączkę położową, tylko na coś znacznie gorszego.

Zaczął się jakiś czas temu, kiedy nawiedziły ją pierwsze bóle. Cezar sądził wtedy, że to zwykłe kobiece dolegliwości i nie przejął się tą sprawą, ale jej bóle stawały się coraz bardziej regularne, coraz intensywniejsze i nie miały nic wspólnego z menstruacją.

Wtedy Cezar zaczął się niepokoić.

Na początku wywary ziołowe dawały ulgę na długie miesiące, ale potem działało się coraz gorzej. Zenon, osobisty medyk Cezara, wyzwolony przez niego po sprawie z piratami, kręcił tylko głową, unikając przenikliwego wzroku swego pana.

- Ona gnije od środka, Cezarze - stwierdził. - Jej rodne narządy umierają w ciele.

Cezar patrzył na niego z niedowierzaniem w oczach, jakby nie mógł pojąć, jakim cudem zdrowa trzydziestoletnia kobieta mogła zapaść na taką chorobę.

- To dlatego wcześniej nie mogła donosić ciąży? - skojarzył

Cezar.

- Nie, to z powodu niedonoszonych ciąży zapadła na tę chorobę - odparł Zenon.

Ale wyrok zapadł, choroba była śmiertelna, nie znano na nią lekarstwa.

- Gdyby ta przypadłość zaatakowała nogę albo rękę, można by ją odjąć - tłumaczył Zenon. - Ale w przypadku narządów wewnętrznych jesteśmy bezsilni.

- A co należałoby zrobić? - zapytał Cezar, blednąc.

- Usunąć jej macicę i inne kobiece narządy - wyjaśnił Zenon. - A wtedy ona by umarła. Tak czy inaczej czeka ją śmierć. Długie, bolesne konanie, Cezarze. Jeśli chcesz znać moje zdanie, lepiej zawczasu dać jej truciznę.

Cezar popatrzył na Zenona z nietajonym oburzeniem.

- Oszalałeś? - wybuchnął wreszcie. - Miałbym zabić moją żonę?

- Ta choroba, Cezarze, przemieszcza się z krwią - mówił dalej Zenon. - Pod koniec życia twoja żona będzie błagać o śmierć. To ją zniszczy doszczętnie.

Cezar nie zgodził się wydać Kornelii trucizny.

To było dwa lata temu. On sam mógł się do tamtej pory uważać za człowieka szczęśliwego, pnącego się powoli po szczeblach kariery.

Po incydencie z piratami udał się na Rodos, gdzie wkrótce dołączyła do niego Kornelia wraz z Julią, po które wysłał do Rzymu statek z dodatkową ochroną. Ale kiedy król Mitrydates, pokonany ongiś przez Sullę, na nowo podniósł miecz do walki, Cezar przerwał naukę retoryki, żonę i córkę odesłał do Aten pod opiekę samego namiestnika, a sam przerwucił się wraz z ochotnikami do Azji Mniejszej.

W bitwie odniósł zwycięstwo nad wojskami króla Pontu i okrył się niemałą sławą, gdyż dowodził naprędce zorganizowanym oddziałem. Potem jednak z Rzymu nadeszła wiadomość o śmierci Aureliusza Kotty, brata matki, który należał do kolegium pontyfików. Na jego miejsce Rzymianie wybrali Cezara, więc młody człowiek musiał udać się do Miasta i objąć oficjalnie ową zaszczytną godność.

Tytuł pontyfika wiązał się z niemałym prestiżem. Było ich dziewięciu od czasów lex Ogulia, a przewodził im Pontifex Maximus, dziesiąty, sprawujący też nadzór nad dziewiczymi kapłankami Westy, pilnującymi świętego ognia. W dawnych czasach ów Najwyższy Kapłan był mianowany przez króla, a w przypadku bezkrólewia, gdy wybierano nowego monarchę, to on sprawował rządy w wyznaczonym czasie między elekcjami. Do obowiązków pontyfików należał nadzór sakralny nad wszelkimi czynnościami urzędowymi, udzielanie rad w sprawach kultu, wskazywanie bóstw, do których należało się modlić w konkretnej sytuacji, nadzór kalendarza i prowadzenie zapisków urzędowych. Mieli też prawo mianować wyższych kapłanów, takich jak flamen Dialis, flamen Martiis i flamen Quirinalis.

Cezara wybrano ze względu na jego niegdysiejsze procesy o zdrzistwa wytoczone optymatom.

Przeprawił się wobec tego do Rzymu. Gdy płynął przez Adriatyk, w oddali dostrzegł mrowie masztów sterczących wysoko w górę. Do dziś na wspomnienie tego incydentu Cezar uśmiechał się cierpko pod nosem. Pomyślał, że to piraci, a za nic w świecie nie chciał dać się ponownie schwytać. Wobec tego przywiązał sobie sztylet do uda i zdjął ubranie, gotów wplaw popłynąć do brzegu.

I niewątpliwie byłby to uczynił, gdyby w porę nie dostrzegł, co to takiego wnosi się ku niebu.

Jakież było jego zdumienie, gdy okazało się, że owe maszty były po prostu grupą uschłych drzew na brzegu. Kiedy zrozumiał swoją pomyłkę, wybuchnął gromkim śmiechem, a wraz z nim cała załoga.

W Rzymie panował spokój, ale była to cisza przed burzą. Popularzy i optymaci siedzieli cicho, nie podejmując żadnych znaczących decyzji, ale gotowi skakać sobie do oczu w razie jakiegokolwiek okazji. Prawda była taka, że popularzy nic nie mogli zrobić, gdyż reformy Sulli sprzed dziesięciu lat znacznie osłabiły ich możliwości i prawa. Wszelkie przywileje zostały też odebrane trybunom ludowym, którzy stanowili opokę dla znękanym mas w bezskutecznej walce z senatem o poprawę

warunków w każdym zakresie życia.

Sytuacja zewnętrzna też nie była dobra. Na Wschodzie szalał Mitrydates, zostawiając za sobą morze krwi i dając się we znaki armiom rzymskim, na zachodzie, w Hiszpanii Sertoriusz omal nie doprowadził do odpadu prowincji od Rzymu. Tam walczył Wielki Pompejusz, ale jak na razie szanse na powodzenie miał nikłe.

W tej sytuacji Cezar mógłby skubnąć co nieco dla siebie, ale właśnie wtedy, niecałe pół roku po jego powrocie do Rzymu, wybuchło powstanie niewolników z Kapui pod wodzą niejakiego Spartakusa i Rzym na nowo pogrążył się w chaosie. Cynceron grzmiał wtedy z mównicy, że to wina skłóconych polityków, którzy bardziej interesują się wzajemnymi porachunkami niż dobrem Republiki, ale nikt go już nie słuchał, gdyż wszyscy skupili się na tłumieniu powstania.

W Rzymie zapanował chaos na całe dwa lata. W tym czasie Spartakus, Kriksus i Enomaus zdołali zająć i podporządkować sobie niemal całą środkową Italię, rozbijając wysyłane przeciwko nim armie rzymskie, plądrując okoliczne wsie i miasta, będąc na czele armii zbiegłych z ludus gladiatorów panami życia i śmierci prawych obywateli. Bunt niewolników zdarzały się w Rzymie często, ale nigdy jeszcze na taką skalę.

Cezar korzystał na tym wszystkim niezmiernie. W ogarniętej strachem i niezadowoleniem stolicy ludzie spychali winę na partię rządzącą, co otwierało możliwości przed popularami, a podkopywało pozycję optymatów. Krzyczano więc o klikach, korupcji i zakłamaniu, domagając się zmiany rządzących i dopuszczenia do równej władzy popularów, którym okrojono prawa.

W tej sytuacji przed Cezarem otworzyły się drzwi do kariery. Został wybrany trybunem wojskowym, co oznaczało, że od tej pory mógł oficjalnie ubiegać się o stanowiska w państwie. De facto nie dawało mu to żadnej władzy, ale tamtego dnia wrócił do domu w euforii, a Kornelia zapamiętała tamtą noc z nowo mianowanym trybunem, gdyż przez następne dni nie mogła wygodnie siedzieć.

Prawdopodobnie zyskałby jeszcze więcej, gdyby nie

stłumiono powstania. Z Hiszpanii w blasku chwały wrócił Pompejusz, który przez podstęp i zdradę pokonał Sertoriusza i rozbił skłóconą armię Spartakusa w pył. Na Via Appia rzędami ustawiono krzyże, a niewolnicy konali na nich przez wiele dni, dostarczając makabrycznego widowiska ucieszonej gawiedzi.

Kiedy równowaga została przywrócona, Cezar zrozumiał, że na razie musi poprzestać na małym, ale zaczął czynnie angażować się w życie publiczne i polityczne, czego dotychczas unikał. Aby skupić wokół siebie dużą liczbę znaczących osobistości, wydawał przyjęcia, żył ponad stan, a jego dom był otwarty o każdej porze. Swoją gościnnością i życzliwością kupował sobie zwolenników, chociaż jego matka kręciła nosem na taką rozrzutność. Ale on widział w tym metodę i później miało się okazać, że mimo wszystko podążał dobrą drogą.

Między innymi poparł też wniosek o zezwoleniu na powrót do Rzymu niedawnych uczestników buntu Lepidusa, w którym wziął udział jego własny szwagier, brat Kornelii. Wniosek ostatecznie przeszedł, co w domu Cezara uczczono hucznym przyjęciem, a on sam umocnił swoją pozycję.

Tak naprawdę jednak z Cezarem niezbyt się liczone. Dla większości nadal pozostawał młodym fircykiem w źle przepasanej todze, wykwintnie ułożonej fryzurze, słynącym z pijatyk do białego rana. Było w tych plotkach sporo przesady, ale Cezar nic sobie z nich nie robił, uważając, że lepiej dla niego, gdy plotkują, bo wtedy staje się znany.

W roku konsulatu Pompejusza i Krassusa, kiedy przywrócono dawne prawa trybunom ludowym, za czym, wprawdzie bezskutecznie, wnioskował także Cezar, zachorowała Kornelia. Wtedy to Cezar jakby przestał się interesować, co dzieje się w państwie i zasklepił się w swoim cierpieniu. Obojętnym wzrokiem obserwował, jak dwaj konsulowie starają się nawzajem sobie dopiec, blokując jeden drugiemu ustawy i nie dopuszczając do głosowania. W rzeczywistości bowiem Pompejusz i Krassus nie znosili się nawzajem, a sprzymierzyli się rok wcześniej wyłącznie dla zdobycia konsulatu.

To jednak nie interesowało już Cezara w takim stopniu.

Przyjęcia w jego domu urządzone były z rozpędu, bowiem nie można było nagle zaprzestać raz obranego sposobu zjednywania sobie ludzi. Ale pojawiły się plotki, że pani domu nie uczestniczy w kolacjach i nie jada u boku męża. Natychmiast rozniosła się po Rzymie wiadomość, że między Cezarem i Kornelią się nie układa, a on sam zapewne ma kochankę. Upatrywano jej w każdej Rzymiance, a kobiety z wyższych sfer rzucały sobie nienawistne spojrzenia, usiłując dociec, z którą to sypia osławiony młody człowiek.

Jakkolwiek późniejsze plotki nie były pozbawione podstaw, o tyle te z pierwszego okresu były wyssane z palca. Cezar po każdym przyjęciu szedł do pokoju Kornelii i kładł się u jej boku, nie mogąc zasnąć i wsłuchując się w jej spokojny oddech.

To wreszcie Kornelia przełamała w nim apatię i niemoc. Któregoś dnia, kiedy czuła się dobrze, poprosiła go do swojego pokoju na rozmowę.

- Gajuszu, nie możesz z mojego powodu zaniedbywać swoich spraw - mówiła słabym głosem. - Ja i tak odejdę, musisz być na to przygotowany.

Cezar spojrział na nią uważnie. Jego piękna, zmysłowa żona z dnia na dzień była coraz słabsza, bledsza i coraz bardziej gotowa, by przenieść się do bogów. Jej cudowne ciemnoblonde włosy o złocistym odcieniu stały się matowe, a piwne oczy straciły dawny blask.

Ale on ją kochał, tak rozpaczliwie mocno, tak ogromnie chciał, by została, by nie odchodziła od niego na zawsze.

Każdy dzień był dla niego torturą. Julia szukała u niego pociechy, ale to on potrzebował wsparcia i pocieszenia. Silny, odważny mężczyzna, który posyłał na śmierć i sam wiele razy spoglądał jej w oczy, nie potrafił się pogodzić ze śmiercią swojej ukochanej.

- Mam gdzieś moje sprawy, Kornelio - odparł bezdźwięcznym tonem. - Jedyne, co mnie jeszcze obchodzi, to żeby móc jak najwięcej czasu spędzić z tobą. Póki mogę.

Kornelia położyła swoją przezroczystą dłoń na jego silnej brązowej ręce.

- Ale nie powiesz mi, że rok temu nie byłeś pod wrażeniem

mowy Cycerona, którą wygłosił przeciw Werresowi? – zapytała Kornelia z błyskiem w oku.

W rzeczy samej, Cyceiron wygłosił wtedy porażającą mowę, oskarżając byłego namiestnika Sycylii o zdradę. Wygrał sprawę i okrył się ogromną sławą, zyskał też opinię najlepszego mówcy w dziejach Republiki, a Cezar zgrzytał zębami, że to nie on pokonał takiego człowieka w sądzie. Uchodził przecież za drugiego po Cyceronie mówcę w Rzymie, a sam mistrz chwalił styl Cezara.

Ale teraz nawet to straciło dla niego wszelki urok.

– Gajuszu, musisz iść na ulicę i zbierać głosy – przekonywała Kornelia. – Masz zostać kwestorem na przyszły rok. Wiesz, że to otworzy przed tobą możliwości.

– Możliwości! – prychnął Cezar. – Co mi po możliwościach, Kornelio, skoro nie mam ich z kim dzielić. Po co mi triumfy i zaszczyty, skoro ty ich nie ujrzysz?

– Bądź pewien, że ujrzę – odparła cicho. – Będę patrzeć, jak ozdobisz skronie wieńcem laurowym, a tłumy będą szły za tobą w wielkim pochodzie triumfalnym.

Cezar spojrzał na nią uważnie. Kornelia na wpół leżała na posłaniu, miała przymknięte oczy i łagodny uśmiech na ustach. Przypomniał sobie słowa Lykosa, gdy mieli go ukrzyżować, że zginie marną śmiercią, gdyż jest okrutny.

Słowa Kornelii przepowiadały sławę i zaszczyty.

W tej chwili dla Cezara słowo „zaszczyt” nie miało najmniejszego znaczenia.

Nazajutrz udał się do swojej klienteli i zabrał się energicznie za zyskiwanie głosów w nadchodzących wyborach na stanowisko kwestora. Mógł być nim wedle rzymskiego prawa obywatel powyżej dwudziestego siódmego roku życia, który odbył służbę wojskową. Cezar miał w chwili wyborów lat trzydzieści jeden, nie można więc było powiedzieć, żeby się spieszył ze swą kandydaturą. Byli oni wybierani na komicjach dzielnicowych. Dawniej kwestorów było dwóch, ale Sulla podniósł ich liczbę do dwudziestu. Do ich obowiązków należało zarządzanie skarbem państwa, archiwum państwowym, towarzyszyli także konsulowi w wyprawach wojennych.

W obozach kwestorzy zarządzali kasą armii, a także rozdziałem i sprzedażą łupów wojennych. Na prowincjach prowadzili sprawy finansowe.

Poza tym był to najniższy szczebel rzymskiej drabiny urzędniczej, prowadzącej do zaszczytów, z których największym był konsulat. Nad konsulem stał jedynie dyktator, który mógł być wybrany na pół roku z możliwością przedłużenia władzy.

- Zrobiłem to - oznajmił Cezar Kornelii tego samego wieczoru. - Zgłosiłem moją kandydaturę i zatroszczyłem się o głosy.

Kornelia siedziała przy stole razem z Julią i matką Cezara, Aurelią, która opiekowała się synową w czasie choroby. Spojrzała na męża nieobecny wzrokiem.

- Wygrasz - powiedziała cicho.

Cezar uśmiechnął się tylko i kazał podać sobie wodę do mycia rąk.

Tydzień później jego nazwisko znalazło się na liście kwestorów wyznaczonych na następny rok. Wtedy Cezar zrozumiał, że Kornelia nie wydobrzeje, gdyż tylko umierający mogli patrzeć w przyszłość.

Na początku nowego roku, w którym Cezar objął urząd kwestora, zmarła jego ciotka Julia, wdowa po Mariuszu. Wiadomość tę przyniosła Aurelia, zalewając się łzami i lamentując, jakby zmarła była jej rodzoną siostrą, a nie szwagierką.

- Nieszczęsna kobieta - skarżyła się Aurelia. - Jej mąż był takim wielkim człowiekiem, a umarł w tak okropny sposób! A ona sama ponad dziesięć lat spędziła we wdowieństwie, nie wychodząc za mąż za żadnego innego mężczyznę.

- Tak jak ty, matko - zauważył Cezar trzeźwo. - Nie widzę w tym nic niezwykłego, że kobieta po śmierci męża decyduje się na wdowi stan, tak jak tego chce obyczaj.

Aurelia popatrzyła na niego bystro swymi czarnymi oczami.

- Ciekawe, czy ty pozostaniesz we wdowieństwie, kiedy Kornelii zabraknie - mruknęła.

- Nie twoja sprawa - uciął Cezar.

Był zły, że matka wypytuje go o takie sprawy, gdyż wiedział,

że siłą rzeczy będzie musiał się ożenić. Jakkolwiek Cezar kochał swoją żonę ponad wszystko na świecie, to jednak był człowiekiem obdarzonym chłodnym umysłem i rozpatrywał podczas bezsennych nocy wszystkie możliwości. Julia będzie potrzebować matki, dziewczyna miała dopiero czternaście lat, a on nie nadawał się do wychowywania dzieci, tak przynajmniej uważał.

Nie, Cezar wiedział, że gdy obejmie preturę i wyjedzie na prowincję, nie będzie mógł zabrać córki ze sobą, a w Rzymie nie zostawi jej pod opieką Aurelii. Nie chciał teraz o tym myśleć, koncentrował się na tym, by uczynić ostatnie miesiące Kornelii możliwie jak najłżejszymi i nie życzył sobie żadnych docinek ze strony matki.

- Mojej ciotce należy się godny pogrzeb - uznał. - Wygłoszę mowę na jej cześć.

Aurelia popatrzyła na niego, tym razem zdumiona, ale nic nie powiedziała. Obyczaj nakazywał, by pogrzeb wybitnej osobowości urządany był z przepychem, a najbliższy krewny wygłaszał mowę na jego cześć. Jakkolwiek Julia nie była osobowością wybitną, to jednak była żoną Mariusza, męża stanu, a także szanowaną matroną i potomkinią rodu Juliuszów, więc jej pogrzebowi należało nadać uroczystą oprawę.

Cezar jednak planował coś więcej niż tylko wielką uroczystość. Pogrzeb siostry ojca był idealną okazją do wychwalenia własnego rodu - i samego siebie między innymi - zabłysnąć jako znakomity mówca i organizator, a do tego zafundować ludziom niezwykle widowisko, Cezar zaś doskonale wiedział, jak lud rzymski kocha ceremonie.

Tak więc pogrzeb odbył się z wielką pompą. Zwłoki Julii umieszczono na katafalku przyozdobionym w kwiaty, który nieśli czterej niewolnicy w pięknych wschodnich szatach. Ciało namaszczone wonnościami, ułożono zmarłej włosy i udrapowano szaty, aby w swej ostatniej drodze odpowiednio się prezentowała. Aurelia zauważyła, że po śmierci jej szwagierka wyglądała dużo lepiej niż za życia, co jej wnuczka Julia przyjęła z nieskrywanym rozbawieniem.

Za katafalkiem szedł z pochodnią w ręku sam Cezar jako

najstarszy męski potomek i jednocześnie głowa rodu Juliuszów, a za nim kondukt żałobny składający się z żywych członków rodziny z pochodniami w rękach i z klientów Cezara przebranych za zmarłych przodków. Ten kondukt liczył sobie ponad pięćdziesiąt osób w maskach pośmiertnych i ubraniach przodków. Przebrani ludzie mieli też insygnia władzy, jaką sprawował dany osobnik, tak że mogło się wydawać, że to cały ród ożył i odprowadzał zmarłą na stos pogrzebowy.

Procesja ruszyła z domu Julii i przemierzała wąskie ulice Rzymu wśród ciszy obywateli i jęków zawodowych płaczek, które rozdrapywały sobie policzki i rwały włosy z głów.

Cezar posypał sobie głowę popiołem na znak żałoby, a jego matka szła w szacie z niefarbowanej wełny i z rozpuszczonymi siwiejącymi włosami. Córka Cezara, Julia, także szła w pochodzie pogrzebowym swojej ciotecznej babki, odziana jak Aurelia w szatę z niefarbowanej wełny i z rozpuszczonymi włosami. Ojciec jednak surowo zabronił jej rozdrapywania policzków i szarpania włosów nad stosem.

Tłum szedł w stronę Forum, gdy nagle wśród zgromadzonych rozległ się głośny jęk. Oto w orszaku żałobnym ujrzano postać Mariusza z insygniami władzy. Tego samego Mariusza, który rozgromił Jugurte i Teutonów przed ponad trzydziestoma laty. Zgromadzeni przy Forum i na nim samym optymaci patrzyli na to z niechęcią, wśród popularów rozlegał się coraz głośniejszy szum, a Cezar pod nosem uśmiechał się złośliwie.

W domu Aurelia usiłowała go powstrzymać przed tym krokiem, ale on się uparł. Mariusz był mężem Julii, twierdził więc, że jego maskę też należy włączyć do orszaku. Ładnie by wyglądali, gdyby zabrakło męża zmarłej!

W końcu Aurelia ustąpiła, ale teraz, idąc ulicami z pochodnią w dłoni, czuła, że się czerwieni. Kiedy zerknęła na swego syna, spostrzegła, że idzie on z wysoko podniesioną głową, zupełnie niespeszony reakcjami ludu, a wprost przeciwnie, zadowolony z nich. Aurelia wiedziała, że to nie kto inny, tylko Mariusz osobiście wpajał ongiś młodemu chłopakowi, że powinien być dumny ze swego rodu. Jego ojciec

zaś opowiadał dawne historie trojańskie, bajdurząc zachwyconemu malcowi, że ich ród wywodzi się od mitycznego Eneasza i jego syna Julusa, a więc i od samej Wenus.

Aurelia nie wiedziała, czy Cezar nadal w to wierzy, czy nie, ale jasne było, że pozostała w nim owa duma z własnego pochodzenia.

Tłumy doszły w milczeniu na Forum, gdzie ciało Julii wraz z katafalkiem umieszczono na stosie pogrzebowym, przystrojonym w kwiaty i drogie materie. Cezar oddał swoją pochodnię służącemu, a sam wszedł na mównicę i zaczął swoją długo przygotowywaną mowę na cześć zmarłej. Aurelia stała obok swej wnuczki i spoglądała na syna z mieszanymi uczuciami. Wiedziała, że Cezar posiada talent krasomówczy, chociaż nie przewyższa pod tym względem mistrza Cycerona (który zresztą był obecny na pogrzebie Julii), ale nie sądziła, że jest aż tak dobrym mówcą. Jego mocny, donośny głos o przyjemnym niskim brzmieniu roznosił się czysto w wiosennym powietrzu wypełnionym zapachem kwiatów, glonów z Tybru i innymi nieszczególnie przyjemnymi zapachami pochodzącymi z rynków. Tutaj jednak, na zamkniętym Forum dominował zapach kadzideł i balsamów, co potęgowało wzniosłą atmosferę pogrzebu.

W pewnym momencie Aurelia drgnęła. Słyszała w domu, jak Cezar przygotowywał się do wygłoszenia mowy i jak kilkakrotnie ją powtarzał, ale nigdy przedtem nie słyszała słów, które teraz wypowiadał.

- Ród mej ciotki Julii po kądzieli wywodzi się od królów, po mieczu zaś z samymi bogami nieśmiertelnymi jest spokrewniony. Od Ankusa Marcjusza pochodzi ród Marcjuszów Królów, których nazwisko nosiła matka; od Wenery pochodzą Juliusze, do których rodu nasz dom się zalicza. Jest więc w krwi naszej i majestat królów, którzy najwięcej znaczą wśród ludzi, i świętość bogów, których władzy podlegają sami królowie.

Dalej wysławiał cnoty osobiste samej Julii, jak to było w zwyczaju, ale Aurelia nie mogła opanować wrażenia, że oto po raz pierwszy jej syn publicznie posłużył się starą legendą, w którą ona sama nigdy nie wierzyła, jako propagandą dla

wysławienia samego siebie.

I musiała przyznać, że to mu się nad wyraz udało.

Kiedy Cezar skończył mowę, podczas której wielu znajomych Julii miało łzy w oczach, służący podał mu pochodnię, a on uczciwszy minutą ciszy pamięć ciotki, pierwszy podpalił stos. Po nim zrobiła to Aurelia, potem Julia, a następnie cały kondukt ludzi w maskach zmarłych. Stos płonął długo, podczas gdy ludzie powoli odchodzili z Forum. Część szła na stypę do domu Cezara, część do swoich spraw. Gdy wszystko spłonęło, Cezar zebrał prochy do małej urny i przekazał ją swojej matce, która miała zanieść ją do grobowca Mariusza i tam zamurować.

Orszak zmarłych w milczeniu wracał do domu, zaś Cezar i Julia szli na końcu. W pewnym momencie dziewczyna poszukała ręki ojca i mocno ją uścisnęła.

- Matka jeszcze nie odejdzie, prawda? - zapytała, patrząc na Cezara błagalnie swoimi czarnymi oczami.

Na twarzy Cezara odmalował się żal tak silny, że Julia nie musiała pytać o nic więcej.

- Ty wyjedziesz, ojczy, czyż nie? - dopytywała się. - Pojedziesz na prowincję?

- Nie tak od razu - mruknął Cezar zamyślony. - Teraz najważniejsze są sprawy w domu, a dopiero potem urząd. Nie zostawię cię samej z babką, wiesz przecież.

Spojrzał z ukosa na swoją córkę. Miała urodę typową dla mieszkanki południowej Italii, wyglądała jak Sycylijka w tymi swoimi intensywnie czarnymi włosami i oczami, oliwkową cerą i smukłym ciałem. Cezar spodziewał się, że za kilka miesięcy mężczyźni zaczną ubiegać się o jej rękę, co uświadamiał sobie z przerażeniem.

- Obiecuj, że mnie nie zostawisz, ojczy - poprosiła Julia.

Cezar położył jej rękę na włosach i nie cofnął jej, aż doszli do domu na stypę.

Kornelia leżała w łóżku i jadła czy raczej usiłowała jeść zupę, którą karmił ją Cezar. W ostatnim czasie jej ciało wydawało okropny zapach zgnilizny, wobec czego Cezar sam ją pielęgnował i zajmował się wszystkim. Ona odbierała to jako

upokarzające, ale była zbyt słaba, by protestować.

- Gajuszu, chciałabym o coś cię poprosić - odezwała się, gdy już zdołała przełknąć łyk stygnącej zupy.

Cezar opowiadał jej właśnie o wspaniałym pogrzebie Julii i reakcji tłumu na wizerunek Mariusza. Mówił to z zadowoleniem i Kornelia uśmiechała się z trudem i z bólem, patrząc na swego męża oczami pełnymi miłości.

Musiała odejść. Już to robiła, powoli każdego dnia. Chciała, by jej czytać traktaty filozoficzne, a raz nawet poprosiła, by Cezar przyprowadził Cyncerona, który interesował się tymi sprawami, żeby z nią porozmawiał. W pokoju ustawiono kwiaty, a Cezar błagał mówcę, by nie zwracał uwagi na zapach, jaki czuć w sypialni jego żony. Cynceron wyszedł stamtąd wstrząśnięty, ale po tej wizycie zabronił swoim znajomym rozpowszechniać plotki, jakoby Cezar zdradzał Kornelię i zabawiał się z obywatelkami rzymskimi, ponieważ nigdy nie widział takiego oddania męża dla chorej żony.

Kornelię jednak gnębiła myśl, że będzie musiała zostawić wszystko, do czego była tak przywiązana. Że opuści Julię, swoje jedyne dziecko, które dawało jej i Cezarowi tyle radości, no i jego, swego ukochanego męża. Połączyli się, będąc jeszcze prawie dziećmi, mieli po siedemnaście lat. Kornelia leżąc na swoim łożu śmierci, rozmyślała, jak ją poraził strzałą bóg miłości, kiedy ujrzała tego młodego człowieka, szczupłego i zwinnego niczym pantera, o czarnych lśniących oczach i zuchwałości w spojrzeniu. Wspominała ich pierwsze spotkanie, ślub i wspólną noc, a potem wszystkie inne. To Cezar był z nią, kiedy zamordowali jej ojca, kiedy w bólach rodziła Julię, kiedy Sulla wtargnął do Rzymu z ogniem i mieczem. A potem wyjechał, by ją chronić, chociaż w dniu odjazdu miał łzy w oczach i zaklinał ją na wszelkie świętości, by mu dochowała wiary. Bał się, że ona go opuści podczas przymusowego pobytu w Grecji.

Teraz zaś siedział przy niej i karmił ją, on, ten silny mężczyzna stworzony do walki i zwycięstw, do imponującej kariery politycznej, do podbojów, a nie do zajmowania się śmiertelnie chorą żoną. W jego czarnych oczach widziała tyle

miłości i żalu, że zbierało jej się na płacz za każdym razem, gdy na niego patrzyła.

A jednak musiała odbyć z nim tę rozmowę, choćby ze względu na Julię.

Cezar przerwał w pół słowa i popatrzył na nią. Była chuda i mizerna, jej piwne oczy wydawały się olbrzymie w bladej, przezroczystej twarzy, rysy wyostrzyły się, a obojczyki sterczały pod skórą.

- Gajuszu, kiedy ja umrę, musisz się ożenić ponownie - powiedziała Kornelia i sama była zdumiona, że te słowa przeszły jej przez gardło.

Cezar upuścił łyżkę, którą ją karmił, i wlepił w nią zdumiony wzrok.

- Jak to ożenić? - zapytał wreszcie. - O czym ty mówisz, Kornelio?

- Gajuszu, proszę cię - nalegała. - Ciężko mi o tym mówić, to prawda, ale ty masz córkę, a ona potrzebuje kobiety. I ty też - dokończyła cicho Kornelia.

Cezar spuścił wzrok. Ona musiała wiedzieć o pewnych sprawach, które przed nią taił. Z powodu choroby nie spali ze sobą od kilkunastu miesięcy, a on przez ten czas dawał sobie radę do niedawna, kiedy to zaczął korzystać z łóżek niewolnic, co nie było niczym niezwykłym. Ona musiała o tym wiedzieć, ktoś jej musiał powiedzieć, ale teraz nie miało to znaczenia.

- Kocham cię, Kornelio - szepnął Cezar. - Nie chcę innej kobiety.

Odsunął talerz i uklęknął przy niej, podnosząc jej rękę do swojej twarzy. Z oczu płynęły mu łzy, a on czuł, jakby mu ktoś wsadził do piersi rozpalone żelazo. Ten potworny ból był nie do wytrzymania. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógł wytrzymać takiego cierpienia.

- To właśnie dlatego się ożeń, Gajuszu - prosiła Kornelia. - Julia potrzebuje matki. Jej będzie najtrudniej. Ty pojedziesz na prowincję prędzej czy później, będziesz się starał o urzędy, a kto się zajmie młodą dziewczyną?

- Ależ my się świetnie rozumiemy - zauważył Cezar.

Kornelia się uśmiechnęła.

- Tak, Gajuszu, ale są sprawy, o których córka nie mówi swemu ojcu. Są takie rzeczy, które zrozumie tylko druga kobieta. Twoja matka się starzeje, ma już inne poglądy na pewne sprawy. A ty, mój kochany, jesteś mężczyzną, potrafiłbyś rozwiązywać problemy syna, a nie dorastającej córki.

Cezar musiał przyznać Kornelii rację. Oni dwoje świetnie się rozumieli i Kornelia nie miała przed nim żadnych tajemnic, nawet jeśli chodziło o sprawy kobiece. Znał doskonale jej miesięczny cykl, wiedział, kiedy jest najbardziej płodna, rozumiał każde jej spojrzenie, nastroje, dobre i złe dni, wiedział, jak się zachować w danej sytuacji. Oni byli jednością, byli zespoleni ze sobą, związani nierozzerwalną przysięgą, byli jednym ciałem i jednym duchem.

Ale Julia?

Julia była jego dzieckiem, ale stawała się też kobietą, która będzie się dzielić swoimi tajemnicami ze swoim mężczyzną, ale na pewno nie z ojcem. I Cezar dobrze o tym wiedział, chociaż ten fakt od siebie odsuwał.

- Kornelio, nie chcę o tym rozmawiać - usiłował się wykręcić. - Jak możesz żądać ode mnie w takiej sytuacji, żebym się ożenił? Jesteś jak moja matka!

- Twoja matka, Gajuszu, jest mądrą kobietą i troskliwą, chociaż czasem dawała tego dowody w irytujący sposób. Słuchaj mnie teraz. Julia zostanie sama. Nie wiadomo, jak długo twoja matka będzie żyć, nie jest już przecież młoda, a twojej siostry nie będziesz obciążał córką podczas twoich nieobecności. Wiem, że ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę i nie rozumiem, dlaczego usiłujesz się wymigać od tej rozmowy. Potem nie będzie już okazji.

Kornelia zmęczyła się mówieniem i umilkła. Cezar spoglądał na nią z uczuciem narastającej bezsilności, a było to doznanie, którego szczerze nienawidził. Zdarzyło mu się już odebrać życie, ale na śmierć ukochanej kobiety nie potrafił patrzeć spokojnie. W ogóle nie potrafił na to patrzeć. Miał wrażenie, że ktoś wyrywa mu serce.

Nagle Kornelia wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni.

Uderzył go kontrast między jej białą skórą, przez którą prześwitywały wszystkie żyły i ścięgna, a swoją ciemną, silną i zdrową. Pamiętał, jak tymi rękami wykonywała czułe gesty, jak go nimi pieściła w taki sposób, że cały stawał w ogniu, jak tuliła maleńkie ciało nowo narodzonej córki, jak jej smukłe palce trzymały rylec, gdy spisywała na tabliczce dokonane zakupy albo rachunki. Teraz życie uchodziło z jej delikatnych dłoni, które Cezar spletał ze swoimi w chwilach największego uniesienia.

Nie mógł patrzeć na jej mękę, ale nie potrafił też odwrócić wzroku od niej. Kochał ją tak ogromnie, że uznawał za naturalne towarzyszenie jej w ostatniej drodze. Chciał dzielić z nią jej cierpienia i wielokrotnie myślał, że gdyby bogowie pozwolili mu cierpieć za nią, zgodziłby się chętnie. Ale nie mógł. Nie potrafił jej ulżyć, nie umiał załagodzić bólu, którego nie były w stanie stępić największe dawki leku sporządzane przez Zenona. Medyk wielokrotnie powtarzał, że mógłby przygotować taką dawkę, by zabić Kornelię i oszczędzić jej bólu, ale ona sama potrzasała głową.

- Póki mogę to jeszcze wytrzymać, chcę być z wami - mawiała, podczas gdy twarz wykrzywił jej grymas okrutnego bólu.

W najgorszych chwilach ścisnęła desperacko rękę męża, a on siedział przy niej spokojny, czuły i opanowany, nawet jeśli potem tłukł zaciśniętą pięścią w ścianę, wykrzykiwał za domem przekleństwa na całe gardło i dosłownie zamęczał konie, galopując na nich za murami miasta.

Julię wpuszczano do sypialni jedynie wtedy, gdy matka czuła się nieco lepiej i nie miewała bólów. Cezar poświęcał jej dużo czasu, kiedy nie wzywały go obowiązki kwestora, a babka pilnowała, by dziewczyna nie weszła do cubiculum matki sama.

Aurelia widziała cierpienie i bezsilność syna i sama czuła się tak, jakby jej ktoś rozdzierał duszę. Kornelia była dla niej jak córka, a oglądanie rozpaczliwego syna było dla Aurelii gorsze od ewentualnej męki na krzyżu. Żal jej było młodej kobiety, która odchodziła w takich cierpieniach. Żal jej też było Julii, a ona właśnie miała najbardziej odczuć śmierć Kornelii.

Ten dotyk ręki żony sprawił, że w Cezarze serce zmiękło.

- Ożeń się, Gajuszu - usłyszał jej głos. - Zrób to dla Julii i dla siebie. Nie możesz do końca życia wspominać, nie możesz się poddawać. Ja wiem, że ci ciężko, mój mężu, bo i mnie jest ciężko się z tobą rozstawać. Ale z tamtej strony będę cię obserwować i wierzę, że pewnego dnia spotkamy się w innym świecie.

W tym momencie Cezar nie pamiętał już, że nie wierzy w bogów i życie pozagrobowe.

- Zrobię to, o co mnie prosisz - obiecał. - Nie wymagaj jednak, bym tę kobietę obdarzył miłością. Nie pokocham już nigdy żadnej innej.

Kornelia uśmiechnęła się tylko. Dobrze wiedziała, że przez jej męża przemawia w tej chwili rozpacz i że nie wierzy on w jakiegokolwiek odrodzenie uczuć. Wcale też tego nie wymagała i rada była z jego słów, jakkolwiek przepojone były żalem. Ale jego obietnica, że znajdzie dla Julii matkę, a dla siebie żonę, napełniła ją spokojem. Wiedziała, że upewniwszy się co do ich wspólnej przyszłości, ona sama gotowa jest odejść do swoich przodków.

Julia nie spała tej nocy. Słyszała ruch na korytarzu i zdawała sobie sprawę, co to oznacza, ale nie wstała i nie poszła do cubiculum matki, ponieważ bała się tego, co może tam zobaczyć.

Jęki Kornelii dobiegały do uszu Julii nawet przez dość grube ściany willi. Ponieważ nastąpiła pełnia lata i powietrze w Rzymie stało się nieznośne, a roje komarów dręczyły nieszczęsnych ludzi, ojciec postanowił przenieść się poza miasto, by Kornelia miała spokój. Julia ubłagała go wtedy, by pozwolił jej także jechać, na co on początkowo nie chciał się zgodzić. W końcu jednak się ugiął, ale zabrał ze sobą matkę, by miała oko na Julię.

Ona sama czuła się opuszczona i samotna. Wiedziała doskonale, co się dzieje, ale nie potrafiła poradzić sobie w takiej sytuacji. Na nic się zdawały wtedy suche porady babki, by była mężna, jak przystało na Rzymiankę. Julia czuła się w takich momentach dzieckiem, chciała, by ją ktoś przytulił,

a nie prawil moraly.

Ojciec ją tulił. Przychodził do niej przed snem i bez słowa zamykał w swoich mocnych, dających poczucie bezpieczeństwa ramionach. Wtedy Julia nie czuła się taka bezgranicznie samotna.

Ale ojciec był tak samo poruszony chorobą matki i jej nadchodzącą śmiercią. W jego oczach Julia widziała taką samą rozpacz jak w swoich. I widziała, w przeciwieństwie do matki, jego furję, kiedy za domem potrafił rzucić się z mieczem na kawałek drewna i ciąć go z pianą na ustach. Widziała, jak tłukł pięścią o ścianę albo jak wkładał zaciśnięte pięści do ust i gryzł je w bezsilnej złości, by nie krzyczeć.

Na Forum ojciec musiał być spokojnym i opanowanym urzędnikiem, uśmiechającym się życzliwie do ludzi, rozdającym pieniądze klientom i żyjącym ponad stan, jak to wypadało w Rzymie. W domu przy niewolnikach, klientach, krewnych i przy matce musiał być panem sytuacji, przyjmującym nieszczęście z rzymskim spokojem i z rzymską godnością. W takich chwilach Julia przeklinała fakt, że urodziła się w Rzymie.

Leżała w ciemności nierozpraszanego żadnym światłem. Noce w Rzymie są ciemne, zmrok zapada szybko po zachodzie słońca. Wieczór nie trwa tam długo, a słońce nie podnosi się rano zbyt wcześnie. Julia zastanawiała się, jaki może być czas i po ułożeniu gwiazd na niebie, które widziała ze swego małego okna, wywnioskowała, że musi panować trzecia wigilia. Niedługo będzie świt. Za cztery godziny.

W domu panował chaos. Julia słyszała polecenia Zenona, jęki matki i uspokajający głos ojca. Nagle dobiegło ją własne imię i usłyszała, jak babka coś mówi.

- Sprawdź, czy śpi - dobiegło ją.

Julia czym prędzej ułożyła się na pościeli i nakryła głowę. Zaczęła oddychać głęboko, jak osoba pogrążona we śnie. Drzwi uchylły się i w strumieniu światła pojawiła się postać Aurelii w rozpuszczonych włosach i ubraniu w nieładzie. Julia miała zaciśnięte oczy tak, że przez maleńkie szparki widziała wszystko. Babka powstała w drzwiach przez chwilę, po czym

zamknęła je bezszelestnie.

- Trzeba jej podać odpowiednią dawkę i skrócić męki - usłyszała głos Zenona.

- Nie!

To ojciec. Julia poznała tę barwę jego głosu, nieużywaną nigdy w obecności rodziny.

- Gajuszu, proszę - to był udręczony głos matki. - Ja nie wytrzymam tego dłużej.

Julia skuliła się pod okryciem. Nie zauważyła, jak zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w skórę dłoni. Słyszała jęki ojca, jakby sam wił się w bólach po truciźnie, głęboki szloch Aurelii i nalegania Zenona, by podać matce śmiertelną dawkę.

- Posłuchaj, Cezarze - usłyszała głos medyka tuż pod swoją sypialnią. - Ona dzisiaj dostała tyle środków przeciwbólowych, że nie powinna nic czuć, a jednak widzisz, jak się męczy. Z każdym dniem te bóle będą coraz gorsze, a twoja żona będzie się okropnie męczyć. Nie dawałem jej trucizny, bo nie chciała tego. Ale sam widzisz, co się dzieje. Ona odchodzi, Cezarze, i dobrze o tym wiesz.

- Milcz! - wybuchnął ojciec. - Milcz, Zenonie, na Jowisza, nie mów mi o tym! Jak, do stu piorunów, mogę decydować o jej życiu? Czyś ty rozum stracił? Gdyby to twoja żona leżała na jej miejscu, podałybyś jej truciznę?

Julia miała ochotę iść tam i prosić ojca, by się nie decydował, ale z drugiej strony słyszała sama, że matka tego chce. Udręczona chorobą, cierpieniem i nadciągającą zbyt wolno śmiercią Kornelia zapragnęła wyzwolenia od ciągłego bólu i gnijącego ciała, które stało się jej więzieniem.

Suchy szloch Cezara rozniósł się po korytarzu.

- Rób, co uważasz za słuszne, ale pozwól mi się z nią pożegnać. Tylko tyle.

Julia wyskoczyła z łóżka i wyszła na korytarz. Ojciec i Zenon spojrzeli na nią z przerażeniem. Cezar pierwszy się opanował i otarł oczy. Julia nigdy nie widziała go w takim stanie. Miał na sobie jedynie tunikę przepasaną niedbale zwykłym sznurem, jak niewolnik, włosy, które zawsze elegancko układał, w splątanych lokach opadały mu na czoło, mokre

od potu. Na twarzy miał wyraźny czarny zarost, który codziennie jego fryzjer starannie golił, a na dłoniach widoczne były ślady po zębach, zapewne własnych.

Patrzył na córkę nieprzytomnym wzrokiem.

- Też chcę pożegnać się z matką - wyszeptała Julia.

Cezar bez słowa ujął jej rękę i zaprowadził do cubiculum, w którym leżała Kornelia. Drzwi otworzyły się i w ciepłym świetle kaganka Julia ujrzała matkę.

To była obca osoba. Obca, zniszczona, umierająca kobieta.

No i ten zapach! Słodkawy, mdlący zapach zmieszany z czymś obrzydliwym, czego Julia nawet w myślach nie chciała nazwać. Był wszechobecny i wszechogarniający, nie pomagały ani kadzidła, ani kwiaty ustawione przy łóżku matki.

Kornelia była blada, przezroczysta i niemożliwie chuda. Na jej czole, na napiętej do granic wytrzymałości skórze perliły się krople potu. Julia stała jak porażona, nie będąc w stanie wykrztusić słowa, nie wiedząc, co robić. Za nią stał Cezar, wciąż trzymający córkę za rękę, patrzący na żonę niewidzącym wzrokiem.

- Daj... mi... odejść - prosiła kobieta na łóżku.

Cezar ukrył twarz w dłoniach.

Do cubiculum bezszelestnie wszedł Zenon, trzymając w dłoni czarę z parującym wywarem. Kornelia pożądliwie utkwiała w nim oczy.

- Julio, wyjdź - wydał polecenie Cezar. - Nie chcę, żebyś na to patrzyła.

Na dźwięk imienia swej córki Kornelia jakby się ocknęła. Skierowała oczy na Julię, a na jej udręczonej twarzy ukazał się słaby uśmiech.

- Julio, cokolwiek uczyni twój ojciec, musisz pamiętać, że on cię bardzo kocha - wyszeptała z wysiłkiem. - Nigdy o tym nie zapominaj.

Zenon zbliżył się do Kornelii z pucharem, a Cezar dosłownie wypchnął córkę za drzwi. Stojąc po drugiej stronie, Julia słyszała szmery, ale nie potrafiła rozpoznać ani jednego dźwięku. Ktoś ją przytulił. Julia uniosła twarz i napotkała spojrzenie czarnych oczu swojej babki, które tym razem nie

miało w sobie nic ze zwykłego szyderczego wyrazu. Zaprowadziła Julię do wielkiej ciepłej kuchni, gdzie dała jej naparu z melisy.

Długo potem, kiedy niebo na wschodzie zaczęło przybierać różową barwę, z sypialni Kornelii wyszedł Cezar. Julia słyszała jego kroki w portyku. Babka Aurelia siedziała cały czas przy stole w nocnej koszuli i narzuconym na nią szalu, zamyślona i poważna. Nie zauważyła, kiedy wnuczka wymknęła się z kuchni i pobiegła za ojcem, który kierował się w stronę ogrodu.

Julia zastała go na schodach. Siedział skulony, z łokciami opartymi na kolanach i z twarzą wspartą na dłoniach. Nigdy jeszcze Julia nie oglądała go w takim stanie. Dla niej Cezar był uosobieniem bezpieczeństwa i siły, nie sądziła, nie podejrzewała, że ten mężczyzna mógłby się tak załamać. A powinna była sądzić. Przecież widziała nie raz, jak patrzył na matkę, jak oboje spoglądali sobie w oczy.

Bez słowa usiadła obok niego.

- Zmarzniesz - odezwał się Cezar. - Wracaj do domu.

- Tam jest tak pusto - szepnęła Julia.

Oczy ojca skierowały się na jej twarz. W szarym blasku poranka Julia wydawała mu się znacznie starsza, poważniejsza i, co zdumiewające, podobna do Kornelii.

Nagle, bez słowa, Cezar objął córkę i przytulił do siebie. W milczeniu siedzieli razem, czekając na wschód słońca, czując, jak bardzo są ze sobą związani i jak im obojgu brakuje Kornelii, która wyzwolona od bólu kroczyła świetlistą drogą ku wieczności.

Pogrzeb córki Korneliusza Cynny odbył się z podobną pompą jak kilka miesięcy wcześniej pogrzeb Julii. Tym razem także Cezar wygłosił mowę, co nie należało do zwyczaju, Kornelia bowiem nie była żadną matroną, tylko młodą obywatelką rzymską. W chwili śmierci miała raptem trzydzieści dwa lata.

Po pogrzebie Cezar ze zdwojoną aktywnością zabrał się do pracy, głównie po to, by zagłuszyć ból. Julia spoglądała na to wszystko z pozorną obojętnością, ale doskonale wiedziała, że

śmierć Kornelii zmobilizowała go do dalszych starań o urzędy, w dodatku z pasją, jakiej mu wcześniej brakowało. To nie był już ten sam Cezar, który z senatu czy z Forum szedł do domu, by się rozkoszować popołudniem i wieczorem u boku żony, a potem wydawał przyjęcia do białego rana. Nie, ten nowy Cezar zajmował się swoimi sprawami niemalże od rana do wieczora, złościąc się wielce, kiedy ktoś mu przeszkadzał.

Wreszcie późnym latem otrzymał rozkaz, by udać się na prowincję. Miał jechać do Hiszpanii.

Aurelia była oburzona i zrozpaczona zarazem.

- Jak możesz jechać do Hiszpanii, Gajuszu, skoro masz tutaj nieletnią córkę pozostawioną bez opieki? - zawodziła. - Obiecałeś Kornelii, że się ożenisz.

- Tak, ale nie miesiąc po jej śmierci - warknął Cezar. - Matko, nie zaczynaj znowu tej samej śpiewki. Zostawiam Julię z tobą, a ty jej zapewnisz opiekę. Do Hiszpanii muszę jechać, to mój obowiązek i dobrze o tym wiesz.

Aurelia nie przestawała naciskać.

- Powinieneś się ożenić jak najszybciej, Gajuszu - powtarzała. - Kiedy stamtąd wrócisz?

- Pojęcia nie mam - odparł Cezar. - Matko, czy ty musisz mnie tak dręczyć? Dobrze wiedziałaś, że prędzej czy później pojedę na prowincję, więc nie rozumiem, dlaczego teraz mi to wyrzucasz.

Aurelia usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. Po śmierci synowej jej samej jakby przybyło lat.

- Martwię się o ciebie, moje dziecko - powiedziała.

Cezar drgnął. Wieki minęły, odkąd matka po raz ostatni nazwała go dzieckiem. On sam nie czuł się nim od bardzo dawna. Ale te słowa matki rozczuliły go i wywołały wyrzuty sumienia.

- Mógłbyś chociaż porozmawiać z Julią - stwierdziła Aurelia. - Myślisz, że jej będzie przyjemnie słyszeć, że wyjeżdżasz?

Cezar miał ochotę przeklinać głośno, ale się opanował i odszedł bez słowa. Udał się do pokoju córki, która zajęta była lekturą Homera. Cezar dbał, by Julia zapoznawała się z greką,

a ponieważ on sam czytywał Iliadę w dzieciństwie, ucieszył się, że i ona czyta.

Na widok ojca Julia odłożyła zwój. Cezar usiadł na krześle przy łóżku i popatrzył na nią uważnie.

- Stajesz się kobietą, Julio - stwierdził. - Niebawem trzeba ci będzie znaleźć męża.

Julia skrzywiła się.

- Nie chcę - mruknęła niechętnie.

- A to dlaczego? - zdziwił się Cezar.

- Bo żaden mąż nie może się z tobą równać - wyjaśniła.

Cezar się roześmiał.

- Wyjeżdżam, Julio - odezwał się po chwili. - Jadę do Hiszpanii zbierać podatki. I wiesz chyba, że nie mogę cię ze sobą zabrać, chociaż bym chciał.

Ładna twarz Julii spochmurniała.

- Dlaczego nie? W Hiszpanii nic mi przecież nie grozi. Namiestnicy biorą rodziny na prowincję.

- Ja nie jestem namiestnikiem, Julio, tylko kwestorem. Będę jeździł od miasta do miasta, a to jest nużące dla młodej dziewczyny. Poza tym nie mam ochoty patrzeć, jak moi ludzie będą do ciebie wzdychać i próbować się przekraść do twoich pokoi. Jak wrócę, zajmę się wszystkim tutaj. Z babką będzie ci dobrze w Rzymie.

Julia miała ochotę powiedzieć, że z nikim nie będzie jej dobrze w Rzymie po śmierci matki, ale milczała. Cezar przejrzał ją jednak i uśmiechnął się gorzko. Wiedział, że ta czarnooka dziewczyna czuje tak samo jak on.

- Mnie też nie jest łatwo, Julio - powiedział.

- Tak, ale ty będziesz miał co robić w Hiszpanii - stwierdziła córka. - Tam oderwiesz się od smutku i zapomnisz o bólu.

Cezar rzucił jej spojrzenie spod oka.

- Tak myślisz? Naprawdę sądzisz, że zapomnę? Nigdy tego nie zapomnę, choćby wyglądało inaczej. Nie myśl, że jadę tam dla własnej przyjemności, bo wśród ludzi trudniej mi będzie udawać pogodę ducha, kiedy jej właśnie nie mam.

Julia spuściła głowę i spoglądała na zwój *Iliady* na swoich

kolanach.

- Miałem tyle lat co ty, kiedy zmarł mój ojciec, więc wiem doskonale, co czujesz - powiedział Cezar po chwili, nie patrząc na nią. - I wiem, że ból najtrudniej ukryć wśród innych ludzi. Ale ja, Julio, stałem się tamtego dnia oficjalnym panem domu, głową rodziny, moja matka i siostry przeszły pod moją władzę, a ja miałem czternaście lat i trzy kwartały. Wyobrażasz sobie, jak wielką odpowiedzialność na siebie przyjąłem?

Julia nadal milczała.

- Wiem, że tobie jest równie ciężko i być może masz rację, twierdząc, że tam, na prowincji, łatwiej mi będzie się otrząsnąć z bólu. Ale chcę, żebyś wiedziała, że jakkolwiek znajdzie się w moim życiu kolejna kobieta - bo znaleźć się musi, choćby ze względu na twoje dobro - to żadna nigdy nie zajmie miejsca twojej matki. A wyjazd do Hiszpanii to nie ucieczka od ciebie, od babki ani od moich myśli, Julio, ale obowiązek rzymskiego urzędnika, nic więcej. I tam, w Hiszpanii, będzie mi jej tak samo brakowało, jak tutaj.

Julia pokiwała głową na znak, że rozumie, ale w głębi ducha czuła się opuszczona przez ojca. Dopiero później zrozumiała, że dla Cezara ten wyjazd nie był ani łatwy, ani przyjemny. Pojęła to w dniu odjazdu, kiedy ujrzała jego twarz i wymuszony uśmiech na ustach, gdy witał się ze swoim zwierzchnikiem. Wtedy zrozumiała, że najchętniej zostałyby z najbliższymi i czekał, aż rana w sercu się zagoi.

Ale obowiązki go wzywały i w tym samym jeszcze roku, w którym zmarła jego żona po dwuletniej chorobie, Cezar wyjechał do Hiszpanii, by tam wykonywać swoje obowiązki kvestora i piąć się dalej po drabinie rzymskich zaszczytów państwowych. Ta droga zaś nie była wcale taka przyjemna i łatwa, jak można się było spodziewać.

Tymczasem daleko w Galii inny młody człowiek pokonywał swoją drogę ku szczytom, nie mniej trudną i nużącą, pnąc się mozolnie ku szczytowi, którego wciąż nie mógł dostrzec zza zasłony chmur.

VII

Myśli Galvana szybowwały ku niebu, podczas gdy do jego uszu dolatywały mądre słowa Maerina o władzy królewskiej. Druid wyjaśniał swoim uczniom, dlaczego Galowie nie uznają królów, ale Galvan nie słuchał. Pomimo iż od tamtego dnia upłynęło osiem lat, on wciąż nie mógł zapomnieć słów wypowiedzianych przez Gobannicjona. Wuj przyjechał do Gergowii wkrótce po tym, jak go odwiózł do Maerina na naukę. Odciągnął go wtedy na bok i powiedział:

- Twój ojciec nie żyje, Galvanie.
- Ruten? - przeraził się chłopiec.
- Nie, twój prawdziwy ojciec, Celtyllus. Zabili go ludzie, którym nie podobał się fakt, że dążył do jedynowładztwa.

Galvan nie znał swego ojca, a w każdym razie ledwo go pamiętał. Teraz miał piętnaście lat i czekała go edukacja wojskowa u kobiet - wojowniczek. Maerin zapoznał chłopców z podstawowymi zagadnieniami, ale to kobiety miały szkolić młodych ludzi w tym, co najważniejsze.

Jednak tamte słowa wuja na zawsze utkwiły mu w pamięci. Wiedział, kim był Celtyllus, i co to znaczy być jego synem. Legalnym synem. Galvan kilka razy widział swego starszego brata Celtillognatosa, ale nie miał okazji przebywać z nim dłużej. Z młodszym bratem, Brennusem, żył w wielkiej przyjaźni. Wiedział, że ma jeszcze młodsze siostry, ale ich zupełnie nie znał. Jego matka Geillis i nałożnica ojca, Aman, urodziły je, kiedy on był już u Evar. I prawdę powiedziawszy, nie pamiętał też za dobrze swojej rodzonej matki.

Geillis przyjechała do niego raz, by mu oznajmić, że wychodzi za mąż za brata Celtyllusa. Galvan miał wtedy osiem

lat i niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Potem nie miał z matką żadnego kontaktu.

Szkoła Maerina nie była dokładnie tym, czego Galvan oczekiwał. Oprócz mistrza uczyli tu inni druidzi, o mniejszym lub większym stopniu wtajemniczenia. Wykładali nauki przyrodnicze, każąc uczyć się wszystkiego na pamięć, gdyż uważali, że pismo jest nie dość wiarygodne. Jeśli już musieli coś zapisać, posługiwali się alfabetem greckim i tego też uczyli swoich adeptów. Litery greckie były więc jedynymi, jakie Galvan poznał. Nauczył się pisać swoje imię, ale na tym się skończyło.

Druidzi przekazywali też wiedzę o gwiazdach, ruchach planet, historię i kulturę plemion galijskich, a także naukę o duszy i jej wędrówkach. Wyjaśniali, że nie należy bać się śmierci, gdyż stanowi ona jedynie wrota do innego życia, a dusza odradza się w następnym ciele, aż uwolni się od skaz i uzyska spokój. Wpajali też chłopcom męstwo i zapał wojenny, przytaczając setki przykładów sławnych wojowników, którzy okryli się chwałą na polu bitwy.

Uczyli także spraw bardziej przyziemnych, to znaczy wyjaśniali dorastającym młodzieńcom, na czym polega małżeństwo i jak należy o nie właściwie dbać. Czynili to, by młodzież nie dała się ponieść gorącej krwi i nie eksperymentowała na własną rękę. Wpajali obyczaje, wedle których chłopcy zostali wychowani i wedle których mieli w przyszłości postępować ze swoim potomstwem.

Przekazywali wiedzę posiadaną od setek lat, objaśniali kalendarz, wpływ słońca i księżyca na ziemię i morza, uczyli rzeczy, o których zwykli ludzie już nie pamiętali, a pamięć których oni przechowywali w swoich umysłach i przekazywali z pokolenia na pokolenie. W taki sposób druidzi przygotowywali przyszłych wojowników i naczelników do dorosłego życia, zgodnego z naturą i prawami, w którym należało kierować się rozsądkiem, siłą i poczuciem sprawiedliwości, znajdując umiar w tych trzech sprawach.

Wszelkie obrzędy religijne, w które Galvan także był wtajemniczany, odbywały się w nemeton, świętym okręgu

na skraju lasu. Słowo to oznaczało „świętą polanę” i miało charakter magiczny, było wybierane przez druidów ze względu na swoje właściwości. Galvan jednak nie miał o tym pojęcia, gdyż nie zamierzał zostać druidem, a więc nie mógł dostąpić wtajemniczenia w głębszą wiedzę.

Chłonał zwykle te wszystkie mądre słowa z zaciekawieniem i nigdy nie miał dość, ale tego dnia był dziwnie rozkojarzony i niespokojny. Nie mógł się skupić na słowach Maerina i siedząc na trawie, wybijał palcami rytm o kolano. Jego niebieskie oczy spoglądały gdzieś daleko, ponad wierzchołki drzew, bo oto do Gergowii przyjechała Geillis i Galvan zastanawiał się, czy pozwolą mu się z nią zobaczyć.

Jakkolwiek uważał Evar za swoją matkę i to ona kojarzyła mu się z ciepłem i troską, to jednak w zakamarkach pamięci pojawiało się inne wspomnienie, delikatne ręce i długie jasne włosy opadające na jego twarz. Tak bardzo chciał się z nią zobaczyć, zanim wyjedzie z miasta. Mieszkała teraz z Cynnusem, stryjem Galvana, jako jego druga żona. Tak było od ośmiu lat, odkąd Celtyllus został otruty.

Gdy wreszcie dobiegł końca wykład, Galvan udał się prosto do Maerina i przedstawił mu swoją prośbę.

Druid spoglądał na niego w milczeniu. Syn Celtyllusa nigdy go o nic nie prosił. Był dość powściągliwym dzieckiem, chociaż Maerin wiedział, że Galvan potrafi być też niezłym urwisem, zwłaszcza w kompanii swoich rówieśników. Ale był pilnym uczniem, w dodatku inteligentnym, i zapowiadał się na dobrego wojownika. Już wcześniej ciągnęło go do broni, kiedy druidzi objaśniali zasady działania różnych jej rodzajów. Wszystko wskazywało na to, że będzie z niego wartościowy człowiek.

A poza tym Galvan był niebywale pięknym dzieckiem, nawet teraz, kiedy męźniały mu rysy twarzy. Wciąż nie miał zarostu, jak to bywa u jasnowłosych chłopców, jego twarz miała jasnobrązowy odcień, gdyż Galvan przebywał niemal stale na powietrzu, był też znakomitym jeźdźcem, a rysy twarzy odznaczały się niezwykle regularnością. Najbardziej zdumiewające były jego oczy, błękitne jak jesienne niebo, gdy odbijają się od niego czerwone liście, o tak czystej barwie, że

zaskakiwało to wszystkich i niemal porażało chłodem. Ale Galvan miał chłodne spojrzenie tylko na pozór. Gdy się uśmiechał, jego oczy rozjaśniały się ciepłym blaskiem.

Brwi miał brązowe, ale mocno zarysowane, nos niezwykle kształtny, prosty i łagodnie uformowany, twarz szczupłą, kości policzkowe odznaczały się pod skórą znacznie, ale nie na tyle, by szpecił twarz, usta zaś miał pełne i ładnie skrojone. Gdy był młodszy, wyglądał jak dziewczyna, ale teraz jego ciało zaczęło się zmieniać. Jasne włosy stały się o ton ciemniejsze i już nie były białe jak mleko ani złociste jak pszenica, nabrały odcieniu miodowego brązu, przetykanego gdzieś tylko jasnymi, niemal srebrnymi pasemkami.

On ma urodę po Geillis, rozmyślał Maerin, który swego czasu sam udzielał ślubu rodzicom chłopca. Oby przejął też rozum i siłę Celtyllusa, ale nie jego dumę. Duma go zabiła.

- Dlaczego chcesz jechać do miasta? - zapytał. - Geillis nie jest teraz twoją opiekunką. Będiesz mógł zamieszkać w jej domu dopiero po zakończeniu edukacji, kiedy wrócisz jako pan swojego domostwa.

Za siedem lat, pomyślał Galvan z goryczą. Dla niego siedem lat stanowiło część wieczności.

- Panie, nie widziałem jej od wielu lat - odezwał się proszącym tonem. - A kiedy spotkałem ją ostatni raz, była smutna i nieszczęśliwa. Chcę się przekonać, że teraz jest jej dobrze. Nie wrócę z nią do domu, wiem, że muszę być tutaj.

Maerin się uśmiechnął. Tak, Galvan musiał tu wrócić, by zakończyć ośmioletni cykl nauki. Teraz czekało go wtajemniczenie wojenne, musiał nauczyć się sztuki walki, podzielić łóżko z kobietą, która będzie go uczyć, i z mężczyzną, który stanie się jego towarzyszem w boju. Ten jeden jedyny raz w ciągu życia Galvan będzie musiał spędzić noc z mężczyzną, dzieląc się z nim samym sobą, by w ten sposób osiąść część jego duszy, oddając część swojej.

Na myśl zaś o Scatah i jej córce, która teraz była mniej więcej w wieku Galvana, Maerina przeszły ciarki. Słusznie jej imię znaczyło tyle co „straszliwa”. Zniewalała duszę mężczyzny.

Maerin pomyślał, że przez następne cztery lata Galvan nie

będzie miał najmniejszej okazji, by spotkać matkę. Co więc szkodziło, by się udał do niej z wizytą, skoro Geillis jest w Gergowii?

- Skoro tak bardzo chcesz ją ujrzeć, wolno ci, ale musisz wrócić tego samego wieczoru - oznajmił druid. - Nie pojedziesz sam. Wyznaczę ci opiekuna, bo nie wiadomo, co ci może strzelić do głowy.

Galvan rozpromienił się w jednej chwili, a wtedy Maerin zrozumiał, że mimo wszystko chłopak musiał się tu czuć dość samotnie. Poczucie więzi budziło w nim tęsknotę za domem, za matką i za światem dzieciństwa, który pozostawił daleko za sobą, wstępując na drogę ku dorosłości. A musiał stać się dorosły osiem lat temu, kiedy zabito jego ojca.

- Dzięki, panie - szepnął Galvan bez tchu.

Maerin uśmiechnął się pod nosem. Zdumiony był zarówno prośbą Galvana, jak i jego reakcją, bo nieczęsto się zdarzało, by chłopcy wychowani u obcych kobiet tęsknili za swoimi prawdziwymi matkami, które ledwo znali. Ale to poczucie więzi, czy jak Maerin mógł to nazwać, świadczyło o naturze tego młodego człowieka i druid był pewien, że w razie jakiegoś zagrożenia Galvan stanąłby w obronie ojczyzny.

Chyba że postąpiłby tak, jak nie zdążył postąpić jego ojciec. Tego zaś Maerin nie pragnął ani ze względu na samego Galvana, ani na kraj Arwernów.

Geillis przyjechała do Gergowii na targ, który zazwyczaj odbywał się wiosną. Towarzyszyła jej Aman, obecnie żona Gobannicjona, ponieważ przyjaciółki od piętnastu lat udawały się razem w każdą podróż, nawet tak krótką jak ta. Gobannicjon też wybrał się do Gergowii, by na targu sprzedać odhodowane konie i swoje wyroby rzemieślnicze.

Nie wiadomo, jakim cudem Galvan się o tym dowiedział, ale w określonym dniu znalazł się w mieście i rozglądał bacznie za matką, bo za nic nie chciał stracić takiej okazji. Oglądał się też za ładnymi dziewczętami, które mijał na ulicach, ale one przykuwały jego wzrok o tyle, że Galvan wkraczał w pewien wiek. Druid idący za nim uśmiechał się pod nosem, widząc zainteresowanie młodego człowieka, ale milczał. On w wieku

piętnastu lat też spoglądał ukradkiem na ładne panny.

Ujrzał je zupełnie niespodziewanie, gdy siedziały przy studni miejskiej i najwidoczniej odpoczywały. Galvan byłby ich nie poznał, gdyby nie wspaniała płaszcz matki, błękitny w czerwony wzór, który zakładała zawsze, gdy przychodziła z wizytą do Evar. W blasku wiosennego słońca lśniło złoto na jej szyi, a jej jasne włosy zdawały się emanować własnym światłem.

- Jeśli chcesz, idź do niej, ale pamiętaj, że będę tu na ciebie czekał przed zachodem słońca - powiedział druid.

Galvan kiwnął głową i ruszył przed siebie. Szedł jak lunatyk, a widok rodzonej matki wydał mu się nad wyraz dziwny po tylu latach.

Geillis poprawiała akurat sprzączkę u pasa, kiedy chłopak stanął przy niej. Zniecierpliwiona, że ktoś zasłania jej światło, uniosła głowę i na wysokości swoich oczu napotkała jego wzrok. Przez chwilę stała w milczeniu, nie wiedząc, czy ma przed sobą zjawę, czy żywego człowieka, ale zaraz życie w nią wstąpiło.

- Galvan? - odezwała się zza jej ramienia Aman.

Chłopak zwrócił na nią wzrok i zdumiał się. Zapamiętał Aman jako młodą dziewczynę, a teraz miał przed sobą kobietę w kwiecie wieku, zmysłowo dojrzałą, ale wciąż jeszcze młodą, która mogłaby poruszyć zmysły niejednego mężczyzny.

- Co ty tu robisz? - zapytała Aman rzeczowo.

- Przyjechałem się z wami zobaczyć - odparł Galvan głosem, który zdradzał przechodzoną właśnie mutację.

Geillis spoglądała na niego zdumiona.

- Synu, jak ty wyrosłeś - wykrztusiła wreszcie. - Doprawdy, nie jesteś już dzieckiem. Stajesz się mężczyzną.

Po czym zarzuciła mu ręce na szyję i przygarnęła do siebie, dziwiąc się, że tuli wysokiego, smukłego chłopaka, a nie małe, pulchne niemowlę. Ta różnica uświadomiła jej nagle nieubłagany upływ czasu i ostatnie osiem lat, które nie wiadomo, kiedy minęły.

Czarne oczy Aman rozbłysły.

- A Brennus? - zapytała. - Nie pozwolono mu przyjechać?

- Nie, ja myślałem, że matka jest sama w mieście - wymamrotał Galvan, który poczuł nagle, jak bardzo brakowało mu bliskości matki.

- I Maerin pozwolił ci na podróż? - odezwał się trzeci głos, który należał do Gobannicjona. - No proszę, on nie każdemu na to pozwala. Pokaż no się tu, chłopcze. Ale ty wyrosłeś!

- To samo mu przed chwilą powiedziałam - zaśmiała się Geillis przez łzy.

Gobannicjon, który po udanej transakcji był w znakomitym humorze, zwrócił się do żony:

- Aman, może poszlibyśmy do kramów, gdzie sprzedają złoto? Mogłabyś sobie coś wybrać. Dawno cię nie rozpieszczałem żadnymi podarunkami.

Aman doskonale wiedziała, do czego pije jej mąż, więc nie protestowała. Galvan i Geillis zostali sami.

- Wyglądają na szczęśliwych - zauważył Galvan, wskazując na tamtych ruchem głowy.

- Bo są - przyznała Geillis. - Mój brat był sam, więc kobieta w domu naprawdę była mu potrzebna.

- A ty, matko? - zapytał Galvan. - Czy ty jesteś szczęśliwa?

Geillis spojrzała na niego uważnie i Galvan mógł dostrzec delikatne zmarszczki wokół jej oczu i ust. Miała teraz trzydzieści jeden lat, ale ponieważ była blondynką, wiek nie dawał o sobie znać tak szybko, jak u Aman.

- Z tym szczęściem różnie bywa, mój synu - odparła z wolna. - Kiedy zginął twój ojciec, chciałam iść za nim, ale powstrzymały mnie twoje siostry. I ty, Galvanie. Wiedźma Scatah przepowiedziała mi kiedyś coś ważnego i nie mogę cię opuścić. Jeszcze nie nadszedł twój czas.

- A Cynnus? Jaki jest? - zapytał Galvan.

- Cynnus jest dobrym człowiekiem, nie skrzywdził mnie nigdy. Ale ja wciąż tęsknię za twoim ojcem i nic nie mogę na to poradzić. Dlaczego chciałeś mnie zobaczyć?

- Nie cieszysz się z tego?

- Oczywiście, że się cieszę, ale wiesz sam, że teraz nie ja jestem twoją matką, ale Evar. Jeszcze przez cztery lata.

Niebieskie oczy Galvana zamglily się.

- Martwię się o ciebie, matko - wyznał. - Boję się, że możesz być samotna.

- Nie jestem. Nie musisz się o mnie martwić. Powinieneś raczej skupić się na swojej edukacji. Na tym, co cię czeka jesienią.

Tak, Galvan wiedział, co go czeka. Miał się udać do siedziby Scatah na naukę. Nie on jeden, jego przyjaciele też. Piętnaście lat to był odpowiedni wiek, by zacząć się szkolić w rzemiośle wojennym.

Ale Galvan się tego bał. Słyszał plotki o tych wiedźmach wyszarpujących ludziom wnętrzności. Słyszał, jak chłopcy szeptali o tajemnych rytuałach, o sekretach wojowników, o tym, jak owe kobiety podcinały gardła pokonanym wrogom i składały z ich krwi ofiarę. Słyszał też szepty o wtajemniczeniu, o rozkoszach i sprawdzianie męskości, o nauce kobiecego ciała. Dla niego wszystkie te tematy stanowiły na razie tabu, nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, chociaż się domyślał.

Spojrzał na matkę i przypomniał sobie nocne poszeptywania i jęki dobiegające z sypialni Rutena i Evar.

Dlaczego Geillis mówiła mu o tym?

- Dlaczego zabili ojca? - zapytał Galvan zniechęcony.

Geillis rozejrzała się ukradkiem dookoła.

- Nigdy o tym głośno nie wspominaj, Galvanie - szepnęła. - Dopóki nie nauczysz się władać mieczem na tyle dobrze, by pokonać jego wrogów i pomścić morderców, nie pytaj nigdy o to na głos. Bo jesteś jego jedynym prawowitym synem. Celtillognatos i Brennus są z nieprawego łoża, jakkolwiek Celtyllus potem ożenił się z Aman, nadając jej status małżonki. Ty masz w sobie królewską krew, synu. Możesz zostać tym, kim twój ojciec nigdy nie był, a chciał być.

- Królem?

- Cicho! Nie wymawiaj tego słowa. Celtyllus chciał zjednoczyć wszystkich Celtów i stać się ich władcą. I był od tego o krok, bo planował sprzymierzyć się z Ariowistem. Ojciec Ariowista posiadał tytuł przyjaciela narodu rzymskiego, a to stawiało go bardzo wysoko. Rozumiesz, że gdyby Celtyllus został sprzymierzeńcem sprzymierzeńca Rzymian, to wtedy

osłabiłby pozycję Eduów.

- Dlatego partia proedueńska go zgładziła?

- Tak. Nikt nigdy jawnie tego nie powiedział, ale tak właśnie było.

Galvan milczał przez chwilę.

- A gdyby go nie zabili? Gdyby ojciec zjednoczył Celtów?

- To Arwernowie byliby najsilniejszym plemieniem w Galii, mój synu.

Galvan zamyslił się. Geillis obserwowała go, ale nie sądziła, że piętnastolatek może mieć na względzie całą Galię, podzieloną i rozproszoną na mnóstwo odrębnych państw, łatwą do podbicia i skłóconą, którą zjednoczyły jedynie kultury religijne. Uśmiechała się jedynie ze smutkiem na myśl, że jej syn wspominał zmarłego ojca i że postać Celtyllusa wciąż żyła w jego pamięci.

Pod wieczór, kiedy Gergowia stawała się pusta, a ludzie udawali się do domów w rozmaitych celach, kiedy Geillis i jej rodzina poszli do gospody, by tam spędzić noc, Galvan spieszył się do bramy miejskiej, gdzie czekał na niego opiekun.

Nie patrząc, gdzie biegnie, wpadł nagle na jakąś kobietę w długim czarnym płaszczu, której płomiennie rude włosy opadały na plecy.

- Przepraszam - wymamrotał i chciał biec dalej, ale kobieta niespodziewanie go zatrzymała.

- Podążasz właściwą drogą - powiedziała dźwięcznym głosem. - Właśnie na nią wstąpiłeś, dzisiaj, gdy rozmawiałeś z Geillis.

Galvan spojrzał na nią zdumiony. W blasku zachodzącego słońca jej włosy zdawały się płonąć żywym ogniem, a zielone oczy lśniły jak u bogini.

- Nie rozumiem - zaczął. - Skąd możesz wiedzieć...

- Wiem wszystko, co muszę wiedzieć - odparła tajemnicza postać. - Ty jesteś wybrany. Twój ojciec wskazał ci drogę, teraz zrobiła to Geillis. Podążaj za głosem, Galvanie. Nie sprzeciwiaj się.

Galvan patrzył na kobietę zdumiony. Już gdzieś ją kiedyś widział. Nie mogła być pierwszej młodości, była chyba raczej

w wieku jego matki albo Aman. Ale miała w sobie jakiś niewiarygodny urok, moc przyciągania i sugestii. Galvanowi zakręciło się w głowie i naraz stwierdził, że pragnie tej kobiety. Krew nieznośnie pulsowała mu w tętnicach, ciało ogarniał ogień, a nabrzmiała męskość była twarda jak żelazo. Gdyby ona go teraz pociągnęła w zaułek, nie opierałby się.

Kobieta uśmiechnęła się przeciągle i w tym momencie Galvanowi świat zawirował przed oczami. Kiedy się ocknął, stał oparty o ścianę, dysząc ciężko, czując ogarniającą go błogość, ale nie wiedział, co takiego się stało.

Dziwnej postaci nigdzie nie było.

Sen?

Doprowadził się do przyzwoitego stanu i pospieszył do bramy miejskiej, gdzie czekał na niego wyznaczony druid.

Kiedy byli już daleko za Gergowią, Galvan ośmielił się zadać pytanie.

- Kim jest kobieta o płomiennie rudych włosach i przenikliwym spojrzeniu? Ma drapieżny uśmiech i emanuje czymś takim, że człowiekowi w głowie się kręci.

Druid spojrział na niego zdumiony.

- Scatah? Chcesz powiedzieć, że ją spotkałeś?

- Nie wiem - wymamrotał Galvan niepewnie. - Chyba tak.

- Ależ jej nie ma teraz w Gergowii - powiedział druid. - Jest na wyspie Sein, daleko stąd. Raz na pięć lat udaje się tam na spotkanie swoich sióstr, które uczą młodych ludzi w innych krajach. Nie mogłeś jej spotkać.

- Ale właśnie spotkałem - upierał się Galvan.

- To znaczy, że musiała się tobie ukazać. Ona potrafi takie rzeczy. Umie opuścić swoje ciało i podczas gdy leży w jednym miejscu, jej duch swobodnie przechodzi, dokąd zechce.

Galvan poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. To nie było nic przyjemnego.

- Musiało mi się przywidzieć - mruknął wreszcie.

Ale ostatnie doznania mówiły mu, że to wcale nie było przywidzenie. A skoro tak, czego mogła od niego chcieć ta straszliwa kobieta?

Wybrany. To słowo nic mu nie mówiło.

Sen nie nadchodził. Galvan leżał z rękami założonymi za głowę i nawet nie próbował skupić się na zaśnięciu, ale rozpamiętywał słowa swojej matki. Na posłaniu obok spał jego brat Brennus i Galvan słyszał jego głęboki, spokojny oddech. Ale on nie mógł zasnąć, nie po tym, co go spotkało tego dnia.

Ta dziwna kobieta... Jeśli ona nie była czarownicą, to Galvan sam już nie wiedział, co o niej myśleć. Była przerażająca. Pomimo całej swej niewiarygodnej urody, pomimo czaru, jaki wokół siebie roztaczała, było w niej coś okropnego, czego on nie potrafił wytłumaczyć.

Wybrany...

I co z tego?

Wybrany do czego?

Gdyby Galia była zjednoczona, Arwernowie byliby najpotężniejsi. Tak uważał jego ojciec, Celyllus. A gdyby Galvanowi udało się kiedyś dojść do porozumienia z Ariowistem? Ten człowiek musiał być teraz w sile wieku. Za kilka lat pewnie będzie miał córki na wydaniu. A gdyby tak...

Brennus zacharczał i odwrócił się na drugi bok, przerywając bratu tok myśli. Ale w jego pamięci odżyła opowieść, jak to kiedyś Celtowie napadli na Rzym i doszczętnie go złupili. To było trzysta pięćdziesiąt lat temu, kiedy Celtowie byli silnym narodem i mieli króla. Podział nastąpił długo potem.

Tak więc wojska celtyckie rozbiły armię rzymską i wzdłuż rzeki Allia dotarły do Rzymu, który większość mieszkańców opuściła. Żołnierze weszli przez bramę, którą zostawiono otwartą, splądrowali miasto i byliby zniszczyli sam Kapitol, gdyby nie sławne gęsi, które Rzymianie do dzisiaj uważali za święte ptaki. Wtedy to doszło do spotkania trybuna Kwintusa Sulpicjusza z królem Celtów, Brennusem, po którym imię nosił brat Galvana. Rzymianie uzgodnili okup w wysokości tysiąca funtów złota, ale Celtowie przynieśli fałszywe wagi, a gdy Sulpicjusz chciał zaprotestować, Brennus dorzucił na szalki swój miecz i powiedział: „Biada zwyciężonym”.

Galia była wtedy silna.

Galvan kręcił się niespokojnie na posłaniu. Jak on mógłby czegokolwiek dokonać? Piętnastolatek, nieznający się na sztuce

walki, niepotrafiący posługiwać się dobrze mieczem, a w dodatku syn zamordowanego wodza, który powinien siedzieć cicho i nie wychylać się za bardzo.

Rzymianie trzymają się razem, myślał. Ich państwo jest silne, bo zjednoczone. Jeżeli zdarzy się tam jakiś bunt, natychmiast wysyłane są wojska, by go ujarzmić. Galvan powtarzał w myślach słowa nauczyciela, który wyjaśniał im, na czym polega siła państwa. Celtowie zaś są rozproszeni i nie potrafią stworzyć zgodnego narodu. Żyją w Albionie, w Eire, w Celtyce, nawet w Galacji, ale nigdy nie potrafili się zjednoczyć.

Król... To słowo było dla Galvana magiczne.

Rzymianie nie mają królów. Sam ten wyraz jest im nienawistny.

Galvan zamknął oczy. U Celtów król był kimś więcej niż wodzem. Był pomostem między ludem a druidami, druidzi zaś byli pośrednikami między królami a bogami. Król był wodzem, największym wojownikiem.

Wódz to ten, co jest mostem, tak go uczono. Jeśli wódz zginie, cały oddział polegnie. Wódz nie ma prawa przegrać.

Galia nie miała wodza. Nie miała króla, tylko naczelników, którzy nieustannie gryźli się między sobą o najwyższą władzę. Galvan był na tyle mądry, by to wiedzieć.

Co matka chciała mu przekazać? Nie mogła mówić otwarcie, bo wokół kręciły się tłumy i zawsze może znaleźć się ktoś, kto podsłuchuje. Czy powinien pójść w ślady ojca? Władza przysługiwała mu z racji urodzenia, nawet jeśli Celtyllusa zgładzono. Jeśli Galvan udowodni swoją dzielność, nikt mu tego prawa nie odmówi.

A jeśli on nie zechce?

Przed oczami pojawiła mu się znowu ta straszna postać. Rudowłosa kobieta, ponętna, niemal wyzywająca, o lśniących drapieźnie zielonych oczach, aksamitnym głosem i pociągającym ciele.

„To właściwa droga”. Te słowa wciąż brzmiały mu w uszach. Co to miało znaczyć? Czy ktoś chciał mu przez to powiedzieć, że ma iść w ślady Celtyllusa?

Sam nie wiedział, kiedy zapadł w sen. Śniło mu się, że biegnie przez łąkę, goniąc jasnowłosą dziewczynę, i wiedział, że ona należy do niego. Była daleko, ale śmiała się i wyciągała do niego ręce. Galvan poruszył się na posłaniu, chcąc ją doścignąć, gdy wtem sceneria się zmieniła. Ujrzał mężczyznę na koniu, który nadjeżdżał spokojnie od południa, dziewczyna zaś oddała mu niski pokłon i rozplynęła się we mgle, która nie wiadomo skąd się wzięła.

Galvan stał na równinie, patrząc, jak ów człowiek jedzie dalej, a spod kopyt jego konia wznosiły się iskierki, które zapalały suchą trawę, na której Galvan stał. Im dalej jechał obcy, tym większy pożar wzniewał dokoła.

Ktoś chwycił go za rękę. Odwrócił się i ujrzał rudowłosą kobietę, ale to nie była Scatah. Ta była młoda, prawie dziecko jeszcze, i ciężarna. Galvan miał świadomość, że to jego potomka nosi pod sercem, ale nie mógł powiedzieć, skąd ma tę wiedzę. Dziewczyna poprowadziła go na wzgórze wznoszące się nad okolicą. Galvan stojąc na szczycie, widział, jak zewsząd zakradają się wilki, warczące i jeżące sierść, wygłodzone i z obnażonymi kłami. Chciały go rozszarpać.

Rudowłosa dziewczyna zniknęła. Galvan ujrzał pod wzgórzem stado owiec, ale wilki nie rzucały się na zwierzęta, szczerząc kły na niego i patrząc mu w oczy z nienawiścią. Wiedział, że nie może zejść ze szczytu, bo stanie się ich ofiarą.

Sceneria zmieniła się po raz kolejny. Ujrzał znowu jasnowłosą dziewczynę, która stała pod wzgórzem i wyciągała do niego ręce. Była zmęczona, głodna i u kresu sił, chociaż Galvan tego nie widział, ta wiedza wnikała w jego mózg jak krople deszczu w ziemię.

Przy Galvanie pojawiła się Scatah. Teraz to była ona, widział to wyraźnie.

- Czy zaprzepaścisz dla niej szansę? - pytała, wskazując na blondynkę. - Czy w imię kruchej, przemijającej miłości wyrzekniesz się władzy? Możesz być królem, wielkim panem, możesz zwyciężyć nad nimi - wskazała stado wyjących wilków - i okryć się nieśmiertelną sławą. Podążaj drogą, którą szedł Celtyllus. Nie oglądaj się na nikogo. Idź za jego głosem,

a zdobędziesz to, o czym on mógł jedynie marzyć.

Galvan czuł, że nic nie rozumie. Nie docierał do niego sens jej słów.

W następnym momencie wizja się zmieniła. Leżał na pościeli, było gorąco, a na nim siedziała okraciem Scatah i kochała się z nim, sprawiając mu nieziemską rozkosz. Galvan wił się niczym piskorz, z trudem nad sobą panując, zachowując resztki rozsądku, by ją zaspokoić. Jej zielone oczy lśniły pożądaniem.

Potem chwyciły ją spazmy. Jej ciało dygotało, rude włosy rozsypały się na ramiona, dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa.

- Zjednoczysz Galie! - zawyła, owładnięta ekstazą. - Widzę to! Tylko ty możesz to zrobić!

Potem jego też ogarnął amok i eksplodował do jej wnętrza, wyrzucając z siebie nasienie, jak wulkan wypluwa lawę.

Ocknął się na pościeli. Był zlany potem, zdyszany i po raz drugi tego dnia doświadczył tego, o czym tylko słyszał, że istnieje.

Dyszając ciężko, położył się znowu. Nie wiedział, co było wytworem jego wyobraźni, a co działało się naprawdę. Leżał cicho i nasłuchiwał, ale Brennus spał kamiennym snem i najwyraźniej nic nie słyszał. Galvan odetchnął głęboko i zdecydował, że nazajutrz uda się do Maerina i poprosi o wyjaśnienie swego dziwnego snu. Chciał je usłyszeć, pomimo iż śmiertelnie bał się odpowiedzi.

Maerin przyglądał się uważnie chłopcu, którego po raz drugi w tym tygodniu miał okazję widzieć przed sobą. Rzadko się zdarzało, by tacy młodzi ludzie przychodzili do niego z prośbą o wyjaśnienie snu, ale skoro Galvan chciał, to Maerin był gotowy go wysłuchać.

W miarę jak Galvan opowiadał, twarz druida stawała się coraz bardziej zdumiona, a potem posępna. Rozumiał, że Scatah przekazuje chłopcu swoje wizje i że najwyraźniej chce go nakierować na drogę, którą ona uważa za słuszną. Nie brała tylko pod uwagę faktu, że dla takiego młodego chłopaka jej racje mogą być zbyt przerażające. Miał ochotę sobie z nią porozmawiać, ale wiedział, że jeśli bogowie przekazują komuś

wizję przyszłości, to nie należy się temu sprzeciwiać ani mieszać w boskie wyroki.

Rozumiał sen Galvana.

- Scatah jest wielką wizjonerką - zaczął z wolna. - Można ją nazwać czarownicą lub magiem, jak wolisz. Na wyspie Sein istnieje zakon, do którego przyjmowane są wieszczki, takie jak Scatah. Uczą się tam wróżbiarstwa, właściwego interpretowania wizji, walki, leczenia i tym podobnych spraw. Uczą się też, jak zachować młodość na długie lata.

Tu Maerin uśmiechnął się pod nosem.

- Zgadnij, ile lat ma Scatah?

- Nie wiem, panie. Ale nie wygląda na więcej niż trzydzieści.

- Wygląda na kilkanaście lat, a ma ich ponad trzydzieści pięć. Te kobiety z Sein wykradły naturze jej mądrość. Potrafią leczyć śmiertelne choroby, a zmarłych przywracać życiu. No, w każdym razie jest ich kilka. Raz na pięć lat spotykają się w zakonie i odprawiają magiczne rytuały w różnych intencjach.

- Tak jak wy udajecie się co roku do kraju Karnutów? - zapytał Galvan.

- Mniej więcej. Te kobiety wydają na świat córki, by im przekazać swoją wiedzę, i synów, by ich kształcić na druidów. Na ojców wybierają możnych panów, którzy chętnie spędzają z nimi siedem nocy podczas jednego miesiąca, by je zapłodnić. One znają się też na sztuce miłosnej. Uczą się jej od dzieciństwa.

Galvan poczuł, że się rumieni, ale nic nie powiedział.

- Jeżeli Scatah kontaktuje się z tobą, to znaczy, że musi mieć w tym jakiś cel albo zlecają jej to bogowie. Zaś bogowie pokazują ludziom swe myśli jako alegorię. Przenośnię. Rozumiesz?

- Nie chcą wyjawić wszystkiego, więc pokazują człowiekowi obraz?

- Właśnie! Reszty sam musisz się dowiedzieć.

- Ale jak Scatah może przekazywać do mojej głowy swoje wizje?

- A jak zdołała ci się ukazać w Gergowii? Kobiety

wojowniczką potrafią wiele rzeczy. Umieją też interpretować sny, tak jak my.

- Więc można powiedzieć, że one mają zgromadzenie na wzór waszego? - dopytywał się Galvan.

- Tak, z tym że my nie szkolimy wojowników. My, druidzi, przekazujemy wam tylko podstawowe wiadomości, gdyż sami nie walczymy. Co do twojego snu: ona chciała ci pokazać, co powinieneś w życiu uczynić za pomocą obrazów. Chciała ci naświetlić twoją przyszłość.

- Nie rozumiem.

- Jeździec sypiący iskry to wróg atakujący nasz kraj - wyjaśniał druid. - Pożar to wojna. Ukochana kobieta to wybór, jakiego musisz dokonać; czy chcesz zostać w domu, czy iść w pole. Wzgórze to twierdza, którą musisz obronić.

- A wilki?

- Wilki to Rzymianie - odparł sucho Maerin.

- Rzymianie? - wykrzyknął przerażony Galvan. - Myślisz więc...

- Nic nie myślę, chłopcze. Tak mi się wydaje. Legenda mówi, że założycieli Rzymu wykarmiła wilczyca. Ale wilk może symbolizować po prostu wroga. Drapieżne wilki chcące się na ciebie rzucić.

- Ale stado owiec...

- Stado owiec to niewinni ludzie, których pošlesz, by odpędzić wilki. Ale one chcą ciebie, więc możesz z tego wnioskować, że zostaniesz wodzem i że będziesz odpierał atak nieprzyjaciół.

- Nadal nic nie rozumiem - mruknął Galvan.

- Coś jeszcze ci się śniło?

Galvan zarumienił się i dopowiedział końcówkę snu swemu mistrzowi. Maerin był zdumiony.

- Śniło ci się, że z nią śpisz? Scatah nie wtajemnicza każdego osobiście. Ma od tego uczennice, mistrzynie mniejszej rangi, które odbywają stosunek z mężczyznami. Więc ona sądzi, że będziesz kimś ważnym, Galvanie. A może chodzi o twoje pochodzenie? Jesteś przecież synem Celyllusa.

Galvan spuścił wzrok. Tej nocy przeżył coś niesamowitego,

nigdy nie przypuszczał, że taka rozkosz może w ogóle istnieć. Od jakiegoś czasu ciało Galvana domagało się uwolnienia od tego okropnego napięcia, kiedy to budził się w środku nocy z twardym członkiem i myślami pełnymi niejasnych kobiecych kształtów. Mógł się jedynie domyślać, co one kryją pod ubraniem, ale raz miał okazję ujrzeć na wpół obnażone kobiece piersi i tamtej nocy nie mógł zasnąć. Czy istniało coś równie pięknego?

Dlaczego one tak kuszą, zastanawiał się. Co mają w sobie takiego, że człowieka krew zalewa na myśl o nich. Przecież są głupie, rozchichotane i bezmyślne.

Tak naprawdę zdawał sobie sprawę, że to nieprawda. Był w takim wieku, kiedy zaczyna się tęsknić za dziewczynami, chociaż nie bardzo rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Spoglądając na zachodzące słońce, czuł pustkę i dziwną tęsknotę, ale nie wiedział za czym. Dopiero kiedy ujrzał kobiety, zdał sobie sprawę, że to one tak kuszą. Młode, piękne dziewczęta, delikatne i gładkie, dojrzałe, ciepłe piękności o smukłych taliach i ciepłych łonach, te istoty, które pojawiały się w jego snach.

Gdy budził się z takim uczuciem, ogarniała go rozpacz, bo nie wiedział, co ma robić. Pulsowanie między nogami narastało, jądra kurczyły się pod sam brzuch, ale on nie miał pojęcia, jak sobie poradzić z tym nieznośnym pragnieniem spełnienia.

Któregoś razu udał się na konną przejażdżkę razem z przyjaciółmi, ale ponieważ poczuł pragnienie, a nie wziął wody, udał się nad strumień. Tam ją ujrzał. Miejsca, w których druidzi uczyli swoich adeptów, nie były na tyle oddalone od ludzkich osad, że nie można się było z nimi kontaktować. Mieszkańcy wiosek dbali o to, by dostarczać druidom pożywienie, przychodzili do nich mężczyźni ze swoimi żonami, czasem same kobiety z prośbą o interpretację snu, złożenie ofiary błagalnej lub w innych intencjach. Uczniowie poza godzinami zajęć mieli czas wolny, gdyż nie można było cały dzień wpajać im do głów mądrych wiadomości.

Tamtego popołudnia Galvan ujrzał dziewczynę piorącą

ubrania w strumieniu. Miała spódnicę podkasaną do góry, tak że widział jej smukłe nogi aż po uda. Ponieważ było ciepło, rozluźniła suknię pod szyją i jego oczom ukazały się na chwilę owe cudowności. Pomyślał, jak wspaniale byłoby zanurzyć rękę między nimi, dotknąć ich językiem, ścisnąć i odkrywać dalej tajemnice jej ciała.

Sam nie wiedział, kiedy to się stało. Jego dłoń jakby samoistnie zsunęła się w dół, a kiedy Galvan spostrzegł, że to działa, kontynuował swoją edukację. Tamtego dnia po raz pierwszy zrozumiał, na czym polega „ta sprawa”, ale nie do końca wiedział, jaki udział w tym ma mieć kobieta. Dowiedział się później, kiedy druidzi wyjaśnili uczniom, do czego i w jaki sposób niewiasty zostały stworzone.

Galvan nie przejmował się tym zbyt, bo w duchu nadal był dzieckiem. Tylko czasami zastanawiał się, jak to możliwe, że dziewczyna potrafi do reszty przesłonić wzrok mężczyzny, tak że on nic innego poza nią nie widzi. Bo przecież nie mogło się to wiązać tylko z powabami jej ciała, których Galvan tak naprawdę jeszcze nie znał.

Ale tęsknił. I po tej nocy, kiedy ujrzał we śnie Scatah, co prawda nie zupełnie, bo okrywał ją półmrok, zatęsknił jeszcze bardziej.

Gdy Maerin wyjaśnił mu jego sen, Galvan czuł, że w głowie ma tylko większy mętlik. Pomyślał, że teraz nie rozumie już zupełnie nic z przesłania, jakie mu chciano przekazać i że wszystko to jest kompletnie niejasne.

- Nadejdzie taki czas, że zrozumiesz - pocieszył go Maerin, który już wiedział, co Scatah chciała powiedzieć chłopcu, ale postanowił mu tego nie wyjaśniać do końca.

Galvan podziękował za poświęcony mu czas i wrócił do swoich zajęć. Maerin stał i patrzył w ślad za nim.

- Obyś się myliła, Scatah - szeptał do siebie. - Obyś nie musiała widzieć w nim przywódcy jednoczącego wszystkich Celtów. Dobrze wiesz, że to się nikomu nie udało. Jak więc może się udać chłopakowi, który się niczym nadzwyczajnym nie wyróżnia?

Maerin nie pomyślał tylko o jednym: czas przyda Galvanowi

takich cech, które mogą go odróżniać od innych ludzi.

Gobannicjon wybierał się do Rzymu w interesach i pomyślał, że mógłby wziąć ze sobą siostrzeńca. Wprawdzie ojcowie nie pokazywali się publicznie z synami, dopóki nie skończyli oni edukacji, ale Gobannicjon synów nie miał, a poza tym uważał, że skoro Galvan ukończył ośmioletnią szkołę u druidów, to obliguje go do wyruszenia z wujem do Rzymu.

Toteż Gobannicjon osobiście udał się do Maerina po pozwolenie.

- Do Rzymu? - zdumiał się druid. - Dlaczego?

- Bo chcę mu pokazać to miasto - powiedział Gobannicjon.
- Sam tam byłeś, Maerinie, i przyznasz, że nie ma drugiego takiego miasta w całej Europie.

- To prawda - mruknął Maerin. - Właściwie nie mam nic przeciwko temu. Galvan skończył podstawową edukację, teraz będą go uczyły kobiety.

Gobannicjon zadrzał. Jego uczyła matka Scatah, kobieta o imieniu Aife, piękna i straszna zarazem. Uczyniła z niego mężczyznę, to prawda, ale za każdym razem, kiedy przychodziła po niego w nocy, Gobannicjon czuł, jak włosy na karku jeżą mu się ze strachu. Nie wiedział, co w tej kobiecie było takiego, jednak nie on jeden drżał ze strachu przed nią.

Scatah była wtedy dorastającą dziewczyną i Aife kazała Celtyllusowi odebrać jej dziewictwo. Potem jakiś inny młody człowiek z dobrej rodziny spółdził z nią jej córkę, Uatah. Ta była mniej więcej w wieku Galvana, może trochę starsza.

- Kto wie, kiedy chłopak będzie miał ponownie okazję ujrzenia tego miasta - kontynuował Gobannicjon. - A teraz jest tam stosunkowo spokojnie. Zresztą to nie potrwa długo, może miesiąc.

Rzecz jasna, Galvan ucieszył się z możliwości udania się z wujem do Rzymu. Tyle słyszał o tym mieście, a nigdy nie miał okazji go ujrzeć.

- Będziemy podróżować przez Alpy? - dopytywał się.

- Nie. To dopiero z powrotem - odparł Gobannicjon. - Mam drogie towary i nie chcę, żeby mnie napadli jacyś zbóje po drodze. Popłyniemy w dół Rodanu, a potem wzdłuż wybrzeży

tyrreńskich.

Galvan był rozczarowany, ale wkrótce o tym zapomniał, zafascynowany podróżą. Nigdy nigdzie nie podróżował, co najwyżej z rodzinnej osady do Gergowii, ale podróż statkiem do Rzymu to było coś!

Tydzień później on, Gobannicjon i jego ludzie znajdowali się na barce i płynęli w dół Rodanu prosto do Massalii. Gdy znajdowali się już blisko i Galvan poczuł słony zapach morza, zrozumiał, o czym mówili druidzi, kiedy opowiadali, jak wielki jest świat.

- Ziemia to kula taka sama jak pozostałe planety - nauczali.
- Jest jak gwiazdy zawieszona we Wszechświecie, gdzie króluje słońce. Ziemia znajduje się na środku i nie porusza się, podczas gdy inne planety obracają się względem słońca. Wokół ziemi obraca się księżyc. Jest to najniższy obieg. Wszystkie pozostałe, a jest ich łącznie ze słońcem i księżycem dziewięć, znajdują się powyżej ziemi, za słońcem albo przed nim. Ziemia zaś jest oblana oceanem, a ląd znajduje się na środku jakoby wyspa. Oczywiście jest ogromny w naszym mniemaniu. Do tego oceanu spływają wszystkie rzeki.

Wtedy Galvan nie potrafił sobie tego wyobrazić, bo też nigdy nie widział morza. Ale teraz, gdy ujrzał błękitną tafłę, która zdawała się nie kończyć, poczuł, co to znaczy wszechświat i nieskończoność.

- Wuju, czy ziemia jest naprawdę tak duża, jak mówią druidzi? -zapytał.

- Jest ogromna - odparł Gobannicjon. - Najeździłem się aż do Azji swego czasu i wiem, ile to miesięcy zajmuje. Podobno na północ od Albionu znajdują się wyspy płaskie jak stół, na których nie rosną w ogóle drzewa. Możesz więc sobie wyobrazić, jak wielka jest ziemia.

Podróż wzdłuż skalistych, poszarpanych i wysokich wybrzeży zajęła ponad tydzień. Galvan chłonał widoki szeroko otwartymi oczami, nie mogąc się nadziwić wysokim skałom. Gdzie-niegdzie z głębi wyłaniała się zatoka, a w niej przystań, na ogół jednak wybrzeża były niedostępne. Dopiero w pobliżu Lacjum linia brzegowa się zmieniła, a skaliste szczyty zniknęły.

- Teraz popłyniemy Tybrem do Ostii - wyjaśnił Gobannicjon.
- A statek popłynie pod prąd? - zapytał Galvan zdumiony. Gobannicjon tylko się uśmiechnął.
- Każdy statek popłynie pchany siłą wielu rąk.

W miarę jak posuwali się w górę rzeki, oczom Galvana ukazywało się miasto. Najpierw ujrzał mnogość statków różnego rodzaju, potem nadbrzeże i mrowie ludzi uwijających się w tę i z powrotem. Później zaś spostrzegł, że dziwne góry wokół to domy czynszowe, jakich w Galii nigdy nie widział. Wszedł na brukowane nadbrzeże i zdumiał się poziomem rzymskiej techniki.

- Ci ludzie muszą być szalenie mądrzy - stwierdził.

Gobannicjon, który był w Rzymie nie pierwszy raz, pokiwał głową z umiarkowanym zachwytem. Pamiętał, jak jego poraził ogrom tego miasta, jak zachwycony chodził po Forum i podziwiał galerie sztuk, aż znalazł się wieczorem w mieście i przekonał się, że to jedna z najgorszych spelun w całej Europie. Za dnia wspaniałe i majestatyczne, nocą przeobrażało się w amfiteatr, gdzie zamiast dzikich zwierząt ludzie atakowali inni ludzie.

- Tajemnicę bruku zdradzili Rzymianom Etruskowie - wyjaśnił, kiedy szli do tawerny. - To byli mistrzowie nad mistrzami. Umieli budować drogi, kopać kanały, osuszać bagniste tereny, a swą wiedzę przekazali Rzymianom, którzy ich potem pokonali. Większość arystokratycznych rodów w Rzymie to potomkowie Etrusków. Legenda o wypędzeniu królów to tak naprawdę alegoria, Galvanie. Rzymianie wypędzili z miasta Etrusków, których się obawiali.

- Skąd wiesz to wszystko?

- O, spędź noc na przyjęciu u wysoko postawionego rzymskiego urzędnika, któremu dopiero co sprzedałeś znakomite konie, a dowiesz się wielu rzeczy.

Weszli do tawerny, gdzie właściciel wynajął im pokój. Później Gobannicjon zszedł na dół, by nadzorować wznoszenie towarów, które chciał sprzedać w Rzymie.

- Potem cię oprowadzę - obiecał. - Nie idź sam, bo zgubisz się w dwie minuty.

Gdy zjedli posiłek składający się głównie z warzyw, Gobannicjon udał się z siostrzeńcem na obiecany spacer po mieście. Szli wąskimi ulicami, zaskakująco czystymi w miarę, jak się zbliżali do Forum, na których stały posągi i kolumny. Ludzi było pełno, tak że obaj Galowie z trudem przeciskali się przez tłum. Galvan miał wrażenie, że zaraz się udusi, ale dzielnie przepychał się przez ciżbę, idąc za wujem wprost na Forum.

- To jest serce tego miasta - oznajmił Gobannicjon. - Najważniejsze miejsce w Rzymie. Tu się odbywają zgromadzenia ludowe, obrady senatu, przemówienia, głosowania i tak dalej. Czy chcesz pójść dziś ze mną do łaźni miejskiej? Zapewniam cię, że to genialny wynalazek. Mają nawet ciepłą wodę w rurach.

Galvan patrzył zdumiony na cuda architektury tak różnej i obcej od tej, z którą był obeznany.

- Gdyby najechali na Galię, nigdy byśmy ich nie pokonali - powiedział cicho. - To potęga.

- Nie, Galvanie. Potęga Rzymian nie kryje się w budynkach. To małpują od Greków, Fenicjan, których podbili, od Etrusków i innych narodów, przekształcając na swoją modłę. Gros artystów rzymskich to cudzoziemcy.

Szli dalej w stronę Kapitolu, gdzie wznosiła się majestatyczna świątynia, zbudowana przed ponad czterystu laty, dedykowana Jowiszowi Największemu Najlepszemu.

- Potęga tkwi w ich głowach, Galvanie. W poczuciu narodowej więzi. Dla nich ojczyzna to świętość, rozumiesz? Sacrum. Czują się jednym narodem, nie to co my, Celtowie. Kiedyś Italię zamieszkiwały różne plemiona: Ligurowie, Etruskowie, Marsowie, Latyni, Wolskowie, Picenowie, Sabinowie, Sykulowie, Samnici, Italikowie i cała masa innych. Ale teraz oni wszyscy mówią o sobie „Romani”. To tak, jakby wszyscy Celtowie, nieważne z jakiego plemienia, stali się jednym narodem. Możesz być Grekiem, Galem czy Germanem - jeśli mieszkasz w Rzymie, jesteś Rzymianinem. Dlatego ich nie sposób pokonać. Ich duma narodowa jest olbrzymia, bycie Rzymianinem to honor.

Galvan się zastanawiał.

- Więc siła tkwi w tym, że są zjednoczeni?

- Otóż to - przyznał wuj. - Gdy czterysta siedemdziesiąt lat temu na Helladę napadli Persowie, przegrali z tego powodu, że wszystkie greckie narody się zjednoczyły. Oni wszyscy byli *Ελληνοι*^I, w tym wypadku nie było ważne, czy ktoś był Ateńczykiem, Peloponezyjczykiem, czy Beotą. Wszyscy ruszyli razem na wroga. No, oprócz zdrajców, rzecz jasna.

Galvan się zamyślił. Szedł z wujem na Kapitol i podziwiał świątynię, myśląc, jak wielka jest potęga narodu, który posiada ową świadomość. Gdyby tak Galia się zjednoczyła, jaką siłę posiadaliby oni wszyscy!

Szli dalej, podziwiając Tabularium wzniesione przez Sullę kilkanaście lat temu, podziwiali kurie i rostry, aż wreszcie zeszli na dół, na Forum, i usiedli przy fontannie, by nieco odpocząć.

Galvan czuł, że podoba mu się to miasto, chociaż nie miało w sobie nic z celtyckiego ducha, jaki panował w Gergowii. Mimo to dla młodego człowieka Rzym stanowił coś egzotycznego, kuszącego i pięknego.

- *Iulia, hic statim redi!* - wdarł się w jego myśli głos. - *Te prosequi in animo mihi non est! Nonne habes in me misericordiam?*^{II}

Na Forum wbiegła młoda dziewczyna, mniej więcej w wieku Galvana, o czarnych kręconych włosach, smagłej cerze i czarnych bystrych oczach. Ubrana była w lekką tunikę, znamionującą, że jest dziewicą. Za nią szła matrona w długiej stoli, w przepasce na siwiejących włosach, ale o takich samych bystrych czarnych oczach.

- *Patri se advenire dicendum mihi erat!* - krzyknęła dziewczyna. - *Ubi mane advenit, cum dormiebam, excitare me ex somnio potuit!*^{III}

Galvan z łaciny wychwytywał pojedyncze słowa, gdyż miał okazję słyszeć ten język w Gergowii.

- *Iulia, in senatum intrare non potes* - oświadczyła babka. - *Hic mecum expectabis, dum senatores consilia finient!*^{IV}

- *Verum etiam longissime!*^V - jęknęła Julia i rozejrzała się dookoła. Jej wzrok padł na Galvana siedzącego pod fontanną.

Czarne oczy dziewczyny rozbłysły i Julia podeszła do niego.

- *Sestertiam tibi dabo, si in curiam ibis et rogabis, ut Caius Iulius Caesar momentum exeat, nam quis magnae auctoritatis eum expectat in Foro*^{VI} - powiedziała. Galvan zamrugał oczami, nie rozumiejąc nic z jej szybkiej mowy. Łacina, w przeciwieństwie do jego języka, była niezwykle melodyjna i płynna. Język Galów był twardszy i nie tak dźwięczny.

- *Εταιρος εμος την σην γλωσσην ουκ λεγει* - odezwał się Gobannicjon po grecku. -

Εγω βασευμαι εις το βουλευτερος και σου πατερα καλεσω^{VII}.

Julia skierowała na niego swoje bystre oczy. Znała grekę, gdyż uczyła się jej od dzieciństwa.

- *ΟΥΤΟΣ καλλοτερος εστι* - stwierdziła. - *Ελληνοι εστε*^{VIII}?

- *Κελτοι*^{IX}.

Julia spoglądała na Galvana poruszona. Nigdy jeszcze nie widziała człowieka z tak intensywnie błękitnymi oczami, chociaż widywała mnóstwo niebieskookich Rzymian.

- *Iulia, cum barbaris amicitiam facere nefast*^X - pouczyła ją babka. Ale dziewczyna wyjęła zza paska sestercję i podała ją Gobannicjonowi. Ten zadowolony pomknął do senatu i po chwili wyszedł stamtąd w towarzystwie młodego przystojnego mężczyzny, który zdumiony i cokolwiek niezadowolony szedł za nim. Kiedy jednak sekundę później Julia zawisła mu na szyi, na jego twarzy ukazał się szeroki uśmiech.

- *Iulia, te ingenium magnum habere video!* - śmiał się. - *Vir bone, gratias tibi ago, nam filiolum meum felicem reddidisti*^{XI}. Tu wyjął drugą sestercję i wręczył ją Gobannicjonowi. Galvan przyglądał się temu z rozbawieniem, ponieważ rozumiał co nieco z łaciny, a widział, co się dzieje.

- *Caius Iulius Caesar sum* - przedstawił się senator. - *Si locum nullum per noctem habueritis, tectum meum vobis donaverim*^{XII}.

Gobannicjon wymówił się, dziękując uprzejmie za propozycję gościny - mieli już zapłaconą kwaterę w tawernie. Cezar nie nalegał, mówiąc tylko na pożegnanie, że w razie potrzeby mogą się do niego zwrócić o pomoc, po czym zabrał rodzinę z Forum i odszedł.

- Oto przykład rzymskiej hojności - powiedział zadowolony Gobannicjon. - Dwie sestercje. To dużo pieniędzy. Ponieważ tak uczciwie je zarobiłem, sądzę, że możemy je przehułać podczas wystawnej kolacji i relaksu w łaźni, co ty na to?

Galvan nie miał nic przeciwko.

Dopiero gdy dwa tygodnie później opuścili Rzym i przedzierali się przez Alpy, na Galvana spłynęło olśnienie. Siedzieli z wujem przy ognisku w jakiejś gospodzie, kiedy Galvan nieoczekiwanie przypomniał sobie swój sen sprzed kilku tygodni.

- To jego widziałem na koniu - szepnął do siebie. - Jego, tego senatora, który wyszedł spotkać się z córką. Tylko że był starszy.

Sam już nie wiedział, czy wyobraźnia spłatała mu figła, czy faktycznie Scatah

wiedziała coś, o czym chciała mu w jakiś sposób powiedzieć. Czuł się jeszcze bardziej zagubiony i niepewny. Jedyne, co rozumiał, to że jego życie stanowi układankę, którą on sam musi ułożyć we właściwy sposób, bo jeśli choć jeden element nie będzie pasował, cały boski plan się rozsypie.

Wtedy po raz pierwszy w swoim młodym życiu Galvan poczuł coś na kształt odpowiedzialności, chociaż jeszcze nie miał za co być odpowiedzialny. Dopiero wstępował na dalszą drogę nauki, która miała go doprowadzić do dorosłości. Jednak w tym momencie zdał sobie sprawę, że niekoniecznie to, co go czeka po zakończeniu edukacji, musi być radosne i przyjemne.

I gr. Grekami.

II łac. Julio, natychmiast tu wracaj! Nie mam zamiaru cię gonić! Czy ty nie masz litości nade mną?

III łac. Ojciec powinien był mi powiedzieć, że wraca! Skoro przyjechał rano, kiedy spałam, mógł mnie obudzić.

IV łac. Julio, nie możesz wejść do senatu. Poczekasz tu ze mną, aż senatorowie skończą obrady.

V łac. Ale to jeszcze tak długo.

VI łac. Dam ci sestercję, jeśli pójdziesz do kurii i poprosisz, by Gajusz Juliusz Cezar wyszedł na chwilę, bo na Forum czeka na niego ktoś ważny.

VII gr. Mój przyjaciel nie mówi w twoim języku. Ja pójdę do kurii i zawołam twojego ojca.

VIII gr. On jest ładniejszy. Jesteście Grekami?

IX gr. Celtami

X łac. Julio, nie należy przyjaźnić się z barbarzyńcami.

XI łac. Widzę, Julio, że jesteś mądra. Dobry człowieku, winien ci jestem podziękowania, bowiem uszczęśliwiłaś moją córkę.

XII łac. Jestem Gajusz Juliusz Cezar. Jeśli nie macie żadnego miejsca na noc, ofiaruję wam mój dach.

VIII

Boisz się? – zapytał Brennus.

Sina mgła unosiła się i opadała nad wierzchołkami gór, kiedy chłopcy szli do siedziby wojowniczek pod przewodnictwem Maerina. Zakończył się dla nich okres nauki u druidów. Ci, którzy pragnęli zostać kapłanami i nie mieć nic wspólnego z wojną, nie szli w góry. Galvan jednak wiedział, że musi zostać wojownikiem, gdyż wywodził się ze szlacheckiego rodu.

Szedł ramię w ramię z młodszym bratem, czując chłód na całym ciele, chociaż był spocony. Zimne górskie powietrze schładzało jego skórę. Nadciągała jesień i w dolnych partiach gór drzewa okryły się już złotem i szkarłatem, powietrze zaś było krystalicznie czyste.

– Z naszej osady będziemy tylko my – kontynuował Brennus. – Resztę odesłano gdzie indziej.

Galvan męczył się, ale nie chciał tego po sobie pokazać.

– Iain będzie z nami – powiedział. – A poza tym czego mam się bać?

– Scatah. Krążyły plotki, że ukazywała ci się we śnie.

Galvan spłonął purpurą, ale na szczęście mógł powiedzieć, że to z wysiłku. A więc takie plotki panoszyły się wśród jego przyjaciół w nemeton? Ciekawe, co jeszcze mówili.

– Dlaczego mam się bać kobiety? – zapytał znowu Galvan.

– Bo jest przerażająca.

– A ty się jej boisz?

– Nie wiem.

Galvan się roześmiał.

– No, bracie, nie jesteś chyba tchórzem. Ona nie ma nas

pozabijać, tylko zrobić z nas wojowników.

Brennus przytaknął, ale mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem. Galvan wrócił myślami do swojej podróży do Rzymu i do swego zdumienia, że wśród tamtejszych żołnierzy nie ma kobiet. Gobannicjon nie wypowiadał się na ten temat.

- Mamy u niej spędzić siedem lat - odezwał się Brennus po chwili. - To okropnie dużo. Pomyśl, Galvanie, siedem lat w jakiejś zapyziałej dolinie wśród gór.

- To chyba dobrze? A gdzie chciałbyś się uczyć, na rynku w Gergowii?

Brennus odgarnął z oliwkowego czoła ciemne włosy. Bracia różnili się między sobą jak dzień i noc. Jak Galvan był jasnym blondynem, tak Brennus miał czarne lśniące włosy, gdyż miał w żyłach grecką krew swojej matki. Jego czarne oczy przywodziły na myśl ludy Wschodu, a smagła cera odróżniała go od reszty współplemieńców.

- Jak będę wojownikiem, odbarwię sobie włosy na blond - powtarzał Brennus często. - I wtedy nie będę się wyróżniał.

- Chcesz sobie wcierać we włosy krwi mocz? - drwił zwykle Galvan, który nie musiał się uciekać do tego rodzaju zabiegów.

- Rzymianie też tak robią.

Galvan dokuczał mu wtedy, powtarzając, że w takim razie Brennus będzie sobie musiał odbarwić oczy i skórę, żeby się nie wyróżniać, ale tak naprawdę bracia byli do siebie szczerze przywiązani. Być może dlatego, że wychowywali się razem i pili mleko tych samych kobiet. Już dla Maerina jasne było, że ci dwaj nie potrzebują innych braci, gdyż będą stanowić zgraną parę na polu bitwy, jednak rytuał wymagał, by każdy z nich zaprzysiągł braterstwo krwi z innym wojownikiem.

- Jak myślisz, jak tam będzie? - dopytywał się Brennus.

- Za chwilę zobaczysz - odparł Galvan zdyszany.

Jednak nie stało się to za chwilę, gdyż dojście z Gergowii do jednej z dolin rzeki Elaver nie było bynajmniej wesołym spacerkiem. Scatah mieszkała w górach czy może raczej w dolinie, ale jej siedziba znajdowała się na szczycie, tak by mogła stamtąd obserwować zmagania swoich uczniów.

W zasadzie kobiety wojowniczkі stały poza społecznością. Cieszyły się ogólnym szacunkiem, ale też bano się ich okrutnie. Krążyły niesamowite opowieści o tym, co się dzieje na ich naukach. Nie można więc powiedzieć, że Galvan się nie bał, starał się co najwyżej powściągać przerażenie. Doskonale wiedział, czego ta kobieta będzie od niego w przyszłości wymagać i włosy mu stawały dęba na głowie na samą myśl.

Ciekawe tylko, czy Brennusa też osobiście wtajemniczy, pomyślał, patrząc na młodszego brata.

Odwrócił się, ale zobaczył jedynie mlecznobiałe opary mgły. Grupa przyszłych uczniów Scatah nie była liczna. Oprócz braci szło jeszcze czternastu chłopców, gdyż większej liczby na raz jedna wojowniczka nie zdołałaby wyszkolić. Galvan podejrzewał, że miała swoje pomocnice do nauki, bo nie wierzył już zupełnie, że jedna kobieta byłaby w stanie tego dokonać.

- Schodzimy na dół! - usłyszał wołanie Maerina. - Ostrożnie, bo przez tę mgłę niewiele widać!

Galvan przeraził się, że spadnie w przepaść, ale ku swemu zdumieniu stwierdził, że w dół prowadzą kamienne stopnie, na tyle szerokie, by swobodnie na nich stanąć i nie poślizgnąć się.

- Pamiętam, jak się nabiegałem po tych kamiennych schodach - doleciał do niego głos druida.

Galvan zdumiał się. Więc Maerin też szkolił się w bitwie? Nigdy o tym nie wspominał. Widocznie nie wszyscy druidzi odżegnywali się zupełnie od wojny i jej rzemiosła.

Im niżej schodzili, tym rzadsza była mgła. W pewnym momencie uniosła się zupełnie do góry i Galvan ku swemu najwyższemu zdumieniu stwierdził, że znajduje się w dolinie zupełnie odgradzonej od reszty świata. Środkiem płynęła rzeka, po obu jej stronach zaś rozpościerały się łąki, które stopniowo wznosiły się ku górze, tworząc hale do wypasu owiec. Po drodze rzeka zakręcała, tworząc coś w rodzaju placu ćwiczeń, gdyż tam właśnie znajdował się wybieg dla koni, arena przeznaczona do bitew, bieżnia i inne tego rodzaju miejsca. Dolina była szeroka, jakkolwiek szczyty górskie opadały w dół dosyć stromo, nadając jej charakterystyczną formę litery V.

Od południa zwiężała się w ciasny wąwóz. Tam właśnie, na tarasie skalnym, wznosiło się murowane domostwo Scatah. Było ono na tyle wysoko, że stojąc na dziedzińcu przed domem, nauczycielka mogła obserwować uczniów ćwiczących na placu utworzonym przez szerokie zakole rzeki. Sama rzeka była tak szeroka i głęboka, że nadawała się do wykorzystania w nauce. Budynek przeznaczony dla chłopców znajdował się po stronie zachodniej, doskonale widoczny z domu Scatah. Na wschodnim brzegu rzeki wznosił się jeszcze jeden dom, skromniejszy, z pewnością przeznaczony dla służby Scatah.

Na skalny taras prowadziły takie same kamienne schody, jak na szczyt stromego zbocza. Galvan pomyślał, że ci, którzy je wznosili, musieli się mocno natrudzić.

Północną część doliny porastał las, dość gęsty, by odbywać w nim ćwiczenia, ale nie na tyle, by się w nim zgubić. Przy budynku dla służby Galvan dostrzegł zabudowania gospodarcze, stajnie, obory, chlewy i tak dalej. Oczywiście, musieli coś jeść. Wątpił, by kobieta wojownicza wybierała się co miesiąc na targ w Gergowii.

Najdziwniejsza zaś była cisza panująca w dolinie. Wysokie szczyty górskie wznosiły się do nieba, zasłaniając skutecznie widnokrąg. Z czterech stron horyzont kończył się wysoko, z czego Galvan wywnioskował, że wieczór w tym miejscu będzie zapadał dość szybko.

- Scatah! - rozległ się krzyk Maerina. - Przyprowadziłem twoich uczniów!

Jego głos odbił się echem od górskich ścian. Galvana przebiegł dreszcz.

Nagle drgnął. Nie wiadomo kiedy, na tarasie skalnym pojawiła się smukła rudowłosa postać. Ledwo miał odwagę zerknąć w tamtym kierunku, ale jego wzrok sam się tam zwracał, jakby przyciągała go jakaś magiczna siła. Gdy wreszcie na nią spojrział, poczuł jej przenikliwy wzrok i ogarnął go strach tak wielki, że w pierwszym odruchu miał ochotę uciekać.

W następnej chwili jednak zdał sobie sprawę, że jeśli ona starała się coś mu przekazać we śnie, to znaczy, że nie musi się

jej obawiać. Kiedy to pomyślał, na jej twarzy ukazał się drapieżny uśmiech, taki, jaki widział w swoim śnie, po czym czarownica odwróciła wzrok i zaczęła schodzić po kamiennych schodach.

Zaczął się, pomyślał Galvan z poczuciem, że w ten oto sposób wkroczył na drogę swego przeznaczenia.

Maerin został zaproszony na kolację w domu na skale, a chłopcy umieszczeni w swoim budynku. Był to dom, do którego nie przywykli, urządony inaczej niż wszystkie znane im domostwa celtyckie. Na dole znajdowała się duża sala, w której mieli spać wszyscy. Na ziemi rozłożone były posłania z owczych skór. W drugiej sali urządzono jadalnię, gdzie mieli wspólnie odbywać posiłki. Na strychu była zbrojownia. Oprócz tego w budynku mieściły się łaźnie w stylu rzymskim, *zupelne novum*, w dodatku na pierwszy rzut oka nie do zainstalowania w takich warunkach. Ale funkcjonowały bez zarzutu.

Galvan stał na progu i wpatrywał się w wysokie górskie szczyty. Miał tu spędzić siedem lat.

Siedem lat w zamknięciu, odgradzony od świata!

Jak on to wytrzyma?

- Widzę, że teraz się boisz - zauważył Brennus, podchodząc bliżej.

- Przeraza mnie to miejsce - przyznał Galvan. - Jest okropne. Słyszysz, jaka cisza tu panuje? Zwariować można od tego.

Brennus jednak myślał o czym innym.

- Jak myślisz, czy ona rzeczywiście jest wiedźmą?

- Wygląda na taką - przyznał Galvan w zamyśleniu.

- Macie rację - usłyszeli delikatny, dźwięczny głos. - Moja matka jest wiedźmą, ale też najpotężniejszą mistrzynią w tym kraju.

Obaj chłopcy omal nie wrzasnęli, kiedy w świetle pochodni ukazała się młoda dziewczyna, mniej więcej szesnastoletnia, której rude włosy splecione były w warkocze. Miała rysy twarzy swej matki, tyle że jakby łagodniejsze.

- Jestem Uatah - przedstawiła się. - Matka przysłała mnie tu, bym się zatroszczyła o jedzenie dla was.

Galvan już miał ochotę zapytać, jakim cudem jedna dziewczyna miałaby wnieść jedzenie dla szesnastu chłopców, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, ona wykonała ruch ręką i na podwórzu weszły służące obładowane misami.

- Niech was nie zmyli ich postawa - uśmiechnęła się Uatah.
- One będą was uczyć.

Galvan i Brennus przyglądali się w najwyższym zdziwieniu młodym kobietom, które wносиły jedzenie. Nie wyglądały na wojowniczkę, odziane były wedle celtyckiego obyczaju, miały długie rozpuszczone włosy i złote łańcuchy na szyi.

- Będą nas uczyć tylko kobiety? - zapytał Brennus przerażony.

- Tak - odparła Uatah takim tonem, jakby uważała tę sprawę za naturalną.

Brennus pomyślał, że za nic w świecie nie zdjąłby ubrania przed kobietą. Wszystko jednak wskazywało na to, że tutaj będzie musiał to uczynić w razie jakiejś dolegliwości. Mężczyzn w ogóle nie widział w dolinie.

Kobiety wniosły misy z jedzeniem i wyszły, a głodni goście natychmiast rzucili się na kolację. Galvan powłókł się do sali jadalnej, myśląc o rudowłosej dziewczynie. Pamiętał doskonale, że śniła mu się wtedy i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że doskonale zdawała sobie teraz z tego sprawę.

Bał się, że Scatah sama pofatyguje się do ich domu, ale ona najwyraźniej była zajęta ucztowaniem z druidem. Na myśl o tym odczuł niesłychaną ulgę.

Nazajutrz rano Maerin odjechał do Gergowii, zostawiając swoich uczniów pod opieką kobiety wojowniczkę. O tym, że zasługuje ona w pełni na swoje imię, Galvan przekonał się zaraz po porannym posiłku, kiedy wszyscy młodzi ludzie zostali zwołani przed budynek. Oczom Galvana ukazał się przedziwny widok. Wszystkie kobiety, a było ich razem dwadzieścia, stały w szeregu, odziane w lniane tuniki, przewiązane skórzanymi pasami. Przy pasie każdej z nich przytroczony był miecz. Na nogach miały wysokie buty obwiązane rzemieniami, a poza tym nic więcej. Ich umięśnione nogi wzbudzały podziw u chłopców nawykłych do długich spódnic zakrywających

wszystko. Galvan przyłapał się na tym, że myśli, co kryje się pod tuniką, nad kolanami.

Przy nich zaś stała Scatah. Nie przypominała w żadnym razie tamtej wysmukłej postaci, która ukazała się na tarasie wieczorem. Teraz odziana była podobnie, ale na tunice nosiła jeszcze skórzany pancerz, którego tamte nie miały, a który sprawiał, że jej ramiona wydawały się szerokie jak u mężczyzny. Rude włosy schowane były pod hełmem ze sterczącymi po obu stronach brązowymi rogami, a w silnej dłoni trzymała długą włócznię, opartą o ziemię.

- Witam moich nowych uczniów - odezwała się mocnym głosem. - Odbędziecie tutaj podstawowy trening wojskowy, który będzie trwał dwa lata. Po tym okresie zdecyduję, kto z was nadaje się na wojownika, a kto nie. Ci, którzy zostaną przeze mnie wyznaczeni do dalszej nauki, spędzą tu kolejne pięć lat. Ci, którym nie jest pisana walka, wrócą na nauki do druidów. Jeżeli ktoś odejdzie z doliny bez uzgodnienia tego ze mną, przed upływem dwóch lat, zostanie wykluczony ze stanu wojowników.

Galvan poczuł, jak skóra mu cierpnie. Więc byli tu więźniami?

- Te kobiety to moje siostry krwi - kontynuowała. - Będą was szkolić, służyć wam i leczyć wasze rany. Macie być im posłuszni we wszystkim, gdyż ubliżając im, ubliżycie mnie samej. I niech wam nie przyjdzie do głowy spać z nimi przed upływem dwóch lat nauki, bo to może się źle skończyć - dodała z krzywym uśmiechem.

Brennus i Galvan wymienili spojrzenia.

- Jeśli któryś z was zechce ze mną mówić, niech stanie pod moim domem i zawoła. Jeśli będziecie mieć pilną sprawę, a mnie nie będzie, mówcie z moją córką.

Dała znak ręką, że skończyła mówić. Galvan zastanawiał się, co dalej, ale nie musiał długo nad tym myśleć. Zaraz bowiem uzbrojone w miecze mistrzynie przystąpiły do nauki.

Scatah udała się do swojej siedziby i stojąc na tarasie, obserwowała wysiłki młodych ludzi, którzy odbywali pierwsze ćwiczenia na wzmocnienie mięśni. Jej córka Uatah stanęła

obok, by także popatrzeć.

- Nie wszyscy wytrzymają tu siedem lat - odezwała się Scatah. - Już widzę, że tamci dwaj nie nadają się do miecza.

Mówiąc to, wskazała dwóch młodych chłopców mizernej postury, którzy zdecydowanie lepiej pasowaliby do kolegium kapłanów.

- A inni? - zapytała Uatah.

- Czas pokaże. Gdy nadejdzie wyznaczony dzień i zdecyduję, kto zostanie, będziesz mogła przygotowywać się na wtajemniczenie, moja córko.

Uatah skrzywiła się.

- Nie chcę.

- Będziesz musiała. Jeden z nich, którego wybierzesz, da ci dziecko. Taki jest obyczaj.

Uatah przypatrywała się półnagim chłopcom ćwiczącym w promieniach wczesnojesiennego słońca.

- Tamten o jasnych włosach - wskazała głową. - Ten, co ma oczy jak zimowe niebo.

Na ustach Scatah pojawił się uśmiech.

- Jego wtajemniczę osobiście. Uczynię go potężnym wojownikiem. Ale na to trzeba czasu.

Pomyślała, że nie tylko tego wskazanego wtajemniczy osobiście. Będzie musiała odbyć stosunek z trzema najlepszymi uczniami, którzy zawiążą między sobą braterstwo krwi. Im trzem będzie musiała przekazać magiczne sekrety walki, by w przyszłości wygrali każdą bitwę.

Ale jeszcze nie teraz, myślała. Niech z dzieci przeistoczą się w mężów, dopiero wtedy będę mogła uczyć ich magii walki i związku między wojną i miłością. Nie pędzej.

Galvan ćwiczący na placu utworzonym przez zakole rzeki nie miał pojęcia o myślach swej mistrzyni. I długo jeszcze nie było mu ich dane poznać.

Jeżeli Galvan sądził, że szkolenie u Scatah będzie podobne do dotychczasowej nauki, to się bardzo mylił. Podobnie rozczarował się, myśląc, że od razu dostanie do ręki prawdziwą broń. Na początku bowiem wykonywał zwykłe ćwiczenia na wzór grecki na rozciągnięcie i wzmocnienie mięśni. Biegał,

rzucał dyskiem i włócznią, uprawiał zapasy, jeździł konno i kilka razy dziennie odbywał morderczy bieg po kamiennych schodach w górę i w dół. Poza tym tak jak inni rąbał drwa na opał, aż na rękach porobiły mu się pęcherze od siekiery, oporządzał konie i bydło i wykonywał te same prace co kobiety w domu.

- To was nauczy cierpliwości i odpowiedzialności - powtarzała Scatah, która od czasu do czasu zjawiała się na ćwiczeniach.

Jednak w tym początkowym etapie Scatah nie uczestniczyła. Jej zadaniem było uczynić wojowników z mężczyzn, a zadaniem jej podwładnych - uczynić mężczyzn z chłopców.

Poza tym Galvan uczył się wytrwałości w inny sposób, jak na przykład stojąc całą noc na dworze, kąpiąc się nago w zimnej górskiej rzece i hartując ciało na inne sposoby. Nie było w tym ani chwały, ani przyjemności, jednak musiał wytrwać. Wiedział, że jeśli nie da rady teraz, nigdy już nie wolno mu będzie szkolić się na wojownika.

W wolnym czasie chłopcy wyprawiali skóry, ozdabiali tarcze, uczyli się opatrywania ran, ratowania życia, a także strategii. I tego właśnie nauczała Scatah. Mówiła, jak prowadzić wojnę nerwów, jak zmusić przeciwnika, by uciekł z pola walki, nie wydając bitwy, jakie posunięcie daje pewną wygraną, a jakich manewrów unikać w danej sytuacji.

Jedyną przyjemnością były masaże, które wykonywały wojowniczkami swoim uczniom. Było to bolesne, ale także niesamowicie przyjemne i młodzi ludzie z chęcią poddawali się tym tyrańskim praktykom, by ulżyć ciąglemu bólowi mięśni.

Mimo to, już po kilku tygodniach Galvan zauważył, że się zmienia. Obserwował, jak jego ciało stopniowo staje się ciałem mężczyzny, jak z wolna przeobraża się w kogoś innego. Nie stało się to, rzecz jasna, w ciągu jednej nocy ani w ciągu następnych, ale z wolna Galvan przestawał być dzieckiem. I czuł to.

Gdy jesień powoli ustępowała miejsca zimie, Scatah wymyśliła dla nich nową torturę - podchody w lesie.

- Teraz nie ma liści, więc będzie wam trudniej - mówiła. - Jeśli chcecie w lesie podczas zimy mieć przewagę nad wrogiem, musicie nauczyć się w nim poruszać.

Dzieliła ich wtedy na dwa lub więcej oddziałów i zarządzała tropieniem. W ten sposób Galvan i jego przyjaciele uczyli się sztuki maskowania własnych śladów, a zwracania uwagi na najmniejsze ślady innych. Uczyli się orientacji w lesie, a także cichego poruszania się w stertach zeschniętych liści, co nie było wcale takie łatwe. Musieli radzić sobie nie raz w błocie do pasa, w strugach zimnego deszczu, a potem deszczu ze śniegiem.

Ale Galvan lubił ten wysiłek, bo dzięki niemu każdego dnia był o krok bliżej do zwycięstwa nad samym sobą.

O krok bliżej, by stać się mężczyzną.

Przyjemnie zrobiło się też zimą, kiedy nastaly długie mroźne wieczory. Szkolenie z przyczyn naturalnych trwało krócej i po kolacji wszyscy zasiadali w dużej izbie z paleniskiem. Przychodziła wtedy Scatah ze swoją córką i snuła opowieści o niemal zapomnianych bohaterach celtyckich.

Któregoś wieczoru Galvan usłyszał opowieść o Brennosie, wodzu Galów, który poprowadził ich do Grecji.

- Wódz jest jak most - powtarzała Scatah stare przysłowie.
- Nie może przegrać, bo wtedy pada jego armia.

Galvan siedział zasłuchany i ukradkiem obserwował Uatah. Dziewczyna siedziała obok matki, do której była niewiarygodnie podobna, i wyszywała utkany na zimę płaszcz.

- Brennos stracił wiele tysięcy ludzi i sam był trzykrotnie ranny - snuła swą opowieść Scatah. - Czując, że kres życia już się zbliża, kazał zwołać Celtów i poradził im, by go dobili, a wraz z nim wszystkich rannych, spalili wozy i wracali do domu. Radził im też wybrać jako wodza Kichoriusza. Potem upił się i przebił mieczem.

Galvan słuchał tego jednym uchem, rozmyślając zgoła o czym innym. Patrzył na Uatah i zastanawiał się, czy jest z niej tak samo dobra wojowniczką, jak jej matka. Kilka razy mieli okazję obserwować Scatah, jak demonstrowała jakiś

skomplikowany manewr mieczem. Podczas gdy kobieta posługiwała się prawdziwą bronią, oni mieli do dyspozycji broń drewnianą. Widząc, co Scatah potrafi, Galvan poczuł się kompletnie słaby.

Scatah widziała, że Galvan przygląda się jej córce, ale właściwie była z tego zadowolona. Uśmiechała się tym swoim drapieżnym uśmiechem, myśląc, że nie potrzeba będzie specjalnych zabiegów z jej strony, by ten chłopak zainteresował się Uatah.

- Wykręcił swoje ciało wewnątrz skóry - doleciał go głos mistrzyni i na moment przywrócił realnemu światu. - Stopy przesunęły się w tył. Pięty, łydki i pośladki przeszły do przodu. Wyciągając nerwy z wierzchołka głowy, przeniósł je na tył karku. Potem zniekształcił własne rysy, własną twarz. Jedno oko wciągnął na głowę, tak że żuraw nie mógłby z głębi czaszki sprowadzić go z powrotem na policzek; drugie oko wyskoczyło z powieki i osiadło na powierzchni policzka. Usta skurczyły mu się w sposób potworny: oddalił policzek od łuku szczęk, tym samym skrywając wnętrze gardła; płuca i wątroba poczęły mu trzepotać w ustach. Serce, uderzając o klatkę piersiową, czyniło hałas równy wyciu i ujadaniu bojowego psa lub rykowi lwa w chwili, gdy atakuje niedźwiedzia. Żar wywołany jego gwałtownym i mocnym gniewem przywołał z nieba deszczowe chmury, a w chmurach tych pojawiły się czerwone ogniste skry. Włosy na głowie stały się kłujące jak wiązki mocnych cierni w żywopłocie. Na czole ukazało mu się światło bohatera, światło długie i wielkie niczym gład, na którym wojownik ostrzy swój miecz.

- Skąd był ten wojownik, pani? - zapytał Brennus.

- Z Eire. To ląd leżący przy Albionie.

Galvan nie miał pojęcia, o kim mowa, więc skoncentrował się ponownie na Uatah. Dziewczyna wyglądała jak uosobienie spokoju, ale widział ją także na polu i miał świadomość, jaka jest w boju. A była przerażająca. Po raz kolejny Galvan pomyślał, jak imiona tych kobiet do nich pasowały. Uatah pomimo swoich szesnastu lat radziła sobie z bronią nie gorzej od matki, atakowała wyimaginowanych wrogów z furją, nie

brzydziła się rozplatać zwierzęcia od pyska do ogona, wyciągała wnętrzności wciąż jeszcze dymiące bez najmniejszego grymasu, odbierała porody zwierząt i leczyła rany. Poza tym miała w sobie coś takiego, co wzbudzało lęk u patrzących.

A mimo to właśnie ona podobała się Galvanowi. Przyłapał się na tym, że spogląda na nią nieprzyzwoicie często, stara się ćwiczyć tym intensywniej, kiedy ona na niego patrzy, a nade wszystko usiłuje zwrócić na siebie jej uwagę. Któregoś dnia Brennus zauważył to i zaczął się z niego naśmiewać, aż Galvan nie wytrzymał i przyłożył mu w szczękę. Bracia nie odzywali się do siebie przez cały następny dzień, zanim się wreszcie pogodzili.

Uatah była piękną dziewczyną. Teraz miała na sobie suknię, ale na placu ćwiczeń stawała w tunice i długich butach, niewrażliwa na zimno i mróz. Jej płomiennorude włosy opadały na ramiona i okrywały plecy jakby płaszczem. Złotozielone oczy lśniły w blasku ognia, kiedy siedziała tak spokojnie przy matce.

Ale Galvan widział zarys jej ciała i czuł, że delikatny płomień pali go od środka. To nie było jeszcze zauroczenie. Na razie był to zachwyt, odkrycie innej istoty w świecie, który uważał za pełen silnych mężczyzn, kobiet dających jedzenie i bezpieczeństwo, chłopców, z którymi można się bawić, i istot płci trzeciej - nijakiej, czyli dziewczyn.

Mając oczy zwrócone na Uatah, Galvan zaczynał rozumieć, po co istnieją kobiety. Wszystkie słowa druidów, które uważał za pozbawione sensu, słowa o bliskości i więzi, nabierały wyrazistości. Na razie było to uczucie na kształt tęsknoty za czymś nieuchwytnym, co dopiero nabierało formy, ale Galvan miał już świadomość, że ONA istnieje i że dla niego to znaczy bardzo dużo.

- Gapisz się na nią - szepnął Brennus. - Znowu.
- Co? - ocknął się Galvan.
- Na Uatah. Gapisz się na nią i wzdychasz. Iain mówi, że to poważne.

Galvan zaczerwienił się i dał bratu kuksańca.

- Zamknij się, Brennus. Głupi jesteś - mruknął

rozzłoszczony.

Złośliwy uśmieszek na ustach Brennusa rozsierdził go tak bardzo, że tego wieczoru nie spojrział już na Uatah, ale wszystkie siły koncentrował na słowach jej matki. Za nic nie chciał pozwolić, by ktokolwiek, nawet jego własny brat, dokuczał mu głupimi docinkami.

Tym bardziej że Brennus wychwycił to, co Galvan starał się ukryć nawet przed samym sobą.

Kilka dni później Galvanowi nadarzyła się okazja do rozmowy z Uatah. Stało się to dość niespodziewanie, kiedy chłopak prowadził swego konia do stajni po regulaminowej przejażdżce. Uatah wychodziła z budynku z naręczem derek, które należało oczyścić, i kiedy nieoczekiwanie wpadła na Galvana, wszystko wyleciało jej z rąk.

- Pomogę ci - zaofiarował się chłopak, widząc, że ona już schyla się, by pozbierać derki ze śniegu.

Przykucnął obok i zaczął zbierać rozrzucone tkaniny. Zauważył, że ona uśmiecha się pod nosem do samej siebie i uznał to za dobry znak.

- Nie jesteś zbyt rozmowna - odezwał się na próbę.

- Właściwie nie wolno mi z wami rozmawiać - odparła Uatah i wyprostowała się.

Była wysoka, dużo wyższa, niż Galvan się spodziewał. Nigdy nie stała tak blisko niego, by mógł należycie ocenić jej wzrost. Podczas gdy ona była już tak wysoka, jak chciała tego jej natura, on wciąż jeszcze rósł. W wieku lat piętnastu i czterech miesięcy nie osiągnął jeszcze swego maksymalnego wzrostu, toteż stojąc przy dziewczynie, mógł jej spojrzeć prosto w oczy. A oczy te miały przedziwną barwę, zupełnie jak woda morska, ni to zielone, ni to niebieskie, czasem połyskujące złotawo, jak kiedy w morzu odbijają się refleksy światła.

Jak człowiek przesądny, gdy ujrzy zjawę, stoi porażony i niezdolny jest wydobyć z siebie głosu, nie znając zamiarów widziadła, tak Galvan stał przed dziewczyną, bojąc się przemówić, by jej nie spłoszyć. Ona zaś uśmiechała się do niego nieśmiało, jak to potrafią wszystkie młode dziewczęta, gdy rozmawiają z chłopcem, który im się podoba.

- Moja matka pilnuje, bym się w którymś z was nie zadurzyła - kontynuowała. - Ciągłe mi powtarza, że powinnam trzymać moje uczucia na wodzy.

- A ty trzymasz? - uśmiechnął się Galvan.

- Staram się - odparła Uatah.

Stojąc z nią na progu stajni i składając derki, Galvan po raz pierwszy pomyślał, że jej imię jest jedynie symbolem. Śmiejąca się Uatah nie była straszliwą wojowniczką, tylko najzwyklejszą dziewczyną, w dodatku szalenie ładną.

- Ty też będziesz kiedyś szkolić wojowników? - zapytał Galvan po chwili.

- Tak. Moja starsza siostra jest na wyspie Sein i uczy się leczenia. Ona nie będzie wojowniczką. Jej ojcem był druid.

- A twoim?

- Wojownik. Nie znam jego imienia i nie potrzebuję znać. Gdy nadejdzie czas, wybiorę sobie jednego z was na ojca mojego dziecka.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że twoja matka ma dwie córki? - zdumiał się Galvan.

- Moja matka ma pięcioro dzieci - odparła Uatah ze śmiechem. - Kobiety ze Świętego Zakonu rodzą dzieci, by je wtajemniczać w obrzędy. Kiedyś to one rodziły doradców królów, druidów i kapłanki, ale teraz królów już nie ma.

- I każde dziecko ma z innym ojcem?

- Tak, musiała wybrać za każdym razem innego mężczyznę. W zależności, jakie dziecko miała urodzić. Moja siostra będzie znachorką, ja wojowniczką, dwaj moi bracia ucą się u druidów, trzeci zostanie wojownikiem. Pięcioro. Więcej nie może mieć, gdyż pięć to liczba święta.

Galvan patrzył na nią z narastającym zdumieniem.

- Dlaczego druidzi tego nie ucą?

- Bo Święty Zakon jest stworzony dla kobiet, Galvanie. Dla strażniczek naszych obyczajów, kultów i wierzeń. Tak jak mężczyźni ucą się i zostają druidami, tak my mamy swoje zgromadzenie. Służymy bogom w inny sposób.

Galvan popatrzył na nią uważnie.

- Ale twoja matka wygląda tak niewiarygodnie młodo!

- Owszem. Znamy tajemnicę młodości i strzeżemy jej dla przyszłych pokoleń.

Uatah złożyła derki, ale najwyraźniej nie chciała jeszcze iść do domu. Oparła się plecami o ścianę stajni i patrzyła na Galvana swoimi pięknymi oczami.

- I chcesz powiedzieć, że nikogo nie kochacie? - zapytał po chwili, zdumiony, że ośmiela się zadawać takie pytania.

Dziewczyna spuściła głowę.

- To nie jest takie proste - szepnęła. - My mamy do spełnienia obowiązki. Moja matka mnie kocha, a ja ją - dodała po chwili. - I moja babka, Aife. Ja i moje rodzeństwo też się kochamy.

- A inna miłość?

- Do mężczyzny?

Galvan czuł, jak mocno bije mu serce. Sam nie wiedział, czy chce znać odpowiedź na to pytanie. Patrzył na nią i krew w żyłach mu wrzała. Miał ochotę dotknąć jej twarzy, jej miedzianych włosów, ust...

- Myślę, że wiem, czym może być miłość do mężczyzny - szepnęła Uatah, a kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegł na jej twarzy niepewny, delikatny uśmiech.

Galvanowi świat zawirował przed oczami.

- Uatah! - rozległo się wołanie. - Pospiesz się!

Dziewczyna spojrzała na niego jeszcze raz, po czym pobiegła do domostwa na skalnym tarasie, gdzie czekała na nią matka.

Galvan stał na śniegu i patrzył za nią. Serce biło mu jak oszalałe, a chociaż na dworze panował siarczysty mróz, jemu było gorąco jak w lecie. Uśmiechał się szeroko, nie zdając sobie z tego sprawy, ziemia tańczyła mu pod nogami, a w piersi narastało coś, co pragnęło się stamtąd wyzwolić i poszybować ku niebu.

W przypiływie buzującej radości wyrzucił ramiona do góry i wydał z siebie okrzyk godny prawdziwego wojownika.

Uatah od progu cofnęła się, widząc wyraz twarzy matki. Scatah nie była zła, tylko zasmucona, a w takim stanie córka rzadko ją widziała. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że te dwie

kobiety są siostrami, tak młodo wyglądała trzydziestopięcioletnia Scatah. Nikt by nie dał jej tylu lat i nawet przy swojej córce wyglądała młodo. Niesłychanie młodo.

Figureę miała do tego nienaganną i nic nie wskazywało na pięciokrotny poród. Biodra miała smukłe jak młoda dziewczyna, talię wąską, a piersi pełne, ciężkie i to było jedyne świadectwo, że wykarmiła pięcioro dzieci. Ani jedna zmarszczka nie szpeciła jej ciała, jednak gdy patrzyła na córkę, smutek dodawał jej powagi.

- Jeżeli włączysz uczucia w znajomość z tym człowiekiem, będziesz bardzo cierpieć, moja córko - odezwała się matka. - Powinnam nakrzyczeć na ciebie porządnie i wybić ci go z głowy, ale wiem, że to się nie uda. Sama musisz się z tym uporać, tak jak ja musiałam zdławić w sobie miłość do twojego ojca.

Uatah patrzyła na nią ze zdumieniem. Wiedziała, że matka ma wielu mężczyzn, ale nie robiło to na niej wrażenia. Taka była rola Scatah, że wtajemniczała ich w arkania zmysłowej miłości. Uatah wielokrotnie była tego świadkiem, ucząc się własnymi oczami, jak wygląda miłosny stosunek. W świecie celyckich kapłanek tego rodzaju praktyki były na porządku dziennym i nie było w nich nic odrażającego.

Ale nigdy, nigdy w życiu nie rozmawiała z matką o jej uczuciach do jakiegokolwiek mężczyzny. Nie wiedziała nawet, kto był jej ojcem. Matka wyjaśniła jedynie, że był to dzielny wojownik, doświadczony w latach i że pochodził z kraju Wenetów nad Atlantykiem.

- Ale ja nie... - zaczęła.

Scatah przerwała jej ruchem ręki.

- Widzę, jak na niego patrzysz i jak on patrzy na ciebie. Jeśli on się w tobie zakocha, to dobrze, bo tym bardziej będzie ciebie chciał. Będzie się starał, by wzbudzić w tobie podziw. A kiedy odejdzie stąd, by zająć się swoim rodem, znajdzie inną dziewczynę i zakocha się w niej. Mężczyzna ma w swoim sercu wiele kobiet, kobieta ma jednego mężczyznę.

- Ty miałaś ich wielu, matko - ośmieliła się powiedzieć Uatah.

- Tak, wielu z nich cieszyło się moim ciałem, córko. I ty też będziesz ich miała wielu. Ale moją duszę posiadł tylko jeden. Twój ojciec. Dlatego ciebie kocham najbardziej z moich dzieci.

Uatah spojrzała na matkę uważniej i ujrzała w jej oczach coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegła. W pięknych oczach Scatah krył się głęboki smutek, gdyż jasne było, że nadal kochała tamtego mężczyznę, z którym nie mogła być.

- Z każdym wolno nam się wiązać na rok - odezwała się Scatah, chociaż córka o tym wiedziała. - Jeżeli po roku urodzisz dziecko, mężczyźnie wolno odejść. Jeżeli nie zajdziesz w ciążę, wolno mu zostać następny rok, by cię zapłodnić. Po dwóch latach musi cię opuścić, by dać miejsce kolejnemu mężczyźnie albo żebyś miała czas wychować dziecko. Z żadnym z nich nie wolno ci się związać na dłużej. Nie na tym polega nasza rola.

- A jeśli zechcę z którymś zostać?

- Umrzesz - odparła Scatah. - Takie są prawa.

Uatah spuściła głowę. Nigdy się tym nie przejmowała, chociaż matka od wielu lat uczyła ją, jak należy postępować. Wiedziała, że kiedyś zastąpi Scatah, gdy ta zestarzeje się i odjedzie na Sein. Kiedyś to ona, Uatah, będzie uczyć swoją córkę, przekazywać jej wiedzę i szkolić nowych wojowników, oddając im siebie, by nauczyli się obcować z kobietą i w ten sposób dopełnili rytuału wtajemniczenia. Ale nigdy nie łączyła tego z uczuciem. Była zbyt młoda? A może po prostu nie wiedziała, że między mężczyzną i kobietą jest coś więcej niż tylko pożądanie i płodzenie dzieci?

- Jeśli chcesz zakosztować miłości, Uatah, musisz się liczyć z cierpieniem - mówiła Scatah dalej. - Tak jest zawsze. Miłość i ból są nierozdzielne. Gdy on odejdzie, będziesz tęsknić i nie znajdziesz ukojenia w żadnych innych ramionach, chociaż w każdym zaznasz chwilowego zapomnienia. Każdego dnia, z każdym innym dzieckiem na rękach, będziesz pamiętać tamtego. I to nie minie nigdy.

Uatah miała łzy w oczach. Wiedziała, że matka ma rację, ale nie potrafiła zgasić płomyka, który rozgorzał w jej sercu. Tęskniła za tym, by patrzeć na niego, by słyszeć jego głos, widzieć, jak się uśmiecha, obserwować, jak walczy. Chciała być

przy nim, wiedzieć, że mu się podoba i że on też o niej myśli.

Scatah podeszła do niej i objęła jej głowę.

- A jednak bez miłości nie potrafimy żyć - szepnęła. - Nawet jeśli potem mamy całe życie cierpieć, ten jeden raz natura każe nam jej kosztować.

- Matko, czy ty jesteś nieszczęśliwa? - zapytała Uatah.

Scatah się roześmiała.

- Nie, jak możesz tak myśleć? Moje życie jest wypełnione po brzegi tak szczęściem, jak i goryczą. Jak każde życie. Ale nie zamieniłabym się z nikim innym. Jest mi dobrze tak, jak jest.

Uatah pomyślała, że cokolwiek kiedyś się wydarzy, ona nie zrezygnuje ze swoich cichych pragnień i że będzie się martwić tym, co ma nadejść wtedy, gdy nadejdzie.

Może ze mną będzie inaczej, pomyślała z nadzieją.

Nie miała tylko pojęcia, że nie ona pierwsza w długim szeregu mistrzyń - wojowniczek myślała w ten sposób.

Zima w dolinie Scatah była surowa i ciężka. Nadeszły siarczyste mrozy, podczas których chłopcy zmuszeni byli doskonalić swoje umiejętności. Nikt ich nie pytał o samopoczucie ani czy jest im zimno w cienkich ubraniach. W ten sposób Scatah hartowała młode organizmy, jednocześnie eliminując słabszych. Ci, którzy chorowali już pierwszej zimy, byli odsyłani do druidów na dalszą naukę.

Brennus kaszlał całą zimę, ale się nie poddał. Galvan zawarł umowę z Uatah, która przemycała dla Brennusa ziołowe rozgrzewające maści tak, że chłopakowi udało się uniknąć najgorszego. Czujne oczy Scatah dostrzegały jednak te tajemne spiski, gdyż przed nią nie można było niczego ukryć. Scatah wiedziała swoje, ale na razie jeszcze nie podjęła decyzji co do młodszego syna Celtyllusa.

Coraz bardziej widoczne za to stawały się uczucia jej córki. Uatah dorastała, to było jasne, przeistaczała się w kobietę, czemu towarzyszyły także duchowe przemiany. Czasami w nocy Scatah słyszała cichy płacz dziewczyny i wiele razy miała wtedy ochotę iść ją uspokoić, ale nie robiła tego. Wiedziała, że Uatah sama musi zdecydować, czy chce podążać za głosem serca, czy jednym cięciem stanowczo skończyć z tym uczuciem.

Uatah najwidoczniej nie potrafiła się wyrzec swojej słodko-gorzkiej tęsknoty.

Wiosna nadeszła wraz z gwałtownymi roztopami, a co za tym idzie, z podniesieniem się poziomu wody w rzece. Wskutek tego zatopiony został plac ćwiczebny i chłopcy przez cały miesiąc nie odbywali na nim swoich zajęć. Jeśli jednak sądzili, że to posłuży za pretekst do odwołania wszystkich ćwiczeń, byli w błędzie. Jazdy konne odbywały się po staremu, a naukę fechtunku przeniesiono do wielkiej sali w domu Scatah na skalnym tarasie. Poza tym chłopcy uczyli się jak dawniej strategii, zręczności i wytrwałości.

Kiedy jednak nadeszła prawdziwa wiosna, gdy rozkwitły górskie kwiaty, drzewa się zazieleniły, a słońce dało o sobie znać, Galvan zauważył, że coś się z nim dzieje. Krew zawrzała mu w żyłach, stał się niespokojny, nie potrafił się skupić, a nade wszystko rozpieierała go energia. Mnogość zapachów unoszących się w powietrzu drażniła jego nozdrza, wzbudzała najrozmaitsze reakcje ciała, z którymi nieraz wolał się kryć.

Ileokroć zaś widział Uatah, serce biło mu w piersi jak oszalałe.

Ale zrozumiał, co się z nim dzieje dopiero wtedy, gdy Brennus zwrócił na to uwagę. Któregoś dnia siedzieli na kamiennych schodach i czyścili broń, odpoczywając między porannymi i popołudniowymi zajęciami. Galvan nie potrafił zliczyć, ile to razy już przebył drogę po kamiennych stopniach na szczyt i z powrotem ani ile razy przy tej wycieczce poobtłukiwał sobie nogi. Tego wiosennego dnia jednak nie musiał wykonywać swojej drogi przez mękę na szczyt góry, gdyż na popołudnie było przeznaczone coś innego.

Brennus nie miał bynajmniej kłopotów z koncentracją. Jeżeli pociągały go kobiety, to jedynie te, które ich uczyły, wojowniczeki. Na córkę Scatah bał się nawet spojrzeć, gdy była blisko, podziwiał ją z daleka i nie miał żadnych romantycznych snów z nią w roli głównej. Po prostu się jej bał.

Ujrzał dziewczynę, jak prowadziła konie na łąkę, by się wybiegały. Na jej widok przeszedł go zimny dreszcz.

- Patrz, jej córka idzie - odezwał się.

Nie sądził, że jego słowa wywrą na bracie jakiekolwiek wrażenie, toteż zdziwił się, gdy tarcza wyleciała Galvanowi z rąk. Chłopak zaczerwienił się, najwyraźniej o tym nie wiedząc, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia.

Brennus zbaraniał. Szturchnął Galvana łokciem w bok.

- Zgłupiałeś? - zapytał. - Robisz do niej maślane oczy?

Galvan się ocknął.

- Co ty opowiadasz! - ofuknął brata.

Ale Brennus był zbyt bystry, by nie zauważyć oczywistego zainteresowania Galvana dziewczyną.

- Nie możesz przecież zakochać się w wojownicze - stwierdził Brennus oczywisty fakt.

- A to dlaczego?

- Bo nie. To niedozwolone.

To nienormalne, miał na końcu języka, ale się powstrzymał.

- Czy ktoś tego zabrania? A poza tym kto tu jest zakochany?

- Ty. W Uatah.

- Brednie opowiadasz, bracie. Masz wybujałą wyobraźnię.

Brennus potrząsnął głową, na której zatańczyły czarne loki. Odgarnął je do tyłu i obserwował dziewczynę, jak zdejmowała koniom jarzma.

- Jesteś nią zafascynowany, każdy głupi to zauważy. Jak ci się podoba, to trudno, ale rób tak, żeby nikt tego nie widział. Jak jej matka się dowie, to będzie po tobie.

- Jej matka nic mi nie robi - oświadczył Galvan pewnym tonem.

- A skąd ty możesz to wiedzieć?

- Po prostu wiem.

Nie chciał opowiadać Brennusowi swoich snów. Musiałby wówczas niejedno wyjaśniać, a na to nie miał najmniejszej ochoty.

- Posłuchaj, bracie, nie dręcz mnie więcej. To, czy Uatah mi się podoba, to moja sprawa, na pewno nie twoja. Zapamiętaj to sobie.

Brennus odsunął się urażony, ale Galvan natychmiast to wyczuł i chwycił go za rękę, czego dawno nie robił.

- Nie chciałem cię urazić - szepnął. - Wiesz, że jesteś

mi najbliższy ze wszystkich ludzi. Sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie przeżywałem czegoś takiego. Skąd mam wiedzieć, czy jestem zakochany? Co to w ogóle jest zakochanie? Jak mam poznać, co czuję?

Brennus spoglądał na brata uważnie. To nie był ten sam Galvan, z którym się wychował. Nie chodziło o wygląd ani o jakąś drastyczną zmianę charakteru, bo takowa nie zaszła. Jedyne w jego przejrzystych oczach czaiło się coś, czego nie było wcześniej, a co zwiastowało rychłe nadejście dorosłości. Coś, co stanowiło pomost między tęsknotą a pożądaniem, między chłopięcym zachwytem a pragnieniem czegoś więcej.

I Brennusowi nagle zrobiło się żal, że jego brat doznaje czegoś, o czym on nie ma jeszcze pojęcia. Jego fascynacje na temat kobiet były dość mgliste i niejasne. Jego ciało snuło własne rojenia, ale umysł pozostawał wciąż jeszcze chłopięcy, był bardziej dzieckiem niż mężczyzną. Nadal jeszcze uczucia do kobiet stanowiły dla niego mieszaninę fascynacji, obrzydzenia i pogardy. Ale w nocy, kiedy wszyscy spali, on snił przerażające sny, które kończyły się na jawie.

Jednak Galvan znajdował się już o krok dalej, ponieważ chodziło mu o konkretną osobę, o jedną dziewczynę, na której się koncentrował i która stanowiła obiekt jego fascynacji.

Nieoczekiwanie Brennus poczuł tęsknotę, by też coś takiego przeżywać.

- Ależ ona jest straszna - mruknął, żeby odsunąć swoje myśli od drażliwego tematu.

- Uatah? - zdumiał się Galvan. - Ona nie jest straszna. Ona jest piękna.

- Piękno też może być straszne - wysnuł swoją teorię Brennus.

Ale Galvan nie oglądał Uatah oczami swego brata. Dla niego dziewczyna jawiła się jako uosobienie najwyższego piękna, była wręcz idealna, niemal bez skazy. Galvan znajdował się na tym poziomie uczuciowym, kiedy wielbi się dziewczynę bez głębszego wglądu w jej psychikę. Uatah miała ładne ciało, twarz, interesującą powierzchowność, dźwięczny głos, wspaniałe włosy, lśniące białe zęby, taneczny krok, była

znakomitą wojowniczką pomimo młodego wieku - i to Galvanowi na razie wystarczało w zupełności. Dawało mu podstawę, by za nią tęsknić, by pragnąć jej spojrzenia, zasłużyć na jej podziw, zamienić z nią kilka słów na dziedzińcu, by się do niego uśmiechnęła, nic więcej.

To, co istotne, miało dopiero nadejść.

- Ona jest cudowna - wyszeptał, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, kiedy Uatah szła do domu swej matki, stawiając długie żołnierskie kroki.

Brennus miał ochotę dać bratu kuksańca w bok, ale się powstrzymał niemal w ostatniej chwili. Zamiast tego potarł jego włosy spływające w nieładzie na ramiona. Galvan przyjął to jako zachętę do walki i bracia przez dobrą chwilę mocowali się ze śmiechem na trawie, wzbudzając rozbawienie nauczycielek, które przyglądały im się ze swoich miejsc.

Wreszcie obaj opadli na trawę, dysząc ciężko jak po biegu, z uśmiechem na ustach, wiedząc, że wszelka szarpanina między nimi służy jedynie zabawie.

- Nieważne, jaka dziewczyna spodoba mi się w przyszłości - odezwał się wreszcie Galvan. - Musisz wiedzieć, Brennusie, że na pierwszym miejscu będziesz dla mnie ty.

- Zaraz po Geillis? - zapytał Brennus.

Galvan spoważniał.

- Nie. Geillis jest moją matką, ale nie pójdzie ze mną walczyć.

- Ja też mogę tego nie zrobić - powiedział Brennus i usiadł.

- A to dlaczego? - zapytał Galvan zdumiony.

- Bo jestem słabszego zdrowia niż ty. Maerin kiedyś mi powiedział, że spodziewa się mojego powrotu do ich grona.

Galvan posmutniał. Sądził, że Brennus będzie stawał przy jego boku podczas wojny, jak przystało na brata. Ale istniał sposób, by się związać w razie niebezpieczeństwa. I Galvan miał zamiar wprowadzić go w życie.

- Zawrzyjmy braterstwo krwi - zaproponował. - Jesteśmy braćmi z jednego ojca, gdyż nas spłodził, i z jednej matki, bo piliśmy mleko tych samych kobiet, choć urodziły nas każda jednego. A teraz będziemy braćmi tej samej krwi i nikt nigdy

nie będzie mógł nas rozdzielić.

Brennus zdumiał się tą propozycją, ale zaraz się ku niej przychylił, gdyż doskonale rozumiał intencje Galvana. Taki związek dodatkowo ich chronił, dawał im podstawy, by walczyć razem lub jeden za drugiego, gdyby nadeszła taka potrzeba. A poza tym Brennus był do starszego brata przywiązany. Doskonale pamiętał, jak Galvan bronił go przed innymi przybranymi synami Evar, kiedy dochodziło do sprzeczek. Nie chciał być od niego odesłany.

Wyjął z pochwy nóż, naciął sobie skórę na palcu i podał narzędzie Galvanowi, który zrobił to samo. Zetknęli ręce tak, że ich krew zmieszała się i spłynęła na ziemię czerwonym strumykiem.

- Zawieram z tobą braterstwo krwi, Brennusie, a na świadków wzywam wszystkich bogów - powiedział Galvan.

- Zawieram z tobą braterstwo krwi, Galvanie, a na świadków wzywam wszystkich bogów - powtórzył Brennus.

- I teraz nikt nie zabroni nam stawać razem w szeregu, nawet jak zostaniesz druidem - dodał Galvan.

Rozstanie nadeszło półtora roku później.

Tak jak zapowiedziała, dwa lata po przyjęciu uczniów do swojej doliny, Scatah zdecydowała o tym, kto odejdzie na naukę do druidów. Galvan zrozumiał to w dniu, w którym przybył Maerin, by zabrać ze sobą chłopców.

Tego wieczora Scatah ugościła Maerina w swoim domu, nazajutrz zaś miała podjąć decyzję, kogo oddalić ze swoich szeregów. Widziała, że Uatah denerwuje się i jest niespokojna, ale udawała, że tego nie widzi. Nie należało przy kolacji ujawniać swoich decyzji.

Dopiero kiedy Maerin udał się już na spoczynek, Scatah weszła do izby swojej córki. Uatah siedziała na łożu zasłanym skórami owczymi i wpatrywała się w okno. Pomimo chłodnej nocy okiennicę miała otwartą i spoglądała prosto w białą tarczę księżycy, który nadawał jej twarzy siny kolor.

Scatah wzdrygnęła się. Pomimo wierzeń, że Celtowie pochodzą od Disa i ich porą jest noc, ona nie lubiła pełni. Księżyc miał właściwości magiczne, nie tylko te dobre, o czym

Scatah przekonała się niejednokrotnie. Uważała, że gdy księżyc rzuca swoją poświatę na kogoś, to nie jest dobry znak.

Uatah odwróciła się i wtedy matka ujrzała na jej policzkach ślady łez. Przypomniała sobie, że ona ostatnie łzy wylała dawno temu, gdy zrozumiała, że kocha tego mężczyznę, z którym związała się na rok i który dał jej kolejne dziecko. Potem już nie płakała, zagryzała jedynie wargi do krwi, by nie dać folgi łzom.

- On nie odejdzie stąd jeszcze - odezwała się swoim dźwięcznym głosem. - Możesz być o to spokojna.

Uatah chciała zaprzeczyć, powiedzieć cokolwiek, ale matka położyła rękę na jej ramieniu.

- Nie mów nic. Znam tajemnicę twego serca zbyt dobrze, by to przed tobą ukrywać.

- Matko - odezwała się Uatah głosem nabrzmiętym od łez.

- Nie płacz. Nadarzy ci się jeszcze okazja ku temu, bądź pewna. Dostaniesz swoją chwilę szczęścia i mam nadzieję, że dobrze ją wykorzystasz. Ona nie powtórzy się więcej, o ile sama tego nie zapragniesz.

Scatah wyszła, zostawiając córkę samą. Uatah uklękła przy oknie i zaczęła wznosić modły do księżyca, na przemian błagalne i dziękczynne, nie wiedząc do końca, o co błaga ani za co dziękuje.

Nazajutrz Scatah zgromadziła wszystkich uczniów na placu przed domem i oznajmiła im swoją wolę. Galvan miał nadzieję, że Brennus nie zostanie wymieniony wśród tych, którzy mają odejść, ale tak właśnie się stało. Nie tak przerażony jest człowiek, gdy przed sobą wśród traw ujrzy lwa szykującego się do ataku, jak był Galvan, kiedy usłyszał, że jego brat musi odejść do Gergowii na kolejne pięć lat nauki.

Miał ochotę zaprotestować, ale poczuł uścisk ręki Brennusa na swoim nadgarstku.

- Nie - szepnął brat.

Było to jedyne słowo, jakie wypowiedział do końca tego dnia.

Scatah oznajmiła, że sześciu chłopców ma się udać z Maerinem do Gergowii, reszta zaś pozostanie w dolinie na dalszą naukę. Trzech najlepszych zostanie najdłużej, ostatni

zaś, który wyjdzie, da dziecko jej córce Uatah.

Gdy Galvan to usłyszał, miał wrażenie, że dusza w nim wrze. Dać dziecko Uatah znaczyło tyle, co spać w jej objęciach. Na samą myśl, że kto inny ma tego dostąpić, w Galvanie krew się gotowała ze złości. A gdy jeszcze Scatah dodała, że Uatah sama sobie wybierze mężczyznę, omal nie dostał piany na ustach.

To on chciał tego dokonać! W tej jednej chwili doznał objawienia i zrozumiał, że pragnie stać się częścią tej dziewczyny, nawet gdyby potem musiał od niej odjechać. Zresztą tego nie brał jeszcze w ogóle pod uwagę, zbyt pochłonięty sprawami bardziej zbliżonymi w czasie.

Chłopcy mający opuścić dolinę otrzymali dwa dni, by się spakować i odejść. O tyle prosił Maerin, który chciał odpocząć przed podróżą i dać kobietom czas na przygotowanie prowiantu. Przez te dwa dni Brennus nie odzywał się prawie wcale, pogrążony w smutku, że musi rozstać się z bratem. Wreszcie jednak pogodził się z tą myślą, rozumiejąc, że nie będzie to rozstanie na zawsze. Ale bracia nigdy przedtem nie musieli od siebie odjeżdżać na dłużej, zawsze byli razem, z wyjątkiem miesiąca spędzonego przez Galvana w Rzymie z Gobannicjonem.

W dniu rozstania Galvan udał się do domu Scatah. Stał pod tarasem i zawołał ją po imieniu, pierwszy raz, odkąd się zjawił w dolinie.

Kobieta stanęła na tarasie.

- Pozwól mi odprowadzić mojego brata na szczyt - poprosił Galvan. - Długi czas minie, zanim go znowu ujrzę. Chcę go pożegnać.

Scatah patrzyła na niego lśnącymi oczami.

- Idź - powiedziała. - Pożegnaj brata. Masz do tego prawo, synu Celtyllusa.

Galvan odwrócił się i pobiegł za odchodzącymi, którzy już wspinali się po kamiennych stopniach. Nigdy chyba w tak szybkim tempie nie wbiegał po owych znienawidzonych schodach, które musiał pokonywać niemal każdego dnia w pocie czoła, okupując to potwornym bólem mięśni. Nikt nie

wiedział, ile cierpienia kosztowała Galvana ta nauka.

Ale tego dnia miał wrażenie, że unosi się w powietrzu nad stopniami, jak orzeł szybujący w powietrzu. Tamci wchodzili dość szybko, ale Galvan i tak ich doścignął, ku niezmiernemu zdumieniu Brennusa.

- Co ty tu robisz? - zapytał młodszy brat raczej impulsywnie niż taktownie.

- Przyszedłem cię pożegnać - odparł Galvan.

- I ona ci pozwoliła?

- Powiedziała, że mam do tego prawo.

Maerin był już niemal na szczycie góry. Odwrócił się i spojrzał, ale nie przerwał marszu. Galvan szedł ostatni, za Brennusem, jak smutny cień wlokący się za człowiekiem.

Kiedy znaleźli się na szczycie, Maerin zarządził chwilę odpoczynku. Siedząc w swoim nemeton lub w Gergowii, raz do roku nie nawykł do maszerowania po kamiennych stopniach na szczyt góry. Teraz czekała go wędrówka na płaskowyż, a potem w dół, na równiny. Kilka dni solidnego marszu.

Bracia objęli się w milczeniu, starając się nie okazywać smutku, jaki odczuwali. Obu było ciężko, jako że wychowali się razem i byli najlepszymi przyjaciółmi od dziecka. Teraz zaś, na progu dorosłości musieli się rozstać, by każdy z nich podążył własną drogą.

- Żegnaj, Brennusie - powiedział Galvan, ocierając oczy.

- Nie żegnaj - poprawił go brat. - Do zobaczenia.

Grupa Maerina ruszyła w drogę. Galvan uniósł rękę w pożegnalnym geście, ale wkrótce tamtych spowiała mgła tak gęsta, że chłopak nie widział rąk wyciągniętych przed siebie.

Do licha, pomyślał. Jak ja teraz zejść na dół w tym mleku? Nic nie widać.

- Ja cię poprowadzę - usłyszał dobrze znany głos Uatah.

Galvan odwrócił się gwałtownie i tuż przy krawędzi skały ujrzał ją, zlewającą się niemal w jedno z oparami mgły, gdyż była ubrana na biało. Tylko jej rude włosy odznaczały się w tym niesamowitym otoczeniu.

- Skąd mogłaś wiedzieć? - zaczął Galvan niepewnie.

- Matka mnie przysłała, kiedy mgła zaczęła opadać -

odparła Uatah. – Ja znam tutejsze stoki co do jednego. Ty byś spadł w przepaść.

– Ależ ja pokonywałem tę drogę tysiące razy – zaprotestował Galvan.

– Tak, ale nigdy podczas mgły. Chodź.

Wyciągnęła do niego rękę, którą on natychmiast ujął. Pierwszy raz dotknął jej dłoni i poczuł, że świat przed nim wiruje. W tym dotyku było coś niesamowitego, niemal magicznego, zupełnie jakby przez ich skórę przechodziły wzajemne uczucia i myśli.

Uatah patrzyła na niego jak zaczarowana. Czas przestał się liczyć, świat nie miał znaczenia, mgła ich skrywała i nikt nie mógł widzieć, że stoją naprzeciwko siebie i patrzą sobie w oczy, trzymając się za ręce.

Słowa matki o cierpieniu gdzieś się ulotniły. Ciągłe napomnienia dźwięczące w jej głowie zniknęły, jakby ich zupełnie nie było. Uatah nie pamiętała już, do czego była powołana, jakie zadanie ma przed sobą, nie pamiętała już, kim jest, poza tym, że była młodą dziewczyną przeżywającą swoją pierwszą w życiu miłość.

Galvan delikatnie przyciągnął ją do siebie i drugą ręką dotknął jej twarzy. Jej skóra była gładka jak płatki kwiatów, których dotykał wiosną, delikatna jak u dziecka. Przesunął dłoń na jej włosy i przez chwilę je gładził w najwyższym uniesieniu, jakby dotykał jakiejś drogocennej materii. Uatah przysunęła się jeszcze bardziej i Galvan obejmując jej ramiona, stwierdził, że nie ma przed sobą żadnej straszliwej wojowniczkii, ale delikatną, kruchą dziewczynę. Teraz był od niej wyższy, sporo wyższy, tak że głowa Uatah z łatwością spoczęła na jego piersi. Czując bicie jej serca przy swoim, Galvan nie mógł uwierzyć, że są tak blisko siebie.

Uatah stała spokojnie, wdychając jego zapach, tak jak chciała już dawniej, czując jego silne ramiona obejmujące ją, i miała wrażenie, że serce jej pęknie z radości. Nie pamiętała już o słowach matki, jedyne, co do niej docierało, to fakt, że jej uczucia są odwzajemnione, chociaż on słowa nie powiedział na ten temat. Wiedziała teraz, że nie jest mu obojętna i to

wystarczyło w zupełności do szczęścia.

Nie chciała myśleć, co będzie dalej.

- Musimy iść - powiedziała wreszcie, przerywając magiczną chwilę.

Galvan odsunął się z najwyższą niechęcią, a jego niebieskie oczy mówiły wyraźnie, że chciałby przeciągać ten moment w nieskończoność. Jednak wiedział, że trzeba wracać do doliny, zanim Scatah nabierze podejrzeń i sama pofatyguje się na szczyt.

Dziewczyna chciała zejść po stopniach, ale Galvan zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

- Uatah - szepnął. - Teraz wiesz wszystko.

Uatah patrzyła na niego zdumiona, ale po chwili musiała odwrócić twarz, kiedy dotarł do niej sens jego słów. Zrozumiała, co chciał jej powiedzieć, a do czego nie był jeszcze gotowy. Chciała stłumić uśmiech, ale nie potrafiła i schodząc po kamiennych stopniach, uśmiechała się do siebie, dając w ten sposób upust buzującej w niej radości.

Galvan schodził za nią, trzymając jej rękę w swojej i wiedząc, że między nimi istnieje więź, której sami nie będą chcieli przerwać.

Ale o przyszłości on także nie chciał myśleć.

IX

W ten sposób zostało ich dziesięciu. Galvan zadowolony był z takiego obrotu rzeczy, chociaż z drugiej strony brakowało mu okropnie brata. Ktoś mógłby pomyśleć, że byli bliźniętami, tak mocno czuli się ze sobą zespoleni, i dla każdego okres rozłąki stanowił zło konieczne. Jednak Galvan rozumiał, że nadchodzi kiedyś taki czas, gdy drogi największych nawet przyjaciół muszą się rozejść, toteż nie rozpaczał z tego powodu.

Nauka u Scatah wyglądała teraz inaczej. Tego samego wieczora zapowiedziała, że czekają ich próby zupełnie odmienne od tych, do jakich przywykli. Galvan patrzył na nią z narastającym przerażeniem, czekając, aż przejdzie do sedna.

- Jest was dziesięciu - powiedziała. - Co roku dwóch z was będzie przechodzić pod opiekę moich sióstr, aż dla mnie zostanie trzech najlepszych. Te próby, którym będziecie poddawani, wyłonią ostatnią trójkę.

- Dlaczego nie możesz uczyć nas wszystkich? - zapytał Iain.
- W ten sposób nikt nigdy nie zostanie dobrym wojownikiem.

Scatah uśmiechnęła się.

- To nie tak, jak myślisz. Tu otrzymujecie podstawy solidnego wojennego wykształcenia, które potem na własną rękę będziecie musieli uzupełniać. Nauka walki nie trwa rok ani pięć, ani nawet dziesięć lat, ale całe życie.

Iain umilkł, przekonany, że Scatah nie mówi im całej prawdy. Początkowo myślał, że wiedźmie zależy wybitnie na synach Celyllusa, ale kiedy Brennus odszedł z druidami na dalszą naukę, zmienił zdanie. Teraz sam już nie wiedział, co ma sądzić o dalszej edukacji w dolinie.

Galvan sądził najpierw, że nic nie uległo zmianie, gdyż

wszystkie ćwiczenia wyglądały jak dawniej. Jednak nie było tak. Do tej pory uczyli się bez nadzoru Scatah, teraz zaś pilnowała ćwiczących chłopców, rejestrowała każdy ruch, oceniała i poprawiała.

- Ruszacie się gorzej niż stare baby! - pokrzykiwała na nich, kiedy prowadzili walki na drewniane miecze. - Nigdy niczego nie osiągniecie tym sposobem.

Następną zmianą była prawdziwa broń, którą dostali. Scatah orzekła, że muszą nauczyć się posługiwać prawdziwymi mieczami, włóczniami i tarczami nabijanymi żelastwem, by nie zdawało im się podczas wojny, że wróg będzie atakował drewnianym mieczem. Ćwiczenia odbywały się częściej, trwały dłużej, a nauka walki na miecze była jedynie kroplą w morzu, które stawało się coraz głębsze.

Potem sama zaczęła uczestniczyć w walkach.

- Ten, kto mnie pokona, zaiste będzie wielkim wojownikiem - powtarzała za każdym razem.

Owe widowiska miały w sobie coś magicznego. Scatah potrafiła odparować każde uderzenie miecza, robić najdziwniejsze uniki, wykręcając ciało do tyłu pod niewiarygodnym kątem, tak że niemal leżała w powietrzu, podczas gdy jej stopy pozostawały na ziemi. Wreszcie wszyscy na własne oczy ujrzeli, że umiała wzbić się w powietrze na znaczną wysokość i przejść po przeciwniku, zeskakując na jego drugą stronę.

Nikt nie potrafił z nią wygrać. Była szybsza niż myśl, sprytniejsza od lisa, znała każdy zamiar walczącego z nią chłopaka, zupełnie jakby czytała w ich myślach. Nikt nie zdołał wyprowadzić jej w pole. Była niepokonana.

Galvan ciekaw był owych prób, ale jak na razie do żadnej jeszcze nie doszło. Za to treningi stawały się coraz bardziej mordercze. Co prawda, nikt już im nie kazał stać całą noc na chłodzie i hartować ciało, ale za to musieli nauczyć się pokonywać zimą lodowatą wodę rzeki. Potok górski był na tyle silny, by porwać każdego z nich, więc na początku Scatah wiązała ich solidną liną. Samo wejście do wody było torturą nie do zniesienia i gdyby nie wcześniejsze treningi w zimowe

chłody, z pewnością każdy z nich dostałby od razu hipotermii. Jakkolwiek te zadania z wodą były Galvanowi nienawistne, rozumiał ich konieczność.

- Nigdy nie możecie być pewni, czy zimą nie przyjdzie wam pokonywać wzburzonej rzeki o własnych siłach - powtarzała Scatah, stojąc sobie bezpiecznie na brzegu.

Ale i ona dawała przykłady swoich umiejętności. Przekroczenie rzeki w zimie wydawało się dla niej dziecinną igraszką.

Uczyła ich balansować na krawędzi przepaści. Sama poruszała się na urwiskach i wąskich skalnych półkach jak kot i Galvan czasami zastanawiał się, czy ona nie ma jakichś macek w podszwach, które by jej umożliwiały stanie w pionie.

- Musicie pokonać własny lęk - tłumaczyła. - Nauczyć się nie widzieć wysokości.

Ona potrafiła odchylić się do tyłu nad przepaścią i mimo to zachowywać równowagę. Jej uczniowie stawiali chwiejne, niepewne kroki, ale nie wszyscy odważali się kroczyć nad przepaścią z pełną świadomością, że jeśli spadną, niewiele z nich zostanie.

Uczyła ich jazdy konnej w zupełnie inny sposób. Nie chodziło już tylko o zwykły tor z przeszkodami, o slalom w lesie, o pokonywanie konno rzeki ani nawet o zeskakiwanie i wskakiwanie na konia w czasie jazdy. Scatah potrafiła w pełnym galopie stanąć na rękach na końskim grzbiecie. Trzymając się końskiej grzywy, przeskakiwała z jednego boku na drugi, jadąc tak z nogami podkurczonymi pod siebie. W wąskim przesmyku stawiała na grzbiecie konia, umiała przeturlać się pod końskim brzuchem w czasie jazdy, zawisnąć między końskimi nogami, a także kłaść się na grzbiecie, jechać tyłem do przodu, strzelając z łuku, zeskakiwać z konia, by dogoniwszy go, znowu na niego wsiadać.

Galvan zaczynał powoli pojmować, dlaczego takie kobiety jak ona są wojowniczkami i dlaczego nazywa się je czarownicami.

Uczyła ich jeszcze jednej rzeczy poza zwykłymi umiejętnościami. Pokazała im mianowicie, w jaki sposób

pozorować własną śmierć.

- Musicie być całkowicie rozluźnieni - wyjaśniała. - Musicie nauczyć się panować nad własnym ciałem. Ja umiem panować nad oddechem, wyciszyć rytm własnego serca tak, by wróg myślał, że nie żyję. Potrafię znieczulić moje zmysły na ból, zatamować upływ krwi siłą woli. I tego też was nauczę.

Ta edukacja była najtrudniejsza. Scatah potrafiła siedzieć z nimi godzinami i uczyć, jak należy wyciszać swój organizm. Wdech i wydech, wdech i wydech, coraz wolniej, coraz rzadziej. Raz zademonstrowała im własną upozorowaną śmierć. I rzeczywiście, leżała nieruchomo, jej ciało nie reagowało na bodźce, chociaż chłopcy kłuli je nożami tak, że musiało boleć. Niemal nie oddychała, czyniąc to tak wolno i rzadko, że nikt nie widział poruszenia piersi. Jej powieki nie drgnęły ani razu, a kiedy Iain odchylił jedną, ujrzał wpatrzone w siebie źrenice, rozszerzone niemal maksymalnie, jak u trupa. Galvan przyłożył palce do jej szyi, ale nie wyczuł pulsu.

Kilka minut później Scatah wróciła do normalnego stanu.

- Łatwo zmylić przeciwnika, kiedy się udaje nieżywego - powiedziała. - Tylko wytrwali potrafią się tego nauczyć.

Następne stopnie tej nauki były bardzo przykre, bowiem Scatah zadawała im umyślnie ból, każąc się koncentrować na jego zwalczaniu. Galvan nienawidził tego, ale po jakimś czasie stwierdził, że jego ciało uodparnia się na cierpienie i z każdym tygodniem potrafi znieść więcej. Siedząc w powrozach wrzynających się w ciało, umiał odwrócić swoją uwagę całkowicie od impulsów przesyłanych do mózgu, nie myślał w ogóle o bólu, wyłączał swoją świadomość na te czynniki.

Scatah nie chciała mu powiedzieć, jak bardzo jest z niego zadowolona.

Z czasem Galvan faktycznie nauczył się pozorować własną śmierć. Nauczył się stymulować oddech i rytm serca, a także panować nad swoimi odruchami, kiedy go dotykano. Nie nauczył się jednak nigdy utrzymywania oczu w naturalnej pozycji i zawsze leciały mu one do tyłu. Scatah wyraziła nadzieję, że Galvan nie będzie zmuszony do udawania własnej śmierci, a jeśli już się to stanie, niech nikt nie odchyła

mu powieki.

Dzięki tym naukom Galvan zaczął rozumieć, co ludzie mieli na myśli, kiedy opowiadali o magii. Tamte podstawowe ćwiczenia sprzed dwóch lat stanowiły jedynie wstęp. Magia dopiero się odkrywała. Galvan spodziewał się cudów takich jak choćby wskrzeszanie zmarłych, ale zamiast tego ujrzał inne.

Kiedys zapytał, co się stanie z tymi, którzy odejdą wcześniej.

- Będą się uczyć u swoich krewnych - wyjaśniła Scatah krótko. - Wszyscy mężczyźni od najmłodszych lat uczą się walki. Najpierw są to zwykłe dziecięce bójki, potem polowania, potem idą na naukę do druidów, gdzie objaśnia im się teorię. A później każdy ma dwa lata treningu i idzie na dalszą naukę. Myślałeś, że tylko kobiety szkolą wojowników?

- A nie jest tak?

- Nie. My uczymy tylko tych, którzy pochodzą z zacnych rodów. Reszta pobiera nauki u innych wojowników.

- To dlatego jest u ciebie tak mało uczniów?

- Jest nas więcej. Ja uczę ludzi z Gergowii i jej okolic. Moje siostry zajmują się innymi.

Galvan otrzymał więc odpowiedź na jedno z nurtujących go pytań. Pozostawały jednak inne, które bał się poruszyć.

- Kiedy stąd odejdziesz, Galvanie, twoja nauka się nie zakończy - odezwała się Scatah, jakby czytając w jego myślach. - Będzie trwała dalej, pogłębiając się z każdą stoczoną przez ciebie bitwą. Tak jest w każdym społeczeństwie, nie tylko u Celtów.

Galvan nie pytał już o nic więcej. Zrozumiał, że jakkolwiek któregoś dnia zasłuży na swoje dorosłe imię, które otrzyma, nie będzie mógł mianować się wodzem. I że nie uzyska tego prawa, póki inni nie przyznają mu tego zaszczytu albo gdy zostanie pochowany z najwyższymi honorami, jak jego ojciec Celyllus.

Uatah udawała, że jest zajęta polerowaniem miecza i że nie zwraca uwagi na Galvana, który na łące cesał zgrzebłem konia. Umyślnie do niego podeszła i usiadła tak blisko, by nie wzbudzić podejrzeń swojej matki, która szykowała na następny dzień pierwszą próbę.

Galvan nie wyglądał bynajmniej jak wtedy, trzy lata temu, gdy jako pacholę przyszedł tu wraz z innymi przerażonymi chłopcami. Miał teraz osiemnaście lat i z dawnego chłopca niewiele już zostało. Był zdecydowanie bardziej mężczyzną, choć zachował nadal czyste serce i młodzieńczą naiwność, właściwą jego wiekowi.

Ale jego gładkie policzki pokrył ciemnozłoty zarost, który musiał golić, a który objawiał się w postaci jasnej szorstkiej szczeciny na szczękach i kościach policzkowych, gdy zaniedbał tej czynności. Galvan nie zamierzał nosić długich wąsów ani brody jak jego ojciec, wolał zostawić twarz bez zarostu, na sposób rzymski.

Ciało też mu się zmieniło. Rozrosły się barki, ramiona stały się umięśnione i twarde, biodra miał wąskie i smukłe, pierś szeroką, twardą jak skała, a nogi długie i zgrabne, z mięśniami odznaczającymi się pod skórą przy każdym ruchu. Jego twarz nabrała bardziej męskiego wyrazu, zniknął gdzieś wyraz niewinności i niemal dziewczęcy urok. Co prawda, rysy pozostały czyste i regularne, tak że patrzącemu na jego twarz sprawiało to wręcz ból, a oczy lśniły nieskazitelnym błękitem pod ciemnozłotą grzywą włosów, ale zdecydowanie był to już mężczyzna, nie chłopiec.

Uatah bardzo podobały się też jego dłonie, silne i mocne, o szczupłych nadgarstkach, wysmukłych, długich palcach, ciemne od słońca i wyrobione od miecza. Nie raz zastanawiała się, w jaki sposób dotykają skóry. Raz jeden je czuła, ale wtedy były to dłonie na wpół dziecięce.

- Chciałaś ze mną mówić, więc dlaczego teraz milczysz? - zapytał Galvan z uśmiechem, odsłaniając swoje białe zęby.

Uzębienie też miał imponujące, co dodawało mu urody, kiedy się uśmiechał. Zęby Galvana były duże, mocne i białe, a usta kształtne, o pełnych wargach, tak że Uatah niejednokrotnie miała ochotę przesunąć po nich palcami.

- Nie wiem, od czego zacząć - przyznała. - Dawno nie mówiliśmy ze sobą.

To była prawda. Galvan nie miał po prostu czasu ani siły na pogawędki z dziewczyną, chociaż tęsknił za nią wieczorami

i miał świadomość jej obecności niemal ciągle. Ale treningi ze Scatah wyczerpywały go całkowicie.

- Zaczynaj od początku - poradził Galvan, wyginając swoje tygrysie ciało, by sięgnąć szczotką niżej.

- Matka chce was jutro poddać pierwszej próbie - wyznała Uatah. - Tylko cicho! - dodała, widząc, że on się prostuje. - Nic nikomu nie mów. Przyszłam cię uprzedzić, co cię jutro czeka.

Galvan odłożył zgrzebło i stanął przed dziewczyną w taki sposób, że zasłaniał jej słońce. Była jesień i promienie padały na ziemię pod ostrym kątem, oślepiając każdego, kto nie zakrył oczu ręką.

- Czy wiesz, na co się ważysz? - zapytał. - Jeśli ktoś cię przyłapie, to już po nas.

- Przesadzasz, Galvanie. Nikt nas tu nie słyszy, bo matka jest zajęta. Przygotowuje posłania dla tych, którzy jutro się zranią.

- Zranią? - powtórzył Galvan z narastającym przerażeniem.

- Poparzą - sprecyzowała Uatah.

Galvan usiadł przy niej na trawie.

- Chcesz powiedzieć, że ona będzie nas smażyć w ogniu?

- Nie, nie aż tak. Widziałam to wiele razy i powiem ci, że mało kto radzi sobie w tej próbie. Wszystkich opanowuje zbyt wielki strach.

- To znaczy, że wszyscy odpadają i ona nie ma kogo uczyć? - zdumiał się Galvan.

- Nie - roześmiała się Uatah. - Z tej próby zazwyczaj wychodzili zwycięsko ci, co wytrzymali najdłużej. Ci szli na dalszą naukę, reszta lądowała u wojowniczek, które ich uczyły na początku.

Galvan stwierdził, że nic nie rozumie.

- To jest próba ognia - wyjaśniła Uatah. - Jutro matka rozpali wielkie ognisko i każdy będzie musiał w nie wejść. Matka będzie liczyć do dziesięciu. Bardzo wolno. Jeśli wytrzymasz całą kolejkę, zwyciężysz. Ci, którzy spędzą w ogniu najmniej czasu...

Uatah nie dokończyła.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał Galvan. - Nie sądzisz

chyba, żebym potrafił wytrzymać w ogniu.

Po raz pierwszy ujrzał w jej oczach zniecierpliwienie i złość.

- Wiedziałam, że nic nie pojmiesz z jej nauki - fuknęła nagle jak rozwścieczona kotka. - Jak myślisz, po co matka uczy was panowania nad własnym bólem? Te wszystkie próby mają określony cel. Tobie może się to wydawać głupie, ale jak myślisz, co powiedzą twoi wrogowie, kiedy będziesz w stanie bez najmniejszego szwanku przejść przez ogień? Jeśli wydostaniesz się z płonącego domu, przebędziesz podpalony most, wytrzymasz, kiedy poleją cię rozpaloną smołą? Będą się ciebie bać.

- A ja myślę, że mnie wtedy najzwyczajniej w świecie zabiją - odparł Galvan.

- Nie, bo ty będziesz miał wtedy jeden atut w rękę, Galvanie. Zaskoczenie. Nikt się nie spodziewa, że człowiek ogarnięty ogniem jest w stanie zapanować nad bólem i walczyć. Najczęściej ludzie w płomieniach miotają się bezładnie, natomiast nikt nie potrafi w tym momencie strzelić z łuku albo wepchnąć komuś miecz pod żebra, wykorzystując ten czas na ratowanie siebie. Próby mojej matki mają na celu wskrzeszenie w was odwagi przed czynami niewykonalnymi na pierwszy rzut oka. Kiedy nauczysz się balansować na krawędzi przepaści, patrząc śmierci w oczy, nie zawahasz się rzucić z bronią na oddział wrogów.

Dla Galvana słowa Uatah były pozbawione sensu.

- Odwaga, Galvanie - powtórzyła Uatah. - Tu, w twojej głowie. Masz być nieustraszony, nie bać się bólu ani śmierci, ani niczego. Musisz nauczyć się pokonywać samego siebie, swoje lęki i wątpliwości, bo jeśli będziesz się bał, nie zostaniesz dobrym wojownikiem.

- Ty myślisz, że to tak łatwo? - zapytał Galvan ze złością.

- Nie. To bardzo trudne - przyznała Uatah. - Ale dzięki takim próbom nauczysz się wierzyć we własne siły i oceniać swoje możliwości. Swoje prawdziwe możliwości.

Galvan pokręcił głową.

- Więc jedyne, co muszę jutro zrobić, to pokonać własny ból? - zapytał ironicznym tonem.

- To jest aż tyle, co musisz jutro zrobić - odparła Uatah.

- Galvan się przeraził.

- Dlaczego?

Uatah się uśmiechnęła.

- Ja znam jego tajemnicę - powiedziała. - I kiedyś ci ją wyjawię.

- Powiedz teraz - poprosił Galvan.

- Nie. Powiem ci tylko tyle, że próby mojej matki odbywają się w waszych umysłach. Przemyśl to sobie, Galvanie.

Galvan patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Więc wystarczy, że wejdziesz w ogień i będę sobie wyobrażał, że on nie zadaje bólu?

Uatah nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko.

- Dlaczego mnie ostrzegłaś? - zapytał, zanim wrócił do konia.

- Ty wiesz dlaczego. Jeżeli od tamtego dnia na stoku nic się nie zmieniło, nie muszę ci tłumaczyć moich intencji.

Przez chwilę Galvan spoglądał na nią w zamyśleniu, po czym uśmiechnął się do niej i wrócił do czyszczonego konia. Był przekonany, że nikomu innemu Uatah nie wyjawiałaby tajemnicy swej matki, nawet w tak nikłym stopniu, jak uczyniła to wobec niego. Ta świadomość podnosiła go na duchu.

Ogień był zaiste imponujący. Galvan na własne oczy widział, jak Scatah go rozniecała w jakiś dziwny sposób, nie posługując się ani krzesiwem, ani żarem z domowego ogniska. Przykucnęła nad chrustem i coś mamrotała pod nosem, i ogień buchnął nagle do góry, strzelając snopem iskier ku przerażeniu chłopców.

Uatah stała w pobliżu, jakby czekając na swoją kolej. Pomocnice Scatah, owe młode kobiety, które ich uczyły, trwały w pogotowiu, by w razie potrzeby odnieść poddawanego próbie chłopaka do domu i zająć się nim. Galvan czuł mrowienie pod skórą i strach na myśl o wstąpieniu w płomień, ale widział na ustach Uatah ironiczny uśmieszek, co wywoływało w nim złość.

Niedoczekanie twoje, żebym miał się zląknąć, myślał.

Scatah stanęła między chłopcami a ogniskiem.

- To jest próba waszej wytrzymałości i odwagi - powiedziała. - Zwycięsko wyjdzie z niej ten, kto najdłużej wytrwa w płomieniach. Będę liczyć do dziesięciu.

Galvan i Uatah wymienili ukradkiem spojrzenia. Oczy dziewczyny miały taki wyraz, jakby chciała powiedzieć „A nie mówiłam?”, podczas gdy Galvan czuł narastający niepokój.

Jak, do licha, zdołam wytrzymać w tych płomieniach choćby chwilę? To przecież musi okropnie boleć!

Przypomniał sobie słowa Uatah wypowiedziane wczorajszego dnia na łące. Tu chodzi o odwagę, o pokonanie własnego lęku. Ona najwyraźniej nie bała się wejść w ogień. Słowa plątały się w jego głowie. Co powiedzą przeciwnicy na widok męża wstępującego bez strachu w płomienie?

A może to tylko iluzja?

Nie, ogień był prawdziwy, ciepło bijące od niego również. Galvan stał na tyle blisko, by to czuć. Ale ta próba to nie był zwykły bieg po rozżarzonych węglach, przy którym należało po prostu wykazać się szybkością, by nie poczuć bólu. To potrafił robić i nie bał się. Ale stać w bezruchu w płomieniach...

Zielononiebieskie oczy Uatah wpatrywały się w niego intensywnie. Miały się wobec niej narazić na wstyd i poniżenie? Nigdy w życiu!

- Buit, ty zaczynasz - zwróciła się Scatah do najdalej stojącego chłopca, syna jednego z naczelników Gergowii.

Młody człowiek przeraził się. Od rana wiadomo było, że odbędzie się próba, gdyż Galvan nie potrafił utrzymać języka za zębami. Ale był usprawiedliwiony, gdyż pomocnice Scatah roznosząc jedzenie, same o tym mówiły. Tak więc młodzieńcy byli podenerwowani już od świtu, tyle że nie mieli pojęcia, na czym próba będzie polegać.

- Przez ogień? - wymamrotał Buit.

Był to rosły chłopak z grzywą ciemnopopielatych włosów nad czołem, zręczny i dość sprawny, ale jego największą wadą był brak wiary we własne siły. Spowodowane to było faktem, że wśród swego przybranego rodzeństwa był najmłodszy.

- To jest próba waszej odwagi - powtórzyła Scatah. -

I umiejętności powstrzymywania bólu.

Buit przełknął ślinę, po czym zdecydowanym krokiem wszedł w ogień. Wyraz cierpienia natychmiast pojawił się na jego twarzy, zacisnął pięści i powieki.

- Raz... Dwa... Trzy... Cztery... - policzyła Scatah.

Buit wyskoczył z ognia jak z procy, wrzeszcząc głośno, po czym upadł na trawę i zaczął się po niej tarzać, usiłując zgasić płomień na swoim ciele. Jęczał okropnie, kiedy kobiety podnosiły go stamtąd i polewały zimną wodą.

- Nic mu nie będzie - oznajmiła Scatah chłodnym tonem. - Po oparzeniach nie pozostanie najmniejszy ślad.

Pozostali chłopcy z ciężkim sercem spoglądali na jęczącego Buita.

- Następny - zakomenderowała Scatah.

Trzej kolejni chłopcy nie wytrzymali do pięciu i wyskakiwali z dzikimi okrzykami z płomieni. Piąty był Iain, towarzysz Galvana z rodzinnej osady, i on wytrzymał do siedmiu, ale też z krzykiem wybiegł z ogniska. Na twarzy Scatah pojawiło się wtedy coś na kształt uśmiechu, jakby była częściowo zadowolona z takiego wyniku. Następni czterej wytrzymali mniej, jeden wyszedł zaraz po wejściu w ogień, nie mogąc wytrzymać ani jednej sekundy.

Wreszcie nadeszła pora na Galvana.

Chłopak spojrzał na Uatah stojącą z boku i po raz kolejny zauważył ironiczny blask w jej oczach.

Nie dam ci tej satysfakcji, pomyślał ze złością i zamknął oczy, koncentrując się.

Pokonać ból, powtarzał sobie w duchu. Nie myśleć o nim. Zapomnieć o bólu.

Wszedł do ogniska, usiłując skoncentrować się na czymś przyjemnym. Zamknął oczy i pozwolił swoim myślom poszybować nad płomienie, do Uatah stojącej na trawie i patrzącej na niego. Stojąc w ogniu, Galvan wyobrażał sobie, jak całuje usta dziewczyny, i ta wizja sprawiła, że zapomniał kompletnie o bólu i ogniu.

I stała się rzecz dziwna. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że płomień go nie dotyka, a zamiast parzącego ognia czuje

delikatne ciepło rozchodzące się po kościach. Wyciągnął przed siebie rękę i stwierdził, że nie jest wcale ogarnięta płomieniem. Ogień zdawał się lizać jego skórę, nie robiąc jej żadnej krzywdy.

Jak to możliwe? – zastanawiał się Galvan w duchu.

Nie czuł bólu. Nie bał się. Stał jak spiżowy posąg, niewzruszenie, nie pojmując, jak to możliwe, że nie cierpi katuszy w tym piekącym żarze.

- Dziesięć – doleciał do niego głos Scatah. – Wyjdź, Gal_vanie.

Galvan posłusznie wyszedł z ognistego kręgu, a płomienie uchylały się przed nim.

Oczy Uatah promieniały.

Ona weszła do ognistego kręgu bez cienia strachu, podobnie jak przedtem Galvan, i wyszła bez szwanku, gdy jej matka doliczyła do dziesięciu.

- Poznałeś tajemnicę ognia, Galvanie – odezwała się Scatah. – Jako jedyny. Nie jest w stanie cię oparzyć, jeśli umiesz wstąpić weń bez strachu i odegnąć od siebie ból.

- To magia – powiedział Galvan oniemiały.

- Tak. To magia, której was uczę – odparła Scatah. – Ta magia leży w waszych sercach.

- Dlaczego ogień mnie nie poparzył? – zapytał Galvan.

- Bo nie uląkłeś się go i odegnałeś od siebie ból. Tego was uczyłam przez cały rok. W płomieniach będziesz potrafił powstrzymać cierpienie przez dobrą chwilę, zanim ono do ciebie zacznie stopniowo docierać. A przez ten czas zdążysz ugasić płomień albo zabić atakującego przeciwnika. Żar nie oparzy cię zaś przez ten czas, gdyż najpierw nasyci się twoim odzieniem, będziesz zaś miał gruby pancerz albo wełniane ubranie. Teraz rozumiesz, na czym polega moja próba?

- Pokonanie własnego lęku – szepnął Galvan. – Wojna to walka z własną naturą?

- Wojna to zabijanie innych przez pokonywanie siebie, Galvanie – powiedziała Scatah, poważniejąc nagle. – Zapamiętaj to, kiedy nadejdzie twój czas. Skoro nie boisz się śmierci, nie wolno ci też bać się bólu. To też zapamiętaj – dodała, zabierając się za gaszenie ogniska.

Galvan spojrzał na dom, w którym leżeli jego przyjaciele.

- A oni?

Scatah się roześmiała.

- Zdradzę ci pewną tajemnicę - powiedziała. - Nic im nie będzie, gdyż bardziej wyobrazili sobie ten ból, niż poczuli. W ciągu czterech sekund ogień nie jest w stanie wyrządzić ci wielkiej krzywdy, co najwyżej osmalić skórę. Dojdą do siebie najdalej jutro, możesz mi wierzyć. Żadna próba w tej dolinie nie ma na celu skrzywdzenia was.

Zgasła ogień i odeszła wraz z Uatah, zostawiając Galvana samego z jego myślami. Zaiste, miał nad czym się zastanawiać, gdyż nie wszystkie słowa swej mistrzyni potrafił zrozumieć.

Ale w głębi duszy czuł podniecenie i radość na myśl, że z pierwszej próby wyszedł zwycięsko. Teraz zostały już tylko dwie.

Zgodnie ze słowami Scatah nikomu nic się nie stało. Dwa dni później wszyscy stali już na nogach, z tym że dwaj najsłabsi uczniowie wrócili pod skrzydła dawnych nauczycielek i Scatah nie interweniowała w ich naukę. Ona sama uczyła teraz ośmiu adeptów i nie dawała po sobie absolutnie poznać, co myśli o przebytej próbie.

Raz jeden tylko zebrała ich wszystkich na placu i wyjaśniła raz jeszcze, na czym owa próba polegała. Tak, jak wcześniej tłumaczyła to Galvanowi.

- Odwaga to wasz główny atut - orzekła na koniec. - Nie możecie się bać niczego. Jeśli wróg zauważy słabość, natychmiast to wykorzysta, uderzy w czułe miejsce i was pokona. Dlatego nie możecie mieć czułych miejsc, rozumiecie? Musicie być nieustraszeni i śmiało zaglądać śmierci w oczy. Śmierć, moi drodzy, to nic innego jak przejście do następnego życia. Nie wolno bać się przejścia. Poza tym ona i tak was kiedyś czeka, weźcie to pod uwagę.

- Skoro tak, to po co toczyć bitwy? - zapytał Buit.

Oczy Scatah zaśmiały się zielonkawo.

- Po to, żeby nikt nie zagarnął ziemi waszych ojców ani by nikt nie naruszył czci waszych kobiet i dzieci. Gdyby przyszli tu Rzymianie albo jakikolwiek inny naród, wiecie, co by zrobili?

Spaliliby miasta, zgwałcili wasze kobiety i zostawili wszędzie swoje bękartę, was by zabili, starych i chorych także, wasze córki poszłyby w niewolę, a na waszej ziemi osadziliby swoich rodaków. Po to idziecie na wojnę, by nikt nie odebrał wolności waszym braciom.

Galvan miał wrażenie, że cokolwiek mu się rozjaśnia w głowie, ale nadal jeszcze nie potrafił pojąć wszystkich jej słów.

Zaczął się jednak zastanawiać nad innym zagadnieniem i wkrótce doszedł do wniosku, że skoro próby Scatah nie mogą ich skrzywdzić, to ten ogień nie był w stanie go oparzyć.

Udał się do niej, by mu to wyjaśniła.

Scatah patrzyła na niego uważnie.

- Od dwudziestu pięciu lat nie usłyszałam podobnego pytania, Galvanie - powiedziała. - Tym, który je zadał, był twój ojciec, Celyllus, a moja matka Aife tłumaczyła mu wtedy to samo, co ja teraz tobie. Ja byłam małą dziewczynką, dopiero ucząc się władać mieczem.

- I co twoja matka powiedziała mojemu ojcu?

- To, co ja powiem tobie. Ten ogień mógł cię oparzyć, a nawet zabić, tak jak każdy inny ogień. Tajemnica ognia tkwi w twoim umyśle. To ty nauczyłeś się panować nad swoim strachem, bólem i reakcją na niego. Przez żmudne ćwiczenia nad swoją wolą i ciałem stałeś się odporny na ogień. Prawdopodobnie potrafiłbyś go znieść jeszcze przez kilka sekund, zanim zwróciłbyś uwagę na prawdziwy ból. Wykazałeś się odwagą, wchodząc w płomienie, i sztuką panowania nad własną osobą, wytrzymując w nim tyle czasu.

Na ustach Galvana ukazał się uśmiech świadczący o rozczarowaniu.

- Więc nie uczysz nas magii, Scatah - powiedział z goryczą.

- Owszem. Powiedziałam ci to raz i powiem drugi raz. Magia jest w tobie i w nich. Jeżeli nauczysz się pokonywać samego siebie, posiadasz najwyższą sztukę magiczną, jaką potrafi posługiwać się wojownik.

Galvan stał z bezradnie opuszczoną głową.

- Ty myślisz, że tacy Rzymianie są bardzo odważni? -

zapytała Scatah po chwili. – To najzwyczajni w świecie tchórze. Pierwszym czynnikiem decydującym o ich odwadze jest ich wódz i sposób, w jaki do nich przemawia.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Nie urodziłam się wczoraj i mnie też uczono. Walcząc w Macedonii, legiony rzymskie drżały ze strachu przed tamtejszą falangą, a walcząc z Celtami, boją się panicznie ich wielkości. To wódz zagrzewa ich do walki, przemawia i patrzy, a w razie tchórzostwa zabija co dziesiątego żołnierza.

– A drugi czynnik?

– Strach przed śmiercią z rąk wodza, to chyba jasne. Rzymianie wiedzą, że jeśli zdezerterują, zostaną zabici. Ucina im się głowę, chłoszczą do śmierci albo mają inne cudowne sposoby.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Wodzem dla ciebie masz być ty sam. I musisz pamiętać, że jeśli nie zginiesz w walce, stanie się to w innych okolicznościach, ale i tak cię to nie minie. Jeśli chcesz, by wróg się ciebie bał, sam nie możesz okazywać lęku w żadnej okoliczności. Pomyśl o tym, Galvanie, zanim przystąpisz do drugiej próby. Tym razem Uatah cię nie ostrzeże.

Galvan miał wielką ochotę zapytać, skąd ona to wie, ale ujrzał na jej twarzy ów ironiczny, wszechwiedzący uśmiech i zrezygnował. Scatah wyręczyła go w tym.

– Nie na darmo nazywają mnie wiedźmą, prawda? Powiem ci tylko tyle, że druga próba dotyczy wiary we własne możliwości. Musisz rozbudzić w sobie siłę sugestii.

– Co masz na myśli?

– Wierzmy w to, w co chcemy wierzyć, i widzimy to, co chcemy widzieć.

Zrobiła ruch ręką wskazujący na zakończenie rozmowy, więc Galvan pokłonił się jej i wyszedł. Nadal nic nie rozumiał, a pokrętne wyjaśnienia jeszcze bardziej namotały mu w głowie, ale gdzieś daleko pojawiło się coś na kształt światełka, które miało oświetlać mu dalszą drogę, i Galvan postanowił się tego trzymać. Powoli zaczynało mu bowiem świtać, na czym polega wtajemniczenie. To nie był jedynie akt miłosny z czarownicą,

ale też poznanie swojej własnej duszy. Tylko ktoś, kto poznał dobrze własną naturę, może stać się wojownikiem.

Kiedy Galvan to zrozumiał, w jego duszy rozlał się błogi spokój. Miał wrażenie, jakby znalazł wreszcie to, czego szukał, jakkolwiek droga do zrozumienia wszystkich słów nauczycielki była jeszcze daleka.

Postanowił, że wyjdzie zwycięsko z następnej próby, nawet bez pomocy Uatah. Tak naprawdę na jej pomoc wcale już nie liczył i od tej chwili zamierzał w pozostałych próbach radzić sobie sam.

Tymczasem zajęcia znowu zmieniły charakter i Galvan zaczął pojmować słowa Scatah o poznaniu własnej natury. Kazała im wspinać się po niemal pionowych skałach, powtarzając, że muszą uwierzyć w swoje możliwości. Musieli wchodzić w tunele wąskie na szerokość łokcia, gdzie z trudem można było złapać oddech, i w ten sposób pozbywać się lęku przed zamknięciem. Dla Galvana ten etap nauki był istną męką. Scatah nie dawała im niemal chwili wytchnienia, wyznaczając coraz to nowe zadania.

Walki z nią nadal się odbywały i wciąż jeszcze nikt nie zdołał pokonać wiedźmy. Jednak obecnie i one zmieniły charakter. Jasne się stało, że Scatah już się z nimi nie bawi, demonstrując swoje umiejętności. Walczyli prawdziwymi mieczami i nauczycielka nie wahała się zadawać rany, co prawda lekkie, ilekroć adept źle odparował jej cios albo wystawił się do cięcia.

- A co wyście myśleli? - odezwała się, gdy taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy. - Że wróg wam tego nie zrobi? Macie wiedzieć, co wam grozi w prawdziwym boju, jeśli będziecie popełniać takie głupie błędy.

Uczyli się, że nie ma rzeczy niemożliwych, że każdy lęk można pokonać i z każdej sytuacji wyjść cało. I tak Galvan musiał opanować śmiertelny strach, kiedy przyszło mu przedostać się na wąskiej linie z jednego szczytu wąwozu na drugi. Przystawiał na sznurze ręce i pozwalał ciału opaść w dół. Pod swoimi nogami widział kipiącą rzekę, wzburzoną po ostatnich deszczach. Fakt, że liną w pasie był mocno

obwiązany i że trzymało ją siedmiu mężczyzn, nie dodawał mu wcale odwagi.

Nie ma rzeczy niemożliwych, powtarzał sobie w duchu. Dam radę, inaczej zginę. Oni mnie nie utrzymają, jeśli polecę w dół.

I wiedział, dlaczego Scatah wymyśliła to zadanie. Każda sytuacja, w jakiej się znajdowali w dolinie, mogła mieć kiedyś odzwierciedlenie na wojnie, Scatah powtarzała to każdego dnia. Tak więc zaciskał zęby i powtarzał sobie, że uda mu się wykonać to zadanie, aż stanął na przeciwnym stoku i ze zdumieniem stwierdził, że nic mu się nie stało.

Jeden z nich ześlizgnął się z liny, którą trzymał w rękach, i zleciał w dół, ale wtedy okazało się, że sznur, którym był obwiązany, jest na tyle elastyczny i mocny, że z łatwością wciągnięto go na górę. Potem, kiedy już leżał wpatrzony w niebo nad sobą, opowiadał, że w pewnym momencie skała zmieniła się w porośniętą trawą halę i że Scatah specjalnie wybrała takie miejsce, by w razie upadku nikt się nie zabił, ale opadł na miękkie podłoże.

To ostatecznie utwierdziło Galvana w przekonaniu, że w tej dolinie włos im z głowy nie spadnie.

Najtrudniejszym jednak ćwiczeniem okazały się walki wręcz z Uatah. Kiedy Galvan ujrzał ją, jak ściąga ubranie, krew w nim zastygła. Myślał, że czeka ich to, przez co musieli przejść latem. Wtedy Uatah rozebrała się do naga, oni zaś musieli stać przed nią i starać się odwrócić uwagę od jej ciała. Uatah podchodziła do każdego, kusiała, demonstrując swoje kobiece atrybuty, przesuwając dłonie po ich ciałach, szepcząc zachęcające słowa. Zadania nie ułatwiał wcale fakt, że szesnaście nagich kobiet w pewnym oddaleniu pluskało się w rzece, rozprasząc uwagę adeptów.

Jeden tylko nie wytrzymał i chwycił Uatah w pasie, za co otrzymał taki cios, że zwinął się z bólu. Scatah wyjaśniła im, na czym to polegało. Musieli nauczyć się poskramiać swoje żądze, panować nad odruchami własnego ciała. Nauczyć się nie zważać na uroki kobiet, które się zdobędzie w boju jako niewolnice.

- Bardzo łatwo jest skusić mężczyznę - mówiła. - Każda kobieta potrafi to zrobić, o ile jest odpowiednio zmysłowa, ale nawet brzydsze obdarzone są tą umiejętnością. Jak myślicie, co wtedy może się stać?

- Kobieta może wsypać wam truciznę do napoju albo jedzenia, kiedy będziecie spali po miłosnym akcie - powiedziała Uatah chłodnym tonem, stojąc przed nimi nago i nie wstydząc się tej nagości. - Może w trakcie aktu zabić was sztyletem albo zabić potem uspiionych. Może nasłać na was waszych wrogów, kiedy będziecie oszołomieni. Wreszcie, gdy komuś z was przyjdzie do głowy gwałcić kobietę przy plądrowaniu miasta, wrogowi bardzo łatwo będzie was zabić w trakcie tego czynu. Kobieta swymi wdziękami może kompletnie was oszołomić, do tego stopnia, że zrobicie dla niej wszystko, łącznie z zabiciem waszych kompanów i zdradą. Dlatego macie się nauczyć nie reagować na widok pary cycków i ładnego tyłka - zakończyła wulgarnie.

Oni się wtedy roześmiali, ale wcale nie było im do śmiechu, kiedy obraz nagich kobiet wdzierał się w podświadomość, a oni stali niemal całkiem obnażeni, nie mogąc ukryć swoich reakcji przed Scatah.

To było latem, jesienią zaś przyszło im walczyć z Uatah na pięści.

- Nie bać się uderzyć kobietę - powtarzała Scatah. - Jeśli będziecie walczyć z innymi Celtami, to musicie wiedzieć, że ich żony też staną do walki. Nie można zważać na piękne ciało, afekt ani nic z tych rzeczy. Jeśli będzie trzeba, zabijcie.

Pierwszą walkę Galvan przegrał, gdyż nie potrafił skoncentrować się na wyprowadzeniu uderzenia. Uatah zaś była wyszkolona, potrafiła się bić i zadawać precyzyjne ciosy. Dopiero za drugim razem nauczył się jej oddawać, nie zważając na piękną twarz i na pozór niewinne ciało. Owo ciało bowiem okazało się w praktyce twarde i umięśnione, a niewinna twarz wykrzywiała się w grymasie nienawiści, kiedy Uatah wymierzała kolejne uderzenie. Minęło jednak sporo czasu, zanim Galvan rozłożył Uatah na łopatki.

Scatah widziała to i rozumiała doskonale przyczynę jego

wahania. Inni uczniowie nie mieli w tej kwestii zahamowań. Bili się z dziewczyną jak z równą sobie, bojąc się jej trochę z powodu jej umiejętności. Uatah bowiem była wyszkolona równie dobrze jak jej matka, potrafiła odparować każdy cios, chociaż oni nigdy nie widzieli, by się szkoliła na placu. Dopiero znacznie później Galvan dowiedział się, że w domu Scatah znajduje się ogromne pomieszczenie, w którym Uatah pobierała nauki, a uczyła ją sama matka. Szkoliła się, kiedy oni nie widzieli, w tych częściach doliny, w których ich nie było. Poza tym podróżowała na Sein, świętą wyspę, gdzie poznawała inne tajniki walki.

Galvanowi udało się z nią wygrać dopiero wiosną, po wielu miesiącach obrywania od niej solidnych razów. Kiedy mu się to udało, poczuł wyrzuty sumienia i niemal rzucił się ją przeproszać, ale ona zatrzymała go na miejscu ruchem ręki. Była zadowolona, chociaż bolała ją szczeka i bark, że Galvan wreszcie się przemógł. Pojęła jednak, dlaczego przez tak długi czas dawał jej wygrywać, i to napełniło jej serce otuchą, nigdy bowiem nie rozmawiali o swoich uczuciach od tamtego dnia we mgle.

Dlatego była przekonana, że przestrogi matki w swoim czasie były mocno przesadzone, a cicha nadzieja, że on odwzajemnia jej zainteresowanie, roznieciła nowy płomień w jej sercu.

Teraz martwiła się tylko o to, czy Galvan sprosta kolejnemu zadaniu, jakie go czekało jesienią. Tym razem bowiem nie mogła zdradzić mu szczegółów, gdyż sama miała demonstrować, na czym wszystko ma polegać. Miała jedynie nadzieję, że przez ostatni rok Galvan zdołał rozbudzić w sobie wiarę we własne możliwości i pokonać wszelkie blokady w swoim umyśle.

Nawet nie chciała myśleć, że mogłoby być inaczej.

Galvan śnił. Miał wrażenie, że płynie w powietrzu, unoszony delikatnym wiatrem, że rozkołysany eter wnosi go wysoko nad ziemię. Gdy spojrział w dół, ujrzał dolinę Scatah pogrążoną w ciemności, jedynie jeden jasny punkt lśnił wśród ciemnych traw.

Obok Galvana w powietrzu pojawiła się Uatah. Uśmiechała się do niego i wyciągała ręce w zapraszającym geście, przywołując go do siebie. Galvan chciał jej dosięgnąć, ale powietrze zaczęło nagle stawiać zaciekle opór. I chociaż starał się ze wszystkich sił dostać do dziewczyny, coś sprawiało, że nie mógł ująć jej wyciągniętych rąk. Śmiech Uatah roznosił się dookoła, ale nie był już dźwięczny i przyjemny, ale okropny, jak złośliwy chichot starej kobiety.

- Nie wierzysz we własne siły - powiedziała Uatah, krążąc nad nim w błękitnych oparach. - Nie zdobędziesz mnie, jeśli nie uwierzysz w siebie.

Nagle Galvan poczuł, że opada w dół. Spadał szybko i gwałtownie, twarzą do przodu, tak że widział, co to błyszczy w dolinie. Był to miecz Scatah, długi i ostry, którym posługiwała się podczas walk. Galvan leciał wprost na niego.

Zabiję się, przeszło mu przez myśl. To ostrze przeszyje mnie na wylot. Umrę.

Na polanie pojawiła się Scatah.

- Uwierz, Galvanie - usłyszał jej głos. - Uwierz.

W następnej chwili ujrzał pole bitwy. Widział samego siebie, jak z mieczem w dłoni, tym samym, który zatknięty był w ziemi, biegnie wraz z innymi wojownikami przed siebie, prosto na grupę wrogów stojących w dziwnym szyku bojowym.

Legion, rozbrzmiewało mu w głowie. Potęga nie do pokonania.

Słyszał swój własny krzyk wydobywający się z gardła, a nawet głębiej, z samych łędźwi, ze środka duszy, kiedy tak biegł z mieczem w ręce, gotów zadawać śmiertelne ciosy i samemu iść na śmierć. Co dziwniejsze, miał pełną świadomość, że jest wodzem. Na jego piersi błyskał torques, cały ze złota, oznaka wysokiego urodzenia i godności. Był dużo starszy i we śnie wiedział, że ma około trzydziestu lat.

To niemożliwe, pomyślał w przebłysku świadomości. To mi się tylko śni.

Na wzniesieniu stał na koniu jeździec w czerwonym płaszczu. Wódz. Galvan widział go już wcześniej, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

Gdy jego oddział znajdował się już blisko wroga, sceneria w jednej chwili się zmieniła. Galvan znajdował się w komnacie, w której płonął na palenisku ogień. Był nagi, a obok niego siedziała naga rudowłosa kobieta.

Scatah.

W ręce miała długi nóż i Galvan wiedział, co mu zaraz zrobi. Da mu do wypicia swoją własną krew, by przejął siłę mistrzyni, by stał się prawdziwym wojownikiem. Oto przedostatni etap wtajemniczenia, etap magiczny, zanim on i ona złączą się, by się zespolić w kosmiczną całość, by stać się jednym i tym samym ciałem, by jej siła przeszła na niego w ostatecznym akcie zjednoczenia fizycznego i psychicznego.

Tak blisko dwoje ludzi może być tylko wówczas, gdy dają życie albo gdy je odbierają.

Zielone oczy Scatah lśniły w blasku ognia, nastrój w komnacie był intymny, naładowany zmysłowością. Galvan znajdował się w stanie upojenia, podniecenia, w głowie mu się kręciło, a w ciele czuł narastającą siłę.

- Ty jesteś wybrany - szeptały usta Scatah. - Ty jesteś jedynym, który może dokonać niemożliwego.

Galvan chciał dotknąć jej nagiej skóry, ale nie potrafił, bo ręce miał jak z ołowiu. Nie wiedział, że to jego uśpione ciało nie reaguje na rozkazy myśli, że ten uśpiony Galvan nie może chwycić kobiety ze swego snu.

- Nie mogę - odparł z wyrazem bezradności w oczach.

Wyraz twarzy Scatah zmienił się w jednej chwili.

W następnej Galvan ujrzał Uatah i Iaina splecionych w miłosnym uścisku.

- Oto twoja nagroda - szumiało mu w głowie - za brak wiary w siebie.

Galvan miał wrażenie, że traci grunt pod nogami.

- Nie! - krzyknął.

Ale Scatah już zniknęła, a on leciał w dół z oszałamiającą prędkością, widząc, jak ostrze miecza lśni w słońcu, które przedarło się przez ciemną kurtynę chmur. Widział swoje ręce targane pędem powietrza, kiedy sunął w dół, ku swojej śmierci.

Miał ochotę coś powiedzieć, krzyknąć, zrobić coś, ale nie

potrafił. Bezradnie przyglądał się, jak miecz jest coraz bliżej i bliżej.

Spadł na ostrze z całym impetem. Poczuł rozdzierający ból w piersi, kiedy stal wbiła mu się w ciało, a potem pleców, kiedy wyszło na zewnątrz. Wiedział, że jest przebity mieczem i że umiera, chciał wołać o pomoc, ale w ustach czuł już smak żelaza. Walka, która jeszcze się nie zaczęła, była już przegrana. Przed oczami pojawiła się ciemność, ból przeszywał ciało i penetrował wszystkie zmysły, rozsadzając go od środka.

- Nie! - wrzasnął Galvan i stwierdził, że siedzi na swoim posłaniu, mokry od potu, i trzyma ręce na piersi.

Rozejrzał się dookoła zdyszany. Wszyscy spali, pogrążeni w kamiennym śnie, jakby nie słyszeli jego okrzyku. Pot spływał mu z czoła i skapywał na nagie ramiona. Serce biło jak oszalałe.

Najdziwniejsze jednak było to, że czuł ból dokładnie w tym miejscu, gdzie we śnie wbił się miecz.

- Scatah - szepnął bezgłośnie, opadając z powrotem na posłanie.

W swoim domu Scatah odetchnęła jak po ogromnym wysiłku. Mokre od potu włosy lepiły jej się do skroni, a ubranie nasiąknięte nim przylgnęły do ciała.

- Pomagasz mu - rozległ się głos od progu. - Zabroniłaś mi to robić, a jednak sama udzielasz mu pomocy.

W tonie Uatah brzmiało oskarżenie. Scatah zniecierpliwiona odwróciła się w stronę córki i stwierdziła ze zdumieniem, że ma przed sobą kobietę.

- Nie pomagam - odparła. - Udzielam mu wskazówek. Wiesz, że tylko on nadaje się do tego. To na niego czekała moja matka, a przed nią jej matka. Aife sądziła, że Celtyllus okaże się dość silny, ale ja wiem, że chodziło o jego syna. O jego prawowitego syna. On ma ten blask nad czołem.

- A jeśli mu się nie uda, co wtedy? - zapytała drwiąco Uatah. - Stanie się twoim największym rozczarowaniem?

- Uda mu się - odparła Scatah z przekonaniem. - Do tego został stworzony i uda mu się, choćby za cenę jego życia.

Uatah przełknęła gorycz, jaką wywołały w niej słowa matki.

- Ale teraz nie będzie próby miecza? - zapytała. -

Zostawiasz ją przecież na koniec.

Scatah odeszła od paleniska, przy którym się koncentrowała, i otarła twarz zawczasu przygotowanym ręcznikiem. Potrafiła przekazywać myśli i kontaktować się z bogami. Czy byli to prawdziwi bogowie, czy tylko duchy zmarłych, tego wolała nie wiedzieć. Ale gdy tylko Galvan przyszedł na świat, z jej pomocą w dodatku, wiedziała, że to on jest wybranym. Dostrzegła światło nad jego czołem, widziała czystość w oczach i odwagę w sercu, choć wtedy był jedynie żalonym, kwilącym stworzeniem.

Galvan nie był tylko synem Celtyllusa i Geillis, był też jej dziełem. Pracowała nad nim na miarę swoich możliwości, wywołując u niego sny, nakierowując jego kroki na właściwą drogę, wywierając wpływ na jego najbliższych. Potrafiła to. Była czarownicą, córką Świętego Zakonu z Sein, kapłanką, strażniczką dawnej celtyckiej wiary, od której powoli odchodzono. Tę wiarę Celtowie przejęli od dawnych mieszkańców tych ziem i od mieszkańców Albionu, którzy przed setkami lat zasymilowali się z wędrowcami ze Wschodu – Celtami.

Tamta cywilizacja, zapomniana i znieważona, wznosiła wielkie kamienne kręgi, służące do komunikowania się z siłami natury, które potem nazwano bogami. Dawni Celtowie znali tajniki wiedzy, ale kiedy zaczęto ją profanować, kapłani utworzyli zakony, zgromadzenia strażników, którzy mieli przechowywać dawne wierzenia i obrzędy. Obecnie odchodzono od rytuału wiosennej ofiary z dziewicy, nie składano bogom w ofierze ludzi, nie znano pisma i nie chciano znać, by wiedza nie dostała się w niepowołane ręce, nade wszystko zaś nie pamiętano o tajnikach walki.

Scatah była jedną z tych, która pielęgnowała mądrość ludzi, którzy do Celtyki przybyli przed wiekami ze stepów Azji. Scatah wiedziała, skąd Celtowie przyszli. Skąd przywędrowały plemiona greckie, jedno po drugim, burząc stary ład i porządek, skąd przyszli późniejsi mieszkańcy Italii i wreszcie skąd przybyli oni, Celtowie. Wiedziała również, że obecne cechy wyglądu odziedziczyli po ludziach, jacy osiedlili się na tych

ziemiach tysiące lat wcześniej. Znała stare prawdy, które żyły już tylko w zakonach takich jak jej.

Wiedziała też, że na Albionie stare doktryny są nadal praktykowane i żyją w umysłach i sercach ludzi. Ale jak długo? Ile czasu minie, nim wylewająca się z brzegów rzymska rzeka dotrze do Celtyki, a po niej na Albion? Jakiś mroczny, tajemny zmysł podpowiadał Scatah, że żyje w początkach końca i że należy przekazywać dalej stare prawdy, zanim nowa, wspaniała cywilizacja pogrąży je w zupełnym zapomnieniu.

Dlatego tak bardzo zależało jej na zjednoczeniu Galii, zebraniu wszystkich Celtów. Chciała wpoić im świadomość, że są jednym narodem, jednym ludem, braćmi, którzy muszą stanąć wreszcie razem, by nie dać się pokonać silniejszemu, zamieniającym jedno po drugim niepodległe państwa w prowincje i ciągnącym z nich niebotyczne zyski.

Osobą, która miała tego dokonać, był wedle jej snów i przepowiedni Galvan.

Ocknęła się z zadumy i spojrzała na Uatah.

- Nie, próba miecza będzie na końcu - odparła. - Tylko ten, kto wyjdzie z niej bez szwanku, może otrzymać ode mnie błogosławieństwo i zostać wtajemniczonym w magiczne obrzędy.

- Czy komuś się to kiedykolwiek udało? - zapytała Uatah.

- Powiadają, że w dawnych czasach dokonywali tego celtyccy królowie. Gobannicjon był o krok od podjęcia próby, a Celtyllus omal nie wyszedł z niej zwycięsko. Zabrakło mu jednak ostatecznej wiary w siebie i zobacz, jak skończył.

- A jeśli Galvan nie da rady?

- Ma jeszcze rok przed sobą. Zobaczymy, jak jutro poradzi sobie z próbą mostu.

Uatah zadrżała. Próba mostu należała do magicznych sztuczek jej matki, stojących na granicy rzeczywistości i nieprawdopodobieństwa. Ten, kto jej dokonał, był tylko o krok od pełnego zwycięstwa, ale często ów ostatni krok okazywał się zbyt długi i trudny do wykonania.

Usiłowała wyczytać coś z oczu matki, ale wzrok Scatah, kiedy mówiła o próbie, był nieprzenikniony.

Uatah biegła przez uśpioną dolinę do domu adeptów. Miała świadomość, że matka wie o tym, ale brak sprzeciwu z jej strony utwierdzał ją w przekonaniu, że nic jej nie zrobi. Pod groźbą śmierci Uatah nie mogła wyjawić żadnemu uczniowi matki tajemnicy drugiej próby, gdyż do tego upoważniona była tylko mistrzyni. Ale Scatah nie ostrzegała ani Galvana, ani nikogo innego, chociaż teoretycznie mogła to zrobić, by oszczędzić swego faworyta.

Nogi dziewczyny same poruszały się w wysokiej trawie. Wciąż jeszcze panowało lato i noce były ciepłe, ale powoli zaczynała nadchodzić jesień, okres próby, okres przełomu w celtyckim pojmowaniu czasu. Uatah wiedziała, że jeszcze przez kilka tygodni będzie ładnie, a potem lasy staną się znowu bezlistne.

Na palcach wkroczyła do pomieszczenia, skupiając wszystkie swoje umiejętności na odwracaniu od siebie uwagi. Szła bezszelestnie, czego nauczyły ją długie lata treningów i ćwiczeń, polowania w lasach z siostrami krwi Scatah, do grona których miała zostać zaprzysiężona tej jesieni. Uatah знаła tajniki cichego poruszania się, potrafiła uciszyć swój oddech, a nawet rytm serca. Nie stanowiło to dla niej najmniejszego problemu.

Stała nad łóżkiem Galvana i pochylając się nad śpiącym, dotknęła jego ramienia.

Galvan zerwał się w jednej chwili, ogarnięty przerażeniem.

- Chodź - szepnęła Uatah, kładąc mu rękę na ramieniu.

W pierwszej chwili był zbyt zdumiony, by protestować, w następnej zaś zbyt oszołomiony, by się nie poddawać jej nakazowi. Wciąż jeszcze był pod wrażeniem snu, w którym widział własną śmierć i widok Uatah budzącej go był doprawdy przerażający.

W blasku księżyca wędrującego już na zachód po nocnym niebie, biegli przez łąkę w stronę lasu. Uatah wiedziała, że matka potrafi ich dostrzec nawet w nocy, ale domyślała się, że tym razem Scatah po prostu nie chce widzieć. Czasami tak było po prostu lepiej.

Dla kogo, tego Uatah nie chciała sobie uświadamiać.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? - zapytał Galvan.

W ramach odpowiedzi Uatah zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem. Ubrana była w luźną tunikę przepasaną sznurem, jej chłodne ciało poraziło nerwy Galvana, gdyż jego wciąż rozgrzewał sen. Zanim zdołał się zorientować, otoczył ją ramionami i szukał łapczywie jej ust, by się w nich zatopić i spełnić wreszcie to pragnienie, które nim targało od kilku lat.

Uatah poddawała się jego pocałunkom z żarliwą namiętnością, ale kiedy jego ręce zsunęły się niżej i mocniej ją ścisnęły, odsunęła się.

- Nie wolno nam - wykrztusiła. - Jeżeli złamiemy teraz prawo, to źle skończymy.

- To dlaczego to zrobiłaś? - chciał wiedzieć Galvan.

- Bo nie potrafię dłużej tego ukrywać ani przed tobą, ani przed sobą samą - odparła cicho.

Oparła się o pień drzewa, a Galvan nachylił się nad nią i znowu zaczął ją całować, a Uatah czuła, jak żar opanowuje jej ciało. Jeszcze chwila i ulegnie pokusie...

Wyrwała się z jego objęć i odsunęła na odległość ramienia.

- Nie, nie rób tego - prosiła. - Ja chciałam cię ostrzec. Przed jutrzejszą próbą.

- Mówiłaś, że ci nie wolno - przypomniał Galvan.

- Bo nie wolno. I nie wyjawię ci, co was czeka. Chciałam ci tylko powiedzieć, że w tym przypadku nie możesz ani przez chwilę wątpić w to, co widzisz, ani w to, co czujesz.

- Wierzymy w to, w co chcemy wierzyć, i widzimy to, co chcemy widzieć - powiedział Galvan w zamyśleniu.

- Tak ci powiedziała moja matka, czyż nie? Jeżeli inni będą powtarzać, że to niemożliwe, nie słuchaj ich słów. Słuchaj serca i szumu krwi w żyłach. Tu nie chodzi o strach, o wskrzeszenie odwagi, tylko o wiarę we własne możliwości.

- Miecz - mruknął Galvan. - We śnie widziałem miecz wbity w ziemię. Widziałem, jak spadam na niego i jak ostrze wbija się w moje ciało. Kiedy się obudziłem, czułem palący ból w piersi, jakby to działało się na jawie.

Uatah przymknęła oczy.

- To było ostrzeżenie - wyjaśniła. - Ona chce cię przygotować do ostatniego zadania. Do pokonania granicy niemożliwości.

Galvan podszedł do niej i spojrzał jej w oczy. Migotały w blasku księżyca, a jej skóra zalana fioletowym światłem nocy zdawała się lśnić jakąś niezemską jasnością.

- Dlaczego to robisz, Uatah? - zapytał. - Pomagasz mi już drugi raz. Czy uważasz, że nie podołam próbie sam?

Dziewczyna zmieszła się.

- To nie będzie ta próba, która ci się przyśniła - powiedziała tak cicho, że musiał wylapywać sens jej słów. - Nie ujrzysz mnie w taki sposób.

- Skąd wiesz, co mi się śniło? - wykrzyknął wzburzony. - Skąd możesz znać moje myśli? Jakim prawem wdzierasz się w moje sny? Dlaczego mi pomagasz?

Uatah stała przed nim wyprostowana, pełna jakiejś niesamowitej dumy, której nigdy wcześniej w niej nie dostrzegął. I znowu Galvan uświadomił sobie znaczenie jej imienia. Uatah, przerażająca. W świetle księżyca wydawała się obca, zimna, straszna, jak śmierć czyhająca wśród cieni, by porwać żywą istotę. Wyniosła i dumna jak królowa, cicha jak tajemnica, niesamowita jak srebrny woal przesłaniający księżycową tarczę na antracytowym niebie.

- Naprawdę tego nie wiesz? - zapytała. - Twoja dusza jest tak mało wrażliwa, że nie potrafi czytać w mojej? Ja wiem, że możesz pokonać wszystkie te próby, ale nie chcę ponieść ryzyka, że przy którejś ci się nie powiedzie.

- Tak mało mnie cenisz? - roześmiał się Galvan.

- Tylko jeśli pokonasz drugą próbę i podejdziesz do trzeciej, będę mogła wybrać cię na swego mężczyznę. - Głos Uatah zabrzmiał metalicznie w czystym, chłodnym powietrzu nocy. - Jeżeli zaś z trzeciej próby wyjdiesz zwycięsko, Galvanie, będę musiała cię przyjąć. Ty będziesz tym, który otworzy mnie dla siebie i dla świata.

Galvanowi z wrażenia zakręciło się w głowie. Chociaż kiedyś słyszał, jak Scatah wypowiadała te słowa, teraz z trudem przebijały się przez opary jego podświadomości. Uatah stojąc

pod drzewem, składała mu siebie w ofierze, obiecywała mu oddać się całkowicie, a jej oczy wyrażały znacznie więcej niż ciche słowa o obowiązku.

- Chcesz tego? - zapytał.

Na twarzy Uatah pojawił się trudny do zdefiniowania uśmiech.

- Moja matka miała rację, twierdząc, że mężczyźni nie potrafią odgadnąć, co kryje się w sercach kobiet - powiedziała. - Są jak ślepcy, błądzą po omacku i trzeba wskazywać im drogę.

Galvan miał wrażenie, że ziemia pod nim tańczy, a gwiazdy na firmamencie wirują w beładnym szale. Miał ochotę krzyczeć z radości jak tamtego dnia, kiedy we mgle dotknął jej twarzy. Zamiast tego wpatrywał się w nią, nie wierząc w to, co słyszał, i nie wiedząc, czy może uwierzyć.

Uatah sama mówiła, że kobiety potrafią zwodzić. Skąd miał wiedzieć, czy ona właśnie tego nie robi dla jakichś ukrytych celów, o których wiedziała jedynie ona sama i Scatah? Te wszystkie sny, mroczne rojenia, wizje, kiedy był w objęciach jej matki, zawsze jej matki, nigdy z nią, te oderwane od siebie sceny bitewne jak zapowiedź przyszłych wydarzeń, ta samoświadomość we śnie, czy to nie był jawny dowód na ich tajemne plany? Czyż nie chciały go wykorzystać?

Przypomniał sobie spotkanie w Gergowii, kiedy Scatah wyrosła przed nim na drodze do bramy. To z nią miał stosunek, nigdy nie było mowy o Uatah! Skąd miał wiedzieć, co go czeka? Jaką nagrodę otrzyma za przejście przez piekło prób?

Potok myśli zalał jego umysł, wirowały w beładzie, a Uatah wychwytywała je jedną po drugiej i smutek ją opanowywał na myśl, że matka, drażąc jego podświadomość, zniszczyła w nim umiejętność odróżnienia jawy od sennego marzenia. Galvan nie rozumiał, że Scatah przekazywała mu swoje wizje, że rodziły się w jej głowie i były wysyłane do jego umysłu. Sądził, że Scatah odkrywa przed nim swoje zamiary co do jego osoby, a nie to, co jej samej zostaje wtłoczone w świadomość przez jakąś nieuchwytną siłę wyższą. Nie rozumiał głębokiego związku Scatah z naturą i owymi pierwotnymi potęgami, które rządziły światem. Nie rozumiał, bo nie mógł zrozumieć,

bo znała go tylko Scatah i jej córka, rozumieli to druidzi, strażnicy tajemnic, ale nie on, Galvan.

Maerin próbował, ale jemu też nie wolno było zdradzić wszystkiego. Zadaniem Galvana w przyszłości nie było przekazywać wiedzy dalej, ale zatroszczyć się, by było komu ją przekazywać.

W natłoku myśli Galvan poczuł dłoń Uatah dotykającą jego twarzy. Wszystkie pogmatwane wizje znikły, został tylko obraz dziewczyny zalanej blaskiem księżyca.

- Kocham cię, Galvanie - powiedziała cicho.

Zerwała się do ucieczki, ale on był szybszy, złapał ją i zamknął w objęciach, zmuszając do pozostania w miejscu. Jej oddech był szybki, urywany, jakby usiłowała powstrzymać płacz, gdyż wyznała mu wszystko, co nosiła w sercu, a czego nie wolno jej było powiedzieć. Stało się, dała się ponieść nakazom serca, zlekceważyła ostrzeżenia matki, a teraz jeszcze przyznała się do tego mężczyźnie, który co prawda miał przed sobą możliwość zostania z nią na rok, ale ani nie było pewne, że tak się stanie, ani nie mógł zostać z nią na zawsze.

Jednak w tej magicznej chwili cała jej uwaga skupiała się wyłącznie na nim obejmującym ją i na ciepłe jego ciała, na bijącym sercu i na ramionach tulących ją do siebie.

- Pokonam wszystkie próby, Uatah - usłyszała jego szept. - Nie ma dla mnie trudności, których nie pokonam, by cię zdobyć i by dać ci moją miłość. Chcę cię mieć i będę cię miał. I nie oddam nikomu.

Gorzkie łzy spłynęły po twarzy Uatah i zmoczyły jego rozpaloną skórę. Pomimo całego ogromu szczęścia, jaki czuła, cierń ranił boleśnie jej serce, bo zdała sobie sprawę, ile prawdy kryje się w jego słowach, a ile z tej obietnicy nie zależy od niego.

A ona tak bardzo chciała wierzyć, że będą mogli należeć do siebie.

X

Przez pierwsze tygodnie po śmierci Kornelii Cezar miał wrażenie, że wszelki sens życia dla niego przepadł, a radość umarła bezpowrotnie. Wprawdzie jako młody chłopak stracił ojca i wiedział, jak bolesna jest śmierć kogoś bliskiego, ale mimo to stratę żony odczuł znacznie bardziej. Z ojcem nie był wszak tak mocno związany jak z żoną.

Ale trzeba było dalej żyć. Cezar jako kwestor musiał udać się do Hiszpanii, gdzie czekała go szara codzienność rzymskiego urzędnika. Trudno powiedzieć, by pałał entuzjazmem do swoich nowych obowiązków, tym bardziej że w Rzymie zostawiał Julię, to biedne dziecko, za którym tęsknił ogromnie przez pierwsze dwa miesiące w Hiszpanii.

Poza tym nudził się niemiłosiernie na prowincji, jeżdżąc od miasta do miasta i ściągając podatki. Kobiety nie pociągały go wówczas ani trochę, gdyż pogrążony w bólu nie chciał nawet na nie patrzeć. Pił za to dużo, aż jego medyk zaniepokoił się taką ilością spożywanego trunku.

Ale Cezar miał mocną głowę i nie upijał się nigdy. W rzuceniu tego zwyczaju pomógł też pewien nieprzyjemny incydent. Otóż po jednym wieczorze w towarzystwie dzbana falernum Cezarowi przyśnił się okropny sen. Leżał w łóżku z jakąś kobietą, którą znał skądś, ale nie mógł ujrzeć jej twarzy. Dopiero w szczytowym momencie spojrzała mu prosto w oczy i Cezar z przerażeniem spostrzegł, że we śnie kochał się z własną matką.

Od tego dnia przestał nadużywać wina, zaś nazajutrz zażądał od wróżbity wyjaśnienia swego snu. Kapłan patrzył na niego przez chwilę uważnie, po czym bez wahania odparł:

- Cezarze, sen twój oznacza, że posiadasz ziemię.

Cezar zdumiony otworzył szeroko oczy.

- Niby z czego o tym wnioskujeś? - zapytał.

Wciąż nie mógł dojść do siebie po tak obrzydliwym koszmarze. Potrafił sobie wyobrazić wszystko, ale nie coś takiego.

- Ziemia to matka - wyjaśnił wróżbita. - Jeśli przyśniło ci się, że spółkujesz z matką, to znaczy, że posiadasz ziemię. Zdobędziesz władzę, Cezarze, i podporządkujesz sobie narody.

- Już to widzę - mruknął Cezar z nieukrywaną goryczą. - Jak mogę to zrobić, skoro jestem marnym kwestorem? Nawet Pompejusz znaczy w Rzymie więcej niż ja! I pomyśleć, że Aleksander był ode mnie młodszy, gdy umarł i pozostawił po sobie wielkie królestwo!

Przy tych słowach gorzkie łzy zakręciły się w oczach Cezara.

- Będę na ciebie patrzeć, Gajuszu - zadzwęczały mu w uszach ostatnie słowa Kornelii.

Cezar westchnął ciężko, myśląc, jak mozolna jest droga na szczyt. On nie był nawet w jej połowie.

Skoro więc rok później przyjechał do Rzymu, postanowił wreszcie „coś zrobić”, nie tylko przemawiać w senacie i pozwalać, by Pompejusz prześcigał go w ogłaszaniu ustaw, których projekty on przygotowywał. Zgłosił swoją kandydaturę na urząd edyla w roku następnym, a sam zaczął rozglądać się za kandydatką na żonę. Chciał znaleźć kobietę skoligaconą z rodami optymatów, do których mógłby się pozornie zbliżyć i dzięki temu zakamuflować swój własny program polityczny, z którym na razie nie afiszował się publicznie.

Kiedy zaś taką kandydatkę znalazł, jego matka nie mogła ukryć zdumienia i oburzenia.

- Pompeja? - wykrzyknęła. - Chcesz poślubić wnuczkę Sulli?

Cezar siedział razem z nią w atrium i przedstawiał jej swoje zamierzenia matrymonialne. Spodziewał się wybuchu złości, ale sądził, że matka szybko pogodzi się z jego wyborem, tym bardziej że nie zamierzał angażować w ten związek swoich

uczuc. Miało to być małżeństwo czysto polityczne.

- Matko, ona jest kuzynką Pompejusza - klarował Cezar cierpliwie. - To mnie do niego zbliży.

Aurelia potrząsnęła siwiejącymi włosami.

- Nic z tego nie rozumiem, Gajuszu - powiedziała szczerze.
- Twierdzisz, że sprzyjasz popularom, a chcesz się przypodobać optymatom, poślubiając kuzynkę Pompejusza i wnuczkę Sulli?

- Otóż to - przytaknął Cezar.

- Wedle mnie to dwulicowe - oświadczyła Aurelia.

- To polityka, matko - odparł Cezar. - Nie zrozumiesz tego.

Aurelia nawet nie próbowała. Dostrzegła już wcześniej zmiany zachodzące w jej synu. Dopóki żyła Kornelia, Cezar trzymał na wodzy swoje zapędy polityczne, chcąc osiągnąć kiedyś konsulat jak jego ojciec, ale po śmierci żony coś w niego wstąpiło i pchało do sięgnięcia po władzę. Cezar zasłaniał się dobrem Republiki, ale matka czuła, że tak naprawdę chodziło mu o władzę. Być może jego intencje w kwestii Rzymu były szczerze, jednak stawiał je na drugim miejscu. Chciał być sławny i silny. Zamierzał przewyższyć potęgą Pompejusza, który obecnie był pierwszym wodzem w Rzymie.

Już rok temu Cezar, chcąc się przypodobać, głosował za przyznaniem mu nadzwyczajnego pełnomocnictwa w celu pokonania potęgi piratów na Morzu Śródziemnym. Sprzymierzył się wtedy z Cynceronem, który wygłosił w senacie żarliwą mowę, czym wprawił cały Senat w zdumienie. Cezar tłumaczył się wtedy sprytnie, że nikt nie nadaje się lepiej na pogromcę piratów niż sam Wielki Pompejusz, jak go nazywano w Rzymie.

Tak też Pompejusz uzyskał owo nadzwyczajne pełnomocnictwo i udał się na wojnę z piratami. Obecnie zaś miał wrócić do Rzymu i odbyć triumf, potem zaś zamierzał ubiegać się o przydzielenie naczelnej komendy w trzeciej wojnie z Mitrydatesem, która znów toczyła się na Wschodzie.

I w tym właśnie Cezar miał swój interes. Chciał, by Pompejusz uzyskał ową władzę i wyjechał na Wschód, by zwrócić się do jego największego wroga, Krassusa i wraz z nim uprawiać potajemną politykę dla wspólnych korzyści.

A żeby zbliżyć się do Pompejusza i udawać przyjaciela, postanowił poślubić jego kuzynkę, Pompeję.

- Chcesz taką kobietę uczynić macochą Julii? - indagowała dalej Aurelia.

Cezar uśmiechnął się na wspomnienie, jak to kilka miesięcy temu Julia wynajęła jakiegoś galijskiego kupca, by ten wywołał go z senatu. Bystra dziewczyna, myślał. W rzeczy samej, nie zasługuje na to, by dostać złą matkę.

Mimo to chciał ożenić się z Pompeją. Było mu obojętne, jaką osobą okaże się nowa żona, gdyż od jakiegoś czasu spotykał się potajemnie z Serwillą, wdową po Juniuszu Brutusie, i musiał przyznać, że w jej ramionach zapominał o bólu i tęsknocie za Kornelią, która dręczyła go poza tym nieustannie.

- Matko, nie utrudniaj wszystkiego i nie staraj się wnikać w moje zamysły polityczne, bo i tak niczego w ten sposób nie osiągniesz - powiedział zniecierpliwiony. - Byłaś przeciwna, kiedy żeniłem się z Kornelią, i nalegałaś, bym się z nią rozwiódł, kiedy zażądał tego Sulla.

- Chciałam tego dla twojego dobra - broniła się Aurelia.

- Tak, zapewne - parsknął Cezar. - Chyba dla dobra twojego i Julii, której wtedy jeszcze nie wydałaś za mąż. Dzięki tej kobiecie zbliżę się do Pompejusza, a on jest teraz najważniejszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w Rzymie, nie wiem, czy to dostrzegłaś.

Aurelia patrzyła na swego syna spode łba, a jej czarne oczy były chmurne.

- Czego ty tak naprawdę chcesz, Gajuszu? - zapytała wreszcie. - Nie chodzi o konsulat, prawda? Chodzi o coś więcej.

Oczy Cezara zaślniły.

- Chcę, żeby ona mogła być ze mnie dumna - szepnął.

- Pompeja? - prychnęła matka.

- Nie, nie Pompeja! Kornelia! Powiedziała, że będzie na mnie patrzeć, że przepowiada mi sławę i potęgę. Nie mogę jej zawieść.

Aurelia kręciła głową z niedowierzaniem.

- Kornelia nie żyje, Gajuszu - powiedziała sucho. - Przyjmij

to wreszcie do wiadomości.

Cezar wzruszył ramionami. Nie chciał rozmawiać z matką o kobiecie, którą kochał tak bardzo, czego ona, Aurelia, nie potrafiła zrozumieć. Tak jak nie potrafiła pojąć pobudek skłaniających go do poślubienia Pompei.

- I tak się z nią ożenię - zakończył Cezar. - W przyszłym miesiącu odbędzie się ślub, bądź na to przygotowana, matko.

Aurelia miała jak najgorsze przeczucia w związku z tym, ale nie protestowała, wiedząc, że Cezar jako głowa rodziny bezapelacyjnie postawi na swoim i tym razem.

Pompeja siedziała w cubiculum i spoglądając w lustro zawieszone na ścianie, nadzorowała niewolnicę, która za pomocą szczypiec układała jej włosy. Obok na pufie siedziała jej przyjaciółka, Klodia, której prawdziwe imię brzmieć powinno Klaudia, gdyż pochodziła z rodu patrycjuszy. Jednak jej brat miał własne plany polityczne i zapragnął być adoptowany przez plebejusza, by ubiegać się o stanowisko trybuna plebejskiego, zmienił więc nazwisko z Klaudiusz na Klodiusz.

Klodia nie cieszyła się w Rzymie dobrą reputacją. Ciągłe zmieniała kochanków, romansowała z kilkoma mężczyznami jednocześnie, nie brakowało też głosów, że sypiała z własnym bratem, ostatnimi zaś czasy zapałał do niej afektem pewien początkujący rzymski poeta z grona neoteryków. Dzięki swoim poczynaniom zyskała sobie nawet miano Quadrantaria, jak określano najtańsze miejskie ulicznice, stojące na rozstajach dróg i w dzielnicach portowych.

Ona jednak nic sobie z tego nie robiła i dalej wodziła mężczyzn na pokuszenie.

Tak więc owego wiosennego ranka obie znajdowały się w cubiculum Pompei i zażarcie plotkowały na temat wszystkich znanych im rzymskich matron. Pompeja była nieprzejednana, jeśli chodziło o obsmarowywanie znajomych, więc obie z Klodią miały mnóstwo mściwej uciechy tego ranka, podobnie jak w inne dni, kiedy się spotykały.

- W następnym miesiącu wychodzę za mąż - oznajmiła Pompeja w pewnym momencie. - Mój ojciec podpisał już kontrakt ślubny.

Klodia zaaferowana opowiadaniem o swoim najnowszym odkryciu w świecie wyuzdania, umilkła jak podcięta biczem. Ona sama była mężatką, ale nic sobie nie robiła z przysięgi, jaką złożyła mężowi kilka lat temu.

- Za męża? - powtórzyła. - Nie za wcześniej?

- No cóż, mam swoje lata - odparła Pompeja. - Ojciec umyślnie nie wydawał mnie za męża, licząc, że zwiąże się dzięki mnie z jakimś wpływowym politykiem. A tu nie zgadniesz, kto prosił o moją rękę.

- W rzeczy samej, nie zgadnę - mruknęła Klodia. - Czyżby Cynceron?

- Daj spokój! On! - parsknęła Pompeja. - On jest żonaty, stary i wstrętny.

- Nie taki stary - stwierdziła Klodia, która Cyncerona nie cierpiała, z wzajemnością. - Jeszcze niejeden bój by stoczył.

- Gdyby go Terencja nie pilnowała - powiedziała Pompeja zgryźliwym tonem.

Obie przyjaciółki zachichotały rozbawione.

- Uważaj, niezdaro, nie przypal mi włosów! - syknęła Pompeja na służącą. - Te przekłete Macedonki na nic się nie przydają - zwróciła się do Klodii. - Zastanawiam się, dlaczego ją w ogóle kupiłam.

- No, to powiedz wreszcie, za kogo wychodzisz! - domagała się Klodia.

- Za Cezara.

Twarz Klodii wydłużyła się w zdumieniu. Była piękną kobietą i to stanowiło jej główny atut, gdyż jej wnętrze nie odpowiadało pięknością ciała. Miała lśniące ciemne oczy, otoczone przez długie czarne rzęsy, które przyciągały spojrzenia mężczyzn. Ciało zaś miała białe, gdyż smarowała je roztworem z ołowiu, nie wiedząc, jak jest on szkodliwy.

- Za Cezara? - wybuchnęła wreszcie. - Za tego idiotę w luźnej todze, z włosami tak ułożonymi, że wedle słów naszego drogiego Cyncerona, boi się ich dotknąć, by nie zburzyć fryzury? Żartujesz chyba!

- Nie, jestem jak najbardziej poważna.

- Ale on jest od ciebie co najmniej dziesięć lat starszy -

zauważyła Klodia.

- Ścisłe mówiąc, czternaście - sprecyzowała Pompeja. - Nie jest więc jeszcze stetryczalym dziadem. Rzekłabym, że to mężczyzna w kwiecie wieku.

- Co ty wiesz o kwiecie wieku - prychnęła Klodia.

- Coś tam wiem. Na Polluksa, dziewczyno, zmiłuj się i dokończ wreszcie te włosy! - wrzasnęła na niewolnicę, która z przerażenia omal nie poparzyła się gorącymi szczypcami.

Klodia rozmyślała nad słowami przyjaciółki.

- Ale dlaczego twój ojciec się na to zgodził? - zapytała. - Przecież twój dziadek wypędził tego Cezara z Rzymu.

- Mój dziadek był opętany żądzą władzy - zauważyła Pompeja trzeźwo. - A mój ojciec stwierdził, że woli mieć kogoś takiego jak Cezar w swoim obozie.

- Kogoś takiego! - drwiła Klodia. - To nieudacznik! Jest dopiero kandydatem na edyla, chociaż ma trzydzieści cztery lata. Niczego znacznego nie dokonał. Spójrz na twojego kuzyna! Cezar do pięć mu nie dorasta! Ciągłe zadłużony, wiecznie wyprawia uczyty i przyjęcia, wygłasza mowy, na które senatorowie się oburzają, składa urząd pół roku za wcześniej, by w Galii podburzać chłopów przeciwko senatowi, w dodatku jest wdowcem z szesnastoletnią córką na wydaniu, a ty chcesz za niego wychodzić? Oszalałaś?

Pompeja wiedziała doskonale, że przez Klodię przemawia zazdrość. Cezar był postacią kontrowersyjną, ale też wśród ludu rzymskiego cieszył się poparciem i uwielbieniem graniczącym z miłością. Był dobrym mówcą, zasłużonym żołnierzem, a także dość zręcznym politykiem, chociaż za karierę zabrał się stosunkowo późno. Poza tym, chociaż żył ponad stan, Krassus ciągle wspomagał go finansowo, więc mógł zapewnić żonie życie na odpowiedniej stopie. No i był patrycjuszem, potomkiem senatorskiego rodu, synem i wnukiem konsula, a wreszcie dziedzicem rodu Juliuszów, o których krążyły legendy, że pochodzą od samego mitycznego Eneasza. Co prawda, Pompeja nie wierzyła w te brednie, ale sam fakt sławy ją przytłaczał. Nie każdy mógł się pochwalić takimi przodkami, chociaż jej ród należał do najznamienitszych

w Rzymie, podobnie jak ród Klodii, która wywodziła się od samego Appiusza Klaudiusza cenzora, zanim nie wyrzekła się tego pochodzenia.

Poza tym dobrze wiedziała, co szesnaście lat temu powiedział jej dziadek, Sulla, o Cezarze. W tym człowieku tkwi wielu Mariuszów, stwierdził wtedy. Uznał, że osiemnastoletni młodzieniec ma wrodzone preferencje do osiągnięcia wysokiego stanowiska w Rzymie. Takiego kandydata na męża Pompeja w życiu by nie przepuściła.

No i był przystojny. Wysoki, postawny, o ciele przywodzącym na myśl tygrysa szykującego się do skoku, o czarnych kręconych włosach, czarnych oczach. Ta bijąca od niego zmysłowość, myślała Pompeja, ten jego uśmiech, przesycone erotyzmem ruchy, pozorna niedbałość stroju, sprawiająca, że kobiety oglądały się za nim na ulicach... Tajemniczości dodawała mu stara plotka o królu Nikomedesie, a pikanterii ostatnie opowieści rzymskich matron o jego zdolnościach jako kochanka.

Pompeja uważała, że mogła gorzej trafić.

Córka? Co tam córka! Co prawda, tylko cztery lata młodsza od przyszłej macochy, ale jakie to miało znaczenie? Pompeja już tak wszystko załatwi, że Julia nie będzie jej zbyt często wchodzić w drogę.

- Myślisz, że mogę się sprzeciwić woli ojca? - zapytała Klodię z pełną świadomością, że mogłaby to zrobić. - Albo że ktoś taki jak Cezar uznałby, że jestem dla niego nieodpowiednią żoną?

- Masz na myśli swoją urodę czy pochodzenie?

- Jedno i drugie.

Klodia przyjrzała się Pompei krytycznie. Macedońska niewolnica skończyła układać jej włosy i odeszła. Pompeja siedziała w luźniej lnianej tunice spiętej na ramionach klamrami, z kasztanowymi włosami ułożonymi w loki, ale rozpuszczonymi na ramiona. Miała wysokie kości policzkowe, pełne usta, duże brązowe oczy i ładnie uformowany nos. Mogła też pochwalić się zgrabnym ciałem, chociaż już w wieku dwudziestu lat widoczne u niej było zamięłowanie do jedzenia.

W miarę upływu czasu mogła się ponad miarę zaokrąglić, choć na razie objawiało się to w postaci pełnych kształtów.

- Myślę, że niczego ci nie brakuje - orzekła Klodia wreszcie.
- Ale dziwi mnie, że chcesz wyjść za tego człowieka.

Pompeja uśmiechnęła się zadowolona. Ona nie miała żadnych wątpliwości co do swoich zamiarów i zamiarów ojca. Nade wszystko zaś pragnęła urodzić Cezarowi syna, który by ich ze sobą mocniej związał, wiedziała bowiem, że Cezar żeni się z nią głównie ze względów politycznych.

Nie wiedziała tylko, że Klodia w pozorowanej trosce o dobro przyjaciółki szepnie o niej kiedyś słówko swemu bratu, ani co z tego wyniknie później.

Cyceron spoglądał zdumiony na Cezara, kiedy ten przedstawiał mu swój zamiar głosowania za ustawą przyznającą Pompejuszowi dowództwo w wojnie z Mitrydatesem. Raz już Cezar stanął po stronie optymatów, chociaż deklarował się jako stronnik popularów, desygnowany niejako do tego stanowiska przez swego wuja Mariusza. Teraz znowu dawał dowód zmienności swych zamysłów i poglądów, oświadczając, że zamierza poprzeć kandydaturę Pompejusza na wodza legionów w Partii.

- Dlaczego uważasz, że powinniśmy go poprzeć, Cezarze? - zapytał więc.

Ci dwaj mężowie od tak dawna stali na przeciwnych stanowiskach i mieli tak krańcowo różne poglądy, że niemal się zaprzyjaźnili. Chociaż wśród swoich stronników i przyjaciół Cezar naigrywał się z Cycerona, twierdząc, że „Marek Tulliusz tylko gada i gada”, to jednak jasne było, że darzy wielkiego mówcę niezaprzeczalnym szacunkiem i że Cyceron mimo swojej nieco sztywnej postawy (a może właśnie dlatego) imponuje mu jako polityk.

Z drugiej zaś strony, dla Cycerona Cezar wciąż stanowił zagadkę nie do rozwikłania. Czasem wydawało się, że jest on zagorzałym zwolennikiem ustroju republikańskiego, innym razem, że stara się wykorzystać widoczny kryzys republiki dla własnych celów, dość mrocznych i pogmatwanych wedle Cycerona. Jednak mówca miał przeczucie, że za tą źle

przepasaną togą i staranną fryzurą eleganta kryje się tęgi umysł, przenikliwy i bystry, który z jakichś przyczyn nie daje się odkryć w pełni.

Cyceron posiadał dość specyficzne poczucie humoru, przesycone ironią i złośliwością, toteż często atakował Cezara w aluzyjny sposób. Obaj politycy nie szczędzili sobie wzajemnych uwag wypowiedzianych uprzejmym tonem, darząc się szacunkiem na tyle, by nie wszczynać wojny, ale prywatnie nie przepadając za sobą. Cyceron otaczał się ludźmi swego pokroju, w dodatku pochodził ze stanu niższego niż Cezar i starał się nadrabiać postawą prawego obywatela. Jednak jako posiadacz sporego majątku to Cyceron był w zdecydowanie lepszej sytuacji, jako że jego ojciec posiadał majątek w Tusculum, który przekazał synowi w doskonałym stanie, Cezar zaś wywodził się co prawda z arystokracji, ale zubożałej.

Teraz zaś Cyceron podejrzewał, że dla Cezara będzie z jakichś względów korzystniej, jeśli Pompejusz otrzyma naczelne dowództwo, nie wiedział tylko, co knuje ten gładki polityk.

- Mitrydates rozbawił się ostatnimi czasy na Wschodzie - zauważył Cezar. - Ja sam miałem okazję walczyć z jego wojskami i muszę stwierdzić, Marku Tulliuszu, że to twarde orzech do zgryzienia.

Cyceron uśmiechnął się blado, gdyż nie brał udziału w żadnej wojnie i poza obowiązkowym przeszkoleniem nie mógł się pochwalić odbytą służbą wojskową. Jako usprawiedliwienie trzeba mu przyznać, że nie cieszył się zbyt tęgim zdrowiem.

- Uważasz zatem, że Pompejusz nada się na wodza przy takim przeciwniku? - zapytał, obserwując bacznie wyraz twarzy Cezara.

- Osiągnięcia Pompejusza jako wodza są niezaprzeczalne - przyznał Cezar bez cienia zazdrości.

- Dlaczego ty sam nie chcesz udać się na Wschód? - dopytywał się Cyceron. - Miałbyś okazję okryć się wielką sławą.

- W przeciwieństwie do mnie, Marku Tulliuszu, Pompejusz piastował już urząd konsula - odparł Cezar z uśmiechem i Cyceron musiał przyznać, że ten człowiek posiada dar

zjednywania sobie ludzi. - Nie podarowałbym sobie tego, gdybym miał zginąć w wojnie z Partami, dosłużywszy się jedynie kwestury.

Cyceron się roześmiał.

- A poza tym - dodał Cezar - Republika nie może być wiecznie zagrożona ze strony jakiegoś nędznego partyjskiego króla. Uważam, że należy zrobić z nim porządek raz na zawsze, a Pompejusz świetnie się do tego nadaje. Jak sam mówiłeś w senacie, Marku Tulliuszu, jest zarówno świetnym wodzem, jak i architektem. Sprytu mu także nie brak, sądząc po teatrze, jaki wybudował, by obejść te idiotyczne przepisy miejskie.

Kilka lat wcześniej Pompejusz kazał wybudować teatr, ponieważ jednak ustawa sprzed dwustu lat zabraniała wznoszenia kamiennych teatrów w Rzymie, musiał obejść prawo. W tym celu wznosił świątynię Wenus na tyle małą, by nie przeszkadzała widzom, a na tyle sporą, by mogła służyć za budynek sceniczny, jej schodom zaś nadał monumentalny charakter, wznosząc je na planie szerokiego półkola, tak że z łatwością mogły pełnić rolę widowni. Dzięki temu na środku powstał plac w kształcie greckiej orchestry, na której grali aktorzy. Za orkestrą wniósł okazały portyk nazwany jego imieniem, w którym mieściła się galeria sztuki, za portykiem zaś niewielki ogród, gdzie widzowie przechadzali się w trakcie przerw.

Cyceron swego czasu nie mógł wyjść z podziwu nad sprytem Pompejusza.

- Czyżbyś występował teraz jako obrońca Republiki, Cezarze? - W głosie Cycerona zadźwięczała ironia.

- Staram się być dobrym obywatelem - odparł Cezar, udając, że nie słyszał zjadliwego tonu. - Dlatego będę głosował w tej sprawie i pozwolę sobie wygłosić przemówienie w tej sprawie, jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Ależ nie mam nic przeciwko twojej mowie, Cezarze! - wykrzyknął Cyceron, tym razem już całkiem szczerze. - Dlaczego miałbym się temu sprzeciwiać?

- No, mógłbyś się bać, że wygłoszę mowę równie dobrą jak twoje - zażartował Cezar.

- Uważam, że jesteś dobrym mówcą - przyznał Cynceron.

- Nie udawaj skromnego, Marku Tulliuszu, skoro wszystkim wiadomo, kto jest najlepszym oratorem w Italii - zaśmiał się Cezar. - Jeśli komukolwiek wolno chęłpić się swoim darem oratorskim, to właśnie tobie.

Cynceron nie potrafił ukryć zadowolenia z pochwały. W rzeczy samej, był świetnym mówcą i doskonale o tym wiedział, co podkreślał fakt, że nigdy jeszcze nie przegrał w sądzie, broniąc kogokolwiek. Kilka porażek miało nadejść znacznie później, ale nawet one nie podkopały jego wielkiej sławy jako mówcy sądowego i politycznego.

Cezar zamienił z nim jeszcze kilka słów, po czym odszedł w stronę swoich kolegów, do których należeli między innymi Krassus, Kalpurniusz Pizon, niejaki Klodiusz, Kwintus Metellus Nepos i inni politycy z ugrupowania popularów.

Cynceron zaś udał się do ław senatorskich zajmowanych przez optymatów i zasiadł między Katonem Młodszy i swoim przyjacielem Attykiem, który jakkolwiek twierdził, że się nie interesuje polityką, to jednak czasami zaglądał do kurii z ciekawości.

- Rozmawiałeś z nim, Marku? - zapytał natychmiast.

Cynceron pokiwał głową. Wyglądał na życzliwie nastawionego do Cezara tym razem.

- Nie daj się zwieść jego pięknym słówkom - powiedział Katon swoim ostrym głosem.

Był to człowiek niezbyt urodziwy, rudowłosy, o wyblakłych niebieskich oczach, bladej cerze i postawie typowego urzędnika, co myliło ludzi, gdyż był dobrym wodzem. Jego poglądy polityczne były prorepublikańskie aż do przesady, a on sam kreował się na prawego obywatela tak bardzo, że aż mdliło. Starał się iść w ślady swego sławnego pradziada. Charakter miał równie nieprzejeđnany, jak tamten pierwszy Katon, który grzmiał z trybuny mówniczej, że Kartaginę należy zburzyć. Tym, co ich różniło, była inteligencja. Podczas gdy stary Kato mógł się poszczycić tą cechą osobowości, jego potomek nie posiadał jej w nadmiarze, horyzonty myślowe miał dość ograniczone i nie potrafił otworzyć się na jakiegokolwiek

nowości. Reguły w jego domu były tak okropnie surowe, że mało kto przychodził na uczty umilane czytaniem lektora, podczas gdy w tym nowoczesnym stuleciu preferowano inne uciechy w czasie jedzenia.

Cyceron nie lubił Katona, ale szanował go wielce za wszystkie cnoty prawego Rzymianina, nudnego jak komedie Terencjusza.

- Dlaczego jesteś do niego taki uprzedzony, Marku Porcjuszu? - zapytał. - Otóż Cezar chce głosować za naszą ustawą i nawet wygłosić mowę.

Attyk nie krył zdumienia.

- Czyżby Cezar zamierzał zmienić stanowisko polityczne? - zakpił. - Po tym, jak na pogrzebie ciotki odważył się pokazać maski pośmiertne rodu Mariuszów i po tym jak jego samego chwalił w mowie niby to ku czci Julii?

- Nie sądzę, by miał zmieniać opcje polityczne - powiedział Cyceron. - Ale dobre i to, że chce stanąć tym razem po naszej stronie. Swoją drogą zastanawiam się, dlaczego my się tak bardzo nim przejmujemy?

- Bo jest niebezpieczny - stwierdził Katon. - Niby się uśmiecha, ale jego oczy śledzą bacznie każdy twój ruch. Udaje miłego, a w duszy pozostaje zimny i nieustępliwy. Mówi, że kocha lud rzymski, a wyzyskuje go przy każdej okazji.

- Nie przesadzaj, Marku Porcjuszu - przerwał Attyk. - Cezar nie wyzyskuje plebsu bardziej niż my wszyscy. Poza tym każdy może zwrócić się do niego o pomoc i być pewnym, że tę pomoc otrzyma. Wydaje mi się, że za bardzo obawiasz się tego człowieka. Kogoś takiego jak Cezar nie można brać poważnie. Oto zrzeka się urzędu trzy miesiące przed terminem, po czym jedzie do Galii i usiłuje agitować, a w Gades płacze, że jest mniej utalentowany od Macedończyka. W dodatku bałamuci cudze żony.

- Mówisz o Serwilli? - podjął Cyceron. - Cóż, na razie to tylko przyjaźń. Nie dziwię się zresztą, w końcu zmarła mu żona dwa lata temu. To musiało być dla niego straszne.

- Znowu go usprawiedliwiasz, Marku Tulliuszu - warknął nieprzejednany Katon. - Sulla nie na darmo twierdził, że ten

człowiek jest niebezpieczny. On jest jak Etna, pewnego dnia wybuchnie i zaleje Rzym swoją lawą. Strzeżcie się tego dnia, przyjaciele.

Cyceron uśmiechnął się cierpko.

- Nie wydaje ci się, Tytusie - zwrócił się do Attyka - że nasz drogi Marek Porcjusz chce za wszelką cenę udowodnić, od kogo się wywodzi, i przepowiada klęski ze strony nieujarzmionego wroga? Jeszcze dojdzie do tego, że zaczniesz powtarzać: „A poza tym twierdzą, że Cezara należy zgładzić”¹.

Katon nie znosił, kiedy z niego drwiono, nawet gdy czynił to w żartach znany ze swej ironii Cyceron, toteż nie skomentował tej wypowiedzi. Wydał tylko usta jak małe naburmuszone dziecko.

- Zobaczycie, że tak się stanie, jak mówię - upierał się.

Cyceron i Attyk wymienili spojrzenia.

- No cóż - podjął Cyceron po chwili. - Zaczekajmy ten tydzień, aż Pompejusz wróci do Rzymu, a wtedy będziemy się zastanawiać nad Cezarem i motywami jego działań, choć muszę przyznać, że mnie one mało obchodzą. Skoro nie chce nam wchodzić w drogę, to niech mu Jowisz sprzyja. Nie powiem, bym darzył tego człowieka wielką sympatią, ale też nie czuję do niego jakiejś wielkiej niechęci. A teraz, Tytusie, powiedz, jak posuwa się twoje nowe dzieło.

Attyka nie trzeba było zachęcać dwa razy i wkrótce wszyscy trzech pograżyli się w rozmowie, nawet Katon, który zapomniał o swoim gniewie i o prorocत्वach dotyczących Cezara, które jednak miały się któregoś dnia niezawodnie spełnić.

Pompejusz powrócił w blasku chwały i sławy, udowadniając wszystkim naokoło, że zasłużenie nosi przydomek Magnus. Piraci od wielu lat stanowili poważne zagrożenie dla żeglugi na Morzu Śródziemnym, co utrudniało handel i zmniejszało w ten sposób dochody Republiki. Handlem w Rzymie zajmowali się ekwici, gdyż według prawa patrycjuszom i plebejuszom nie wolno było tego robić.

Zaraz po powrocie rozgorzał spór między senatorami w kwestii przydzielenia Pompejuszowi naczelnego dowództwa w wojnie z Mitrydatesem. W tej sprawie przemawiali w senacie

Cyceron i Cezar, ten ostatni ku zdumieniu samego zainteresowanego. Pompejusz, rzecz jasna, chciał udać się na Wschód, by stamtąd przywieźć nową chwałę. Dla wszystkich jasne było, że jeśli ktoś miałby pokonać Mitrydatesa, to tylko Pompejusz.

W końcu wniosek przegłosowano i Pompejusz uzyskał to, czego chciał. Stał się naczelnym wodzem wojsk rzymskich w wojnie z Partami. Zaraz potem Cezar poślubił jego kuzynkę Pompeję i w ten sposób zbliżył się do niego samego.

Wielu polityków zastanawiał ten ruch Cezara, ale on sam, skoro tylko Pompejusz wyjechał, zbliżył się do Krassusa i ściśle z nim współdziałał.

Co do Pompei zaś, to wkrótce się srodze rozczarowała. Wprawdzie Cezar na ulicy nosił luźno przewiązaną togę i sprawiał pozory niedbałego człowieka, ale w jego domu panował prawdziwy rzymski porządek. On był panem domu i dawał to odczuć swojej małżonce niemal na każdym kroku. Jakkolwiek sam miał kochankę i nie robił z tego żadnej tajemnicy, wobec Pompei był surowy i nie pozwalał jej na żadne ekscesy. Było to małżeństwo polityczne, zawarte z rozsądku, nie zaś z miłości. I Pompeja odczuwała to nieustannie.

Jedynie noce były dla niej przyjemnością, gdyż tu potwierdziły się plotki rzymskich pań na temat Cezara. Pompeja mogła być w pełni usatysfakcjonowana, choć i w tej kwestii czuła niedosyt. Uważała, że nie poświęca jej należytej uwagi. Julię za to niemalże wysławiał pod niebiosa, dodając jej jeszcze więcej zalet, niż miała w rzeczywistości.

Ale był dobrym mężem. Dbał o swoją żonę, zapewniał jej wszystko, czego potrzebowała i czego zapragnęła, w granicach rozsądku oczywiście, nie zaniedbywał jej w nocy, szanował jej pozycję pani domu i matki rodziny i wyraźnie stawiał ją wyżej od własnej matki w kwestii obowiązków domowych. Aurelia była oburzona faktem, że syn przekazał nowej żonie klucze, z wyjątkiem tego od piwnicy, zamiast pozwolić zatrzymać je matce.

Cezar jednak był nieustępliwy.

W roku następnym został edylem kurulnym. Sprawował

nadzór nad porządkiem i budownictwem w Rzymie, a z piastowaniem tego urzędu wiązało się organizowanie igrzysk. Była to świetna okazja dla zyskania sobie jak największej popularności przez urządzenie wspaniałych widowisk. Rzecz jasna, by wystawiać tego rodzaju igrzyska, należało mieć pieniądze, a Cezar do majątnych nie należał.

Mimo to zapożyczał się u wszystkich lichwiarzy, którzy tylko byli w stanie dać mu pieniądze, by wystawiać jak najwspanialsze imprezy, by zaćmić przepychem swoich poprzedników i zyskać dzięki temu miłość ludu. Takich igrzysk, jak podczas edylatu Cezara, Rzym jeszcze nie widział. Sprowadzano dzikie zwierzęta z serca Afryki i z dalekiej Północy, by uświetnić widowiska w możliwie najlepszy sposób. Wystawiono sześciuset czterdziestu gladiatorów w posrebrzanych zbrojach, rzecz niespotykana dotychczas w Mieście. Wreszcie senat musiał wprowadzić ograniczenia, gdyż obawiano się tak dużej liczby zbrojnych w Rzymie. Nie ufano Cezarowi na tyle, by pozwolić mu na sprowadzenie takiej liczby gladiatorów na arenę.

Później Cezar i Krassus usiłowali przeforsować dwie ustawy. Pierwsza czyniłaby Egipt prowincją zarządzaną przez Cezara, druga była to ustawa agrarna. Obie jednak odrzucono. Projekt ustawy agrarnej zawetował Cynceron, który w tym czasie był już konsulem.

Tak więc Cezar musiał spróbować wybić się na innym polu.

Nadszedł ów pamiętny rok konsulatu Cyncerona, jedyne zresztą, który później opiewał w swoim dziele. W tym właśnie roku zdarzyło się, że zmarł Lucjusz Metellus Pius, który piastował godność najwyższego kapłana, Pontifex Maximus. Była to godność dożywotnia, a wybierały na nią zgromadzenia centurialne, czyli ludowe. Taka funkcja dawała zwierzchnictwo nad wszystkimi kolegiami kapłańskimi i państwowymi kultami religijnymi, a to z kolei wiązało się ze znaczeniem politycznym. Pontifex Maximus mógł uzależniać wszelkie głosowania od swojej decyzji i od wróżb, co dawało mu wielką wygodę.

Swoją kandydaturę zgłosili optymaci, Publiusz Serwiliusz Izaurykus oraz Kwintus Lutacjusz Katulus, który uchodził

za pierwszego senatora, czyli tego, który otwierał obrady senatu i jako pierwszy zabierał głos. Jakież było zdumienie tłumu, kiedy swoją kandydaturę wysunął Cezar! Był młody, dopiero co skończył trzydzieści siedem lat, jego reputacja w ostatnim czasie pozostawiała wiele do życzenia, jakkolwiek przed śmiercią Kornelii była nieposzlakowana, a poza tym nie liczone się z nim jako politykiem.

Kandydaci uprawiali powszechną korupcję, kupując sobie głosy wyborców, i robili to bez żadnego zażenowania, w dodatku jawnie. Obaj starzy optymaci opłacali hojnie swoich wyborców, ale niczym to było w porównaniu z tym, co robił Cezar. Zadłużył się ogromnie, byle tylko kupić sobie wystarczającą liczbę głosów, niemal do tego stopnia, że w razie niepowodzenia groziło mu całkowite bankructwo.

Stary Katulus wszem i wobec głosił, że Cezar zachowuje się niemoralnie, jakby on sam pozbawiony był wszelkiej ułomności. Tak naprawdę nienawiść princepsa senatu brała się stąd, że ongiś Cezar poustawiał na Kapitolu posągi upamiętniające zwycięstwa Mariusza nad Jugurtą i Teutonami. Zrobił to, rzecz jasna, by się przypodobać popularom, wśród których było mnóstwo dawnych żołnierzy Mariusza, oraz dla podkreślenia wagi swego rodu. I weterani mieli łzy w oczach, kiedy stojąc na Kapitolu, podziwiali odnowione posągi, zniszczone przed wielu laty przez Sullę.

Na Forum w tym czasie odbywało się nadzwyczajne posiedzenie senatu i kiedy podnieceni przebiegiem obrad senatorowie zauważyli, co się święci (Cezar kazał wznieść posągi pod osłoną nocy, tak że rano ujrzano je zupełnie nieoczekiwanie), popędzili czym prędzej na miejsce i natarli z wściekłością na Cezara, który tylko uśmiechał się kpiąco. Wtedy to Katulus darł się wniebogłosem, nazywając Cezara jawnym wrogiem Republiki.

- Cezar już nie podkopami osłabia Republikę! - wrzeszczał, opluwając się przy tym i parszcząc. - On już wprost szturmuje ją machinami!

Od tamtego dnia między obydwoma senatorami zapanowała wściekła nienawiść. Politycy nie wyciągnęli względem Cezara

żadnych konsekwencji, gdyż obawiali się reakcji rozjuszonego tłumu, ale w sercu starego optymaty płomień nienawiści zatlił się na dobre.

Być może dlatego właśnie teraz Cezar pragnął go upokorzyć i konkurować z nim w wyborach na tak ważne stanowisko.

Kiedy starzec zrozumiał, że Cezar ma wielkie szanse, by wygrać w tej walce, zaproponował mu pokrycie wszystkich wydatków poniesionych w czasie kampanii. Cezar odmówił jednak, ryzykując nędzę w razie przegranej. W tym czasie, kiedy odmawiał, nie mógł wiedzieć jeszcze, co go czeka.

W dniu wyborów Aurelia żegnała go ze łzami w oczach. Nawet na twarzy Pompei dostrzegał napięcie, ale tym akurat się nie przejął. Był zdeterminowany.

- Albo wrócę jako zwycięzca, albo od razu idę na wygnanie
- zapowiedział matce, całując ją na pożegnanie.

Aurelia wydała z siebie jęk.

- Nawet nie żartuj w ten sposób, synu - napomniała go.

Jednak nie musiała się martwić konsekwencjami w razie przegranej, bowiem już po południu jasne było, kto wygrał w tym wyścigu do kapłańskiej godności. Niemal wszystkie centurie głosowały za Cezarem, ustanawiając go tym samym nowym Pontifeksem.

Była to pierwsza poważna godność, jaką zapewnił sobie Cezar po śmierci Kornelii.

Wkrótce potem do Cezara przyszedł nieoczekiwany gość. Prawdę mówiąc, Cezar nie był zbyt zadowolony z tych odwiedzin. W głębi duszy spodziewał się wprawdzie tej wizyty prędzej czy później, ale wolał, aby nigdy się nie odbyła.

Gościem był Lucjusz Serwiusz Katylin.

Człowiek ten nie cieszył się w Rzymie popularnością. Jakkolwiek Miasto było wówczas gniazdem korupcji i wszelakiego występku, to jednak nikomu do głowy by nie przyszło dopuścić do najwyższego urzędu kogoś pokroju Katyliny, który nie zawahałby się przy wyborze środków, by sięgnąć po władzę.

Katylinę wsławił się już dawno temu, kiedy podczas

proskrypcji Sulli zamordował z zimną krwią swojego brata i szwagra. Podobno szwagrowi odciął głowę własnymi rękami. Plotka głosiła, że wysłał na tamten świat swojego syna, by ożenić się z niejaką Aurelią Orestillą, która także nie cieszyła się dobrą reputacją w Mieście. Jeszcze inne pikantne doniesienia z czasów jego młodości mówiły o haniebnym związku z jedną z Westalek, dziewiczych kapłanek pilnujących świętego ognia. Wiadomo było, jak skończyła owa dziewczyna, Katyliną jednak nadal hulał bezkarnie.

Później wsławił się, dokonując zdzierstwa w Prowincji Afryce jako jej namiestnik. Wytoczono za to przeciw niemu oskarżenia, więc nie mógł ubiegać się o konsulat na rok następny. Wtedy to Katyliną wpadł w furję i postanowił dokonać zamachu stanu.

Planował zamordowanie obu konsulów wyznaczonych na ów rok i najważniejszych senatorów. Plotka głosiła, że mieli mu w tym pomagać Krassus i Cezar, ale zarówno jeden, jak i drugi umywali ręce. Prawda była taka, że Krassus dostarczał wówczas Katylinie pieniądze, a Cezar dawał na to swoje ciche przyzwolenie, licząc na zyski z całej akcji, ale oficjalnie nigdy z Katyliną na ten temat nie rozmawiał.

Zamach stanu się nie powiódł, bowiem senat został w porę ostrzeżony. Katyliną zmienił datę planowanego mordu, ale był nieostrożny i działał w zbyt widoczny sposób. Krassus w ostatniej chwili ze wszystkiego się wycofał, zostawiając Katylinę samego na polu walki.

Jakkolwiek wszyscy w mieście o niczym innym wówczas nie szeptali, Katyliną jak gdyby nigdy nic zasiadał w senacie i przechadzał się bez skrępowania ulicami miejskimi, brał udział w obradach, przemawiał na posiedzeniach w kurii i udawał, że nic się nie stało. Nie wytoczono mu wtedy procesu, gdyż nagle zabrakło dowodów. Wobec Krassusa nie wytoczono zarzutów, ponieważ był zbyt bogaty i wpływowy, co do Cezara zaś, szeptano o jego cichym współudziale, ale głośno nikt nie ośmielił się odezwać. Trochę z obawy przed nim samym i jego wzrastającą popularnością, trochę zaś z obawy przed Krassusem i jego możliwościami.

Po tym wydarzeniu Katylina wysunął ponownie swoją kandydaturę na urząd konsula i znowu przepadł w wyborach. Ale kiedy przepadł po raz trzeci, a na konsula wybrano Cyncerona, ekwite, by nie dopuścić do urzędu jego, postanowił dochodzić swoich praw wedle własnych reguł.

I tak oto w miesiącu quinctilisie, wkrótce po trzydziestych siódmym urodzinach Cezara i jego wyborze na najwyższego kapłana, Katylina zjawił się nieoczekiwanie w jego domu.

Był to człowiek potężnej postury, ciało miał odporne na mrozy i upały, tak że świetnie dawał sobie radę w każdym klimacie, ale jego twarz wskazywała na zanik jakichkolwiek skrupułów i ludzkich uczuć. Miał ziemistą cerę, rysy toporne, a głęboko osadzone oczy lśniły jakimś fanatycznym blaskiem. Cezar nie lubił tego człowieka i wcale go ta wizyta nie cieszyła.

Mimo to wyszedł do atrium, gdzie odźwierny zostawił gościa, aby go powitać. Najmniejszym grymasem twarzy nie dał po sobie poznać, jak bardzo nie w smak mu te odwiedziny, ale uśmiechał się z wyrazem uprzejmości i gościnności, gdyż wedle jego własnych słów, dom Cezara był zawsze otwarty dla potrzebujących. Nic to, że czasem Aurelia miała urwanie głowy z ogromną liczbą klientów dobijających się do majątku skoro świt.

- Witaj, Lucjuszu - powitał go z szerokim uśmiechem, który nie docierał do czarnych oczu, ale tego Katylina nie zauważył. - Co cię do mnie sprowadza?

Objął protekcjonalnie starszego od siebie gościa ramieniem i prowadził go do tablinum, jak zwykle zawałonego papierami, bowiem Cezar pracował nad projektem nowej ustawy.

- Napij się wina? - zaproponował.

Katylina nie odmówił. Usiadł na wskazanym przez Cezara krześle wymoszczonym poduszkami i przeznaczonym specjalnie dla gości. Cezar zajął drugie krzesło, sądząc po sfatygowanym obiciu, będące w ciągłym użyciu.

- Sprowadzają mnie do ciebie interesy, Cezarze - powiedział wreszcie Katylina po dłuższym milczeniu. - Jesteś teraz człowiekiem wpływowym i sporo możesz zrobić w tym gnieździe nieprawości, jakim jest Rzym.

Cezar uznał, że te słowa brzmią cokolwiek dziwnie w ustach takiego łotra, ale przezornie milczał.

- O co chodzi mianowicie? - zapytał.

- Jak wiesz, Cezarze, przepadłem znowu w wyborach. Konsulem został ten pyszałkowaty mędrak, który nawet nie pochodzi z możnego rodu. Senat jest skorumpowany, powinien nie brać łapówek od tego domorosłego sofisty, tylko wybrać mnie jako arystokratę, nie uważasz?

Cezar milczał dyplomatycznie, dolewając Katylinie wina.

- Stwierdziłem zatem, że nadszedł czas na jakieś bardziej konkretne działania z mojej strony - kontynuował tamten. - Oraz że ty i Krassus moglibyście mi w tym pomóc.

- W jaki sposób? - zapytał Cezar, udając zaciekawienie.

Katylina dał się złapać na haczyk i zaczął przedstawiać swój plan. Oto zamorduje Cyncerona, wzniesi powstanie, zajmie zbrojnie Rzym, a wcześniej podpali, by w zamieszaniu łatwiej było go zdobyć. Potem zaś, kiedy wymorduje konsulów i co możniejszych senatorów, urządzi masowe proskrypcje, a swoich popleczników wyniesie do rangi wysokich urzędników.

Cezar słuchał tego wszystkiego z rosnącym niezadowoleniem. Pamiętał, jak dwa lata wcześniej Katylina planował spisek i jak całe miasto wiedziało o tym, zanim doszło do jakichkolwiek ruchów z jego strony. Nim Katylina zdołał zebrać swoich popleczników, senat był już bezpieczny poza jego zasięgiem, a tajni współpracownicy wycofywali się z podkulonymi ogonami.

I teraz on, Pontifex Maximus, a w dodatku desygnowany na rok przyszły na stanowisko pretora, drugie co do ważności po godności konsula w państwie, miałby brać udział w czymś takim i narażać się na pozbawienie życia? W dodatku miałby zginąć okryty hańbą, by ludzie zapamiętali go jako zbrodniarza przeciwko Republice?

Nigdy w życiu!

Słuchał zatem wyłuszczeń Katyliny z tym samym zimnym, ale przymilnym uśmiechem, z którym dawno temu wdawał się w dyskusje z piratami na statku i wysłuchiwał recenzji swoich wierszy. Tamten był zaś zbyt zaaferowany własną paplaniną,

by zauważyć jakąkolwiek zmianę w wyrazie twarzy słuchacza. Wykładał swój plan z entuzjazmem i niemal fanatyzmem w oczach.

- Co o tym sądzisz, Cezarze? - zapytał na koniec. - Czyż to nie genialny plan? Moje oddziały znajdują się już w Etrurii, a będzie ich tam jeszcze więcej. Ja zostanę konsulem, a ty moim osobistym prefektem.

Cezar błysnął zębami w fałszywym uśmiechu.

- Lucjusz, nie mogę otwarcie przystać do twoich zwolenników - powiedział wreszcie. - Nie mogę też dać ci pieniędzy na armię ani wyjednać ich u Krassusa. Jako Pontifexowi Maximusowi nie wolno mi występować przeciwko senatowi, a jako pretor mam inne obowiązki i udział mojej osoby w spisku, w razie niepowodzenia, byłby dla wszystkich nazbyt oczywisty.

- Sądzisz więc, że może się nie udać? - oburzył się Katylna.

Jestem o tym przekonany, pomyślał Cezar kwaśno. Tym bardziej, że ty nigdy nie potrafiłeś trzymać języka za zębami.

- To też musisz wziąć pod uwagę - powiedział głośno.

- Odmawiasz zatem udziału w moim planie? - zapytał Katylna chłodno.

- Ujmijmy to w ten sposób, Lucjusz, że nie będę ci przeszkadzał i nie doniosę na ciebie nikomu. Twoja wizyta tutaj i jej cel pozostaną tajemnicą. W razie niepowodzenia nie wysunę wniosku skazania twojej grupy na śmierć i będę cię bronił przed senatorami. Ale nie przyłączę się do ciebie, a ty w zamian wyświadcz mi przysługę i nie rozpowiadaj o tej rozmowie nikomu.

- Mogę więc uznać, że potajemnie jesteś po mojej stronie? - dopytywał się Katylna.

- Uznawaj, co chcesz - odparł mu Cezar.

Kiedy Katylna odszedł, Cezar wezwał do siebie Julię.

- Dziecko drogie, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła - poprosił.

Julia zaśmiała się, słysząc ton głosu ojca. Miała dziewiętnaście lat i przeobraziła się w niebywale piękną dziewczynę, dziedzicząc urodę zarówno po ojcu, jak i po matce.

Po Cezarze przejęła gęste czarne włosy, które u niego, niestety, zaczęły się cofać nieznacznie na skroniach i przerzedzać nad czołem, u niej zaś spływały w lśniących lokach na ramiona, i migotliwe czarne oczy, tak typowo italskie, charakterystyczne dla mieszkańców gorącej Kampanii. Po Kornelii przejęła wzrost, figurę i rysy twarzy oraz niezaprzeczalny wdzięk. Cezar był z niej tak strasznie dumny, że nie potrafił tego wyrazić słowami. I kochał córkę do szaleństwa.

- Zawsze, kiedy jesteś dla mnie taki miły, ojczy, prosisz mnie o przysługę - powiedziała.

Cezar uśmiechnął się do niej zażenowany.

- Naprawdę? - zapytał. - Cóż, być może. Nie zauważyłem tego. Co robi Pompeja?

- Plotkuje z tą swoją najlepszą przyjaciółką - odparła Julia sucho, gdyż nie darzyła swojej macochy sympatią.

- A z tą - mruknął Cezar niezadowolony. - Będę musiał ukrócić jej cugli. Ale do rzeczy, Julio. Chcę, żebyś poszła do domu Cyserona i dostarczyła mu osobiście do rąk własnych tę tabliczkę, którą ci daję. Owiń ją w jakiś materiał, żeby się nie rzucała w oczy.

Julia się zdziwiła.

- Dlaczego nie pošlesz niewolnika?

- Bo tobie ufam bezgranicznie, a z niewolnikami różnie bywa. Widziałaś tego człowieka, który tu dzisiaj przyszedł?

- To był Katylin, prawda? Co on tu robił?

- Składał mi propozycję nie do odrzucenia. Już sam fakt, że tu przyszedł, stawia mnie w niekorzystnym świetle. Dlatego pójdziesz z tym do Cyserona, Julio, dasz mu to do rąk i powiesz, że Cezar dowiedział się o wszystkim z najbardziej wiarygodnych ust. Jeśli Cyserona nie będzie, zaczekaj na niego, a jeśli będzie wypytywał, powiedz, że ma się zwrócić do mnie, a ja mu wszystko wyjaśnię. No, a teraz idź już.

Cezar ucałował córkę na pożegnanie i czym prędzej wrócił do tablinum, by założyć togę i udać się do Krassusa z najnowszymi rewelacjami. Postanowił nie dopuścić, by ktokolwiek z jego kręgu przyłączył się do planowanego spisku i by on sam został jak najszybciej oczyszczony

z najmniejszego cienia zarzutów.

Cyceron był w domu i nie mógł ukryć zdumienia na widok córki Cezara stojącej na progu. Odźwierny wpuścił ją jak każdego petenta, nie wiedząc, że to córka najwyższego kapłana i pretora na przyszły rok. A przecież Julia ze względu na swą niezaprzeczną urodę i pochodzenie była osobą w Rzymie znaną. Ponadto lud lubił ją z powodu hojności, jaką okazywała przy rozliczeniach z klientami ojca, czym zajmowała się, kiedy on był w senacie. Dobra sława w Rzymie była zaś czymś niezwykłym.

Ale konsul lubił Julię, jakkolwiek nie przepadał osobiście za jej ojcem. Właściwie nie była to stricte niechęć, raczej niepewność co do charakteru Cezara, gdyż Cyceronowi ciągle wydawało się, że Cezar ukrywa swoje prawdziwe ja głęboko pod maską życzliwości i uprzejmości. Naprawdę jest zaś politykiem bezwzględny i pozbawiony uczuć, jeśli chodzi o swoje sprawy.

Ale podobnie jak inni ludzie, Cyceron ulegał nieodpartemu urokowi Cezara, jakim paraliżował wszystkich.

- Co za niespodziewana wizyta - odezwał się konsul, przypominając sobie wreszcie, do czego służy język w ustach. - Witaj, Julio. Co cię do mnie sprowadza?

Nie mógł sądzić, że Julia przyszła z wizytą do jego córki, bowiem niedawno wydał ją za męża. W dzieciństwie obie dziewczynki były w większym lub mniejszym stopniu przyjaciółkami, a kontaktów z córką arystokraty Cyceron nie mógł zabronić swojej córce.

Julia uśmiechnęła się czarująco, udowadniając, że swój zniewalający urok odziedziczyła po ojcu.

- Ojciec przysłał mnie do ciebie, konsulu, z wiadomością - wyjaśniła i podała mu woskową tabliczkę z charakterystycznym pismem Cezara. Jego litery były zawsze uładzone, miały okrągłe wierzchołki i równe linijki, jakby Cezar był równie dbały o pismo, jak o fryzurę.

Cyceron odebrał tabliczkę z rąk Julii i przeczytał. Na jego poważnej twarzy odmalował się wyraz niekłamane go zdumienia.

- Co to ma znaczyć, na Kastora? - zapytał zdumiony. - Skąd on niby wie, że Katylna szykuje spisek i zamach na mnie? I dlaczego przysłała do mnie swoją córkę?

- Katylna był u mojego ojca dziś rano - odparła Julia cicho. - Podobno namawiał go do czegoś, ale ojciec nie chce mi powiedzieć wszystkiego. I dodał, że wie o tym z ust samego Katylny, a jeśli ty, panie konsulu, masz jakieś zapytania i wątpliwości, udaj się do Cezara, on ci wszystko wyjaśni.

Cyceron nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Jaki jest, taki jest, ale zapewne nie skalałby swoich ust kłamstwem - mruknął pod nosem.

- Cezar nigdy nie kłamie - powiedziała Julia z oburzeniem. - Nie kłamał nawet piratom, kiedy mówił o czekającej ich śmierci na krzyżach. Nie myśl, konsulu, że obce mi są wszystkie posunięcia mego ojca w ostatnich czasach i że jako kobieta nie mam w nich rozeznania. Wiem dobrze, że jest on człowiekiem nieugiętym i że stał się taki po śmierci mojej matki. Ale nigdy, przenigdy nie skłamałby i nie okryłby się taką hańbą ani nie wystawiłby swojej córki na hańbę przed obliczem urzędującego konsula.

Cyceron był wyraźnie zmieszany. Nie przywykł, by młoda dziewczyna udzielała mu reprimendy, w dodatku jeszcze córka Cezara. Ale Julia miała rację i konsul dobrze o tym wiedział.

- Zajmę się tym, Julio - powiedział niewyraźnie. - Podziękuj ode mnie Cezarowi i przekaz, że chętnie z nim pomówię.

Julia wyszła z jego tablinum, mijając po drodze Terencję, jego żonę. Obie kobiety skinęły sobie głowami, a Terencja pofatygowała się, by odprowadzić gościa do drzwi. Zaraz potem zaciekawiona udała się do męża i zapytała o przyczynę wizyty Julii.

- Szykuje się zamach stanu, o ile wiadomość od Cezara jest prawdziwa - wyjaśnił mąż. - Dziwi mnie tylko, że Cezar przysłał ją z tym do mnie, a nie zaangażował się w sprawę.

Terencja, kobieta trzydziestokilkuletnia, drobna i szczupła, ale o niezłomnej woli, bynajmniej nie była zdziwiona.

- Ma za dużo do stracenia w takim układzie, Marku - stwierdziła. - Nie chce ryzykować. Nie sądzisz chyba, że Gajusz

Juliusz Cezar nagle przystąpi do waszego stronnictwa?

Cyceron wydał z siebie coś na kształt suchego śmiechu.

- Zawsze uważałem, że on jest sprytny i przebiegły - orzekł.
- Jest jak kot, który spada zawsze na cztery łapy. Ale jeśli ta wiadomość jest prawdziwa, muszę pozostać czujny.

Terencja westchnęła ciężko. Dumna była ze swego męża, to jasne, ale z drugiej strony uważała, że przesadza on ze swoją postawą prawego obywatela i obrońcy ojczyzny. Nie musiał przecież dla dobra Republiki narażać swojego życia, a Terencja była przekonana, że to właśnie robi obecnie.

- Ciekawe, ile prawdy jest w tej plotce - mruknęła do siebie, kierując się do atrium.

Na odpowiedź nie musiała czekać długo. Pięć dni przed Kalendami listopadowymi w Etrurii bandy Katyliny wznieciły rebelię przeciwko miejscowym władzom, zaś sam wódz zorganizował rozruchy w Rzymie dzięki zwerbowanym wcześniej oddziałom zbankrutowanej jak on arystokracji. Dla Cycerona jasne się stało, że należy działać. Niepomierne drażnił go fakt, że Katylin zachowywał się tak, jak trzy lata wcześniej, a zatem przechadzał się spokojnie po ulicach, zasiadał w senacie i brał udział w obradach. Zupełnie jakby był najniewinniejszym z obywateli.

Osiem dni przed Nonami listopadowymi miał się odbyć zamach na Cycerona, ale na szczęście konsul w porę został ostrzeżony. Terencja przeżyła chwile grozy, kiedy życie jej męża znalazło się w niebezpieczeństwie, ale Cyceron w ramach odpowiedzi przygotował zjadliwą mowę, którą wygłosił kilka dni później w senacie.

Katylin niczego się nie spodziewał. Rzecz jasna, wściekły był, że zamach się nie udał i że konsul był tak doskonale poinformowany. Gdy Cyceron wstąpił na mównicę, na ustach zbrodniarza pojawił się kpiący uśmiešek, ale już po chwili zgasł, zastąpiony przez wyraz zdumienia i przerażenia.

Cyceron był znakomitym mówcą, zasady retoryki miał w przysłowiowym małym palcu. W domu przed lustrem ćwiczył gestykulację i mimikę, z czego naśmiewała się jego córka Tullia. Stał przez dobrą chwilę na mównicy, podczas gdy

senatorowie pogrążeni w cichych rozmowach ledwie zwracali na niego uwagę.

- Jak długo jeszcze będziesz nadużywał naszej cierpliwości, Katylini? - zagrział nagle Cynceron ze swego miejsca.

Natura obdarzyła go donośnym głosem, który robił piorunujące wrażenie na wszystkich słuchaczach. Cezar siedzący w pobliżu Krassusa i Kalpurniusza Pizona aż podskoczył na swoim miejscu, porażony siłą głosu oratora.

Katylina zdębiał, bo nie spodziewał się zupełnie takiego wstępu do mowy ani nie podejrzewał, że mowa konsula będzie go dotyczyć. Sądził, że Cynceron, przerażony, już prędzej rzeknie się urzędu, niż zaatakuje jego.

- Jak jeszcze długo twoje szaleństwo będzie z nas drwiło? - kontynuował Cynceron tym samym wzburzonym tonem. Jego oczy zdawały się płonąć w twarzy oświetlonej tak, że wydawała się bardzo blada, podobnie jak toga, którą miał na sobie. - Do jakiego stopnia będzie tobą miotać twoja nieokiełznana zuchwałość? Czyż nie wzruszyło cię ani trochę nocne posiedzenie na Palatynie, straż miasta, bojaźń ludu, współdziałanie wszystkich obywateli, to najbardziej obwarowane miejsce senatu, ich twarze i spojrzenia?

Poprzedniego wieczoru odbyło się bowiem nadzwyczajne posiedzenie na Palatynie, Cynceron powołał do życia bojówki mające chronić obywateli przed oddziałami Katyliny, kuria zaś została obwarowana strażą.

- Czy nie dostrzegasz, że twoje plany są widoczne? - grzmiał konsul. - Nie widzisz, że twój spisek został ujawniony, jako że wszyscy o nim wiedzą?

Wśród senatorów przeszedł pomruk. Ci, którzy siedzieli najbliżej Katyliny, odsuwali się teraz od niego, on zaś pozostawał w coraz większym osamotnieniu.

- Co robiłeś poprzedniej nocy? - zapytał Cynceron. - Co ostatniej nocy? Gdzie byłeś? Kogo zwołałeś? Jaką radę podjąłeś? Kogo z nas chciałeś oszukać?

Hańba, powtarzali senatorowie po cichu. Cezar oparł się wygodnie o ławę i obserwował spod oka Katylinę i jego reakcje, dziękując w duchu Fortunie, że nie dał się latem namówić

na jego propozycje przystąpienia do spisku. Wiedział, że część senatorów siedzących w kurii należała do związku Katyliny.

- O czasy! O obyczaje! - wykrzyknął Cynceron, przytykając ręce do głowy i łapiąc się za nią. - Senat to dostrzega, konsul widzi, ten jednak żyje! - Tu wskazał palcem wprost na Katylinę, który starał się być możliwie jak najmniejszy. - Żyje? Mało tego, przybywa do senatu, staje się uczestnikiem publicznej narady, wyznacza i wskazuje wzrokiem na śmierć każdego spośród nas. My zaś, dzielni mężowie, wiemy, że dość czynimy Republice, jeśli unikamy szaleństwa i ciosów tego tam.

Cezar stłumił ironiczny uśmiezek cisnący mu się na usta. Tak, wiedział, że Cynceron wpadnie w ton dramatyczny, jakby rodem z tragedii Sofoklesa, a poza tym będzie ciskał w Katylinę swoim sarkazmem. Tego można było się spodziewać.

Pozostała część mowy wypowiedziana została w tonie równie dramatycznym i wzniosłym. Kiedy po skończonych obradach senatorowie opuszczali budynek kurii, nikt nie szedł w towarzystwie Katyliny, on sam zaś oddalił się czym prędzej jak niepyszny.

Ale Cynceron nie miał jeszcze dość i zapragnął wypędzić spiskowca z miasta. Ponieważ rozeszły się już pogłoski, iż zamierza to uczynić, aby nie narażać na szwank swojej opinii, wygłosił drugą mowę, równie płomienną jak pierwsza.

Tym razem Katylinę nie zaszczycił posiedzenia swoją obecnością, ale i tak słowa konsula dotarły do niego.

- Ponieważ tak się sprawy mają, Katylino, postępuj tak, jak zacząłeś, oddal się wreszcie z miasta, bramy stoją otworem, wyjdź!^{III} - przemawiał rozjuszony konsul do nieobecnego zbrodniarza. - Wyprowadź także ze sobą wszystkich swoich zwolenników, jeśli zaś nie wszystkich, to przynajmniej jak największą liczbę! Tu rozejrzał się po zgromadzonych senatorach, jakby chciał wzrokiem wskazać winnych. Ci jednak nie przybyli na posiedzenie senatu, przerażeni oskarżeniami, które padały wprost z mównicy.

- Oddal się z miasta, Katylino, uwolnij Republikę od strachu, na wygnanie, jeśli obawiasz się wyroku, odejdź! - kontynuował Cynceron. - Jeżeli zaś wolisz służyć swojej sławie

i chwale, oddał się z uciążliwą gromadą splamionych zbrodnią, przyłączył się do Manliusza, zwołaj nikczemnych obywateli, oddziel się od zacnych ludzi, wydaj wojnę ojczyźnie, napawaj się występłą intrygą, aby widziano, że nie wypędziłem cię do obcych, lecz że poszedłeś zaproszony do swoich!

Wkrótce potem Katyliną wyjechał do swoich oddziałów w Etrurii, ale zanim zdążył cokolwiek uczynić, nieoczekiwanie zmarł. Cynceron wygłosił trzecią mowę, informując lud rzymski, co się wydarzyło, a następnie zabrał się do przygotowywania czwartej, równie zjadliwej, mającej na celu roztrzęsienie, co zrobić ze spiskowcami.

Tak więc dnia ósmego przed Nonami grudniowymi w świątyni Konkordii zwołano nadzwyczajne posiedzenie senatu, mające na celu orzeczenie wyroków na spiskowców. Cynceronowi spieszyło się ogromnie, gdyż za trzy tygodnie miał złożyć urząd konsula i stać się prokonsulem, któremu przysługiwałby zarząd nad prowincją. Czasu miał niewiele na przegłosowanie i wykonanie ewentualnych wyroków.

Cynceron przewodniczył obradom i wedle utartego zwyczaju pytał każdego zgromadzonego o zdanie. Jako pierwszy zabrał głos Decymus Syllanus, desygnowany na konsula na rok następny. Opowiedział się za najwyższym wymiarem kary dla spiskowców.

Zdania pozostałych senatorów wahały się między wyrokiem śmierci a długoletnim więzieniem, bowiem obywatela rzymskiego nie można było sprzedać w niewolę. Wreszcie nadeszła kolej na Cezara i Cynceron zadał pytanie, które padało już wcześniej.

- Powiedz ty, Gajuszu Juliuszu Cezarze, co sądzisz o tej sprawie.

Na sali zapadła cisza. Nikt nie śmiał się odezwać. Cezar zaś wstał i rozpoczął mowę w pełni świadomy faktu, że na sali znajdują się tacy, którzy by go chętnie dołączyli do listy spiskowców, między innymi Katulus, jego zniechęcony wróg.

Dlatego Cezar zaczął od potępienia spisku i jego uczestników, nazywając całą sprawę niesłychaną zbrodnią, a spiskowców matkobójcami, jako że działali na szkodę

ojczyzny, która jest matką ich wszystkich. Potem jednak zaczął optować przeciwko karze śmierci.

- Zbrodnia tego rodzaju, senatorowie, przekracza wszelką karę, jaką może wydać ludzkość - tłumaczył. - Kara śmierci zaś nie pochodzi od ludzi. Śmierć ustanowili bogowie nieśmiertelni jako wybawienie, jako odpoczynek po trudach życia. Jakie cierpienie spotka tych zbrodniarzy, kiedy odbierze im się życie? Żadne! Śmierć stanie się dla nich nagrodą, wyzwoleniem od życia w hańbie i powszechnej pogardzie, wyzwoleniem od dożywotniego cierpienia i bólu, zasłużonego po tak perfidnie przygotowanej zbrodni, która, na szczęście, nie doszła do skutku. Oni zaś powinni zostać ukarani proporcjonalnie do wymiaru uczynku. Poza tym, senatorowie, czy jest w mocy konsula rzymskiego skazywać na śmierć spiskowców bez wytoczenia im zgodnego z prawem procesu sądowego? - indagował Cezar. - Jakkolwiek określamy tych ludzi mianem zbrodniarzy, nie zapominajmy jednak, że są oni obywatelami rzymskimi, a nie bydłem na sprzedaż czy niewolnikami, którymi można rozporządzać wedle własnej woli. Zasługują na uczciwy proces z możliwością obrony, byśmy poznali motywy ich poczynań. W czasach królewskich powstało to nienaruszalne prawo, jak dotąd niezłamane, i pomyślcie, co się stanie, jeśli urzędujący konsul odważy się je złamać dla własnej satysfakcji. Pomyślcie, co się stanie, jeśli do władzy dojdą przeciwnicy urzędującego konsula! To, co teraz proponuje, stanie się bronią w ręku jego wrogów, atutem nie do podważenia w sytuacji dla nich sprzyjającej. A nade wszystko, postępując w tak bezprawny sposób, dajemy na to przyzwolenie w przyszłości, w odniesieniu do każdego obywatela rzymskiego, który stanie pod jakimkolwiek oskarżeniem. Czy tak ma wyglądać rzymskie prawo? Tak ma wyglądać rzymska sprawiedliwość? Czy ośmielacie się posyłać na śmierć rzymskich obywateli tylko dlatego, że ich wódz nie żyje i za nimi nie stoi żadna potęga? A gdyby stała? Czyż przywileje obywatelskie nie dotyczą każdego Rzymianina? Zamiast więc posyłać tych nikczemnych zbrodniarzy na śmierć, proponuję, by ich porozsyłać do więzień w rozmaitych miastach italskich, by tam dokonali żywota,

majątek ich zaś skonfiskować i rozdać potrzebującym, rodziny wypędzić. Takie jest moje zdanie.

Na sali najpierw zapadła cisza, potem zaś senatorowie zaczęli się nawzajem przekrzykiwać, jeden przez drugiego wysuwając najrozmaitsze propozycje. Wreszcie Cynceron wygłosił mowę, w której brał na siebie odpowiedzialność za podjęte w kurii uchwały, czyniąc ruch bardzo niebezpieczny i ryzykowny, za który miał w przyszłości zapłacić wysoką cenę.

Wreszcie wystąpił publicznie Katon Młodszy, chłoscząc Cezara jak biczem słowami, przemawiając za karą śmierci dla spiskowców. Katon był do tego stopnia nieustępliwy, konserwatywny i głupi, że w końcu sprowadził nieszczęście na własny obóz polityczny. Ale tego dnia święcił swój triumf, bo oto pokonał Cezara w walce na słowa i sprawił, że wszyscy przychyłili się do jego projektu. Cynceron otrzymał upoważnienie do wydania rozkazu egzekucji spiskowców, podczas gdy politycy z obozu optymatów ściskali dłonie Katona i gratulowali mu wspaniałej przemowy.

Był już późny wieczór, kiedy Cezar opuścił kurie, z trudem powstrzymując złość i rozczarowanie. Zmrok szybko zapadał nad miastem, pogrążając je w ciemnościach, które rozpraszały jedynie pochodnie na ulicach. Kiedy Cezar przechodził przez plac przy świątyni Konkordii, ekwici sprawujący tam straż zaczęli sypać w jego stronę wyzwiska i pogrożki, wyciągając miecze i podchodząc z nimi bliżej. Gdyby nie przyjaciele, którzy osłonili go własnymi togami i odprowadzili bezpiecznie do domu, niechybnie straciłby życie, jako że sam był bez broni, a zapowiadało się już na rozruchy uliczne.

Kiedy wreszcie dotarł do domu i trzymał w trzęsących się rękach puchar z winem, doszedł do wniosku, że należy skończyć z uczciwą polityką, bo tym sposobem nigdzie się nie dojdzie.

- W nadchodzącym roku czeka mnie pretura - mówił do siebie pod nosem. - Potem otrzymam w zarząd prowincję i już się postaram, by dokonać tam czegoś nobliwego, co otworzy przede mną szansę odbycia triumfu. A potem sprzedam własną duszę Plutonowi i straszliwej Prozerpinie,

by zdobyć konsulat. I zdobędę go. Zobaczymy, Katonie, czy wtedy też będziesz taki wygadany i sprytny.

Podczas gdy w Tullianum, więzieniu miejskim, spiskowcom odczytywano wyrok śmierci, a na Forum szykowano się do jego wykonania, Cezar pogrążał się w swoich rozmyślaniach, przekonany już co do dalszej drogi ku zaszczytom, jaką zamierzał podjąć. Był pewien, że tym razem nikt mu nie stanie na przeszkodzie.

^I Parafraza słynnego powiedzenia Katona Starszego *Ceterum censeo Kartaginem delendam esse* - „Poza tym uważam, że Kartaginę należy zburzyć”.

^{II} Cytaty pochodzą z I mowy przeciwko Katylinie, przekład własny.

^{III} Cytaty zaczerpnięte z II mowy przeciwko Katylinie, tłumaczenie własne.

XI

Galvan usiłował skupić się na zadaniu, jakie go czekało. Nie było to łatwe, ponieważ głowę miał pełną nocnych wrażeń i szeptu Uatah. Czuł ciągle jej zapach i smak jej ust, gorąco jej oddechu, dotyk ramion, palce wplatające się w jego włosy, jej biodra przy swoich, jej stopy dotykające jego stóp, piersi falujące ciężko w oddechu i włosy spływające kaskadą na ramiona. Wszystko to budziło w nim namiętność, tęsknotę, nadzieję na spełnienie obietnic, jakie nieświadomie składała mu swoim ciałem.

Wczoraj w nocy był przeświadczony, że podoła każdej próbie i że z kolejnej wyjdzie zwycięsko. Dzisiaj jednak jakby nie pamiętał o sprawdzianie, a jego zmysły żyły własnym życiem, niepomnie rozkazów jaźni, wciąż na nowo powracając do rozkoszy minionej nocy, do widoku Uatah w blasku księżyca.

Galvan czuł, że jest zakochany i po raz pierwszy w życiu zdawał sobie z tego całkowicie sprawę. W tej chwili nie pamiętał już, co mówiła Scatah, nie pamiętał nauki druidów i ostrzeżeń Maerina, by żaden z nich nie ośmielił się pokładać uczuć w córce mistrzyni, bo może przyplacić to nawet utratą zmysłów. Ale Galvan czuł się potężny, jakby miłość pulsująca w żyłach dodawała mu skrzydeł.

Stali na tej samej polanie, na której przed rokiem poddawani byli próbie ognia czy może raczej próbie strachu. Powietrze przepełnione było zapachem jesieni i nieoczekiwanie dla samego siebie Galvan poczuł tęsknotę za domem. Jesień była tajemniczą porą roku, kiedy stykał się stary rok z nowym, kiedy podczas święta Samain składano odwiecznym bogom ofiary, czego on nigdy nie widział, kiedy błagano bogów

o urodzaj i obfitość plonów w roku następnym.

- Tej próby nie musicie się obawiać - głos Scatah przywrócił Galvana do rzeczywistości. - Tutaj nie musicie wykazywać się umiejętnością pokonywania bólu. Tu liczy się wasza wiara we własne umiejętności.

Galvan poczuł, że pot występuje mu na skronie. Ona wie, pomyślał. Wie o naszym nocnym spotkaniu i milczy, by chronić córkę. Ona ma wizje, wie o wszystkim, kontaktuje się z bogami, zna moje myśli i wie, co czuję do Uatah. I to ją cieszy, ale nie wiem, dlaczego tak jest.

Zielone oczy Scatah zdawały się być straszliwie zimne. Nigdy nie przyszło to Galvanowi do głowy, bo też nigdy nie zwracał większej uwagi na kolor jej oczu. Teraz jednak spostrzegł, że są zielone, chłodne, nieprzeniknione i straszne. Jak oczy kota świecące w ciemnościach.

- Ta próba nazywa się Mostem Skoków - powiedziała Scatah.

Galvan czekał na wyjaśnienia, ale ich nie otrzymał. Zamiast tego Scatah uczyniła nieznaczny ruch ręką i oczom zdumionych adeptów ukazał się most zawieszony w próżni. Był wąski i długi, przypominał wydłużony miecz, nie miał ani końca, ani początku, a jego oba krańce jakby rozpląwały się w powietrzu.

- Uatah - odezwała się mistrzyni.

Uatah podeszła na odległość ramienia, po czym podskoczyła wysoko do góry i wylądowała na samym środku mostu, który zakołysał się pod nią lekko i wrócił do poprzedniej pozycji.

Dziewczyna stała nieruchomo, spoglądając na nich nieprzeniknionym wzrokiem, jak spiżowy posąg wznoszący się ku niebu. Nagle skuliła się i zeskoczyła na ziemię, nie robiąc sobie najmniejszej krzywdy.

- To niemożliwe - szepnął któryś z uczniów.

Scatah przeszła go wzrokiem.

- Ty zacznasz - powiedziała. - Macie trzy próby.

Młody człowiek stał bezradnie wobec tego zjawiska, magicznego mostu, którego istnienie przekraczało zdolność jego pojmowania. Niebo nad ich głowami było niesamowicie

niebieskie, tak bardzo, że oczy bolały od patrzenia na nie. Wiatr szumiał delikatnie, poruszając konarami drzew.

Chłopak podskoczył, ale nie dotknął mostu nawet rękami.

- Jeszcze raz - odezwała się Scatah.

Chłopak skupił się i znowu podskoczył. Tym razem udało mu się wylądować na moście, ale ten zachwiał się pod jego stopami, stał się cienki i śliski, tak że nie sposób było na nim ustać. Adept spadł na ziemię, nic sobie wprawdzie nie robiąc, ale czując upokorzenie i wstyd, że pokonała go dziewczyna. Zmusił się do podskoku trzeci raz, ale sytuacja powtórzyła się i chłopak znowu nie mógł utrzymać się na moście.

Następny nie był w stanie w trzech próbach wskoczyć na most. Dwóm kolejnym udało się wskoczyć za trzecim podejściem, ale pospadali z mostu, który raz stał się niesamowicie cienki, następnie podniósł się wysoko, unosząc ze sobą krzyczącego ze strachu chłopaka, aż wreszcie zaczął się kołysać niczym statek na morzu w czasie sztormu.

Scatah i Uatah obserwowały zmagania adeptów ze swojego domu, stojąc beztrosko na tarasie. To znaczy Scatah stała beztrosko, przyglądając się ich wysiłkom i wykrzykując polecenia. Uatah starała się zachować zimną krew, ale nie udawało jej się to tak doskonale jak matce. Każdemu kolejnemu życzyła, aby zleciał. Kiedy zaś lainowi udało się przy trzeciej próbie wskoczyć na most i utrzymać się na nim, po czym spokojnie zejść, omal nie rzuciła w niego kamieniem ze złości.

Galvan obserwował most i usiłował ocenić jego punkt ciężkości. Domyślał się, że cała sztuka polega na tym, żeby wskoczyć na most w takim miejscu, gdzie nie może się on ani unieść, ani wygiąć, ani stać się cienki jak włos, bez względu na to, czy jest prawdziwy, czy też stanowi tylko wytwór jego wyobraźni.

Przypomniał sobie słowa Uatah wypowiedziane w nocy. Przypomniał sobie swój sen. Wiara w siebie. Zabił się, bo nie wierzył w swoje umiejętności. Ale to nie miało nic wspólnego z próbą. Czy więc uda mu się wskoczyć na most?

Pomyślał o nauce wskakiwania na konia z dystansu. Scatah uczyła ich wskakiwać z rozbiegu, by trafić na sam środek

grzbietu, żeby nie zlecieć z zadu ani nie wpaść na końską szyję. Czy uda mu się tak obliczyć odległość i prędkość rozbiegu, aby wskoczyć na most i nie spaść z niego?

A poza tym, czy ta próba miała być taka łatwa? Wskoczyć na most i już? To była cała trudność? Dlaczego inni pospadali?

Ledwo to pomyślał, kiedy nagle most zaczął zatracać swe kontury. Nie widzę, stwierdził Galvan z przerażeniem. Nie mogę dostrzec! Dlaczego?

Bo nie wierzysz, usłyszał w myślach odpowiedź. Trudność nie polega na tym, by wskoczyć, lecz by się utrzymać na moście.

Scatah przekazywała mu odpowiedź w myślach.

I na tym polega wiara we własne możliwości? Wskoczyć na most?

Nie na tym, odparł głos w jego głowie. Czy ty wiesz, co tak naprawdę robisz? Ten most nie istnieje. Tkwi tylko w twojej wyobraźni. Ty wskakujesz na powietrze, dokonujesz czynu niemożliwego.

Galvan stał jak wryty. Skoro mostu nie ma, to jakim cudem on ma się utrzymać w pionie?

Rozpędził się i skoczył do góry. Wylądował na środku mostu, ale ten nagle zwęził się do nieprawdopodobnych rozmiarów i Galvan musiał czym prędzej zeskoczyć, by nie spaść dwa łokcie w dół.

Na tarasie Uatah zacisnęła pięści. Matka położyła jej dłoń na ramieniu w uspokajającym geście.

Znów przypomniał sobie sen. Latał, unosił się w powietrzu. To przecież niemożliwe.

Ogień. Tamten ogień, który ona rozpałała, też był magiczny. Otwierał nieznanne zakamarki jego duszy, wskazywał drogę w umyśle. Wiara we własne możliwości. Ten most to alegoria, to tylko obraz, nauka, że zdarzają się sytuacje, w których trzeba wierzyć w siebie.

Jaka będzie kolejna próba?

Most. Trzeba na niego wskoczyć. Jak wskoczyć na coś, co nie istnieje? Jak można dotknąć czegoś, co nie ma materii?

A miłość? Czujesz ją, ale nie widzisz. Pragniesz jej, chociaż

jest tylko ułudą, wytworem twojej wyobraźni i potrzeb. A tęsknota? Boli cię i dręczy, a przecież nie istnieje. Tkwi jedynie w twoim sercu i w umyśle.

Słowa Scatah dosięgły go jak tchnienie wiatru. Miał wrażenie, że stoi tak całą wieczność, choć w rzeczywistości minęły sekundy.

Jak możesz być wybranym, skoro nie potrafisz wskoczyć na zwykły most?

- Ja nie chcę być wybranym! Nie prosiłem o to!

Ale jesteś i nie zmienisz tego. Jak możesz pokonać wroga, skoro jesteś niewolnikiem własnych zmysłów? Jak chcesz zdobyć nieśmiertelną sławę, skoro nie potrafisz zdobyć wiary w siebie? A przecież wczoraj ją miałeś!

- Skąd możesz to wiedzieć?

Ja wiem wszystko, synu Celtyllusa, co było, jest i będzie. Ale o swojej przyszłości decydujesz ty sam.

Galvan spojrzał przed siebie i jego oczom znowu ukazał się most. Zamknął oczy i uśmiechnął się na wspomnienie bliskości Uatah.

Nagle drgnął. Środek ciężkości człowieka nie znajduje się dokładnie w jego połowie. Znajduje się nieco wyżej, tak jak środek ciężkości miecza nie tkwi idealnie tam, gdzie można by się spodziewać. Gdyby tak było, spadłby z konia, leżąc w poprzek jego grzbietu.

Spojrzał jeszcze raz na most, nieco powyżej jego połowy. Jeśli tam wskoczę, nie spadnę, a on się nie zachwieje. Iain to spostrzegł albo po prostu miał szczęście. Ja muszę to zobaczyć.

Odszedł nieco od mostu, wziął rozbieg i wzbił się wysoko w powietrze. Przez chwilę miał wrażenie, że szybuje jak w swoim śnie. Widział, jak magiczny Most Skoków pod nim się zbliża i wreszcie stanął na nim na szeroko rozstawionych nogach.

I nic się nie działo. Most nie wznosił się do góry ani nie stawał się wąski, nie kołysał się ani nie był śliski. Galvan stał spokojnie, nie mogąc uwierzyć we własne zdolności. Jego świeżo nabyta pewność siebie była niczym w porównaniu

z wczorajszą, kiedy trzymając w ramionach Uatah, miał wrażenie, że posiadał cały świat.

Zeskoczył z mostu na ziemię, wciąż porażony samoświadomością, która w nim powstała.

Most na ich oczach zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Próba była zakończona. Trzech z nich musiało dołączyć do tych, którzy odpadli przy pierwszej próbie, piątka przechodziła dalej, do ostatniej próby. Po tym miało zostać trzech wtajemniczanych przez Scatah.

Galvan uniósł głowę i napotkał promienny wzrok Uatah. A więc zrobił to. Dokonał niemożliwego i uzyskał prawo nauki u Scatah przez następny rok, aż do momentu ostatecznego wtajemniczenia.

Wiedziała, że to zrobisz, zadzwieczał głos w jego myślach.

Kiedy się odwrócił, ujrzał na twarzy Scatah kpiący uśmiech.

- Więcej wiary w siebie, Galvanie - powiedziała już głośno, idąc w stronę adeptów. - Potrafisz dużo więcej niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Ale Galvan miał to sobie uświadomić dopiero z czasem.

Po odbyciu kolejnej próby Galvan zauważył, że znowu coś uległo zmianie. Naturalnie, było ich teraz tylko pięciu, wszystkie ćwiczenia i treningi przybrały więc charakter jakby bardziej intymny. Między uczniami i ich mistrzynią powoli nawiązywała się emocjonalna więź, zupełnie jakby Scatah wysyłała do nich sygnały i odbierała ich myśli. Jakby chciała zacieśnić stosunki między nimi, uczynić z nich rodzinę, w której ona odgrywałaby rolę matki, nauczycielki i kochanki, oni zaś byliby uczniami, braćmi i towarzyszami łoża.

I jakże wielkie było zdumienie Galvana, gdy Scatah pewnego dnia oznajmiła im, że mają kłaść się razem na jednym pościeliu, by każdy miał obok siebie przyjaciela w boju. W pierwszej chwili poczuł obrzydzenie i naturalny wstręt na myśl o tym, ale kiedy leżał już wśród swoich towarzyszy, jego uczucia się zmieniły. Nieoczekiwanie zawładnęło nim poczucie wspólnoty i jedności, kiedy tak leżał w otoczeniu przyjaciół, kiedy wsłuchiwał się w ich jednostajne oddechy i serca bijące w tym samym rytmie co jego.

Początkowo też usiłował wyobrazić sobie, że obok niego leży Uatah. Jednak po jakimś czasie stwierdził, że zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że śpi wśród młodych mężczyzn, że dotyka swoim ciałem ich ciała i że traktuje to jako coś naturalnego. Pomyślał o obyczajach u Greków, o których opowiadali druidzi, i zastanawiał się, czy Scatah chodzi o wytworzenie tego rodzaju więzi, ale to było bardziej poczucie braterstwa, więzi cielesnej i umysłowej niż pobudzenie zmysłów. Scatah nie chciała, by postępowali wbrew naturze.

Walki z Uatah także zmieniły charakter. Stało się jasne, że dziewczyna ma za zadanie pobudzać swoich przeciwników, przygotować ich do ostatecznej inicjacji przyszłej jesieni, do zespolenia z nauczycielką. W walce Galvan nie wahał się już zadawać ukochanej ciosów, które nie raz powalały ją na ziemię. Widział, że jest zadowolona z jego rosnących umiejętności, podobnie jak jej matka, która przyglądała się temu z tarasu swego domu.

Co zaś było najbardziej zdumiewające i przerażające, Scatah podczas walk na miecze z uczniami była naga. Nie przywdziewała żadnej szaty, nie zasłaniała niczego, każąc im także walczyć bez ubrania i odsłaniać swoje ciała. Początkowo chłopcy buntowali się przeciw temu, ale Scatah wyjaśniła, że w dawnych czasach nagość wojownika stanowiła część rytuału, była sacrum i że wszyscy Celtowie walczyli nago, podobnie jak wieki temu Grecy.

Galvan zauważył jeden pożytek płynący z takiego stanu rzeczy. Nie był skrępowany odzieniem, jego ruchy stały się bardziej płynne i precyzyjne, a on sam w krótkim czasie wyzbył się wstydu, ponieważ koncentrował się na jej ciosach zadawanych mieczem, nie zaś na nagości obojga. Po jakimś czasie w ogóle nie zwracał na ten szczegół uwagi.

I oto któregoś zimowego dnia stała się rzecz niezwykła. Galvan odparował cios, który miał go zranić, po czym wykonał kontrnatarcie i nie do końca zdając sobie z tego sprawę, wytrącił Scatah miecz z ręki, swój zaś przyłożył do jej gardła. Kiedy zrozumiał, że trzyma ją w bolesnej pozycji, z rękami wykręconymi do tyłu, nogami zakleszczonymi w uścisku swoich

własnych potężnych ud, z zimnym mieczem tuż przy jej szyi i że czuje jej głęboki oddech i ciepło rozgrzanego ciała, oniemiał. Wyzwolnił ją z morderczych objęć i upuścił miecz w śnieg, nie śmiać spojrzeć jej w oczy.

Ale Scatah podniosła się z klęczek, podeszła do niego i poklepała po ramieniu.

- Bardzo dobrze - pochwaliła. - Widzę, że twoje ruchy nabrały szybkości i zwinności. Bardzo dobrze, Galvanie.

On zaś unikał jej wzroku, bo nagle uświadomił sobie, że stoi przed nią w samych tylko futrzanych butach i przepasce na biodrach dla zatrzymania ciepła. Tak bowiem walczyli zimą. Starał się nie patrzeć na jej wspaniale umięśnione, gibkie ciało, bo to pobudzało jego zmysły, nad którymi nauczył się wprawdzie panować, ale nie do końca.

Scatah posłała mu pełen zadowolenia uśmiech i kazała podnieść miecz do nowej walki.

Od tamtego czasu wielokrotnie zdarzyło mu się pokonać nauczycielkę w walce, ona zaś za każdym razem była z niego coraz bardziej zadowolona. Nie wszystkim udawała się ta sztuka. Iain tylko raz zdołał wygrać ze Scatah, co zostało mu policzone na plus, jeszcze inny adept, Selain, był tego bliski, ale ostatecznie mu się nie udało. Tak więc tylko Galvan odnosił na tym polu niezaprzeczone sukcesy.

Jego towarzysze patrzyli na to z pewną zazdrością, sądząc, że Scatah w jakiś sposób faworyzuje Galvana, czego z kolei nie potrafili zrozumieć. Iain domyślał się uczuć Galvana wobec Uatah, ale nie wtrącał się w jego sprawy. Natomiast jeśli chodzi o Scatah, to jasne było, że ma ona względem Galvana jakieś plany, w które niekoniecznie chce wtajemniczać pozostałych.

Zima mijała podobnie jak wszystkie poprzednie, wypełniona trudem i wysiłkiem. Chłopcy zmieniali się, męźnieli, ich ciała nabierały coraz bardziej dojrzałego kształtu. Zmienił się ich sposób patrzenia na świat i sami spostrzegli, że u progu dziewiętnastej wiosny życia niewiele w nich pozostało z tamtych nieco przestraszonych chłopców, którzy przybyli do doliny pod opieką Maerina.

Dziwne było to, że mądre słowa druidów nadal dźwięczały

w ich pamięci, niezatarte najmniejszym nawet śladem zapomnienia.

Nie zmieniała się tylko Scatah. Dobiegając czterdziestki, nadal wyglądała jak młoda dziewczyna. Właściwie nikt nie wiedział, ile ma lat, a stojąc przy swojej córce, wyglądała raczej na jej siostrę – równolatkę. Ilekroć zaś Galvan spoglądał na nią, wracał mu w pamięci tamten sen sprzed wielu lat i wtedy młodzieniec stawał w płomieniach, zdając sobie sprawę, że Scatah była w pełni świadoma, co przeżył.

Wspólnota, to właśnie odczuwał Galvan na myśl o swoich przyjaciołach. Kochał ich wszystkich, a oni kochali jego, wytworzyła się między nimi specyficzna więź, na pół braterska, na pół duchowa. Związani byli ze sobą nie tylko przez pochodzenie z jednego plemienia, walkę i szkolenie u tej samej mistrzyni, ale i poprzez dzielenie się jedzeniem, łóżem i własnymi ciałami. Tej zimy Galvan posmakował tego, o czym kiedyś wspominał Maerin o wspólnocie wśród wojowników, obdzielaniu się nawzajem sobą. Był to przedsmak nocy z kobietą, nocy w ramionach Scatah. Pierwsze wtajemniczenie, poznanie własnej cielesności, ale już nie samemu, lecz dzieląc się z innymi tym, co się przeżywa.

Było to niesamowite, mistyczne i wiążące. Tego rodzaju praktyki trwały przez trzy pełne zimowe miesiące i zakończone były spełnieniem ślubów krwi. Po nocach spędzonych razem młodzi mężczyźni nawiązali wzajemnie braterstwo krwi, a to oznaczało, że w przyszłości nie mogli walczyć przeciwko sobie.

Galvan wiedział, że to jest wstęp do poważniejszych rytuałów, mających z nich ostatecznie uczynić wojowników. Wiedział, bowiem Scatah odsłoniła przed nim rąbek tajemnicy: podczas ceremonii ostatecznego zawarcia braterstwa będą musieli wypić nawzajem swoją krew, by w ten sposób całkowicie się ze sobą zjednoczyć. Był to prastary rytuał, którego znaczenie znała jedynie Scatah i jej podobne kobiety oraz druidzi przekazujący tę wiedzę następnym pokoleniom.

I Galvan drżał na myśl o tym, co go czeka, bowiem w tym zawarta była prawdziwa moc, potęga i magia wojowniczkich – czarownic, która miała odkryć przed nimi odwieczne prawdy

życia.

Na razie jednak czekała ich trzecia, ostatnia próba, którą Scatah nazwała próbą ostrza.

Wtedy Galvan zrozumiał, do czego odnosił się jego sen sprzed roku i na czym polega ostatni sprawdzian nabytych umiejętności.

Scatah stała na tarasie swego domu i spoglądała w dół na dolinę. Jej wzrok wydawał się być nieprzenikniony, ale oczy lśniły jak u drapieżnego zwierzęcia, kiedy spojrzenie prześlizgiwało się z miejsca na miejsce.

- Ostatnia próba przed nimi - odezwała się, kiedy Uatah weszła na taras. - Jeżeli wyjdą z niej cało, to już będzie wielki sukces.

Uatah niosła przed sobą miecz, długi i ciężki. Wypolerowany lśnił w blasku słońca.

- Myślisz, matko, że ktokolwiek potrafi przejść tę próbę? - zapytała. - Sama mówiłaś, że od stu lat nikt nie zdołał tego dokonać.

- Celtyllus był blisko - odparła Scatah w zamyśleniu. - Matka opowiadała mi, że zdołał się położyć, ale nie utrzymał się na ostrzu.

- A ten sen, który zesłałaś na Galvana? - zapytała Uatah po chwili. - Pokazałaś mu tę próbę już przed rokiem. Dlaczego?

- Żeby był na nią gotowy. On jest tym, na kogo czekaliśmy tak długo. Każdy naród na kogoś czeka. My wyglądaliśmy kogoś, kto połączyłby wszystkich Celtów w jeden naród.

- I myślisz, że to akurat on?

- Widziałam znaki, Uatah. Gwiazdy do mnie przemówiły tej nocy, kiedy on przychodził na świat. Pewnego dnia do ciebie też przemówią, wskazując ci tego jedyne go ucznia, którego zechcesz poprowadzić. On wyszedł obronną ręką już z dwóch prób. Nie pamiętam, by ktokolwiek przed nim wytrzymał w świętym ogniu tak długo, nie robiąc sobie najmniejszej krzywdy.

- A co potem, matko? - chciała wiedzieć Uatah. - Kiedy on już pokona próbę, zostanie wtajemniczony i tak dalej?

- Kiedy twój wybrany zapłodni cię, opuścimy dolinę i udamy

się na Sein, żebyś urodziła dziecko wśród naszych sióstr. Ty spędzisz tam rok, ja wrócę tutaj. Na Sein odbędę rytuał oczyszczenia po obcowaniu z mężczyznami, a potem Maerin przywiezie mi kolejnych uczniów. Zawsze tak było, Uatah.

Uatah oparła miecz o ziemię i spojrzała na szczyty gór otaczające dolinę.

- A jeśli mu się nie uda? - zapytała. - Przesyłałaś mu swoje wizje. Widziałaś, co może się stać.

- Wiem, co chcesz usłyszeć - uśmiechnęła się Scatah. - I dobrze wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. Ostrzegałam cię kilka lat temu, ale ty sama wybierasz swoją drogę i swoje przeznaczenie. Ja nie mogę za ciebie zdecydować.

Uatah spuściła głowę, a płomiennorude warkocze opadły jej na piersi.

- Już czas - powiedziała Scatah. - Zwołaj ich i pamiętaj, że nie wolno ci zamienić z nim ani jednego słowa. To jest próba ostateczna.

Uatah wiedziała, co to oznacza, gdyż sama poddawana była próbie miecza. Na ten sprawdzian składały się dwa elementy - wiara w rzeczy niemożliwe do wykonania i wyzbycie się lęku przed śmiercią. Była to ostatnia tajemnica walki, którą wojownicy musieli sobie przyswoić. Uatah pamiętała doskonale, jak sama bała się wstąpić na idealnie wypolerowane ostrze, połyskujące groźnie jak sama śmierć.

Ale zrobiła to, leżała na mieczu, wisiała na jego krawędzi, wiedząc doskonale, że w każdej chwili ostrze może wbić jej się prosto w serce. Dopiero później matka wyjaśniła jej, że miecz nikomu nie wyrządzi krzywdy, nie wbije się w ciało, ponieważ jest to miecz magiczny. Tak jak ogień nie mógł nikogo spalić, jak most był wytworem magii i wyobraźni, tak miecz nie służył do zabijania. Został przywieziony z pierwotnych siedzib Celtów, ze Wschodu, z czasów, kiedy nie byli jeszcze Celtami, ale należeli do wielkiej wspólnoty językowej, z której dopiero wyłaniały się zaczątki plemion.

Miecz ten liczył bez mała trzy tysiące lat i nikt, nawet Scatah, nie pamiętał już jego historii. Nikt nie potrafił powiedzieć, kto w dawnych czasach był właścicielem świętego

ostrza ani kto zapoczątkował rytuał ostatniej próby.

Idąc do siedziby uczniów, Uatah rozmyślała, jak wiele dawnych rytuałów odeszło w zapomnienie. Siostry z wyspy Sein uczyły ją dawnej magii, zapomnianej już, którą ludy indoeuropejskie poznawały na stepach azjatyckich. Uczyły ją rytualnego małżeństwa królowej koni, magicznych rytuałów płodności, ofiary z byka, corocznego obrzędu składania ofiar ze złoczyńców, który jako jedyny przetrwał jeszcze, wtajemniczenia bojowego mężczyzn i wspólnych nocy wypełnionych orgiami. Obecnie zawężyło się to do spania na tych samych posłaniach, w uścisku jedności, i nie miało nic wspólnego ze starożytnym poznawaniem się nawzajem.

Oni, Celtowie, byli ostatnim bastionem dawnej wiedzy w świecie, gdzie rozprzestrzeniała się cywilizacja rzymska, zalewająca Europę i Azję, zmieniająca wszystkie ludy dookoła w Rzymian. Uatah wiedziała, że Grecy zapomnieli już o dawnych wierzeniach, że jedynie ceremonie eleuzyjskie pozostały żywe w ich kulturze. Coroczna ofiara z byka zmieniła swój charakter i teraz palono placek w kształcie zwierzęcia. Rzym wyciskał piętno na wszystkich ludach wokół, narzucał swoje bóstwa i ceremonie. Egipcjanie nie potrafili już odczytać dawnych napisów w świątyniach, tylko uczeni znali dawny egipski język i posiadali umiejętność rozszyfrowania hieroglifów, ale już nie potrafili ich zrozumieć. Ludy Wschodu wymyślały coraz to nowe religie i kultury, odchodząc od dawnych wierzeń. Już tylko tutaj, na Północy, w Celtyce i w Albionie dawne wierzenia były nadal żywe i tylko oni, strażnicy i strażniczki mieli do nich dostęp. Ale jak długo to jeszcze potrwa?

Świat się zmieniał, cywilizacja postępowała w coraz szybszym tempie, jak rwąca rzeka po wiosennych roztopach.

A Scatah sądziła, że Galvan jest wybrany przez bóstwa i tajemne siły, by zjednoczyć na powrót Celtów. Mógłby stworzyć jedno państwo, silne jak Rzym i potężne jak starożytna Persja, aby stare prawdy nie umarły, ale żyły dalej, by żadna siła nie mogła ich pokonać.

Oczekiwali Uatah. Wiedzieli, że czeka ich ostatnia próba.

Na ich twarzach widziała napięcie, ślady nieprzespanej nocy i oczekiwania.

- Już czas - powiedziała.

Wyszli za nią bez sprzeciwu.

Uatah poprowadziła pięciu młodych ludzi na łąkę usianą astrami, ostatnimi kwiatami lata. Jesień nadciągała szybko, w tym roku miała być ostra, tak przynajmniej mówiła Scatah. Jej córka prowadząc uczniów na łąkę, miała wrażenie, że czas tutaj odmierzany jest corocznymi próbami, że zaczyna się i kończy jesienią, kiedy natura umiera. Dlaczego nie wiosną, kiedy wszystko budzi się do życia?

Scatah odziana była w długą białą tunikę jak kapłanka. Prawie nigdy nie chodziła w takim odzieniu, bo nie nadawało się ono do walki ani do jazdy konno. Na jej szyi połyskiwał złoty torques, na rękach miała złote bransolety. Wspaniałe rude włosy opadały na plecy w grubym warkoczu. Wyglądała jak bogini, jak wielka mistrzyni z Albionu, o których uczyli się u druidów, jak uosobienie piękna i grozy.

Stała oparta obiema rękami o wspaniały długi miecz. Takiego miecza żaden z nich nigdy nie widział, bowiem był on co najmniej dwa razy dłuższy od zwykłego. Jego głownia inkrustowana była srebrem i kością słoniową, na brzeszczocie wygrawerowane były jakieś litery, których żaden z adeptów nie potrafił odczytać. Spoglądając na ten cud, Galvan przypomniał sobie sen i to go utwierdziło w przekonaniu, że wie, na czym polegać będzie ta próba.

Gdy podeszli blisko, Scatah uniosła miecz do góry, po czym wbiła go jelcem w ziemię, tak że lśniące ostrze wzniosło się wysoko ku niebu.

- Wszyscy, którzy się tu znajdujecie, lepiej lub gorzej przeszliście dwie wcześniejsze próby - powiedziała. - Próba ognia miała na celu wskrzesić waszą odwagę, próba mostu wzbudzić w was wiarę we własne możliwości. Próba miecza jest ostatnia i ma uwolnić was od lęku przed nieuniknionym, a także natchnąć wiarą w rzeczy niemożliwe do wykonania. Jest to też próba najtrudniejsza, bowiem wymaga dużej koncentracji, dlatego nie spieszcie się przy jej wykonywaniu.

Uczniowie patrzyli na nią zaciekawieni i zdezorientowani. Scatah zaś tak jak stała, w swojej białej kapłańskiej tunice, podeszła do miecza wbitego w ziemię, po czym chwyciwszy obiema rękami brzeszczot, wsunęła się na ostrze i zastygła w bezruchu. Leżała tak przodem do ziemi, oparta na jednym ostrzu, nie przebiwszy sobie nawet ubrania, jak posąg nadziany na kłodę drewna. Ręce miała ułożone wzdłuż ciała, nogi złączone.

- To niemożliwe! - wykrzyknął ktoś.

- To czary! - zawołał Iain.

- Nie, to magia wojowników - odparła spokojnie Uatah, patrząc Iainowi prosto w oczy, aż chłopak nie wiedział, gdzie podziąć wzrok.

Tymczasem Scatah powoli rozluźniała się, aż wreszcie chwyciła się znowu rękami klingi i odsunęła od ostrza. Stała na ziemi, przypinając wszystkich o dreszcz grozy. Dumna, wspaniała niczym bogini, jeszcze bardziej podobna do jakiejś nieziemskiej zjawy niż do normalnej żywej kobiety.

- Galvanie, ty zaczynasz - odezwała się.

Galvan był zdumiony, bo zwykle on stawał przed próbą jako ostatni, nigdy nie zaczynał sprawdzianu. Usiłował wyczytać cokolwiek z oczu Scatah, ale wojowniczką pozostała chłodna i obojętna na jego nieudolne próby pochycenia jej myśli.

Podszedł do ostrza wbitego w ziemię. Próbował przypomnieć sobie swój sen sprzed roku, ale nie pamiętał nic. Tylko fakt, że się zabił, że ostrze przeszło na wylot jego ciało i czuł, jak umiera.

Spojrzał na Uatah. Stała nieruchomo jak jej matka, tyle tylko, że w jej oczach nie dostrzegł obojętności, ale lęk. Patrzyła na niego intensywnie, jakby chciała wdrzeć się w jego duszę.

Kocham cię, Galvanie, zadźwięczało mu w głowie, tak jak rok temu przed próbą na Moście Skoków. Wtedy przemawiała do niego Scatah, teraz wiadomość pochodziła z myśli jej córki.

Nie zawieź mnie.

Nieoczekiwanie Galvan poczuł przyływ siły. Podszedł do miecza wbitego w ziemię i przyjrzał mu się uważnie. Ostrze sięgało jego piersi, tak że chwytając się klingi, mógł spokojnie

wsunąć się na nie, jak to zrobiła wcześniej Scatah. Serce biło mu jak oszalałe, miał pełną świadomość, że jeśli przegra w tej próbie, odpadnie z grona wtajemniczanych przez Scatah i nigdy nie będzie mógł związać się z jej córką, nawet na tę krótką chwilę, jaka może im być dana.

A tego właśnie Galvan obawiał się najbardziej ze wszystkich rzeczy.

Zdjął z siebie skórzany kaftan nabijany metalowymi ćwiekami, który sam sobie uszył, stanął w tunice i galijskich spodniach obwiązywanych do kolan rzemieniami. Czuł, jak jego tętno się wzmacnia. Tym razem miał tylko jedno podejście, jeśli mu się nie uda, to przegra.

Chwycił brzeszczot obiema rękami, objął go mocno i na moment zastygł w bezruchu, koncentrując się na tym, co miał wykonać. Powoli napinał mięśnie, aż jednym zdecydowanym ruchem uniósł się na rękach, zaciskając je na klindze, i wsunął się ciałem na ostrze sterczące ku górze. Przez jego mózg niczym tchnienie wiatru przeleciało znaczenie tego ostrza, symbolika czegoś, co wznosi się ku górze. To była próba męskości, ostatnia, jaką wykonywał, będąc dzieckiem.

Powoli wsuwał się na szpic, czując chłód metalu i napinając wszystkie mięśnie, aż stały się twarde jak skała. Wyprostował ręce i ułożył je wzdłuż ciała, wstrzymał oddech i zacisnął powieki, starając się wytrzymać na mieczu, ledwo uświadamiając sobie, że oto dokonał rzeczy absolutnie niemożliwej. Nikt nie potrafi kłaść się na ostrzu miecza, nikt nie potrafi tego dokonać.

Żył! Oddychał! Nic mu się nie stało, miecz nie przebił jego serca, a on sam nie został nawet draśnięty. Nagle jednak poczuł, że koniec miecza kłuje go w skórę, więc znowu chwycił głownie obiema rękami i powoli zsunął się w dół, nie robiąc sobie żadnej krzywdy.

Dopiero kiedy znalazł się na ziemi, bezpieczny po skończonej próbie, uświadomił sobie, co takiego zrobił. Ręce i nogi zaczęły mu drżeć, a on sam wypuścił głośno powietrze i usiadł na ziemi, gdyż kończyny odmówiły mu posłuszeństwa.

Następny był Iain. Udało mu się, co prawda, ułożyć

na mieczu, ale rozdarł sobie tunikę i zadrasnął się w pierś, chociaż krew nie popłynęła. Selain przy wsuwaniu się na ostrze zranił się nieznacznie i rozdarł sobie skórę, pozostali dwaj nie zdołali dokonać tego chwalebnego czynu.

Scatah wyciągnęła miecz z ziemi.

- Jesteście gotowi na ostateczne wtajemniczenie - powiedziała uroczystym tonem. - Dziś wieczorem złożycie sobie przysięgę na wierność i zawrzecie ostateczne braterstwo krwi.

Galvan poczuł, jak krew dudni mu w skroniach. To, po co tu przybył, znajdowało się już na wyciągnięcie ręki, a tymczasem właśnie teraz, u progu wtajemniczenia, dopadło go przerażenie. Dotarło bowiem do niego, że zakończył próby i ze wszystkich trzech wyszedł zwycięsko. Okres nauki został zakończony.

Wielka sala w domu Scatah migotała w blasku pochodni i ognia na palenisku. Piętnaście wojowniczek prowadziło wszystkich uczniów, także tych, którzy odpadli w poprzednich próbach, by odprawiony został rytuał składania przysięgi i zawarcia braterstwa krwi. Tylko trzech jednak miało związać się ze swoją mistrzynią, pozostali będą wtajemniczeni przez kapłanki niższej rangi.

Galvan miał wrażenie, że znalazł się w jakimś magicznym nie-świecie, kiedy po nich przyszły. Były odziane w zwiewne szaty, przystrojone złotem i nie wyglądały wcale na nauczycielki wojennego rzemiosła. Gwiazdy nad doliną migotały tajemniczo, kiedy młodzi mężczyźni szli do domu Scatah tak dobrze znaną im ścieżką.

Uatah nie było. Nie uczestniczyła we wtajemniczeniu, zabraniało jej tego dziewictwo. Ona sama wkrótce miała odbyć swój własny rytuał, wybrany przez nią wojownik miał ją otworzyć i zapłodnić, uczynić z niej kobietę.

Scatah stała przy palenisku w swojej białej szacie. Wyglądała jak królowa z dawnych czasów, dumna i wyniosła, uroczysta i obca, nie ta sama kobieta, z którą walczyli na polanie, która gromkim głosem wydawała im rozkazy, karmiła i chwaliła, była obecna przy próbach, oceniała i doradzała. Teraz, w blasku pochodni wydawała się odległa,

obca i nieznana.

I straszna.

Jej twarz zdobiły rytualne malowidła wykonane niebieską farbą z miedziowego proszku. Biała tunika była na tyle przezroczysta, że niebieskie znaki na ciele przebijały się przez nią. W dłoni trzymała nóż o długim wąskim ostrzu. Galvan wiedział, do czego on służy.

- Ta noc będzie jedyną taką w waszym życiu - odezwała się.
- Kończy bowiem jedną, a zaczyna drugą jego część. Nauka u mnie dobiegła końca. Wraz z nastaniem świtu każdy z was będzie w pełni wyszkolonym wojownikiem, każdy stanie się mężczyzną. Tej jesieni odejdziecie, zostanie tylko ten, którego wybierze na rok dla siebie moja córka. Jednak byście mogli odejść w chwale, musicie zjednoczyć się poprzez rytuał krwi.

Galvanowi ciarki przeszły wzdłuż kręgosłupa.

Teraz zaczniesz się to, czego obawiał się przez te wszystkie lata. Tajemnicze, nieznane, prawdziwie magiczne. Pradawne obrzędy, zapomniane przez większość ludzi, niesamowite i straszne.

Scatah poleciła im uklęknąć.

- Musicie umrzeć, by narodzić się do nowego życia - powiedziała głębokim głosem. - Musicie przeżyć własną śmierć, by nie bać się jej już nigdy.

Zbliżyła się z nożem w dłoni do jednego z adeptów. Wojowniczką stojącą przy nim podała jej puchar inkrustowany złotem. Scatah pochyliła się nad młodym człowiekiem i jednym ruchem przecięła mu gardło. Krew trysnęła ciemnym strumieniem prosto do naczynia. Chłopak chciał złapać się za przecięte miejsce, ale dwie kobiety trzymały go mocno na miejscu. Kiedy puchar został już napełniony, Scatah przytknęła rękę do jego szyi i na oczach pozostałych rana zabił się, pozostawiając po sobie jedynie cienką linię, jakby coś go tylko drasnęło.

Chłopak osunął się z powrotem na kolana. Był wyraźnie oszołomiony. Scatah odstawiła puchar, a jedna z kobiet skropiła jej rękę wodą i obmyła nóż. Mistrzynie podeszła do kolejnego adepta i zrobiła to samo. Znowu chlusnęła krew i napełniła

kolejny puchar i znowu przez dotknięcie rana na szyi zagoiła się.

Galvan słyszał, jak ona podchodzi, jak staje coraz bliżej, jak podcina gardła kolejnym jego towarzyszom, i zastanawiał się, jak to możliwe, że oni nadal żyją.

Musicie przeżyć własną śmierć.

Nagle stanęła tuż przed nim. Patrzył jej prosto w oczy, czuł ciepło bijące od jej ciała, jej dłoń na swoim ramieniu i chłód noża, oczyszczonego z krwi jego poprzednika.

Nie bój się.

Galvan odchylił głowę do tyłu. Poczuł ostry ból, kiedy nóż przeciął skórę, nie naruszając tchawicy, a potem rwanie w szyi, gdy przecięte żyły i tętnice rozchyliły się, by wylać z siebie krew. Gorąco ogarnęło go, kiedy posoka spływała do pucharu. Galvanowi wydawało się, że mija cała wieczność. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, serce tłukło w piersi jak szalone, wypompowując krew na zewnątrz. Czuł, że słabnie, kręciło mu się w głowie, a w powietrzu czuł słodki zapach śmierci.

Umieram, pomyślał.

Ciepła dłoń Scatah dotknęła jego przeciętej szyi. Galvan zdawał sobie z tego sprawę jak przez mgłę, jakby go już nie było w tej sali. Poczuł pieczenie, a jego myśli przecięta nagle jasność i ból rozplynął się tak, jakby nigdy go nie było.

Kłęczał na kamiennej podłodze i patrzył, jak Scatah odstawia puchar z jego krwią na stół, obmywa ręce i nóż, wyciera w płótno i podchodzi do kolejnej ofiary.

Dotknął przeciętej przed chwilą skóry.

Nic. Ani śladu. Najmniejszego draśnięcia.

Jak to możliwe?

Dlaczego nikt z dorosłych nigdy nie powiedział mu, jak będzie podczas wtajemniczenia? Dlaczego okrywano to tajemnicą?

Nad każdym pucharem Scatah odmawiała modlitwy i zaklęcia. Podnosiła każdą czarę wysoko do góry i szeptała bezgłośnie tajemnicze słowa, których znaczenie znała jedynie ona.

- Wstańcie - wydała polecenie.

Wszyscy podnieśli się z klęczek.

- Jesteście braćmi - odezwała się. - Wszyscy pochodzicie z rodu Arwernów, macie wspólnych przodków, a teraz staniecie się dziećmi jednej krwi. Waszą matką stanę się ja, która was prowadziłam przez szereg nocy, pozwalając wam wnikać w wasze dusze, abyście poznali samych siebie i posiadli moc wojowników. Czy przysięgacie na Ojca Disa i moce podziemne, że nigdy nie podniesiecie na siebie ręki?

- Przysięgamy - odparli chórem mężczyźni.

- Czy przysięgacie, że nigdy nie użyjecie przeciwko sobie broni?

- Przysięgamy.

- Czy przysięgacie, że nigdy nie przelejecie nawzajem swojej krwi, która będzie płynąć w każdym z was?

- Przysięgamy.

- Czy przysięgacie zawsze i wszędzie stawać w swojej obronie, a nawet oddać życie za swoich braci?

- Przysięgamy.

- Przyjęłam waszą przysięgę. Od tego momentu jesteście braćmi w boju. Zawrzyjcie teraz ostateczne braterstwo krwi, które złączy was nierozzerwalnymi więzami.

Scatah podeszła do stołu.

- Podejź, Selainie, i przyjmij krew swoich braci - zawołała po chwili.

Selain zbliżył się do niej, a ona po kolei podawała mu puchary z gorącą krwią, by z nich pił, wszystkie oprócz jego. Potem przywoływała innych, by podchodzili i pili krew swoich towarzyszy, z którymi pobierali nauki w jej dolinie.

Wreszcie nadeszła kolej na Galvana. Stał przy niej i ze zdumieniem stwierdził, że przerasta ją o głowę. Dotychczas zawsze wydawało mu się, że Scatah góruje nad nim wzrostem. Teraz pojął, że stał się dorosłym człowiekiem. Tej nocy miał zostać mężczyzną.

Podawała mu pierwszą czarę z krwią, szepcząc przy tym zaklęcia. Galvan upił łyk i wzdrygnął się na myśl, że to, co pije, niedawno pulsowało w żyłach Iaina. Z każdym łykiem jednak odczuwał przyływ sił, zupełnie jakby w tych pucharach

znajdował się boski pokarm, dający nieziemską siłę i życie wieczne. W ustach czuł smak żelaza i słodczy i pomyślał, że to samo poczuje w chwili swojej śmierci na polu bitwy, kiedy krew będzie go zalewać. Usta miał lepkie od posoki, w głowie wirowało mu, czuł się niezwykle lekki, a jednocześnie nadludzko silny.

Kiedy wypili całą zawartość pucharów, wypowiedzieli raz jeszcze przysięgę i Scatah zaprowadziła ich do innej sali, gdzie znajdował się suto zastawiony stół.

- To wasza uczta przed nocą - powiedziała. - Posilcie się, gdyż każdy z was będzie dziś potrzebował siły, by stać się wojownikiem.

To mówiąc, zasiadła do stołu na podwyższeniu, by mogła obserwować wszystkich.

- To wasz ostatni wspólny posiłek - dodała po chwili. - Ostatnia wieczerza w mojej dolinie.

Galvan poczuł drzenie na myśl, że niebawem stanie się nieuniknione. Zasiadł do uczty pełen oczekiwania na to, co miało się stać tej nocy.

Scatah wstała od stołu pierwsza i udała się gdzieś w głąb swego domostwa, prowadzona przez wojowniczkę. Po jakimś czasie kobiety wróciły i wyprowadziły Selaina. Tego wieczoru Galvan już go nie ujrzał. Miał wrażenie, że minęło ogromnie dużo czasu, zanim kobiety zjawiły się ponownie, tym razem po Iaina. Jego też Galvan już więcej nie ujrzał. Dobrze jednak wiedział, co się z nimi stało.

Niedługo potem pozostali ucztujący też wyszli prowadzeni każdy przez inną kapłankę. Galvan został sam w biesiadnej sali.

- Chodź ze mną - usłyszał szept Uatah.

Poderwał się na równe nogi w jednej chwili, ale ona zatrzymała go na wyciągnięcie ręki.

- W dolinie mojej matki spełniam różne zadania - powiedziała cicho. - A jednym z nich jest przygotowanie mężczyzn dla niej.

Galvan omal się nie udławił.

- Jak to? - zapytał dość niemądrze. - Tak po prostu?

- Taka moja rola, Galvanie.

- I nie czujesz żalu ani zazdrości?

Uatah ujęła go za rękę i poprowadziła korytarzem, którego nigdy nie widział, oświetlonym pochodniami.

- Nigdy nie musiałam odczuwać tych emocji, aż do dzisiejszej nocy - odparła, kiedy znaleźli się w małej sali, wymoszczonej miękkimi skórami, pełniącymi zapewne rolę łoża.

Galvan przełknął ślinę. Na kamiennym stole znajdował się długi nóż i puchar, obok zaś dzban z jakimś napojem, winem zapewne. Uatah odpięła mu skórzany pas, którym miał ściągnięty kaftan, i zaczęła go powoli rozbierać, sprawiając, że jego ciało ogarnęło drżenie. Nie patrząc w oczy Galvana, rozwiązała mu kaftan i zdjęła tunikę przez głowę, po czym nakłoniła go, by usiadł, i ściągnęła mu buty. Starał się panować nad sobą, ale z trudem mu to przychodziło i Uatah musiała to widzieć, bo na jej ustach błąkał się nieobecny uśmiech. Miał ochotę chwycić ją i pocałować, ale dziewczyna odsuwała się zręcznie, nie zamieniając z nim ani jednego słowa. Raz tylko pokręciła znacząco głową. Tej nocy miał należeć do Scatah, do nikogo więcej.

Gdy zdjęła z niego ubranie i stanął przed nią nagi, naląła do przygotowanej wcześniej misy wodę i zaczęła obmywać go za pomocą zwilżonej gąbki.

Rytuał oczyszczenia, pomyślał Galvan, zamykając oczy i poddając się z przyjemnością chłodnej wodzie.

Uatah wytarła jego ciało miękką tkaniną i ułożyła długie blond włosy. Na koniec narzuciła na niego delikatną białą tunikę i przewiązała srebrnym pasem. Nie patrząc na niego, zabrała misę z wodą i wszystkie przybory, po czym wyszła z sali.

Czegoś takiego się nie spodziewał. Zdumiony i wciąż oszołomiony usiadł na miękkich skórach i zaczął się rozglądać dookoła. Pod ścianą znajdowało się palenisko, na którym płonął ogień, uchodzący przez dymnik w narożniku. Oprócz kamiennego stołu w komnacie nie było żadnych sprzętów. Kamienne ściany ozdobione były skórami, tarczami i bronią. Ale czego Galvan mógł się spodziewać po siedzibie wojowniczk?

Drzwi otworzyły się niespodziewanie i do środka weszła

Scatah w towarzystwie swojej córki. Galvan zdumiony chciał się podnieść, ale one nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Uatah zdjęła matce tunikę i obmyła ją tak, jak wcześniej jego, uczesała jej wspaniałe włosy i nałożyła czystą szatę. Galvan domyślał się jednak, że wcześniej Scatah umyła się bardziej dokładnie.

Uatah pokłoniła się matce i wyszła, zostawiając ich samych. Scatah odwróciła się w stronę Galvana.

- Boisz się? - zapytała. - Czy jesteś po prostu niepewny, co będzie dalej?

Galvan nie wiedział, co powiedzieć. Nie tego się spodziewał. Sam nie wiedział, czego ma się spodziewać po tej nocy.

- Jedno i drugie - odparł niepewnie.

Scatah się uśmiechnęła.

- Krótko zabawiłaś z tamtymi - zauważył Galvan nieco śmielej.

- Najlepsi uczniowie mają przywilej spędzenia całej nocy z mistrzynią - wyjaśniła Scatah. - A potem przez siedem kolejnych nocy będziesz się ze mną łączył, bym mogła przekazać ci swoją siłę.

Galvan miał ochotę uciekać jak najdalej stąd, ale nie mógł się ruszyć.

- Nie bój się, to nie takie okropne, jak ci się wydaje - uśmiechnęła się Scatah.

Odpięła klamry na ramionach i jej szata spłynęła w dół. Stała przed nim naga, nieopisanie piękna i kusząca. Galvan wiele razy już ją widział, ale po raz pierwszy miał okazję ją podziwiać. I po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jej imię „Ta, co budzi lęk”, odnosi się też do sfery intymnej. Chociaż miał z nią przeżyć rozkosz, to jednak bał się jej niemal do szaleństwa.

Scatah była wysoka i proporcjonalnie zbudowana. Mięśnie w jej ciele odznaczały się niemal przy każdym ruchu, ale nie była ani trochę męska. Wprost przeciwnie, przy wspaniałe wyrobionym ciele zachowała smukłą sylwetkę i zgrabne kształty. Miała długą smukłą szyję, równie smukłe ramiona

i ładnie zarysowane obojczyki. Jej skóra miała kolor dojrzałej brzoskwini, piersi Scatah były idealnie zaokrąglone, pełne i jędrne, a sutki sterczące i ciemnoróżowe. Na samą myśl o nich Galvan czuł rozkoszne mrowienie pod skórą, chociaż nigdy tak nie myślał o Scatah. Miała płaski brzuch, na którym widoczna była pojedyncza pręga, jedyny ślad po pięciu ciążach. Jej łono zwieńczone było rudozłotymi włosami, idealnie przystrzyżonymi, biodra miała pięknie sklepione, pełne, ale proporcjonalne, a nogi długie i szczupłe. Ideał kobiecości.

Podeszła do stołu i nalala wina do pucharu, po czym podniosła go do ust i wypila. Resztę podała Galvanowi, by także wypił. Wino było mocne i słodkie, zapewne sprowadzane z południa. Galvan nigdy wcześniej go nie pił, toteż mocny smak zaskoczył go. To, co zostało na dnie, Scatah wylała w ogień.

- Podejdz do mnie, Galvanie, i połącz się ze mną w rytuale wtajemniczenia - powiedziała. - Niech nasze ciała i dusze staną się jednością, byś mógł ujrzeć to, co ja widzę i usłyszeć to, co ja słyszę. Tej nocy zaprowadzę cię do bogów.

Ujęła nóż, który leżał na stole i przejechała nim sobie po przedramieniu. Galvanem wstrząsnął dreszcz, kiedy ujrział, jak jej żyły otwierają się i ciemnoczerwona krew wypływa z nich wprost do kielicha. Był to niesamowity widok, a najdziwniejszy wydawał się fakt, że ona wcale nie odczuwała bólu. Po napełnieniu pucharu podała go jemu, a sama przytknęła rękę do rany, która zagoiła się jak poprzednio podcięte gardła wtajemniczanych.

- Pij - poleciła. - Stań się moim synem. Krew oznacza życie, Galvanie. Pijąc krew swojej mistrzyni, przyjmujesz jej siłę.

Galvan przytknął usta do naczynia. Słodki zapach krwi wtargnął w jego nozdrza, przyprawiając go niemal o mdłości, ale posłusznie wypił wszystko, czując, jak gorący napój życia spływa mu do gardła.

Scatah podeszła i bez żadnego uprzedzenia pocałowała go, zlizując resztę krwi z jego ust. Ciepło zaczęło wypełniać go od środka. Czuł, jak to, co wypił, rozchodzi się w nim i rozgrzewa jego ciało. Zaczął oddawać jej pocałunki najpierw niepewnie,

potem z coraz większą żarliwością, podczas gdy jego ciało poddawało się narastającemu podnieceniu. Ręce bez udziału woli uniosły się i zanurzyły w jej włosach. Ku swojemu zdumieniu Galvan poczuł, że chce się z nią złączyć. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie czuł.

- Pragnę cię - szepnął, patrząc jej prosto w oczy.

Skąd miał śmiałość, by mówić jej takie rzeczy? Skąd brała się w nim odwaga, by całować tę przerażającą kobietę, jakim prawem to robił? Ale kiedy język Scatah wsunął się w jego usta, Galvan przestał się zastanawiać nad tym, co robi. Podążał za głosem, który dyktował mu wszystkie posunięcia.

Scatah osunęła się przed nim na kolana i ujęła w dłoń jego nabrzmiałą męskość. Najpierw dotykała jej językiem, potem zaś otoczyła ustami, sprawiając Galvanowi nieziemską rozkosz. Nigdy, nawet w najbardziej rozszalałych snach nie odczuwał takiego napięcia i takiej intensywności doznań.

- Chodź, poznaj mnie - szepnęła, odrywając się od niego w chwili, kiedy wydawało mu się, że lada moment osiągnie szczyt.

Ułożyła się na posłaniu ze skór i pociągnęła go za sobą. Galvan nie miał nic przeciwko temu, chciał ją dotykać i pieścić, chciał poznać ustami i dłońmi każdy skrawek jej ciała. Chciał poznawać jej reakcje i uczyć się kobiecych przeżyć. Odnalazł jej piersi i drażnił językiem sutki, aż ciałem Scatah wstrząsnął głęboki dreszcz, a z jej gardła wydobył się jęk, który powiedział mu więcej niż jakiegokolwiek słowa.

- Niżej - wydusiła z siebie, dając się porwać lawinie uczuć.

Galvan podążał za jej wskazówkami, odnajdując miejsce, do którego oboje pragnęli dotrzeć. Jej zapach podniecał go ponad wszelkie granice, zachęcał, by się w nią zagłębił, ale ona dawała mu znać, że chce najpierw innej pieśczości. Wsunął język głęboko w tę pachnącą, mokrą szczelinę, która otwierała się przed jego oczami, smakował nektar wypływający z jej wnętrza, ssał miękkie różowe płatki, poznawał całą istotę jej kobiecości, przypominającą rozwijającą się różę, wydobywając z kobiety gamę przeróżnych dźwięków, od głębokiego oddechu, po intensywne łkanie, przechodzące w przeciągły jęk, kiedy

podsuwała się bliżej, prosząc o jeszcze.

Pulsowanie w jego ciele stało się nie do zniesienia. Jej dłoń błędziła w głębi jego ud, dotykała i drażniła, sprawdzała jego gotowość, aż wreszcie nie wytrzymał i ze zdławionym okrzykiem wbił się w nią.

Nasyć nas oboje. Im dłużej to potrwa, tym mocniejszy będzie koniec.

Rozkosz narastała z każdym ruchem. Oddech Scatah przechodził raz po raz w świst i krzyk, kiedy szczytowała, po czym znowu się uspokajał, gdy pełnia rozkoszy odpływała, by dać miejsce nowej. W pewnym momencie Scatah przekręciła się i usiadła na nim okrakiem, tak jak widział to w swoim śnie. Tempo przybierało na sile, to znowu opadało, a on miał wrażenie, że jest w raju, w innym, boskim wymiarze. Jej cudowne ciało wypełniało całą jego świadomość, jej smak rozchodził się po jego podniebieniu, jej zapach przenikał wszystkie zmysły, a umysł koncentrował się na tej ekstazie, która ich zalewała i na poczuciu jedności, przeżywania tego samego.

To jest wspólnota, Galvanie, usłyszał jej myśli. Bliżej z drugim człowiekiem jesteś tylko wtedy, gdy zabijasz. To jest ostateczne połączenie, nie istnieje nic, co bardziej zespała mężczyznę i kobietę, dwie istoty noszące w sobie boski pierwiastek. W tym momencie jesteśmy bliżej bogów niż kiedykolwiek indziej w całym naszym życiu. Przekazując istnienie w akcie zespolenia, stajemy się nieśmiertelni. Tylko teraz, obdzielając się wzajemnie sobą, jesteśmy w stanie przekazać sobie naszą potęgę. Tylko teraz jesteśmy całkowicie równi, zjednoczeni ze sobą i z Kosmosem, tylko teraz nic nas nie dzieli. Daj mi siebie, bym mogła przekazać ci moją siłę!

Napięcie stawało się nie do wytrzymania. Galvan słyszał swój własny oddech przechodzący w krzyk i przeciągły jęk Scatah osiągającej szczyt.

- Ty jesteś wybranym! - krzyknęła, zanim wstrząsnął nią pierwszy dreszcz. - Ty zjednoczysz Galie! Widzę to! Widzę to teraz!

Wszystkie tamy w jego duszy puściły. Ktoś krzychał

w śmiertelnej ekstazie, chyba on sam, a przez jego ciało przetaczały się fale ognistej rozkoszy, której nie potrafił powstrzymać. Miał wrażenie, że jego męskość w jej wnętrzu eksploduje, wyrzucając z siebie nasienie, nie był w stanie zapanować nad tym wybuchem, nad tym niemal bolesnym upojeniem. Słyszał jej głośny krzyk i zrozumiał, że ona też to czuje, że razem znaleźli się w innym wymiarze, spleceni w jedno ciało, jedną duszę i jeden umysł.

I w tym momencie, kiedy doznania stały się wszechogarniające, Galvan poczuł, jak do jego mózgu przenika jej wiedza, umiejętności bitewne, cała siła, jaką w sobie nosi, a w ułamku sekundy ujrzał wszystko to, co ona widziała. Obrazy przesuwały mu się przed oczami w oszalamiającym tempie, wzmagając ów trans, w jakim się znalazł. W uszach szumiały mu głosy, jakich nigdy on sam nie usłyszał, aż złąły się w wielki chaos.

Nagle wszystko ucichło. Galvan znalazł się w jakiejś niesamowitej przestrzeni, wypełnionej migoczącymi gwiazdami. Widział planety wirujące wokół wielkiej ognistej kuli, jakby stworzonej z rozżarzonych języków ognia, a poza tym panowała jedynie ciemność, wieczny mrok i pustka. Miał poczucie ogromnej potęgi, jego umysł był krystalicznie czysty, ale jednocześnie napełniony wiedzą, której wcześniej nie posiadał. Był poza światem, spoglądał w nieskończoność, widział porządek Kosmosu, niezbadaną potęgę wszechświata, o której mu się nawet nie śniło.

W mroku pojawiła się Scatah. Szła do niego, nie poruszając się.

- Posiadłeś wiedzę - usłyszał jej głos. - Zostanie ona zamknięta w twoim umyśle, byś potrafił wykorzystać ją dobrze we właściwym momencie. Przekazałam ci wszystkie tajemnice naszych przodków, którzy przybyli tu ze Wschodu, z pomroki dziejów. Jeśli okażesz się dostatecznie mądry, objawi ci się, gdy nadejdzie czas. Zostałeś wtajemniczony w arкана życia i śmierci, Galvanie. Masz w sobie siłę celtyckiego wojownika.

Ciałem Galvana na posłaniu wstrząsnął ostatni dreszcz. Dotarło do niego, że leży na miękkich skórach, tuląc do siebie

Scatah, która oddychała głęboko z wyrazem błogości na twarzy, jakiego nigdy u niej nie widział. Uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego.

- Czułeś to, prawda? - zapytała. - Byłeś tam.
 - Na tym polega wtajemniczenie?
 - A czego się spodziewałeś? Samej rozkoszy?
- Galvan usiadł.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, czego oczekiwałem - przyznał. - Teraz mam wrażenie, że ta wizja była tylko wytworem mojej wyobraźni.

Scatah wstała i podeszła do kamiennego stołu, gdzie leżał nóż.

- Galvanie, tajemnica życia tkwi w jego początku i końcu. Ty zajrzałeś w nieskończoność, w to, z czego jesteśmy stworzeni. To jest wiedza, która pozwoli ci oddalić lęk przed śmiercią, wskrzesić odwagę i śmiało iść w bój. Na tym polega ostateczne wtajemniczenie, jakie odbywa każdy wojownik. Na tym polega magia kapłanek z Sein.

- Nie mówiłaś tego nikomu?

- Nikt nigdy o to nie pytał. Ale tobie nie wystarczy mistyka przeżyć, ty musisz wszystko usłyszeć z ust śmiertelnej osoby. Czasami to, co tajemnicze i zagadkowe, okazuje się banalnie proste.

- Więc po co ta cała magia? - zapytał Galvan.

- Nie pytaj mnie o rzeczy, których nie wolno mi tobie wyjawiać.

- Powiedz mi przynajmniej, dlaczego właśnie wy to robicie?

- Bo my, Galvanie, jesteśmy strażniczkami starożytnej wiedzy, która powoli odchodzi w zapomnienie. Gdybym ci powiedziała, że śmierć dotyczy tylko ciała i że nie należy się jej bać, że ból to tylko doznanie i można je odsunąć, że dusza to splot nieskończoności, nigdy byś mi nie uwierzył. Dlatego pokazałam ci to, pozwoliłam ujrzeć coś, czego nigdy w swoim życiu już nie zobaczysz.

Galvan zastanawiał się przez chwilę.

- Scatah? - odezwał się nieśmiało. - Czy zechciałabyś połączyć się ze mną jeszcze raz?

Scatah roześmiała się szczerze.

- Wiedziałam, że tego zapragniesz.

- Zechcesz? - nalegał Galvan, którego widok jej nagości oszalał.

- Tak. Zechcę. Ale teraz podejdź do mnie, muszę nadać ci imię, które przekazali mi bogowie, gdy się zjednoczyliśmy.

Galvan zbliżył się do niej i pozwolił, by nacięła mu skórę na ramieniu. Nurzając palec w ranie, wypisała na jego piersi jakiś znak, którego on nie potrafił przeczytać. Widział jedynie, że nie było to znane mu pismo greckie. To były prastare znaki celtyckie z czasów, gdy znane jeszcze było pismo kultur, które już nie istniały.

- Kiedy opuścisz tę dolinę, imię twoje będzie brzmieć Wercyngetoryks - powiedziała Scatah.

Na Galvana spłynął nieoczekiwanie wielki spokój. Wszystkie jego sny w jednej chwili zostały wyjaśnione, zrozumiał bowiem, dlaczego Scatah mówiła w nich, że zwać go będą Wielkim Królem Wojowników.

Jego nowe imię znaczyło dokładnie to samo.

XII

Gdy nastał ranek, Galvan mógł się uważać za mężczyznę w pełnym tego słowa znaczeniu. Był nieziemsko wyczerpany, a także pełen nowych wrażeń, ale jednocześnie szczęśliwy i świadomy faktu, że w tym momencie osiągnął wszystko, co powinien zdobyć syn wysoko urodzonego naczelnika kraju Arwernów.

- Nigdy nie zapominaj, kim jesteś - napominała go Scatah wielokrotnie tej nocy. - Jesteś Celtem, więc dbaj o stare prawa. Jesteś Arwernem i pozostań solidarny ze swoim narodem. Jesteś synem Celtyllusa i tobie należy się pierwszeństwo w twoim klanie. Gdy wrócisz do domu, staniesz się jego panem, a twój wuj i ojczym będą musieli zwrócić ci to, co do ciebie należy. Teraz jesteś władcą w swoim tuath, w rodzinie, nad którą panujesz. Masz prawo życia i śmierci nad każdym ze swego rodu, nawet nad bratem swego ojca, bo to ty prowadzisz bezpośrednią linię po Celtyllusie. Moja rada dla ciebie, Galvanie, jest taka: po powrocie do rodziny jak najszybciej ożeń się i spłódź legalnego syna, a najlepiej weź dwie kobiety, by dały ci więcej potomków. Każdego, kto spróbuje ci się sprzeciwić, zabij bez litości, bo tym wzbudzisz strach u wrogów. A wielu zechce odebrać synowi Celtyllusa to, co pozostawił po sobie jego ojciec.

Galvan słuchał jej słów, leżąc na pościeli i czując ją u swego boku. Wiedział, że tak blisko siebie nie będą już nigdy i że ta jedna jedyna noc w jego życiu musi mu wystarczyć, by przejąć od niej jak najwięcej wiedzy. Po tej nocy Galvan stanie się wojownikiem, będzie musiał nauczyć się korzystać z owej mądrości, którą Scatah przekazała mu w obrzędzie

inicjacji.

O brzasku pożegnała go u progu, podając mu gorący napój, odzienie i broń. Galvan idąc drogą w stronę swego domu, nie mógł uwierzyć w to, co się stało tej nocy. Miał to już za sobą. Był wojownikiem, osiągnął ostateczny stopień wtajemniczenia, a każdy jego ruch, jaki wykona w życiu, każda decyzja będą pogłębiały jego wiedzę i umiejętności. Wiedział, że nauka u Scatah dobiegła końca, ale jego prawdziwa życiowa edukacja dopiero się rozpoczęła.

Na progu domu czekała Uatah z dzbanem wody, by obmyć ręce wojownikowi. Jej spojrzenie było mroczne i zamglone, a ręce, gdy polewała jego dłonie wodą, drżały jak w febrze. Galvan zrozumiał przyczynę jej stanu. Teraz już wiedział, co dzieje się między kobietą i mężczyzną, potrafił też odróżnić akt miłości od aktu pożądania.

- Uatah, to nie miało znaczenia - szepnął. - Ty wiesz, że musiałem przez to przejść. Ale nic nie zmienia się między nami.

Niebieskozielone oczy dziewczyny błyszczały podejrzenie w promieniach wschodzącego słońca.

- Czy coś między nami było, Galvanie? - zapytała cicho.

- Nie było, to jest, Uatah. Wiem, że czujesz to, co ja. Powiedziałaś mi to kiedyś, a ja obiecałem, że uczynię wszystko, by cię zdobyć. I dotrzymałem słowa. Teraz reszta zależy od ciebie.

Uatah z furią trzasnęła dzbanem o ziemię.

- Dotykałeś jej! - krzyknęła. - Czułeś ją wokół siebie! I mówisz, że to nie ma znaczenia? Przez te jej wysłane skórami komnaty przewinęło się wielu adeptów, wtajemniczała wielu ludzi, tak jak moja babka Aife i prababka Uatah przed nią. Ale nigdy mnie to nie wzruszało i nigdy nie musiałam przywiązywać do tego wagi, aż pojawiłeś się ty i zburzyłeś wszystko! Przez ciebie stałam się zazdrosna o własną matkę!

- Przez twoje komnaty też przewinie się ich sporo - zauważył Galvan.

- Tak, i to też nie będzie miało dla mnie większego znaczenia - odparła gniewnie. - W ciągu życia muszę pięciokrotnie wybrać dla siebie mężczyznę, który obdarzy mnie

dzieckiem. Ale myślisz, że jakikolwiek po tobie będzie mnie obchodził? Spałeś z nią – wróciła do głównego wątku. – Czy to nie ma dla ciebie znaczenia?

- Żadnego.

- Kochasz ją? Powiedz? Oczarowała cię? Wiem, że wy wszyscy jesteście pod jej wrażeniem.

- Nie mogę powiedzieć, że nie jestem pod jej wrażeniem, ale poza tym, że jest moją nauczycielką, nie znaczy dla mnie nic. Nie kocham jej w takim sensie, jak ci się wydaje. Ona jest jak matka, która mnie wychowała. Ja ciebie kocham, Uatah, wiesz o tym. Od dawna cię kocham. Odkąd tu przybyłem. Widywałem cię w snach, zanim jeszcze dowiedziałem się o twoim istnieniu. Nie musisz demonstrować mi swego gniewu, bo nie masz do tego powodu. Scatah zrobiła to, co musiała, a ja przyjąłem to, co miała mi dać. Nic więcej.

Po policzkach dziewczyny spłynęły łzy.

- A to, co zrobisz ze mną, kiedy cię wybiorę? – zapytała. – To będzie miało dla ciebie znaczenie?

- To będzie spełnienie miłości – odszepnął Galvan.

Domyślał się, co przeżywa Uatah. Prawdopodobnie byłoby jej lżej na duszy, gdyby kobietą, z którą odbył inicjacyjny stosunek, była wojowniczką o niższej randze, nie jej własna matka, którą kochała i podziwiała. Kochała też Galvana i nie chciała się nim dzielić z nikim, a na myśl, co robił ze Scatah, skóra jej cierpła. Słyszała przecież tej nocy ich okrzyki rozkoszy, słyszała szept i głośny śmiech, wiedziała, że ten jeden raz podczas zespolenia odczuwają ze sobą więź, że są tak blisko, jak ona i matka były tylko w momencie jej narodzin.

Galvan objął ją, nie przejmując się, że ktoś może ich zobaczyć. Wiedział, że Scatah śpi, utrudzona po wtajemniczeniu trzech mężczyzn i po miłosnej nocy z nim samym. Tego wieczoru Uatah miała wybrać spośród trzech wojowników, którzy przeszli ostatnią próbę, tego, z kim będzie chciała zawrzeć roczne małżeństwo. Nazajutrz pozostali mieli opuścić dolinę, a Scatah po zawarciu przez córkę małżeństwa, miała udać się na święto Samain do Gergowii, potem zaś zostać w mieście aż do wiosny.

Przyszłej jesieni ona i Uatah miały pojechać na Sein, do swoich sióstr, by dopełnić cyklu poprzez rytualne oczyszczenie. Ale to, co Scatah będzie robić w Gergowii, miało pozostać jej tajemnicą. Uatah podejrzewała, że zechce odwiedzić Maerina, pobyc trochę wśród ludzi, jako że na ogół pozostawała poza nawiasem społeczności, otoczona nimbem tajemnicy i strachu.

W ramionach Galvana Uatah uspokoiła się na tyle, by móc wrócić do matki i wraz z pomocnicami uporządkować wszystkie sale. Potem musiała przygotować się na wieczorną ceremonię, chociaż wiedziała, że jeszcze przez siedem nocy Galvan będzie sypiał ze Scatah.

O dziwo jednak nie dotykało to jej już tak boleśnie i nie raniło, skoro Galvan wyjawiał jej swoje uczucie i zapewnił, że stosunki miłosne z jej matką nie mają dla niego większego znaczenia. Nie wiedziała, co Scatah tłumaczyła Galvanowi na ten temat ani że można z kimś spać, nie czując do niego miłości. Tego wszystkiego miała się dopiero nauczyć wraz z biegiem czasu. Na razie była jeszcze niewinna i dość naiwna pod tym względem.

Galvan wreszcie wypuścił ją z objęć i wszedł do domu, gdzie bez większych ceregieli rzucił się na pośłanie. Jego przyjaciele spali kamiennym snem, tak samo wyczerpani jak i on. Po krótkim czasie on także zasnął, nie mając świadomości, kim jest i gdzie się znajduje.

Wieczorem przy blasku pochodni Scatah zebrała wszystkich, by im podziękować za pięć lat wspólnej nauki i za gościnę w jej dolinie. Chwaliła każdego z osobna, czego nigdy wcześniej nie robiła. Napominała po raz ostatni, by nigdy nie walczyli przeciwko sobie, przypominała, że teraz są braćmi i że ona jest ich matką, która wysyła swoich dorosłych synów w świat. Prosiła, by zwracali się do niej, jeśli będą potrzebować jej rady i pomocy, gdyż udzieli jej każdemu, kto wyszedł spod jej dachu.

Potem nadszedł moment, w którym wystąpiła do przodu Uatah i dokonała swego wyboru. Nikt się specjalnie nie zdziwił, gdy podeszła do Galvana i podała mu kielich z winem, z którego

uprzednio wypła.

- Wybieram ciebie, Wercyngetoryksie, na swego męża i ojca mojego dziecka i pragnę ofiarować ci siebie oraz prosić, byś zechciał dzielić się kwiatem swojej młodości ze mną - oznajmiła uroczyście, patrząc mu w oczy. - Jeśli mnie przyjmujesz, napij się z mojego pucharu.

Galvan po raz pierwszy został nazwany imieniem, jakim obdarzyła go Scatah, i nie mógł się pozbyć paskudnego wrażenie, że Uatah nie mówiła do niego. Ale wziął puchar z jej rąk, przystawił do ust i wychylił, nie odrywając wzroku od jej oczu.

Scatah na swoim miejscu uśmiechała się cierpko pod nosem, doskonale znając wybór swej córki i wiedząc dokładnie, co kryje się w jej sercu. Prosiła w duchu wszystkich bogów, jakich знаła, by Uatah oszczędzone zostało cierpienie i by potrafiła pogodzić się z losem, który ją czeka po chwilowym szczęściu.

- Nic nie jest wieczne, moje dziecko - napominała ją przed ceremonią. - Każde szczęście zaprawione jest goryczą. Kochaj go tak długo, jak możesz, kochaj dziecko, które ci zostawi, kochaj jego w obliczu waszego potomka, ale pozwól, by jego obraz w twoim sercu z biegiem czasu się zatarł. Tak będzie lepiej. Pozwól, by on sam stał się tylko pięknym wspomnieniem z młodości, bo ten człowiek odejdzie, Uatah. Odejdzie na zawsze, nie będzie mógł z tobą zostać. Będzie miał inne kobiety i inne dzieci, jakkolwiek ty pozostaniesz w jego pamięci i sercu. Ale twoje życie będzie dalej płynąć, inni mężczyźni będą do ciebie przychodzić, inni będą obdarzać cię kolejnymi dziećmi. Nie wolno ci zapominać, kim jesteś, ani do czego zostałaś powołana. Ja też kochałam i poznałam gorycz cierpienia. Wiem, jakie to okropne uczucie, kiedy życie wraz z odejściem tego jedyne go traci jakikolwiek sens. Właśnie wtedy będziesz musiała okazać siłę, Uatah, będziesz musiała znaleźć ten sens na nowo, bo inaczej nie osiągniesz nigdy szczęścia.

Uatah poczuła smutek.

- Dlaczego tak musi być, matko? - zapytała.

- Bo taka nasza rola w świecie - odparła Scatah filozoficznie. - Będiesz jeszcze nie raz zadowolona i nie raz posmakujesz łez. Tak już bywa.

Uatah pomyślała, że to niesprawiedliwe i że kobiety ich pokroju za swoją pozycję w społeczeństwie i za boskie zdolności muszą płacić słońną cenę. Ale stwierdziła także, że nie wyrzekłaby się swego dziedzictwa za nic w świecie, nawet za całą miłość do Galvana.

Po ceremonii pożegnalnej wszyscy rozeszli się do swoich domów. Nazajutrz zaś młodzi wojownicy zebrali się do odejścia z doliny, pozostawiając w niej tylko Galvana, który za siedem nocy miał się związać na rok z Uatah na mocy prawnego małżeństwa, by ich ewentualne dziecko nie pozostawało nieślubne.

W tym czasie nie wolno mu było widywać swej narzeczonej. Uatah musiała się oczyścić, tak cieleśnie, jak i duchowo. Miała zacząć życie jako kobieta, musiała się więc do tego przygotować. Każdą noc Galvan spędzał ze Scatah, ucząc się od niej tego, co potem miał przekazać jej córce.

- Musisz tak postępować, by dać kobiecie tyle radości, ile sam odczuwasz - tłumaczyła Scatah. - Inaczej dla ciebie to też nie będzie przyjemne. Słuchaj tego, co do ciebie mówi, wczuj się w jej rytm, koncentruj się na jej oddechu, na sygnałach, jakie ci przesyła. Tylko wtedy osiągniesz pełnię rozkoszy, kiedy podzielisz się nią z kobietą w akcie zjednoczenia.

Galvan słuchał i dostosowywał się do jej słów. Scatah wyjaśniała mu, w jaki sposób osiągnąć to, o czym mówiła. Uczyla go na swoim własnym ciele, pokazywała, w jaki sposób kobieta może dostarczyć mu przyjemności i jak on może się jej odpłacić. Galvan musiał przyznać, że były to interesujące lekcje.

- To, czego cię teraz uczę, może się stać najgłębszym wyrazem miłości, Galvanie - mówiła. - Aktem, w którym dwoje ludzi zawiera całe swoje oddanie. Ten rytuał jest święty, magiczny, w nim znajduje się boska moc tworzenia i powoływania do życia. W tym właśnie podobni jesteśmy do istot boskich, że dajemy i odbieramy życie wedle naszego

uznania.

Im częściej kochał się ze Scatah, tym bardziej przekonywał się do jej słów. Odnajdywał blask świętości w tym, co robili, rozumiał potęgę aktu stworzenia.

- Wystrzegaj się kobiet kupczących swoim ciałem - ostrzegęła go. - Na żonę bierz tylko dziewicę, bo wtedy będziesz miał pewność, że jej potomstwo będzie twoim. Postrzegaj każdy stosunek jako magiczną więź. W każdym akcie miłosnym staraj się zauważyć świętość. Pamiętaj, że wówczas jesteś równy bogom. Wtedy mów święte słowa o miłości. W pocałunkach wyrażaj uczucie. Łącząc się z kobietą, oddawaj jej siebie. Ofiaruj jej swoje ciało i duszę, stając się z nią jednością.

W słowach Scatah było coś niesamowitego. Galvan przypomniał sobie odgłosy z sypialni swych przybranych rodziców. Im sprawiało to niesamowitą radość. Czy dzielili się wtedy sobą, jak teraz nakazywała mu Scatah? Czy celebrowali każdy akt? Czy czynili z niego święty rytuał? Czy zdawali sobie sprawę, że mogą zjednoczyć się ze wszechświatem?

- A jeśli nie zechcę spłodzić dziecka? - zapytał Galvan.

- Wydalaj swoje nasienie poza kobietę - wyjaśniła Scatah. - Nie każde zbliżenie musi zaowocować poczęciem. Ty sam o tym decydujesz. Jesteś panem życia swoich dzieci, zanim je jeszcze spłodzisz.

Galvan pomyślał, że w przypadku Uatah będzie chciał zostawić po sobie potomka. Nawet gdyby nie miał go nigdy ujrzeć.

- Ciesz się tym, póki jesteś młody i silny. Starość ma swoje prawa i wymagania. Kiedy twoje ciało nie będzie już w stanie cieszyć się miłością, między tobą a twoją kobietą wytworzy się więź innego rodzaju. I pamiętaj, że kochając się z jakąkolwiek kobietą, która zostanie twoją żoną lub nałożnicą, spełniasz taki sam święty rytuał zjednoczenia. Przekazując jej swoje nasienie, zawierasz z nią przymierze. Twoje ciało składa jej wtedy obietnicę, której nie wolno ci złamać, jak długo będzie was łączyć uczucie lub umowa ślubna.

Po określonym czasie przestał spędzać noce w jej łóżu. Był

gotowy, by poślubić Uatah, nauczony przez jej matkę, jak postrzegać to, do czego miał zostać powołany w ceremonii zaślubin.

Ale Scatah miała do niego jeszcze jedną prośbę. Prywatną.

- Galvanie - zwróciła się do niego. - Ona jest moją córką. Po twoim odejściu czeka ją wiele przykrości, zanim znowu kogoś pokocha lub wybierze z innych powodów. Dlatego daj jej przez ten rok pełnię szczęścia. Przekaż jej tyle miłości, ile tylko zdołasz.

Po raz pierwszy w życiu Galvan ujrzał w jej oczach łzy. Scatah nie płakała nigdy podczas jego pobytu w jej dolinie. Stanowiła dla niego uosobienie siły i władzy.

Widok jej pełnych łez oczu wzruszył go.

- Zrobię to, o co mnie prosisz - obiecał. - Wiesz, że uczyniłbym to i bez twojej prośby.

- Wiem - odparła Scatah. - Ale chciałam się upewnić.

I odeszła, by przygotować wszystko na wieczór, kiedy miał się odbyć ślub jej córki i najlepszego z uczniów.

To był niezwykle wieczór. Galvan miał wrażenie, że wszystko odbywa się tylko w jego wyobraźni, zupełnie jakby niemożliwością było, by naprawdę poślubił Uatah na mocy prawa. Ślubu udzielała Scatah jako kapłanka, świadkami były zaś jej wojowniczkki, wobec których Galvan wypowiadał pragnienie związania się z Uatah na rok oraz przyrzekał jej przez ten czas opiekę i wierność.

Uatah miała na sobie delikatną zwiewną szatę, a na włosach wianek z ostatnich jesiennych kwiatów. Jej wspaniała, budząca zachwyt sylwetka nikła całkowicie pod tuniką i Uatah wyglądała jak każda młoda dziewczyna nieobeznana z bronią. Jedynie jej urody nic nie było w stanie przyćmić. Płomiennorude włosy opadały na ramiona, tworząc jakby płaszcz i odcinając się od bieli szaty. Oczy lśniły wewnętrznym blaskiem. Znać było, że tego wieczoru Uatah jest szczęśliwa i że tego szczęścia nie mogą osłabić nawet ponure przepowiednie na temat przyszłości.

Scatah wzniosła modły do bogów o udany związek i o płodność dla obojga. Galvan miał wrażenie, że to nie on stoi

w dolinie pod płonącym zachodem słońca i trzyma za rękę swoją oblubienicę, wysnioną i wytęsknioną przez te wszystkie lata. Serce biło mu równie mocno, jak tamtego wieczoru przed wtajemniczeniem, ale tym razem nie ze strachu, tylko z niecierpliwości i podniecenia.

Wreszcie Scatah podała małżonkom na srebrnej tacy pieczone mięso, którym mieli się pożywić przed wspólną nocą. Nie padło ani jedno słowo, podczas gdy oni jedli, nie spoglądając na siebie. Wzrok Galvana błędził gdzieś wysoko po szczytach gór, Uatah siedziała z oczami spuszczonej skromnie i przykrytymi zasłoną rzęs.

Scatah ze swego miejsca obserwowała Galvana, dokonując analizy zmian, jakie w nim zaszły. Wciąż jeszcze był niepewny, ale nie mogła od niego wymagać zbytnej pewności siebie, skoro nie znalazł się jeszcze wśród swoich i nie dokonał niczego znacznego. Teraz dla Galvana zaczynał się dość niebezpieczny okres, kiedy mógł zostać podstępnie zabity przez krewnych w celu przejęcia przez nich jego majątku, którego *de facto* stawał się panem. Scatah wiedziała, że po jego powrocie może dojść do przelewu krwi w rodzie. Nie raz tak się zdarzało, gdy młody mężczyzna powracający z nauki nie miał rodzzonego ojca. Umowa z opiekunami wygasła w dniu jego powrotu do domu. Evar przestanie być jego matką, znowu stanie się nią Geillis z tym tylko, że jako matka znajdzie się pod jego opieką.

Opieką, a nie władzą.

Scatah przyglądała mu się nadal. Wydawał się teraz dojrzały. Jego blond włosy, gęste i proste, opadające na ramiona i przejrzyste błękitne oczy nadawały mu pozory chłodu. Jego rysy były czyste, a chociaż nabrały wyrazu męskości, nadal pozostawały regularne, wyraziste i piękne. Twarz miała idealne proporcje, ciało było wyćwiczone, sprężyste, gibkie jak u pantery. Mięśnie na jego ramionach, nogach i brzuchu były twarde jak żelazo. Był niewiarygodnie silny, czego sama doświadczyła.

Dziecko takiego człowieka odznaczałoby się urodą i czystością umysłu. Potomek Galvana i Uatah, gdyby był chłopcem, nadawałby się znakomicie na wojownika. Jeśli

urodziłaby się dziewczynka, została by wojowniczką, kapłanką z Sein.

Scatah przypomniała sobie, jak jej matka, Aife, zasugerowała jej wybór mężczyzny na ojca swoich dzieci. Konkretnie na ojca Uatah, ale o tym Scatah wtedy jeszcze nie wiedziała. Pamiętała dobrze słowa, które Aife wtedy wypowiedziała. Były bardzo podobne do jej własnych obecnych myśli. Jeśli z tego mężczyzny narodzi się chłopiec, Scatah ma go przeznaczyć na wojownika, jeśli dziewczynka, ma zostać jedną z nich.

Kiedy ten człowiek już odszedł, a Scatah została sama, pragnęła zatrzymać dziecko tylko dla siebie. Chciała jechać za swoim mężem, wychować córkę wśród ludzi na zwykłą dziewczynę, nieświadomą swojego przeznaczenia. Ale wiedziała, że w razie niepowodzenia ją samą spotka surowa śmierć, Uatah zaś nie uniknie swej doli. Została z matką, która niedługo potem wyjechała na Sein i tam zmarła na skutek choroby.

Scatah miała wtedy niewiele ponad siedemnaście lat. Uatah była trzy lata starsza od niej, idąc w swój pierwszy związek.

Mimo to Scatah wiedziała, że to nieuniknione. Uatah musiała stać się kobietą i wydać na świat dziecko, takie były prawa boskie i ludzkie i nikt nie mógł na to nic poradzić. Jakkolwiek Scatah pragnęła oszczędzić bólu córce, nie mogła odsunąć od niej konieczności. Ani od niej, ani od Galvana.

Wreszcie państwo młodzi skończyli kolację, którą popili winem. Scatah wzięła pochodnię do ręki i zaprowadziła ich do ślubnej komnaty w towarzystwie swoich pomocnic. Na miejscu obmyła ręce Galvana, potem Uatah, zostawiła im czarę z wodą i wyszła, a za nią bezszelestnie wysunęły się wojowniczki.

Galvan i Uatah zostali sami w izbie wymoszczonej miękkimi skórąmi. Mieli dokonać tego, czego pragnęli oboje od tak dawna. Galvan wiedział, na czym to będzie polegać, ale Uatah drżała w obawie przed nieuniknionym, mając pełną świadomość, że to, co się za chwilę stanie, będzie nieodwracalne. Przypomniała sobie, jak kiedyś jedna

z kapłanek na Sein nuciła pod nosem fragment starej greckiej pieśni poetki z Lesbos.

*Dziewictwo, dziewictwo, dokąd ode mnie uciekasz?
Nigdy już do ciebie nie wrócę, nigdy nie wrócę!*

W tym dwuwierszu zawarte było wszystko, co teraz czuła Uatah. Lęk, niepewność, świadomość swego losu i konsekwencji z tym związanych.

Mimo to, gdy Galvan zbliżył się do niej i gdy poczuła ciepło jego dotyku, bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję i pozwoliła na wszystko, czego razem pragnęli.

Świt zastał Uatah leżącą z szeroko otwartymi oczami na posłaniach z futer. Jedno ramię podłożyła Galvanowi pod głowę, drugą ręką bawiła się jego włosami rozsypanymi na swoim barku. Spał przy niej jak dziecko na łonie matki, oddychał tak spokojnie i w niczym nie przypominał wojownika z placu ćwiczeń. Jego stalowe mięśnie były teraz rozluźnione, a chłód niebieskich oczu przykryły powieki, nadając twarzy na wpół dziecinny wygląd.

Uatah wdychała głęboko jego zapach, nie mogąc uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który w nocy splótł się z nią w miłosnym uścisku. Rozmyślała, że jakkolwiek edukację przeszedł u jej matki, musiał być pojętym uczniem. Nigdy w życiu nie doznała Uatah takiej różnorodności doznań, a wszystko przesycone było czułością, o jakiej ta kobieta przeznaczona na srogą wojowniczkę mogła tylko marzyć.

Stało się, pomyślała z lekkim uśmiechem. Nie było tak strasznie. Prawdę mówiąc, wcale nie było źle. Wprost przeciwnie.

Nie bolało wcale tak, jak się spodziewała. Poczowała jedynie napór i pieczenie w środku, kiedy Galvan w nią wszedł. A potem wypełniło ją to nowe, nieznanne uczucie, które początkowo wcale jej się nie podobało, bo nie potrafiła odpowiednio na nie zareagować. Podczas gdy on nurzał się

w przyjemności, ona leżała pod nim, obejmując go za szyję i chłonąc to doznanie, przenikające ją do szpiku kości. Pomyślała wtedy, że dziewictwo jest jedynie słowem i że chwila jego utraty nie jest ani wzniosła, ani szczególna. Trwa krócej niż mrugnięcie okiem.

Dopiero za drugim razem, kiedy otarli z niej krew sączącą się sporym strumieniem, Uatah posmakowała rozkoszy. Galvan był cierpliwy, bowiem Scatah nauczyła go, że dla dziewicy to nic przyjemnego, w każdym razie nie zaraz. Nawet jeśli w pierwszej chwili nie poczuje bólu, potem da się on jej we znaki ze zdwojoną siłą.

I rzeczywiście, podczas gdy on spał, Uatah leżała, wczuwając się w każdy sygnał, jaki wysyłał jej organizm. Pełna była w środku lepkiej substancji, która ostygła już i nie była taka gorąca jak w chwili, kiedy ją w siebie przyjmowała. Wnętrze jej łona bolało i paliło jak żywy ogień, a kiedy się poruszała, czuła jakby ukłucia nożem, ale nie było na tyle bolesne, by nie dało się tego znieść. Mimo to odczuwała jakąś nieziemską przyjemność. Wąchała swoje ramiona przesiąknięte jego zapachem, dotykała ust, które całował, i wciąż, i wciąż od nowa usiłowała sobie przypomnieć ten moment, ale stwierdziła, że niewiele z niego pamięta.

Gdy poruszyła się mocniej, Galvan się obudził. Uniósł się na łokciu i popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, ale zaraz się uśmiechnął. Przesunął dłoń po jej policzku.

- Boli cię? - zapytał.

- Trochę - mruknęła. - Niedługo przejdzie.

Galvan podciągnął się i usiadł. Był szaleńczo głodny, ale w izbie nie znalazł jedzenia.

- Nie minie co najmniej do jutra - powiedział. - Dam ci spokój dzisiejszej nocy.

- I pójdziesz do mojej matki? - przestraszyła się Uatah.

- Co za głupoty opowiadasz? Dlaczego miałbym to zrobić? Jeszcze nie wybiłaś jej sobie z głowy, Uatah? Nawet teraz?

Uatah uśmiechnęła się pod nosem. Pod pewnymi względami nie różniła się od innych kobiet. Tak jak one lubiła być zapewniana o wierności i przywiązaniu.

- Ona odjedzie niebawem do Gergowii - powiedziała, podnosząc się także. - Nie była wśród ludzi od pięciu lat. Zostaniemy tu sami. Tylko ty, ja i moje siostry.

- To nie tacy całkiem sami - zauważył Galvan.

- Ktoś musi tu z nami być. Sami nie dalibyśmy rady obronić się w razie konieczności.

Galvan zdawał sobie z tego sprawę. Właściwie nie miał nic przeciwko temu.

- A poza tym, Galvanie, nie zaniechasz przede mną dalszych ćwiczeń - dodała Uatah z ponurą satysfakcją. - Skoro mojej matki nie będzie, ja zostanę, by cię nadzorować.

- Ćwiczenia, powiadasz? - podjął Galvan. - Znam parę takich, które możemy razem wykonywać.

Uatah parsknęła śmiechem.

Po chwili jednak spoważniała.

- Czy czułeś ze mną tę świętość, o której ona ci mówiła? - zapytała.

- Skąd wiesz, co mi mówiła? - zdziwił się Galvan.

- Myślisz, że mnie nie uczono w tym zakresie? Zanim pojąłeś mnie za żonę, wiedziałam o wszystkim, czego moja matka cię nauczyła. Dlatego pytam, czy odczułeś to, o czym mówiła?

W przejrzystych oczach Galvana pojawił się błysk czułości. Patrzył na nią tak samo, jak kiedyś na skale we mgle, jak w blasku księżyca pod drzewem, jak w poranek po swoim wtajemniczeniu, a Uatah poczuła, że żadne wyjaśnienia nie są jej potrzebne. Kiedyś matka opowiadała jej o tej niewyobrażalnej namiętności, która zespala ludzi ze sobą, o tym poczuciu jedności, jaka istnieje tylko między mężczyzną i kobietą, ale Uatah pragnęła czegoś innego. Chciała związku dusz, porozumienia, oddania i miłości. I to wszystko ujrzała we wzroku swego małżonka tego ranka.

- Czułem znacznie więcej, niż potrafiłbym wyrazić słowami - odparł cicho. - Nie znam tylu zwrotów, by to opisać, Uatah.

Wtedy ona bez słowa wsunęła się w jego objęcia i nie pytała już o nic więcej.

Wkrótce potem Scatah opuściła dolinę, udając się

do Gergowii w celach znanych tylko sobie. Do Samain miała tam pozostać i przewodniczyć świętu, tak jak miała to w zwyczaju raz na pięć lat. Pożegnała się z córką dość oficjalnie, zlecając jej pieczę nad domem, ale wewnątrz objęła ją mocno i przytuliła, tłumiąc łzy.

- Jeśli zauważysz, że nosisz w sobie życie, prześlij do mnie Leath - poleciła. - Wrócę wtedy szybciej, by ci pomóc w trudnej chwili.

Uniosła rękę w geście pożegnania i rozpoczęła wspinaczkę po kamiennych schodach. Niebawem zniknęła we mgle, która opadała na dolinę niczym biały całun. Po jej odejściu Galvan poczuł się nagle samotny w tej dolinie. Pojął, że to miejsce należało do niej, później zaś miało należeć do Uatah, ale on, Galvan, nie był jego częścią. Nawet przyjaciele i bracia w boju nie odcisnęli tu swojego piętna. Dolina była cicha i spokojna, jak w dniu, kiedy tu przyjechał.

Tak więc on i Uatah zostali sami, a do towarzystwa mieli tylko wojowniczkę, które odpoczywały w miarę możliwości przez ten krótki czas, jaki im dano. W przyszłym roku miały się także udać na Sein, do doliny natomiast musiały przybyć nowe kobiety, by szkolić młodych ludzi i rozwijać swoje umiejętności. Te, które odejdą, będą pogłębiać swoją wiedzę na Sein. Galvan wiedział, że nigdy już ich nie zobaczy.

Chyba że w czasie wojny.

Kiedy jednak minął pierwszy szok i smutek po odejściu Scatah, on i jego młoda żona zaczęli bez skrępowania cieszyć się sobą. Odbywali wspólne ćwiczenia, dzielili ze sobą noce i dni, spożywali wspólne posiłki i nawet kąpali się razem w rzece, nie chcąc zmarnować ani jednej chwili z tego krótkiego czasu, jaki mieli do dyspozycji.

W ciągu następnych lat Galvan wielokrotnie wspominał ten okres jako najlepszy w życiu, jakkolwiek potem również bywał szczęśliwy. Jednak w tej dolinie miał okazję przeżywać pierwszą w życiu miłość, w dodatku odwzajemnioną i spełnioną, bez większych zobowiązań, które zapewne przyjąłby na siebie, bez odpowiedzialności na dłuższą metę, wciąż jeszcze z dala od problemów dorosłego życia.

Przy Uatah był tylko Galvanem, młodym zakochanym chłopakiem, wojownikiem wkraczającym w dojrzałość, uczącym się trwania w związku. Później musiał stać się Wercyngetoryksem, panem swojego klanu, odpowiedzialnym za wszystko, co należało do niego, i za każdego człowieka, który mieszkał pod jego dachem. Musiał podejmować decyzje, od których zależało dobro jego bliskich, musiał troszczyć się o majątek, rozsądzać spory, nawiązywać sojusze i zacieśniać więzy krwi z odpowiednimi klanami.

Ale tej jesieni i zimy przeżywał niejako ostatni rok absolutnej wolności, niczym nieskrępowanego szczęścia, szaleństwa zmysłów. Dawał i brał wyłącznie z miłości, porażony nią, tak samo jak porażony był bliskością Uatah, swym pierwszym odkryciem w świecie uczuć i kobiet. Ona była spełnieniem jego snów, drugą po Scatah nauczycielką życia. Razem poznawali i odkrywali swoje sekrety i arkana natury, razem brali udział w akcie stworzenia, po raz pierwszy, w sposób niewinny i czysty, z zaciekawieniem obserwując, jakie skutki wywołuje ich postępowanie.

Kiedy po latach Galvan wracał myślą do tego okresu, z uśmiechem niepozbowionym gorzkości z powodu wszystkich późniejszych przeżyć – tak dobrych, jak i gorszych – stwierdzał, że w dolinie Scatah mimo wszystko był jeszcze naiwnym dzieckiem. I że nawet miłość do tej dziewczyny, którą przeżywał tak intensywnie, jak co roku wybuch wiosny, nie została tak naprawdę poddana żadnej próbie, poza rozstaniem. Nie doświadczyła ani próby czasu, ani wierności, szarej codzienności, gniewu, ani żadnych innych przeciwności losu.

I wiele lat później, gdy rozmyślał nad swoim życiem, czekając na jego koniec, miłość do Uatah wspominał jak piękny sen, który tak naprawdę nigdy się nie skończył. Przez wszystkie dorosłe lata obraz pierwszej żony nadal tkwił głęboko w jego sercu i nic ani nikt nie był w stanie go stamtąd usunąć.

W jego wspomnieniach Uatah pojawiała się za każdym razem w roli bogini, której on w sercu dochował wierności. I chociaż nie mógł zostać z nią na zawsze ani nawet tak długo, jak by tego chciał, córka jego mistrzyni, która z biegiem lat

sama osiągnęła pozycję matki i stała się jedną z najpotężniejszych kapłanek, zawsze odgrywała w jego myślach ważną rolę. Gdy spotkali się wiele lat później, okazał jej należyty szacunek wzmocniony wspomnieniem dawnego uczucia i przekonał się, że jego wizerunek w jej sercu także jest nadal żywy.

Ale żyjąc z Uatah tej zimy w dolinie, nie miał pojęcia, jak potoczą się jego losy. W zimne noce, kiedy śnieżyca dawała się we znaki, on leżał pod ciepłymi okryciami z ukochaną kobietą u boku i czuł, jak w jej łonie dojrzewa życie, które stworzyli razem. To wywoływało w nim uczucie niesamowitego szczęścia. Zasypiał najczęściej z ręką na jej brzuchu, powiększającym się z każdym tygodniem, co, rzecz jasna, było przyczyną nieustannej radości.

Uatah zorientowała się w sytuacji niedługo po święcie Samain, gdy jej matka bawiła w Gergowii. Obliczyła szybko, że dziecko przyjdzie na świat późnym latem, kiedy Galvan będzie jeszcze w dolinie. Chciała ubłagać matkę, by pozwoliła jej odbyć poród tutaj i by Galvan był przy tym obecny. Uważała, że to bezlitosne pozbawiać go radości, na którą tak czekał.

Wysłała więc wiadomość do matki, skoro tylko zauważyła, że jest w ciąży, ale Scatah nie mogła przybyć wcześniej niż wiosną z powodu nieustannych śnieżyc i lawin spadających po tamtej stronie gór. Nadal zatem byli tylko we dwoje, jeśli nie liczyć zaufanych strażniczek, nadal też cieszyli się sobą, odczuwając więź jeszcze większą.

Jednak Uatah z każdym tygodniem odczuwała w głębi serca coraz większy smutek, zdając sobie sprawę, że to, na co tak czekają, będzie dla nich początkiem końca. Nawet jeśli Galvan ujrzy upragnione dziecko, to zaraz potem będzie musiał odejść do swego domu pod Gergowią. Ona zaś po odbyciu połogu uda się z matką do świętego zgromadzenia na wyspę i tam przejdzie rytuał oczyszczania i dalszego wtajemniczenia. Do doliny będzie mogła wrócić po odstawieniu dziecka od piersi, a więc zapewne przyszłej jesieni. A wtedy Galvan będzie już pewnie miał inną dziewczynę.

Zresztą i tak nie wolno by mu było związać się z nią jeszcze

raz.

Wielokrotnie podczas bezsennych nocy, kiedy płód wciskał jej się pod żebra i kopał z rozmachem, powodując coraz silniejszy ból, rozmyślała nad słowami matki wypowiedzianymi kiedyś. Zastanawiała się, czy Scatah też czuła narastającą rozpacz na myśl, że jej ukochany odejdzie, podczas gdy dziecko poruszało się w niej i dawało swoją obecnością żywy dowód miłości między rodzicami. To dziecko, którym była przecież ona sama!

I wielokrotnie niepoohamowana radość mieszała się w niej z uczuciem smutku i zawodu, że to się stało tak szybko, że w ten sposób Galvan nie będzie mógł przedłużyć z nią kontraktu i że mógł bardziej uważać. Jednak oboje byli pijani miłością, opętani myślą o sobie nawzajem, a w swoich objęciach nie potrafili kontrolować swoich reakcji. Galvan nie miał wielkiego doświadczenia w tych sprawach i nie nauczył się jeszcze panować nad sobą w każdej sytuacji, teraz zaś było już obojętne, czy skończy w niej, czy nie, dziecko bowiem już rosło i dawało o sobie znać.

Zastanawiała się też, jakie będzie to dziecko. Czy odziedziczy urodę po Galvanie? Przejmie po nim te intensywnie niebieskie oczy, takie przejrzyste, wyraziste i chłodne? Czy odziedziczy piękne blond włosy, jakby przetykane promieniami słońca, w innym miejscu zaś jakby oblane ciemnozłotym miodem? Czy może wreszcie dostanie w spadku po swoim ojcu pięknie rzeźbione rysy, takie regularne i idealne?

Scatah wspominała, że Galvan był niebywale pięknym dzieckiem. Czy jego potomek okaże się równie urodziwy?

Tej zimy i wiosny Uatah była szczęśliwa, ale gdy nadszedł początek lata, a wraz z nim do doliny zawitała matka, odniosła wrażenie, że zaczynają zbierać się ciemne chmury, by przysłonić słońce oświetlające jej życie z całą swoją mocą.

Scatah niemal całą zimę spędziła w Gergowii, odwiedzając przy okazji kilka innych miejsc. Naturalnie ucieszyła się, kiedy w Samain otrzymała wiadomość od córki, ale jednocześnie zmartwiła, bo wiedziała, co to oznacza. Miała cichą nadzieję, że Uatah szybko zajdzie w ciążę, dzięki czemu Galvan prędzej

odejdzie, a ona sama nie zdąży się do niego zbyt przywiązać. Ale kiedy to już się stało, Scatah poczuła w sercu ukłucie żalu na myśl, że niewiele takich pięknych chwil przeżyje Uatah w najbliższym czasie.

Zabawiła dość długo u Maerina, od którego dowiedziała się najnowszych wiadomości. A ciekawa była ogromnie po pięciu latach spędzonych w zamknięciu.

Maerin zresztą ucieszył się wielce na jej widok i chętnie opowiadał jej, co się dzieje na świecie. Na ogół były to drobne wydarzenia, gdyż w świecie celtyckim panował względny spokój, co jednak Maerin odbierał jako ciszę przed burzą.

- Mam złe przeczucia - stwierdził, gdy siedzieli razem przy stole i pili piwo jęczmienne. - Od czasu śmierci Celtyllusa w Galii panuje zdumiewający spokój. A minęło już dwanaście lat.

- Chcesz powiedzieć, że masz widzenia? - zapytała Scatah.
- Nawiedzają cię sny?

Druid długo nie odpowiadał.

- W Rzymie zaczyna się źle dziać - wyznał wreszcie. - W zeszłym roku omal nie doszło tam do wojny domowej. Zrujnowani arystokraci zawiązali spisek, odkryty w ostatniej chwili przez urzędującego konsula, a ten skazał ich wszystkich na śmierć. Przypomina mi to nieco sytuację sprzed dwudziestu lat, kiedy Sulla doszedł do władzy.

- Nie przesadzaj - ofuknęła go Scatah. - Sulla był tyranem, a nie powiesz mi, by człowiek, który teraz sprawuje konsulat, równał się z nim pod tym względem.

- Teraz kto inny jest konsulem - odparł Maerin. - Nie to mnie jednak niepokoi.

- Co zatem?

- Moi informatorzy w Rzymie donoszą o innym zuchwałym człowieku.

- Czyżbyś mówił o Pompejuszu?

- Pompejusz walczy na Wschodzie z Partami i mam nadzieję, że poniesie klęskę. Rzymianie stają się zbyt potężni i za wiele pragną dla siebie. Nie, to Cezar mnie niepokoi. I jego kompan Krassus. Mówią, że o ile Krassus jest najbogatszym

Rzymianinem, ale bez większych ambicji, o tyle Cezar to mąciwoda. Potrafi świetnie wykorzystać sytuację dla swoich celów.

- Coś jeszcze cię martwi, Maerinie? - zapytała Scatah wolno.

- Jeśli chodzi o Rzym, to widzę postępujący rozkład ich ustroju. Republika chyli się ku upadkowi i oni to widzą. Jeszcze dwadzieścia lat i wszystko legnie w gruzach.

- A inne państwa?

- Zaczyna robić się nieciekawie w Egipcie - powiedział Maerin. - Ptolemeusz Auletes jest zbyt słabym władcą, a jego królestwo podupada. Po jego śmierci mogą tam wyniknąć walki o władzę, a jeśli Rzym się do tego wmiesza i wykorzysta sytuację, zamieniając Egipt w swoją prowincję, wtedy jego potęga będzie ogromna. Nie do ujarzżenia.

Scatah spoglądała na niego w zamyśleniu. Jej zielone oczy lśniły w blasku ognia paleniska.

- Oni już od dawna są zbyt potężni - mruknęła. - Od czasów wojen z Kartagimą nieustannie prą do przodu, zagarniając po drodze wszystko, co się da. Zburzyli Kartaginę, ale to im nie wystarczyło, więc wyruszyli do Macedonii, walcząc niemal jednocześnie na dwa fronty. Podbili Hiszpanię, Galię Przedalpejską, Grecję wraz z wyspami, uzależnili Ilirię, wchłonęli państwo Seleukidów w Azji, a teraz zaczynają wyciągać ręce po ziemię Ptolemeusza. Boję się tylko, że któremuś z nich wpadnie do głowy podbijać nas i zamienić Galię w swoją prowincję.

Maerin odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- To nie może się stać, Scatah, dobrze o tym wiesz! - wykrzyknął. - Jeśli oni tu wejdą, zniszczą wszystko doszczętnie. Ludzie będą walczyć o swoje przekonania i o wolność przez sto, dwieście lat, ale potem zapomną, kim są, i staną się Rzymianami.

- Więc uważasz, że oni to uczynią?

- To jest możliwe. Dla Rzymian wszystko jest możliwe. Im się wydaje, że zostali predestynowani do rządzenia światem. Piszą nawet tego rodzaju brednie w swoich dziełach literackich.

Nie rozumieją, że żaden naród nie jest powołany do rządzenia innym, ale wszystkie są równe wobec bogów i siebie.

Scatah stwierdziła, że nie chce o tym rozmawiać, skierowała więc rozmowę na inny temat.

- Uatah spodziewa się dziecka - oznajmiła z ukrywaną dumą. - Wybrała sobie na męża syna Celtyllusa.

Maerin zagwizdał z uznaniem.

- To dobrze zrobiła! - przyznał. - Wnuk samego Celtyllusa! Oto krew godna uszanowania. To ty ją namówiłaś do tego wyboru, jak sądzę?

- Nie, Maerinie. Ona się zakochała.

- W nim? - Maerin wyraźnie się zmartwił. - Ale ona chyba wie, że nie wolno jej się z nim wiązać na dłużej niż rok?

- Wie i to jest jej największe zmartwienie.

- Takie związki nie mają prawa przetrwać - stwierdził druid. - Celtyckie wojowniczkę nie są stworzone do życia w stadle, a celtyccy mężowie powinni szukać na matki swych dzieci szlachetnie urodzone kobiety z dobrych domów. Tak, by potomstwo przejęło znakomitą krew i bogactwa po matce.

- Wiem o tym - syknęła Scatah. - Ale możesz mi wierzyć, że mój ojciec pochodził z możnego rodu. Moja matka wyznała mi jego imię.

- Wiesz, kim był twój ojciec? To nie jest codziennością w waszym klanie.

Scatah uśmiechnęła się pod nosem.

- Ja nie powiedziałam Uatah, kto był jej ojcem. Ale będę nalegać, by jej dziecko dowiedziało się, z jakiego rodu pochodzi. Galvan jest tym, na którego czekałam, Maerinie. Wyszedł zwycięsko ze wszystkich prób. Święty ogień nie zrobił mu krzywdy, Most Skoków nie zwięził się pod nim, a kładąc się na ostrzu miecza, nie drasnął sobie nawet odzienia.

- Zdziwiający - zdumiał się Maerin. - Od dwustu lat nikt nie przeszedł wszystkich prób! Ponoć Hannibal miał w swoim wojsku Celta, któremu się to powiodło. Ale to było ponad dwieście lat temu.

- Mało tego. Galvan okazał niebywałą powściągliwość i roztropność, nie zbliżając się do mojej córki, do której żywił

silne uczucie od wielu lat.

- To świadectwo silnej woli.

- I wielokrotnie pokonał mnie w walce - dodała Scatah.

Przenikliwe oczy druida wpatrywały się w nią uważnie.

- Chcesz powiedzieć, że on jest tym, którego objawiły ci widzenia dwadzieścia lat temu? Twoje pierwsze wizje? Sądziłem, że mówiąc o synu Celtyllusa, będziesz miała na myśli tych, którzy są przeznaczeni na kapłanów.

Scatah pokręciła głową.

- To nie kapłana widziałam w moich snach, Maerinie. Widziałam wojownika.

- Więc o to ci chodziło wtedy, gdy Galvan pytał mnie o swoje sny. Starłaś mu się wyjaśnić jego powołanie?

- Przekazywałam mu sny, jakie mnie nawiedzały. On jest wybrany, Maerinie. Dostanie jedną jedyną szansę. Musi mu się udać zjednoczyć Celtów. Nawet za cenę życia.

Maerin nie pytał o nic więcej.

Wraz z końcem wiosny Scatah przybyła do doliny. Czas był już ku temu odpowiedni i przekonała się o tym, gdy ujrzała swą córkę mocno już ociążałą. Zręczna i zwinna Uatah poruszała się z wyraźnym trudem, a jej smukłe ciało zdeformowane było przez potomka, którego w sobie nosiła. Piersi jej nabrzmiały od mleka, stopy opuchły, pod oczami pojawiły się sine cienie, ale radość życia jej nie opuszczała. Wydawało się, że rozpiera ją szczęście z powodu dziecka Galvana, i Scatah była zdumiona, widząc ją w takim stanie.

Rzecz jasna, nie miała nic przeciwko temu, by Galvan został w dolinie do czasu narodzin swego potomka. Pamiętała doskonale swój żal na myśl, że ukochany mężczyzna nigdy nie zobaczy swojego dziecka, którym była Uatah. Stwierdziła, że Galvan powinien zostać do nadania dziecku imienia, potem zaś odejść, by dać Uatah możliwość powrotu do zdrowia przed wyruszeniem na Sein.

Ale tak naprawdę wszystko to było dla niej bolesne i nie potrafiła kalkulować chłodno, gdy w grę wchodziło szczęście jej córki. Wielokrotnie w tym czasie analizowała w pamięci greckie tragedie słyszane na spotkaniach na wyspie i to, co kiedyś jej

nie wzruszało, teraz zdumiewało ponad wszelkie granice. Nie pojmowała na przykład, jak Klitajmestra mogła pozwolić na śmierć Ifigenii albo dlaczego Hekabe patrzyła na morderstwa na własnych córkach, zamiast popełniwszy samobójstwo, uwolnić się od tego.

Rzecz jasna, popadała w przesadę, ale tak bardzo pragnęła oszczędzić Uatah tego, co musiało nadejść.

Wreszcie pod koniec lata, gdy największe upały już minęły, nadszedł czas na Uatah. Zaczęło się w nocy, kiedy oboje spali wtuleni w siebie. Scatah wraz z wojowniczkami natychmiast zajęła się córką, wypraszając Galvana za drzwi. I podobnie jak kiedyś jego ojciec, tak teraz on chodził w jedną i drugą stronę, nasłuchując głosów zza drewnianych drzwi. Wsłuchiwał się w nic mu nie mówiące polecenia Scatah, w pospieszne kroki służek, w jęki Uatah nasilające się z godziny na godzinę, i czuł grozę w sercu. Tam działo się coś, w czym on nie mógł uczestniczyć, nie mógł pomóc swej żonie ani przynieść jej ukojenia. Wszystko to było dla niego ogromnie trudne.

Budził się już dzień, gdy Uatah, nie potrafiąc już powstrzymać zmęczenia i bólu, zaczęła krzyczeć. Galvan nigdy nie słyszał jej krzyku, nie sądził, by była stworzona tak samo jak inni, by musiała wyrzucać z siebie oznaki bólu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Uatah jest taką samą kobietą jak inne i że istnieje ból, którego pokonać nie sposób. Kilka lat później, gdy na świat przychodziło jego kolejne dziecko, Galvan nie denerwował się tak i nie odczuwał takiego lodowatego strachu. Ale ta noc wydawała mu się straszliwie długa i trudna, wypełniona lękiem i osłabiającym poczuciem własnej niemocy.

Wreszcie o poranku było po wszystkim. Krzyki ustały, a ze środka dało się słyszeć bezradne kwilenie, jakby ktoś trzymał na rękach miauczącego kota. Drzwi otworzyły się i oczom Galvana ukazała się Scatah z niemowlęciem na ręku. Było brudne, umazane krwią, mokre i okropne. Galvanowi zaświtało w głowie, że już kiedyś widział podobne stworzenie, gdy schował się pod stołem podczas porodu swej przybranej matki.

Tyle, że to dziecko było jego. On sam je powołał do życia.

- Córka - zakomunikowała Scatah, najwyraźniej wzruszona

narodzinami wnuczki.

Córka. Dziewczynka. Maleńka, krucha istota, człowiek, ale jaki bezradny! Maleńkie dziecko, które kiedyś miało wyrosnąć na istotę podobną do swej matki i babki, na wojowniczkę posługującą się bronią, zabijającą bez litości wrogów, noszącą imię równie straszliwe jak imiona jej krewnych.

Galvan przełknął ślinę. Wyciągnął rękę i dotknął mokrego policzka dziecka.

- Moja - szepnął.

Scatah dostrzegła w jego oczach łzy i przeraziła się. Wiedziała, co to oznacza. Zrozumiała w jednej chwili, że Galvan będzie tęsknił za córką, że przez całe życie będzie mu jej brakowało. Córki nie odchodziły z rodzinnych domów, dorastały w nich i ojcowie wydawali je za mąż. Jego siostry zostały przy matce, kiedy umarł ojciec. Ale on nie będzie mógł wychowywać swej córki, patrzeć, jak rośnie, czuwać nad nią, obserwować, jak z dziecka staje się kobietą i jak odchodzi do swego męża, by mu rodzić dzieci. Córka Galvana zostanie kapłanką, będzie wtajemniczać młodych chłopców w arkana walki i życia, tak jak Scatah, Uatah, a przed nimi inne.

Dlatego właśnie mężczyźni byli odsyłani, gdy dziecko się już poczęło. Dlatego usuwano ich z życia kobiet, by nie widzieli swoich dzieci, by nie poruszył się w nich odwieczny instynkt ojcowski, by nie nauczyli się kochać tego, kogo ujrzą. Jakkolwiek bowiem matka związana była z dzieckiem od momentu poczęcia, tak ojciec odczuwał więź dopiero po narodzinach potomka, gdy mógł go już trzymać w ramionach. Scatah nie chciała dać Galvanowi córki na ręce, aby się do niej nie przywiązał, by jej nie pokochał.

Ale widziała już, że jest za późno. W oczach Galvana widziała to samo, co przed chwilą w oczach Uatah. Przez moment niemal pragnęła, by dziecko okazało się martwe, by nie zostało powołane do życia. Przez jeden straszny moment Scatah tego chciała. Potem jednak wyciągnęła tę istotę z łona swej córki i zrozumiała, że nie może czegoś takiego pragnąć, bo kocha swoją wnuczkę od samego początku.

- Będzie się zwać Aife - oznajmiła Galvanowi. - Tak, jak

nazywała się moja matka.

- Czy nie mogę dać jej imienia po mojej matce? - zapytał Galvan z nadzieją.

- Nie. Imiona w naszym rodzie są dziedziczne. Aife znaczy „Straszliwa”. To da jej dodatkową siłę, kiedy stanie się jedną z nas.

Galvan nadal z rozmarzeniem dotykał główki dziecka, czując w sercu narastającą czułość. Do oczu napłynęły mu łzy, które pospiesznie otarł ręką.

- Chcę cię prosić o jedną przysługę, Scatah - odezwał się zdławionym głosem. - Nie będę się wtrącał ani przeszkadzał w wychowaniu jej i nie przyjadę tu więcej, by na nią patrzeć. Nie przybędę do waszej świętej siedziby na Sein, nie nawiedzę więcej Uatah, nie wejdę ponownie w jej życie, jeśli tego nie chcesz. Ale pozwól mi ujrzeć jeszcze kiedyś moją córkę. Nawet, gdyby to miało być tylko raz. Pragnę ją ujrzeć, gdy dorośnie, by się przekonać, że jest tak piękna i wspaniała, jak jej matka i babka.

Scatah pokiwała głową.

- Ujrzysz ją kiedyś - obiecała. - Gdy czas nadejdzie, ona przyjedzie do ciebie, tak jak tego pragniesz. Ale teraz będziesz musiał odejść, Galvanie, zostawić wszystko, jak powinno być. Musisz wracać do swoich, przejąć swoje dziedzictwo.

- Nie dzisiaj - odparł Galvan. - Pozwól mi zostać jeszcze ten dzień.

- Twoja umowa z Uatah mija dopiero za trzydzieści nocy - przypomniała Scatah. - Wiesz, że to musi się stać.

Galvan kiwnął głową. Wiedział, ale tego dnia nie chciał snuć przykrych myśli. Nie w dniu narodzin swojej córki, jedynej, jaką miał z Uatah.

- Mogę do niej wejść? - zapytał.

- Myślę, że możesz - uśmiechnęła się Scatah. - Tylko jej nie zmęcz.

Galvan odebrał od niej dziecko i z niemowlęciem w ramionach wszedł do pomieszczenia, w którym oczekiwała ich Uatah. Scatah nie przeszkadzała im już więcej tego dnia.

Sina mgła opadała nad dolinę, kiedy Galvan wspinał się

po kamiennych schodach. Dzień był równie mglisty i nieprzyjemny, jak pięć lat temu, kiedy tutaj przybył. Wiedział, jak dojść do Gergowii, bowiem Scatah dała mu przewodniczkę, która miała go sprowadzić na równiny. Stamtąd do miasta łatwo było trafić. Galvan nie powinien mieć problemów z dotarciem do Gergowii.

Nie był w tym mieście od wielu lat.

Ale tak naprawdę to go nie obchodziło. Co innego zajmowało jego myśli i nie były to bynajmniej przyjemne uczucia. Po trzydziestu nocach od narodzin swego dziecka musiał odejść z doliny Scatah i wrócić do swoich ludzi, do rodziny, która na niego czekała, by podjąć obowiązki zmarłego ojca. Prawdę mówiąc, Galvan nie miał na to najmniejszej ochoty, wolał pozostać tutaj, przy Uatah i ich dziecku.

Jednak umowa małżeńska wygasła tego dnia i Galvan nie mógł zawrzeć kolejnej na rok. Prawo wobec wojowniczek było inne, mogły one przyjmować każdego mężczyznę na okres jednego roku, chyba że nie zdążyłby spłodzić z nimi dziecka. Wówczas przedłużano umowę na rok następny. Galvan żałował, że tak szybko przyczynił się do narodzin Aife, bowiem mogliby cieszyć się sobą jeszcze przez rok. Z drugiej jednak strony wiedział, że wtedy byłoby im podwójnie ciężko się rozstać.

Nie, musiał wracać do domu i doskonale o tym wiedział.

Czy tego chciał, to już zupełnie inna sprawa.

Wiedział, że będzie mu brakować tej doliny. Przez pięć lat to miejsce było jego domem. Tam, gdzie wracał, pozbawiony był tak naprawdę domostwa. Rodzina, w której się wychowywał, przestawała być jego rodziną z chwilą, gdy wkroczył w obręb swojego domu. Zaś dom, w którym się urodził, nie był tak naprawdę jego domem, tylko dziedzictwem po ojcu. A Galvan nawet nie mógł stanąć jako dorosły przed swym ojcem, by mu złożyć pokłon.

Idąc po kamiennych stopniach, przypominał sobie wszystkie mordercze wspinaczki, podczas gdy jego ciało nabierało formy, jaką posiadało obecnie. Pamiętał, jak w duchu przeklinał Scatah i jej bezsensowne polecenia. Ale wspinając

się po nich po raz ostatni, czuł, jak bardzo będzie tęsknił za tym miejscem i jak mocno jest związany z doliną.

Należało z niej odejść. Galvan czuł się jak osierocone dziecko.

Jego zdumienie było ogromne, gdy po wejściu na górę ujrzał na przełęczy Uatah. Stała nieruchomo tak jak dawno temu, gdy on biegł żegnać swego brata. Czekala wtedy na niego we mgle.

Jego przewodniczka odeszła nieco dalej, by dać im czas na pożegnanie. Galvan zdziwił się, dlaczego tego ranka Uatah nie chciała go pożegnać razem z matką. Sądził, że nie chce pokazać mu zapłakanego oblicza i chociaż w duchu jej współczuł, to jednak pierwszym uczuciem był głęboki zawód.

Teraz zrozumiał. Chciała się z nim pożegnać sama. Bez świadków.

Galvan podszedł do niej i spostrzegł, że jej twarz jest mokra od łez.

- Uatah - szepnął.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem, zanosząc się płaczem. Galvana piekły oczy, łzy cisnęły się pod powieki, a w gardle dławilo, ale ostatkiem sił zdołał nad sobą zapanować.

- Musisz odejść - szepnęła. - Wiem o tym. Moja matka przepowiadała mi wielki ból po twoim odejściu. Ale ja nie wyparłabym się tych chwil spędzonych z tobą.

Galvan obejmował ją mocno, nie mogąc uwierzyć, że zaraz ją opuści na zawsze, że nigdy już jej nie zobaczy. Przez pięć lat Uatah stała się częścią jego życia.

- Zawsze będziesz w moich myślach, Uatah - powiedział cicho. - I w moim sercu.

- Nawet gdy zwiążesz się z inną? - zapytała przez łzy.

- Nawet wtedy.

- Ty też będziesz w moim sercu - odparła.

- Nawet jeśli ty będziesz gościć w swym łóżu innego?

- Nie myśl, że będę to robić z miłości. Nigdy już nikogo nie pokocham, Galvanie.

Wtedy Galvan przytulił ją mocno do siebie i ukołysał

w ramionach jak małe dziecko. Doskonale rozumiał, że Uatah nie mówi w porywie żalu i rozpacz, ale że doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich słów. Być może gdyby wkroczył w jej życie znacznie później, gdyby był tylko uczniem, jak w przypadku Scatah, nie musiałaby cierpieć z powodu miłości, bo jej uczucie ulotniłoby się na wietrze. Ale ona była bardzo młoda, gdy oddała mu swoje serce, i wiedziała, że nikt nigdy nie znajdzie u niej takiej miłości, jaką miał on przez pięć lat jej życia.

Jakkolwiek potem zdarzały jej się chwilowe porywy namiętności i uczuć, to jednak obdarzywszy Galvana pierwszą, najmocniejszą miłością, nikogo więcej nie pokochała naprawdę. Całe uczucie, jakie w niej tkwiło, przelała na swego pierwszego mężczyznę, który uczynił z niej kobietę i nauczył kochać.

Trwali tak w uścisku przez dobrą chwilę, zanim Uatah uwolniła się z jego objęć. Otarła łzy i uspokoiła płacz.

- Idź już, Galvanie - powiedziała. - Czas na ciebie. Lepiej rozstać się szybko, niż odwlekać to w nieskończoność wśród bólu i cierpienia.

Galvan wiedział, że ma rację, ale mimo to czuł smutek na myśl, że musi odejść. W końcu jednak zarzucił na ramię sakwę ze swoimi rzeczami, a do ręki wziął tarczę, którą podarowała mu na pożegnanie Scatah. Drugą ręką dotknął jej twarzy.

- Żegnaj, Uatah - rzekł. - Opiekuj się naszym dzieckiem. I niech bogowie obdarzą cię szczęściem, nad nią zaś niech mają pieczę, by wyrosła tak wspaniale jak ty. Nigdy cię nie zapomnę.

Po czym odwrócił się i skierował w stronę przełęczy, by za swoją przewodniczką przygotować się do zejścia po żlebie w dolinę. Gdy odwrócił się na zakręcie, ujrzał ją stojącą we mgle niczym posąg ze spiżu, z ręką uniesioną w geście pożegnania, tak jak wcześniej tego ranka Scatah.

Stała tak niewzruszona, patrząc, jak przekracza granicę doliny jej matki. Dopiero wtedy odpowiedziała na jego pożegnanie, tak że Galvan stojąc już przy żlebie, usłyszał jej donośny głos.

- Niech bogowie czuwają nad tobą, Wercyngetoryksie,

wodzu Arwernów!

Galvan odwrócił się gwałtownie, ale już jej nie ujrzał, bowiem mgła przesłoniła mu widok. Mógł się jedynie domyślać zarysu jej postaci wśród gęstych mlecznych oparów.

Potem skierował się w ślad za swoją przewodniczką, schodząc po zboczu masywu do doliny, gdzie znajdowało się miasto Gergowia, by przejąć dziedzictwo po swoim ojcu Celtyllusie.

Jego edukacja i pobyt u Scatah zakończyły się.

¹ Safona, fr. 114.

Redakcja i korekta Pracownia Edytorka.eu
Projekt okładki Paulina Radomska-Skierkowska
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Karolina Janowska i Novae Res s.c. 2012.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie drugie
ISBN 978-83-8083-516-0

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Galvan i Cezar powrócą w drugim
tomie z cyklu OPOWIEŚCI CELTYCKIE:

Opowieści celtyckie. Droga do władzy

